

Enerlich Katarzyna

Kwiat diabelskiej góry

Informacje o niektórych mazurskich wierzeniach i tradycjach podchodzą z książki „Warmiacy i Mazurzy” (red. Bogumiła Kuźniewskiego) wydanej przez Towarzystwo Przyjaciół Olsztynka

Książkę tę poświęcam życiowym Żeglarzom, którzy mają odwagę zmierzyć się z wielkim wiatrem marzeń...

Moja droga i twoja droga tak się szelestnie przecięły... z polskiego filmu Senność

Erich, gdyby to Hilda wiedziała... Czy podjęłaby decyzję o małżeństwie z Erichem? Ten złowróżbny ślub zmienił jej serce. Nie spotkało już miłości i zgorzkniało, jakby posypane okruciami piołunu, który ocierał się miękko o jej nogi, gdy chodziła na cmentarz. Często odwiedzała tam swego męża nie męża, w jakimś poczuciu przyzwoitości, obowiązku. Szara płyta zasypana pyłem z łąk nieubłaganie opowiadała wykutymi na niej datami całą prawdę o tym małżeństwie... Zdecydowała się na nie, by nie być wyśmiewaną panną z dzieckiem, by dać mu nazwisko ojca. Teraz... jest wdową, choć tak naprawdę nigdy nie była mężatką...

To polach płynie smętna baśń, omdlałych kwiatów drżący ton

Wiosna roku była w Pustnicku na Prusach Wschodnich dziwna i smutna. Ptaki milczały, nawet krzykliwe o tej porze roku żurawie jakby zapomniały o swojej misji i przecinały ołowiane niebo lekko słyszalnym łopotem. Łąki nie podnosiły się do słońca nazbyt spieszenie, kwiaty wyrastały na nich trwożliwie, jakby przeczuwając trudny czas. Diabelska Góra, której obrys majaczył nad Pustnickiem szarym cieniem, spała zimowym snem, nie chcąc pokrywać się zielonością. Ludzie modlili się więcej niż zwykle, spoglądali z obawą w niebo, po czym wracali do swoich zajęć, w przerwach popijając swoje myśli słodkim meschkines.

Hilda codziennie wyglądała przez okno na drogę, w nadziei, że zobaczy wreszcie na niej tego, którego wciąż oczekiwała. W pamięci miała jeszcze miłosne przysięgi i obietnicę małżeństwa po powrocie z frontu. Czas oczekiwania dłużył się z każdym dniem tej dziwnej wiosny.

Pewnego dnia Hilda poczuła lekkie ruchy pod swoim sercem, jakby uwięziony motyl łopotał skrępowanymi skrzydłami. Lęk, jaki towarzyszył temu odkryciu, jak i poranne mdłości były tak silne, że Hilda musiała tamtego wiosennego poranka pozostać w łóżku. Nie poszła do swojej codziennej pracy we dworze Gustawa Heimanna, gdzie była kucharką.

Zarówno ten, jak i pozostałe cytaty pochodzą z wierszy Marii Zientary-Malewskiej, poetki, nauczycielki i działaczki Warmii i Mazur, zmarłej w roku.

Litewska nazwa pruskiej niedźwiedziówki, czyli likieru na miodzie i spirytusie. Niemcy nazywają go Barenfang.

Prawdziwe nazwisko właściciela dworu w Pustnicku to Heitmann. Na potrzeby książki zostało zmienione, a współczesna historia tej rodziny jest zmyślona. W powieści wciąż przeplata się prawda z fikcją, ale to wszystko mogło się przecież kiedyś zdarzyć, w tym lub innym miejscu pod milczącym mazurskim niebem.

Wiedziała, że jej zachowanie jest bardzo lekkomyślne i że powinna przynajmniej uprzedzić swojego pracodawcę, wierzyła jednak, że jej pomocnica Helga poradzi sobie ze wszystkim. Leżąc w niebieskiej pościeli, marzyła, że jej Erich do niej wraca, że oto idą razem przez wieś, jakby chcąc pokazać, że łączy ich wielkie uczucie... Że mijają dom Neumannów, Bahrów, Bzdurków, budynek karczmy, schodzą nad jezioro Gielądzkie i, objęci, patrzą na taflę wody, skrzącą się w marcowym słońcu.

Erich jednak nie wraca. Wciąż bierze udział w jakiejś wojnie, z której ona nic nie rozumie. Wojna trwa gdzieś daleko, a ona jest tylko kucharką we dworze i jej codziennym problemem jest smak cielęcych klopsików królewieckich albo mięsa duszonego z warzywami. Inne sprawy są obce, nie dotyczą jej życia.

Ludzie we wsi mówili, że Erich dostał nawet jakieś ważne odznaczenie. Przyjechał do niej. Kochali się wtedy pierwszy raz. A potem jeszcze kilka razy - zawsze z tym samym entuzjazmem. Odkrywała miłość fizyczną do mężczyzny, choć wiedziała, że jest zakazana.

Kiedy rodzice chrzestni nieśli ją do kościoła, włożyli jej pod kołdrę kawałek chleba, stalówkę i mirtową gałązkę. Matka schowała te podarunki do blaszanego pudełka po kawie. Zapytana potem przez Hildę o znaczenie tego prezentu, odpowiedziała: „chleb, by ci go za życia nie zabrakło, stalówka - na pilną naukę, a mirtowa gałązka, cobyś zachowała ślubny wianek”. Wianka Hilda nie zachowała, ale gdyby z nim poczekała do ślubu z Erichem... Nigdy nie zaznałaby smaku miłości i nie urodziłaby Rosemarie.

Wtedy jeszcze nie przeczuwała, że ich wspólne noce okażą się brzemiennie w skutki. Dla trzydziestotrzyletniej Hildy rok młodszy Erich okazał się ucieleśnieniem prawdziwego mężczyzny. Postawny, wysoki, z jasnym wąsem i błękitnymi jak skrawki pustnickiego jeziora oczami. Ona, wyższa niż inne kobiety, o której mówiło się „przystojna”, obawiała się, że nie znajdzie męża równego sobie. Rozglądała się za nim i w pobliskim Sensburgu, do którego jeździła na targ, i w Tolkmicku, gdzie mieszkała jej ciotka. A tymczasem... Kilka domów dalej żył Erich Sobottka. Miłość

Przedwojenna nazwa Mrągowa przyszła jednak dość późno, gdy oboje zauważyli już uciekający czas. Mieszkali przy jednej drodze, stali przy niej jako ten zakurzony groch, aż zeszli się wreszcie ze sobą.

Erich... Poszedł na wojnę... Ale wróci, bo to wszystko przecież musi się zaraz skończyć. I znów nastanie upragniony wiejski spokój, wszyscy wrócą do swoich domów, będzie można spotkać na drodze swoich przyjaciół i znajomych, pójść nad jezioro czy rozpalić ognisko u podnóża Diabelskiej Góry...

Rozmyślania przerwało pianie koguta. Ranek. Wszyscy wstają do swoich zajęć. Ona, Hilda, dziś pozostanie w łóżku. Oby pan Gustaw jej to wybaczył!

Kędy by mi błękit dał z tęczy chmury

Był sobotni marcowy poranek. Dość dżdżysty i zimny. Uliczki Griinbergu zasnęła mgła, nie słyhać było ptaków, o tej porze roku już dość gwarnych. Wszystko w tym roku działo się wolniej, stateczniej. Świat był dziwny, zaspany, ludzie zaczęli podejrzewać, że wiosna nigdy nie nastanie. Że ten stan będzie trwał kilka tygodni, a potem przejdzie w jesień, równie mokrą i szarą. Rosemarie Sobottka postawiła przed Ingą talerz z gorącą zupą.

- Masz, pojedz córciu, bo pewnie jesteś zaganiana?

- Rzeczywiście, ostatnio brakuje mi czasu. Wiesz, że nawet nie gotuję?!

- No to co jesz? Znaczący, jecie? To ostatnie słowo zabrzmiało trochę niechętnie.

- Ech, czasem gotuję, czasem zjem coś na mieście.

- No, a Ludwik? - Znów wyczuwalna w głosie niechęć. Wyraźna. Do tego właśnie imienia.

- Właśnie na tym tle dochodzi między nami do sprzeczek. On by chciał ze mną zamieszkać, a ja nie wiem, czy jestem gotowa...

- Może to jest jakieś wyjście, może powinnaś przynajmniej spróbować? Jesteście razem już tyle lat... - próbowała z nią rozmawiać, choć nie przepadała za Ludwikiem. Ale Inga miała już swoje lata, najwyższy czas, by przynajmniej ona ułożyła sobie życie.

- Mamo! Tylko „powinnaś”, „powinniście”. Nie mów tak. To jest moje życie. A poza tym może ja nie chcę z nim mieszkać! Boję się, bo może by się coś między nami popsulo? Przecież wiesz, jak się kończą wszystkie związki. I moje, i twoje. Nie warto. Widać nie mamy szczęścia w miłości. Na razie niech więc będzie, jak jest.

- Czyżbyś miała jakieś wątpliwości? - spytała matka z nadzieją w głosie, że może córka powie: tak, mam, mamo, to nie ten, on chyba nie jest mężczyzną na moje życie.

- Ten czy nie ten. Jaka to różnica? Zobaczymy, co życie przyniesie.

Rosemarie zamyśliła się. Dziwiło ją to nowoczesne podejście córki do spraw damskomęskich. Za jej czasów... Za czasów jej matki, Hildy... Kobiety z dalekiej wsi na Prusach Wschodnich... Wtedy tamten świat wydawał się daleki od wszystkich innych miejsc na mapie. Teraz wystarczyłoby wsiąść w samochód i pojechać tam. Kilka godzin jazdy...

Wróciła pamięcią do tamtego czasu. Jej matka czekała na swojego przyszłego męża, Ericha, ze łzami w oczach i drżeniem serca.

- Ten albo żaden inny! - mówiła.

Wrócił wprawdzie z tej wojny, ale... Żadna narzeczona nie czeka takiego powrotu.

Rosemarie podeszła do zmywarki, wstawiła do niej naczynia. Inga patrzyła, z jaką pieczołowitością matka zbiera łyżki i talerze, jak wstawia je do białego koszyka w szafce i zamyka dokładnie brązowe drzwiczki.

- Twoja babka, a moja matka, była kucharką w majątku Heimannów. Oni mieli piękne sztuce. Ze srebra. Służba wciąż je czyściła. Musiały błyszczeć. Pani Helena, Polka z sąsiedniej wsi, z Alt Gehland, bardzo o to dbała - odezwała się Rosemarie.

- Te czasy już dawno minęły, po co to rozgrzebywać, to niczemu nie służy...

- Źle myślisz, Ingo. Czasem przeszłość powraca zupełnie zniecka. Jeśli jej nie poznasz, to nie wiesz, jak się zachować, gdy wróci. Lepiej zatem wiedzieć, kim się jest i skąd przychodzi.

- Tak, ale dziś nie mam czasu na genealogiczne sentymenty! Mam masę pracy - ucięła Inga.

Nie miała ochoty słuchać o przeszłości. Nie dziś. Zwykle takie rozmowy trwają bardzo długo, a ona była już umówiona z Ludwikiem. Pójdą na jakiś spacer, potem na kolację do restauracji w rynku. A po niej... No cóż, była wolną kobietą, niezależną Niemką. Wprawdzie miała na swoim koncie same nieudane związki, teraz jednak była pełna nadziei, że ten z Ludwikiem okaże się spotkaniem dwóch połówek jabłka.

- Mamo, porozmawiamy o tym wszystkim innym razem, zgoda?

Przedwojenna nazwa Starego Gielądu

- Zgoda, córciu, ale musisz kiedyś znaleźć na to czas.

- Postaram się. Może w przyszłym miesiącu...

- Ingo...

- Mamo, proszę... Ludwik czeka!

- Nie zjadłaś zupy!

- Dokończ za mnie. Ja już muszę bieć!

I jak to zwykle bywa, matka skończyła obiad córki. Matki często zjadają resztki po swoich dzieciach. Nawet jeśli te dzieci są już dorosłe i mają swoje sprawy, matkom smakuje potrawa jedzona najpierw przez te najdroższe im istoty...

Tyle chciała opowiedzieć swojej córce. O tamtych czasach, dalekiej krainie, niewielkiej wsi na Prusach Wschodnich, u podnóża Diabelskiej Góry. Musi to wszystko

kiedyś jej przekazać, zanim odejdzie. Szkoda tylko, że Inga nie bardzo garnie się do słuchania tych historii. Ona, Rosemarie, była inna. Jej matka często wspominała dawną ojczyznę, którą opuściły w roku. Inga miała wtedy pięć lat, a ona trzydzieści trzy, pamiętała więc wiele i wywiozła pod powieką dokładny obraz tamtego świata. Kochała Pustnick, nazwany po wojnie Pustniki, ale matka zdecydowała, że wyjadą. Może chciała pożegnać na zawsze bolesne wspomnienia, ponurą mogiłę na wjeździe do wsi i niewielki dom, w którym tak szybko przeszła jej młodość?

A Rosemarie bała się samotnego życia, z małą córeczką, bez nikogo - poza matką - bliskiego przy sobie. Propozycja starej ciotki Róży, tej, która przed wojną mieszkała w Tolkmicku i wyjechała zaraz po wojnie, okazała się dla matki na tyle ciekawa, że postanowiła zmienić swoje i ich życie. Mówiło się wtedy na te wyjazdy, że to „druga fala przesiedleńcza” i „łączenie rodzin”. Owo łączenie dawało nowe perspektywy. Praca, mieszkanie w kamienicy w centrum niewielkiego miasteczka, pieniądze. Z dala od dawnych miejsc i wspomnień.

Sprzedały swój dom za zakrętem za jakieś marne grosze i tak we trzy trafiły do Griinbergu. Nie wiedziały wtedy, że za dwadzieścia lat władze tego miasta podpiszą partnerstwo z pewnym mazurskim miasteczkiem, do którego jeszcze przed wojną jeździła na targ. Miasto przed wojną nazywało się Sensburg, a Polacy nadali mu nazwę Mrągowo. Rosemarie, gdy dowiedziała się o tym porozumieniu, miała nieznośne wrażenie, że historia po raz kolejny zatoczyła koło. Pojechała tam nawet kiedyś, z delegacją z Griinbergu. To jednak nie było już miasto z tamtych czasów. Zmieniło się, rozbudowało, wydawało się zadbane i takie europejskie, ale wielu miejsc, które pamiętała, już nie było. Do Pustnicka nie zdecydowała się jechać. Po co? Do kogo? Bała się zobaczyć swój dawny dom. Kto w nim teraz żył? Słyszała, że na wsiach wiele budynków stoi w kompletnej ruinie, że nowi właściciele nie dbają o nie. Nie chciała przeżyć rozczarowania. Z ulgą wróciła do swojego maleńkiego Griinbergu, gdzie czuła się naprawdę bezpiecznie.

Ciotka Róża zmarła wkrótce po ich przyjeździe do Niemiec, zostawiając im mieszkanie na tyłach pięknej szachulcowej kamienicy niedaleko rynku. Dziesięć lat po przeprowadzce zmarła również stara Hilda. Ta zmęczona i tęskniąca za rodzinną wsią kobieta nigdy nie wróciła do swojego kraju, do męża, spoczywającego od lat na zarosłym drzewami cmentarzu w Pustnikach. Rozdzieleni przeznaczeniem, pożegnali się już dawno, tuż przed swoim ślubem nie ślubem, w trudnym dla ich miłości wojennym czasie.

Rosemarie została więc w Niemczech tylko z Ingą, oddając się swojej pracy i wspomnieniom. Miała dość czasu na podsumowanie swojego życia, bo wraz z odejściem najbliższych wracały do niej coraz częściej te chwile, które z nimi spędziła. Gdy żyli, nie

doceniała tych skrawków ich obecności, które teraz dopiero tkwały się w materię tęsknoty. Patrzyła na Inge i zastanawiała się, czy i ona w taki sam sposób będzie odczuwać kiedyś jej odejście.

Ojcem Ingi był Gustaw Busch. Rosemarie poznała go na jakiejś potańcówce, których w tamtych czasach nie brakowało na wsiach. Gustaw pochodził z polskoniemieckiej rodziny z Zyndak, był konserwatorem w sorkwickim pegeerze, a Rosemarie nauczycielką biologii. Szybko zakochali się w sobie, choć Gustaw nie należał do tych najprzystojniejszych. Dość niski, krępy, miał jednak w oczach ciepło i rozmarzenie, które sprawiało, że kobiety przepadały za nim. Może wyzwał w nich uczucia macierzyńskie? A może po prostu uwodził je jakąś wrażliwością, niezwykłą dla zwykłego konserwatora maszyn...

Gdyby nie zadał Rosemarie tyle bólu w dniu jej ślubu, może byłaby dziś z nim nawet szczęśliwa? Bo przecież nie był złym człowiekiem. Może gdyby mu wtedy wybaczyła i wyszła za niego, w pięknym sorkwickim kościele, to Mojżesz i Aaron z ołtarza zerknęliby na młodą parę łaskawie? Ale... Gustaw Busch zawiódł jej uczucia i nie potrafiła mu tego zapomnieć. Z furią zerwała z głowy ślubny welon i nagle poczuła na sobie samospełniającą się przepowiednię zielarki z Pustnicka: kobiety z jej rodziny nie znajdą szczęścia w miłości...

- To przeze mnie... Przeze mnie... - płakała potem jej matka, chowając welon do foliowego woreczka. I obie miały wtedy owo nieznośne poczucie, że miłość naprawdę obchodzi je szerokim łukiem...

Ten grób. On mieści moje sny, To niego tulę zbladłą skroń

Rosemarie w dzieciństwie często pytała matkę, dlaczego nie wyszła powtórnie za męża, a w jej albumie nie ma ślubnej fotografii. Już jako mała dziewczynka odkryła, że jedynym łącznikiem z nieznanym jej ojcem jest ciemny grób na cmentarzu, na początku wsi. Matka nie chciała rozmawiać na ten temat, a jednocześnie zachowywała się tak, jakby chciała pokazać, że w jej życiu tkwi jakaś tajemnica. Co pół roku sprzątała mogiłę ojca, czując szczególną uwagę do tej kamiennej płyty pośrodku wzniosłych drzew. Rosemarie już jako mała dziewczynka pamiętała datę śmierci wyrytą w kamieniu: czerwca roku. Cztery dni przed nocą świętojańską...

Noc świętojańska była obchodzona w Pustnicku od lat, starym mazurskim zwyczajem. Wszyscy wtedy wyruszyli na Diabelską Górę w poszukiwaniu kwiatu krzewu ligustrowego. Miał zapewnić szczęście w miłości. Jak mówiła matka, kwiat ten miał magiczną moc. We wsi był nawet taki zwyczaj, że panny młode, które wychodziły za mąż na przełomie czerwca i lipca, wkładały sobie kwiat ligustru w wianki. Białe grona drobnych kwiatków, podobne do miniaturowych kiści bzu, oszałamiały zapachem kobietę i jej wybranka. Rosemarie

wyobrażała sobie ślub jej rodziców, jak przysięgają sobie miłość, jak zakochani patrzą na siebie.

- Mamo, czy ty też znalazłaś sobie ligustr do ślubnego wianka? - zapytała kiedyś matkę.

- Nie, nigdy. Nie miałam...

Zawiesiła głos. Rosemarie nie pytała więcej, wiedziała, że to nie ma sensu. Nie знаła nawet twarzy swojego ojca. Nie zachowało się jego żadne zdjęcie. Tylko ludzie we wsi pamiętali, jak wyglądał, i opowiadali jej. Próbowwała potem wyobrazić sobie jego oczy, wąsy, twarz. Czasem ścierała palcem kurz z wykutych w kamieniu rowków.

- Mamo, a co znaczy ten krzyż na grobie taty? - pytała, dotykając czworobocznego kształtu z datą.

- Twój tata był zasłużonym żołnierzem. To podobno było ważne odznaczenie. Krzyż Żelazny. Eisernes Kreuz. Dziś lepiej się do tego nie przyznawać. Ale wtedy odszedł jako zasłużony żołnierz. Nie dane mu było jednak...

W tym kłębowisku soczystej zieleni jest cmentarz, a na nim grób Ericha Sobottki.

Krzyż Żelazny byto to najpierw pruskie, a potem niemieckie odznaczenie wojskowe, ustanowione przez króla Prus Fryderyka Wilhelma III, nadawane żołnierzom w uznaniu męstwa na polu walki, a także za sukcesy dowódcze. Na grobie Ericha Sobottki widać kształt tego odznaczenia, co świadczy o tym, że Erich naprawdę je otrzymał. Walczył po stronie niemieckiej. To trudny rozdział w polskoniemieckiej historii, a jednak całe Prusy Wschodnie to ta właśnie historia... Historia ludzi, ich marzeń, nadziei i miłości.

Głos matki zawieszał się wtedy w taki sposób, że nawet kilkuletnie dziecko wiedziałyby, że coś nie jest wyjaśnione do końca...

Myśli wspominającej swoje dzieciństwo bez ojca Rosemarie pobiegły w przeszłość. Sformułowanie „pobiegły w przeszłość” ma w sobie coś z zaprzeczenia. Pobiec kojarzy się z wyjściem naprzeciw. A tymczasem przeszłość to z definicji cofnięcie, wędrówka do tyłu. Jak można rozumieć ową dwojakość? A może wspomnienia są formą teraźniejszości, bo wciąż trwają w pamięci?

Segregowała pranie w swojej jasnej, dość przestronnej łazience. Przysiadła na brzegu wanny. I wyobraziła sobie, jak musiała wyglądać tęsknota jej matki za ojcem, który był daleko od niej, gdzieś na froncie.

Rozdzieliła ich historia. Mały czarnowłosy człowieczek, który przewrócił ład w całej Europie, odebrał ludziom godność oraz prawo do szczęśliwego życia, bez względu na narodowość.

L^f niebo - takie jasne, wysokie, otwarło dźwierze dali na oślep

Rosemarie pamięta opowieści matki. Opowiadała chętnie, ale dopiero wtedy, gdy Rosemarie dorosła i sama miała dziecko, jakby to dawało gwarancję pełnego zrozumienia.

Pewnego dnia Hilda Labusch wstała wcześniej. W kuchni krzątała się już matka. Mieszkały same w niewielkim domu za zakrętem. Wystarczyło wyjść do ogrodu, a między drzewami już widać było taflę Gehland See.

- Wstawaj, musisz iść do dworu - matka pośpieszyła ją, podkładając do ognia.

- Dziwnie tu pachnie - powiedziała Hilda, wciągając zapach jedzenia, do niedawna jeszcze przyjemny i pobudzający apetyt.

- Hildo, jesteś blada... - usłyszała nagle.

- Mamo...

Matowe oczy jej matki w otoczeniu wyraźnych zmarszczek wypatrzyły to, co Hilda starała się przed nią ukryć.

- Cóрко... Ty jesteś... w ciąży?...

Milczenie odpowiedziało na pytanie. Matka wyszła z pokoju. Na rozpalonym wcześniej ogniu pod płytą przygotowała śniadanie. Ziemniaki ze zsiadłym mlekiem. W spiżarni miała jeszcze kawałek słoniny. Skroiła go drobno. „To dla Hildy, ona musi się teraz dobrze odżywiać... Co my zrobimy?” - pomyślała. Przeczuwała, że ojcem dziecka jest Erich. Często tu bywał, a jej Hilda patrzyła tęsknie w jego błękitne oczy. Żeby tylko wrócił już z tego frontu. Wyprawia im z rodzicami Ericha skromne wesele. Mieszkać mogą tutaj, dom stoi pusty, ona - wdowa, chętnie podzieli się miejscem. I będzie pilnować dziecka. Lepiej, żeby był wnuk. Mężczyzna przyda się w obejściu. Ach, przecież będzie jeszcze zięć, Erich! Podobno pracowity i silny jak tur. Takiego sobie Hilda wybrała... Czas więc myśleć

Obraz tamtej rozmowy, narysowany w wyobraźni, wciąż tkwił w pamięci Rosemarie. Wyobrażała sobie, jakby tam naprawdę była, z matką w kuchni babką w spiżarni, choć przecież nie było to możliwe. Czasem jednak wydawało się jej, że od zaczątków swojego życia towarzyszyła matce, najpierw jako jej myśl, potem jako mały człowiek.

Dziwne myśli przerwał nagle dźwięk telefonu. Rosemarie sięgnęła po komórkę. Te współczesne wynalazki, do których odnosiła się z rezerwą, okazały się błogosławieństwem. Nie musiała już biec do telefonu ze słuchawką na krótkim kablu. Mogła po prostu sięgnąć do kieszeni domowej sukienki.

- Halo... - przeciągnęła z niemieckim akcentem, który opanowała dość szybko, prawie od razu.

W Pustnicku ludzie mówili dziwnym językiem. Takim polskoniemieckim. Twarde wymawianie głosek przychodziło jej więc w sposób niemal naturalny. Była dwujęzyczna, czasem wręcz nie odróżniała, czy dane słowo jest polskie, czy niemieckie. Inga, jej czterdziestoletnia córka, była już bardziej „niemiecka”, ale świetnie mówiła po polsku, choć z tym dziwnym twardym akcentem.

- To ja, Helga - usłyszała głos w słuchawce. Helga była jej przyjaciółką. Kiedyś pracowała w tutejszym urzędzie, teraz była na emeryturze. To właśnie dzięki Heldze pojechała kiedyś do Polski, do Mrągowa. Helga zapisała ją na listę osób zainteresowanych wyjazdem.

- Och, jak miło cię słyszeć? Co u ciebie?

- U mnie w porządku. Zdrowie jakoś służy, to jeżdżenie na rowerze naprawdę poprawiło mi formę. Aleja w innej sprawie...

- A co się stało, moja Helgo? - Zawsze śmieszyła ją zbieżność ich imion: Hilda, Helga. Brzmiały podobnie i często, jeszcze w danych latach, myliły się ich znajomym. Mówili: Hilda, myśląc o Heldze. I odwrotnie. Zupełnie tak, jak polskie Basia i Kasia.

- Myślę, że cię to zainteresuje. W piśmie, które prenumeruje moja sąsiadka, „Sensburger Heimatbrief”, jest wywiad z dawną gospodynią we dworze w Pustnikach, panią Heleną Kres.

- Niemożliwe! Ona jeszcze żyje?! wykrzyknęła Rosemarie, zdziwiona tym, że ktoś może pamiętać tamten czas.

- Tak! Pani Helena ma dziewięćdziesiąt dwa lata i świetną pamięć, jak się okazuje! Te wspomnienia... Myślę, że powinnaś je przeczytać.

- Ach, czy mogłabyś mi przywieźć tę gazetę?

- Oczywiście!

Rosemarie była podekscytowana. Helena Kres. Pilnowała wszystkiego, jej czujne oko zawsze wyłapało każde rozleniwienie i każdą niedbałość. Za chwilę przeczyta jej wspomnienia. Może powie coś o jej matce-kucharce? Przecież razem pracowały we dworze u Heimannów! A może nawet o jej ojcu - Erichu, o którym ona sama tak niewiele wie...

Czekała na Helgę z niecierpliwością, sprzątając w łazience, która kiedyś, gdy tu zamieszkała, wydawała się jej prawdziwym rajem. W Pustnicku, zaraz po wojnie, miała tylko miskę i dzban z wodą. Białe emaliowane naczynia, malowane w niebieskie kwiatki. Żyły z matką więcej niż skromnie, choć były to najpiękniejsze lata ich życia, w tamtym kraju, który wciąż jest jej bliski. Życie tutaj od początku było inne, wygodniejsze. Umywalka, niewielka wanna, toaleta. Była tym zachwycona. Lubiła wtedy przebywać w łazience, myć kafelki,

podłogę, układać kosmetyki na półkach. Łazienka z czasem stała się codziennością, Rosemarie traktowała ją jak każde inne miejsce w domu.

Ech, czasy się zmieniły, ale dusza pozostała w niej ta sama. Na pół słowiańska, po matce, i na pół pruska, po ojcu. To dziwne zamięrowanie do prostoty i lęk przed przepychem - jako czymś „nie dla niej”. Czasem czuła się bardziej stamtąd, z mazurskiej wsi. Wiedziała jednak, że tamtego świata już nie ma. Teraz tu była jej nowa ojczyzna. Matka

Pismo wydawane w Niemczech, w Remscheid, od roku, przez dawnych mieszkańców powiatu mrągowskiego. Jego redaktorzy i autorzy opisują dawną i współczesną rzeczywistość ziemi, która kiedyś była ich heimatem. Pismo to prenumerowane jest również w Polsce. Trafia między innymi do autochtonów, również tych z Pustników. Z wielką Pieczołowitością przechowują oni każdy numer pisma i sięgają do niego w chwilach wspomnień. Autorka przeglądała to pismo w domu Faberów i Neumanów. podjęła decyzję o wyjeździe, bo chciała być blisko swej siostry Róży. A może chciała uciec od wspomnień? Wojenne przeżycia, ukrywanie się przed Rosjanami w jakiejś ciasnej ziemiance, w pobliskim lesie. Te sceny musiały w niej tkwić jak drzazga. Uspokoila się dopiero tutaj, przy siostrze. Jednak poczucie, że nie ma prawa do miłości, towarzyszyło jej przez resztę życia.

- Bo nie miałam kwiaty ligustru we wianku ślubnym. Bo ten ślub nie był taki, jaki chciałam, żeby był...

Rosemarie pamięta, że matka pod koniec życia opowiadała coraz chętniej, otwierając przed nią zakamarki wspomnień. Czy teraz ona, Rosemarie, powinna zachować tę naturalną kolej rzeczy i przygotować córkę do swego odejścia? Nie czuła się jeszcze bardzo staro, ale... Lata stopniowo upominały się o nią. Wkrótce skończy siedemdziesiątkę. Widziała kiedyś w telewizji polskie kobiety w jej wieku. Pokazywali reportaż o jakimś polskoniemieckim nieporozumieniu, dawny właściciel domu na Mazurach upomniał się o niego i wygrał proces. Jakaś rodzina straciła więc dach nad głową. Przed domem stała grupa ludzi, a wśród nich mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta, obok niej kobiety w podobnym wieku. Rosemarie zobaczyła pomarszczone babinki z chustkami na głowach, w byle jakich kurtkach. I wtedy pomyślała, że ona nigdy tak nie będzie wyglądać. Nie zamierzała być taką babinką, choć... pochodziła przecież, jak one, ze wsi. Ona starzała się inaczej. Poczula wtedy wyższość jej świata nad tamtym. To była jedna z nielicznych takich chwil, bo coraz częściej w jej sercu pojawiała się tęsknota do tamtej ojczyzny.

Pustnick był chyba jedyną w całych dawnych Prusach miejscowością, w której po wojnie pozostali prawie wszyscy mieszkańcy. Nie bali się Rosjan, ukrywali przed nimi i, gdy już zrobiło się bezpiecznie, wrócili do swoich domów, do swojej ziemi. Ona również

ukrywała się z matką - mieszkali w ziemiance w środku lasu. I wrócili do Pustnicka z innymi. „Lepsi ze swojemi płakać, niż z cudzymi skakać” - mówili ludzie ze wsi. Dopiero wiele lat po wojnie niektóre rodziny wyjechały, ale było to już w „polskich” czasach, gdy Pustnick nazywał się Pustniki. Niewielka to była różnica. Tylko dwie litery. A w rzeczywistości wielki kołowrót historii. Inny kraj, inny język. I inni ludzie.

Dom na skraju wsi, należący do Faberów. Bohaterki powieści, Cyklinda i Rosemarie, zachodziły do nich w drodze na cmentarz. Mówiły o tym, że te kobiety istnieją tylko w wyobraźni (- Autorki, dom oraz jego właściciele, pamiętający Ericha Sobottkę, naprawdę istnieją...

Żeby dojechać do Pustnicka, trzeba było w Sorquitten skręcić w prawo. Po drodze mijano się Alt Gehland i już się było na miejscu.

W centrum wsi stała karczma, do której przed wojną zajeżdżali zdrożeni wędrowcy. Pamiętała ten duży, murowany budynek, a obok, przy stodole, miejsce dla koni. Czasem podchodziła do nich i głaskała spocone ciała. Słuchała, jak cichym parsaniem opowiadają sobie końskie historie. W karczmie dużo się piło i niejedynemu gospodarzowi stracił w niej cały majątek. Niektórzy kupowali na kredyt, zadłużali się, ale żądza wypicia była silniejsza. Karczma po wojnie podupadła, a na koniec została zamknięta, jej właściciel pracował najpierw z innymi w pegeerze, a potem wyjechał do Niemiec.

Przedwojenna nazwa Sorkwit

We wsi była też gorzelnia Heimannów. Kto był bardziej zapobiegliwy, sam sobie robił meszkines z miodu i spirytusu. Matka opowiadała, że były i takie czasy, że kobiety we wsi piły więcej niż mężczyźni. Wołały jednak te swoje miodówki, bo były słodkie, a nie gorzkie jak wódka. Ta gorzelnia działała jeszcze długo, ale po wojnie stała się własnością pegeeru. Każdy wtedy kombinował, jak mógł, by wynieść z niej alkohol. Gdy Rosemarie wyjeżdżała do Niemiec, gorzelnia jeszcze działała. Słyszała tylko od ludzi, że po paru latach została zamknięta.

Na skraju wsi stał piękny dom z czerwonej cegły. To był dom Faberów. Lubiała tych ludzi, prostych i uśmiechniętych. On, Dietrich, był silny i pracowity, a jego żona, Cyklinda, piekła znakomite ciasta (kuchy) i miała opinię dobrej kucharki. W ich domu zawsze pachniało czymś smacznym. I było dużo książek.

Od domu Faberów szło się ścieżką przez pola, na cmentarz, na którym był grób jej ojca. Gdy więc chodziła tamtędy, Faberowie machali do niej ręką, a ona zachodziła do nich chętnie i dostawała w rękę świeżego surgała albo zwykłą kromkę chleba z cukrem. Opowiadali jej czasem, jak uciekali przed Rosjanami. Mówili wtedy: „Będzie dobrze. Jeśli

mamy kartofle i sól, to przeżyjemy”. Rosemarie słuchała przez chwilę ich wspomnień, głaskała wylegające się w słońcu koty i potem biegła dalej, płosząc pozbijane w stadka kury.

Tak, pamiętała dobrze Faberów, ich oddanie mazurskiej ziemi. Zostali tam, w swojej ojczyźnie. Wciąż jeszcze żyli, byli ostojami tamtego świata, a Rosemarie czasem zastanawiała się, jak ułożyło się ich polskie życie. Czy są szczęśliwi? Ona raczej już tam nie pojedzie, ale może Inga? Myślała o tym, lecz wiedziała, że córka nie garnie się do sentymentalnych podróży.

Długie, cienkie wałeczki z drożdżowego ciasta. Jadło się je maczane w miodzie lub mleku. Takie współczesne paluchy posypane makiem. W Mrągowie do spróbowania w piekarni na ulicy Królewieckiej.

Świat w cudnej tęczy ubrał się w kolory, Słyszę, jak w ciszy liście z drzew spadają

Rosemarie była w swoim domu szczęśliwa, choć samotna. Obsadziła nawet kamienne schodki przy wejściu krzewem ligustru. Daremnie. Miłość się nie zdarzyła. Widać miłosny ligustr, niczym polski kwiat paproci, musi pochodzić z Diabelskiej Góry w Pustnikach, a nie z niemieckiego marketu ogrodniczego... Teraz nie wierzyła już w miłość. Sześćdziesiąt osiem lat na karku i zamazane przez czas nikle wspomnienia po niedoszłym mężu, Gustawie. Owszem, w jej życiu byli potem inni mężczyźni, jakiś Otto, Kurt, Frank... Ale... Czegoś w tych związkach zabrakło. Po pewnym czasie stawali się równie drażniący, co mucha na szybie. Rozstawiała się z nimi bez żalu, jakby odgrywając się za tamten dzień niedosłego ślubu... Bo tylko Gustawa kochała naprawdę. Szkoda, że tego nie docenił...

Pamięta dzień ich ślubu. Niedosłego ślubu. Matka przybierała właśnie jej sukienkę gałązkami asparagusa z ogrodu. I wciąż mówiła:

- Szkoda, że to nie ligustr. Ale teraz, we wrześniu, już nie kwitnie. Oby ci się szczęściło w życiu, córko. Obyś przynajmniej ty ułożyła sobie życie.

Ślub miał być skromny. Najpierw nabożeństwo w sorkwickim kościele, a potem przyjęcie w domu panny młodej. Na gości czekały już zastawione stoły przykryte obrusami i ławy wypożyczone od ludzi ze wsi. Zaprosili tylko najbliższą rodzinę i sąsiadów. Po ślubie mieli tu zamieszkać razem, w jej domu. Marzyła o tym, jak urządzi swój pokój, a może... to małe Pomieszczenie obok spiżarni przerobią na pokój dziecienny? Dwadzieścia osiem lat to najwyższy czas na rodzenie dzieci. To słowa jej matki, Hildy, która nie mogła doczekać się wnuków.

Ostatnia gałązka asparagusa powędrowała na dekolt.

- Pięknie... - usłyszała głos matki, podekscytowanej ślubem, zdenerwowanej wrażeniami dnia. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. - Kto tam? - zapytała Rosemarie.

- To ja, Gustaw!

Matka z popłochem spojrzała na córkę całą w bieli.

- Przecież nie możesz oglądać panny młodej przed ślubem. To źle wróży! - Hilda podniesionym głosem zganiała przyszłego zięcia.

- Wiem, ale muszę o czymś powiedzieć Rosemarie.

- Cóż może być ważniejsze od małżeńskiego szczęścia? Nie można ryzykować! - przekomarzała się z nim matka. Rosemarie położyła dłoń na jej ramieniu.

- Podaj mi po prostu coś do nakrycia i niech wejdzie, skoro to takie ważne. - Uśmiechnęła się.

Nie mogła już doczekać się, aż zostanie żoną tego mężczyzny. Matka wyciągnęła z szafy kolorową chustę, zakończoną żółtymi frędzlami. Owinęła nią córkę i otworzyła drzwi:

- Wejdz, skoro to takie ważne i nie może poczekać!

- Nie może... - powiedział jak echo Gustaw chłodnym, lekko chropawym głosem. Przez myśl Rosemarie przebiegło nawet, że chyba coś się stało, ale nie chciała w to wierzyć, odpędziła złe myśli, bo to był jej najważniejszy w życiu dzień. Nic nie mogło zmać tego szczęścia!

Rosemarie wiedziała już wtedy, gdy szykowała się do własnego ślubu, dlaczego jej matka tak długo milczała na temat swojego. Tajemnicę tę odkryła przypadkowo... Tak, pamięta... Miała wtedy chyba siedemnaście lat. To była niedziela. Tylko w niedzielę było więcej czasu na czynności, które w środku tygodnia wydawały się nieważne, przytłumione codziennymi obowiązkami. W domu panował półmrok, potęgowany przez pelargonie, zwane we wsi muszkatlami, i rozrosłe geranium. Rosemarie oglądała stare zdjęcia w albumie. Zawsze dziwiło ją, że w jej domu nie ma żadnej ślubnej fotografii jej rodziców. W domach koleżanek wisiały - sepiowe, oprawione w starodawne ramy. Mówiło się na to po polsku: monidła. W myślach widziała twarze matki oraz nieznanego jej ojca... To może po nim ma te włosy blond, w kolorze przepalonego sierpniem zboża... I to zamięrowanie do porządku, bo matka raczej nie była tak dokładna, pedantyczna...

Ten album, solidny, w skórzanej oprawie, matka przywiozła kiedyś z sensburga, z targu. Najpierw oglądała go długo, a potem oprawiła w czarne ramki wszystkie ważne rodzinne fotografie.

Rosemarie wertowała teraz te zdjęcia, z których każde opowiadało inną historię. Przeszłość przesuwiała się jak obrazy w fotoplastykonie. Czyjeś twarze utrwalone na kliszy... Rosemarie nie znalazła wśród nich twarzy ojca. Babcia, dziadek, dalsza rodzina - wszyscy podobni do siebie, ciemnoocy, tylko ona, Rosemarie, miała ten błękit oczu. Zamknęła album,

włożyła do szuflady. Nie chciała się zamknąć, więc Rosemarie włożyła rękę pod spód, by sprawdzić, co tam przeszkadza. Wyciągnęła niewielkie zawiniątko w płóciennej serwetce. Otworzyła. To był jej akt chrztu. Widziała go pierwszy raz. Ze wzruszeniem dotknęła papieru. Odręczne pismo, starannie kaligrafowane. Rosemarie Sobottka, września rok. Już dawno obliczyła, że początek jej życia, tego przed narodzinami, przypadł na styczeń... A ojciec zmarł czerwca... Mama była zatem wtedy w piątym miesiącu ciąży... Jakże ciężko musiało być ciężarnej wdowie żegnać swego męża!

W płóciennym zawiniątku napotkała coś jeszcze... Stary notes. A w nim poźółkły dokument... Rozłożyła go wolno. Dowód zawarcia małżeństwa. Ale... Coś się nie zgadza... W tę aksamitną mięką ciszę idę samotna i zmęczona

Samotność położyła się na życiu Rosemarie długim cieniem. Nie wiedziała, co takiego w niej jest, że nie potrafi związać się na dłużej z mężczyzną. Czy to jakiś feler, czy może silna niezależność jej charakteru? A może po prostu lęk przed tym, że pewnego dnia usłyszy od swego mężczyzny słowa, które zranią ją dotkliwie i zmienią w jednej chwili jej życie? Jak wtedy, w dniu jej niedoszłego ślubu z Gustawem?

- To nie może poczekać... - usłyszała wtedy chłodny, lekko chropawy głos Gustawa. Usiadła w tej swojej ślubnej sukience na wersalce i rozejrzała się po pokoju. Na podłodze leżał nowy chodnik, tkany przez sąsiadkę, doniczki z geranium i pelargoniami matka owinęła połyskliwą siateczką. Było czysto i świeżo, w powietrzu unosił się jeszcze zapach zielonych gałązek asparagusa.

- Wejdz, proszę - szepnęła. A gdy pojawił się na progu, podbiegła do niego, w tej chuście, obejmując jego szyję ramionami. Wyłowiła jego zachwycone spojrzenie.

- Pięknie wyglądasz... To dla mnie... Na nasz ślub...

- Tak, Gustawie, za chwilę będziemy mężem i żoną. Co chciałeś mi powiedzieć?

- Powiem, ale nie tutaj. Wyjźmy do ogrodu. Nie chcę, by twoja matka słyszała.

- Ale... Nie mamy zbyt wiele czasu, zaraz jedziemy do kościoła!

- Tak, ale muszę to zrobić teraz, rozumiesz, bo potem może być za późno!

Wyszła z nim do ogrodu, zaniepokojona, jej serce drżało jak brzozy listek na wietrze. Oparła się o jabłoń, poprawiając chustę, by nie pobrudzić sukienki.

- Słucham cię.

Pamiętała, jak pocierał ze zdenerwowania czoło, jakby chciał rozprostować tę zmarszczkę zdenerwowania pomiędzy brwiami. Jak wziął ją za obie ręce, przytrzymał i chwilę jeszcze milczał, by zebrać myśli, dobrać słowa, aby brzmiały jak najłagodniej.

Skąd mógł wiedzieć, że wtedy, na tamtej wiejskiej zabawie, na którą poszedł, spotka nie tylko Rosemarie, ale i Marię, swoją dawną miłość i sąsiadkę w jednej osobie? Wyjechała z Zyndak kilka lat temu, pracowała w sklepie w Rybnie i tam też zamieszkała, w wyniosłym dawnym pałacu na skraju wsi, za wysokimi ciemnymi drzewami, które kiedyś były zapewne pięknym parkiem. Porozmawiali chwilę, a potem on poprosił Marię do tańca. Opowiedział, że pracuje teraz w Sorkwitach, w tamtejszym pegeerze i wciąż, jak dawniej, mieszka w Zyndakach, z rodzicami.

Na słowo „dawniej” Maria przymknęła oczy, pewnie mając w pamięci ich potajemne miłosne spotkania w lasku za wsią. On jednak nie zauważył tego rozmarzenia, pomyślał, że to tylko muzyka wprowadziła Marię w taki dziwny nastrój.

Chwilę później w tłumie dziewcząt w kolorowych sukienkach zauważył jasnowłosą Rosemarie. Znał ją z widzenia, jednak nigdy wcześniej nie miał odwagi do niej podejść. Dopiero dziś, ośmielony muzyką i wypitym piwem, podszedł do niej. Zatańczyli. tak zaczęła się ich miłość.

Wiedział już wcześniej, że Rosemarie mieszka z matką, która przed wojną pracowała we dworze. Teraz był tam pegeer, a piękna jadalnia z misterną sztukaterią na suficie była wiejskim klubem. Wiedział też, że byli i tacy, którym nie w smak było, że stara Hilda, matka Rosemarie, wyszła za mąż za niemieckiego żołnierza, wyróżnionego Żelaznym Krzyżem za zasługi. Mówiło się o ich ewentualnym wyjeździe do Niemiec, jednak Rosemarie milczała na ten temat.

On nie chciał, by Rosemarie wyjeżdżała, bo zakochał się w jej błękitnych, nieco zamyślonych oczach. Któregoś niedzielnego popołudnia, gdy poszli na daleki spacer na Diabelską Górę, oświadczył się jej. A potem poprosił o jej rękę matkę. Rozpoczęły się przygotowania do ślubu. Udało mu się kupić parę skrzynek wódki, a w domu Rosemarie wędziły się już szynki i kiełbasy.

I wtedy, pewnego dnia, przyjechała do niego Maria, z prośbą o naprawienie starego trabanta. Pojechał z nią chętnie do Rybna, pogrzebał w silniku i... został na noc, bo uciekł mu ostatni autobus. Maria mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu. Cały pałac podzielony był na kilka mieszkań, głównie dla pracowników. Maria, mimo że teraz była sklepową, dawniej pracowała jako księgowa, w biurze naprzeciwko. Została więc tutaj, płaciła parę groszy czynszu, a wieczorami wychodziła do zlewni po darmowe mleko.

Wtedy też po nie wyszła, stanęła na schodach i patrzyła, jak Gustaw naprawia jej auto. Miała krótką spódnicę i opalone nogi o dość masywnych łydkach. Gustaw spojrzął na te łydki, chwając je w myślach popularnym wiejskim powiedzeniem: jakie tory, taka stacja.

Wydawało mu się, że te nogi są jeszcze piękniejsze niż wtedy, gdy był z Marią. Zapragnął ich dotknąć. Kiedy więc wróciła i zaproponowała mu jajecznicę na mleku, zgodził się chętnie, nie bacząc, że właśnie odchodzi ostatni autobus.

Zjadł kolację, napił się wina z kolorowym widoczkim na butelce i zbliżył do Marii. Ona czekała na to.

- Chodź, poczujemy się jak wtedy, gdy byliśmy ze sobą - szeptała mu do ucha, a on na chwilę zapomniał o czułości Rosemarie, jej oddaniu i deklaracjach, jakie składał.

Dopiero nad ranem obudziły go wyrzuty sumienia.

- Nie powinniśmy byli. Przecież ja kocham Rosemarie... - wyszeptał, ubierając się pośpiesznie. Za chwilę miał autobus do Sorkwit, a potem musiał jeszcze dotrzeć do Zyndak.

- Zostań, co się przejmujesz jakąś Niemką! Ona i tak wyjedzie. Ona nie dla ciebie! - wysyczała Maria ze złością.

- Nie mów tak o niej. Nie znasz jej. Ona jest dobra.

- Jak Niemka może być dobra?! Co ty gadasz?! Zadzurzyłeś się jak dzieciak. Zostań... - jęknęła przymilnie jak kotka i niewiele brakowało, a znów by jej uległ. W ostatniej chwili jednak coś go powstrzymało.

- Jadę - uciął krótko. wyszedł.

Chłodził czoło o szybę autobusu. Niemrawi podróżni milczeli, wiezieni wolno przez mazurskie drogi, kręte i obsadzone drzewami. Szary, nijaki tłum pod szarym sklepieniem. Teraz i on należał do tego tłumy. Krótkim snem leczył wyrzuty sumienia.

Maria na szczęście nie szukała z nim kontaktu, pewnie nie pozwalała jej na to naruszona duma. I bardzo dobrze - to było Gustawowi na rękę, bo powoli zapominał o tej zdradzie. Oświadczył się przecież Rosemarie i został przyjęty. Ślub miał odbyć się za trzy miesiące. We wrześniu, po żniwach.

- Słucham, Gustawie. O czym ważnym chcesz mi powiedzieć tuż przed naszym ślubem? Co też takiego nie może poczekać? - przerwała jego zamyślenie Rosemarie.

Gustaw zacisnął mocniej palce na jej dłoniach, aż zbieleły. Bał się, a jednocześnie wiedział, że musi jej powiedzieć, bo w przeciwnym razie... Tamta kobieta... Zrobi to, co obiecała. Była do tego zdolna.

- Rosi... - tak zdrabniał jej imię. Lubiała to. Nawet po latach wspominała to zdrobnienie, nazywając się tak czasem w myślach.

Milczała. Już wtedy miała przeczucie, że nici ze ślubu. Ze nie będzie jego żoną, bo on przyszedł jej powiedzieć o czymś, czego nie będzie umiała wybaczyć...

- Będę miał dziecko...

Jeszcze wtedy nie wiedział, że jego narzeczona również spodziewa się dziecka.

Rosemarie spojrzała na niego nieprzytomnie, nie rozumiejąc, co do niej mówi, bo przecież przeczuwała cichą obecność owocu ich miłości i chciała mu dziś o tym powiedzieć, w kościele. Czy zatem mówił... o ich dziecku?

- Będę miał dziecko z Marią, moją... Spotykaliśmy się kiedyś... Raz zepsuł się jej trabant i pojechałem go naprawić. I zostałem. - Odarł ją ze złudzeń.

- Cooo? To niemożliwe! Powiedz, że żartujesz!

- Nie, nie żartuję. Ona urodzi moje dziecko.

Błękitne oczy, wpatrzone w niego głęboko, zasły łzami. Pokazała się w nich bezradność i złość, silne jak uderzenie czymś ciężkim.

- Nieee! Nie masz prawa tak się zachowywać, przynajmniej nie teraz, w takim dniu jak ten! - Rosemarie zakręciło się w głowie, nie mogła, a może nie chciała tego wszystkiego przyjąć, poukładać chronologicznie, zastanawiać się, czyją zdradził, czy nie...

- Ona powiedziała, że jeśli nie powiem ci o tym przed ślubem, stanie na środku kościoła i powie o tym sama. Nie mogłem do tego dopuścić, ona jest do tego zdolna.

- Jak mogłeś mnie zdradzić?! Nie kochałeś mnie?! Jesteś... wstrętny, nieodpowiedzialny. Niewyżyty samiec! Nienawidzę cię! - wydusiła z siebie Rosemarie, patrząc na widoczny w oknie wielki drewniany zegar, stojący w kącie pokoju, odmierzający czas, coraz krótszy, do ich ślubu.

Gustaw złapał narzeczoną za rękę i zatrzymał, przyciągając do siebie:

- Nie, Rosi, nie odchodź, bądź ze mną, wyjdź mimo to za mnie, przecież wiesz już wszystko, wybac mi, proszę!

Rosemarie spojrzała na niego niewidzącymi oczami. Nie miała siły pytać o szczegóły, o to, co sprawiło, że się kochał z tamtą, dlaczego nie pomyślał o tym, gdy wszedł do tamtego łóżka, gdy poczuł zapach szyi i włosów, dotyk palców tamtej kobiety.

Wbiegła do domu, zapłakana, zrywając z włosów welon, wyszarpywała gałązki asparagusa z białej sukienki. Taką zobaczyła ją matka.

- Co się stało, Rosemarie?! Zniszczysz welon i sukienkę! Jak pojedziesz do ślubu?

- Żadnego ślubu nie będzie. Ten drań mnie zdradził! Rozumiesz?! Będzie miał dziecko z inną kobietą! - krzyknęła Rosemarie i wybiegła z powrotem z domu, prosto na zapyloną słońcem i kończącym się latem pustnicką drogę...

Hilda ruszyła za nią i stanęła przy płocie, wciąż wycierając ścierką biały dzban na kompot. Nagle naczynie spadło na ziemię, głuchym trzaskiem obwieszczając swój gliniany koniec.

Wieczorem już wszyscy we wsi wiedzieli, że Gustaw Busch zdradził swoją narzeczoną i będzie miał dziecko z tą czarnowłosą sklepową, Maryską z Rybna. Komentowali jego postępek w gorzelni, w całym pegeerze, w sklepie w Sorkwitach, a nawet w kościele, po wieczornym nabożeństwie.

- Ot, babę zobaczył i poleciał. Ale żeby zaraz wielkie mecyje z tego robić, też coś! - podsumował krótko stary Baclawski, wystukując ze szklanej, zbrązowiałej od nikotyny fiki resztki tytoniu.

- Głupiś. Każdy jeden chłop głupi. Nic niewarte te chłopy. Zranić kobietę i zostawić, tylko o tym myślą - wymamrotała stara Baclawska, wrywając cienkie gałązki świńskiej trawy lub, jak mówili ludzie we wsi, „podorożnika” z zagonu z iglastymi astrami. Gdyby nie dzieliła roślin na kwiaty i chwasty, pewnie wiedziałyby, że „podorożnik” to tylko pospolita nazwa ptasiego rdestu i że zamiast wrywać, mogłyby go zaparzyć w ceramicznym kubku do ziół. Bo był doskonały w schorzeniu dróg moczowych, na które cierpiała od lat.

- Jak suka nie da, pies nie weźmie - uciął krótko tamten, za nic mając jej babskie filozofowanie.

Jesienny poranek, ciężki rosami, Tak słodko pachnie jabłkami

Jestem w ciąży, mam... - powiedziała dwa tygodnie później Rosemarie do matki, obierającej czarnym nożykiem ziemniaki na obiad. Zsiadłe mleko stało w wielkim dzbanie, na patelni leżały różowobiałe kawałki boczku, na okrasę. Cerata w różowe kwiaty, jeszcze lekko tłusta od krojenia mięsa, błyszcząca w słońcu.

- Nie - jęknęła głucho matka. - To niemożliwe!

I po chwili dodała:

- Taki wstyd!

Rosemarie nic nie odpowiedziała. Wstała wolno z krzesła, nie chcąc czuć drażniącego zapachu smażonych skwarek, i poszła do ogrodu. Zerwała dojrzałą antonówkę, wgryzła się w nią zębami. Jabłka wyjątkowo jej teraz smakowały, ich zapach nie drażnił jak inne zapachy: skwarek, rosółu, cebuli. Usiadła na starym pniu lipy, która kilka lat temu przewróciła się podczas wiosennej burzy, i poczuła, że łzy nagle napłynęły jej do oczu. Płakała. Bo nareszcie powiedziała matce o ciąży, bo życie tak się z nią brutalnie obeszło, bo jakaś nieznana jej dotąd tkliwość ścisnęła jej krtań.

Podeszła do niej matka. Miała na sobie swój stary, niebieski stylonowy fartuch, przesiąknięty zapachem potu, gotowania i kurzu.

- No już, już. Przestań. Bo dziecku zaszkodziś. Nie płacz. - Przygarnęła głowę córki do piersi. Wspomniała nagle tamtą rozmowę, sprzed wielu lat, gdy, dowiedziawszy się o

śmierci Ericha, musiała powiedzieć matce, że będzie miała dziecko. Czasy były jeszcze trudniejsze, gorsze, a wstyd jeszcze większy niż teraz, po wojnie. Więc może ich życie się jakoś ułoży?

Potem, gdy już wróciły do domu, Hilda powiedziała córce:

- Widać miłość nie jest nam przeznaczona. Mamy żyć same na tym świecie, jako ten groch przy drodze.

Rosemarie poczuła wtedy, że jej dziecko jest dziewczynką. Nazwie ją Inga. I że na pewno nigdy przed nią nie zatai tego, dlaczego nie ma ojca. Przypadkowo odkrywane tajemnice bardzo bolą i czasem trudniej jest zrozumieć nie to, co się chciało ukryć przed światem, a to, dlaczego się chciało to ukryć. Tak właśnie zaboląa przypadkowo odkryta tajemnica jej matki, Hildy.

Wtedy, gdy znalazła tamtą metrykę chrztu, zastanowił ją jeszcze stary notes i schowany w nim dokument. Dowód zawarcia małżeństwa. Ale... Coś się nie zgadzało. Ślub jej rodziców odbył się czerwca, czyli cztery dni po śmierci Ericha. Coś było nie tak. I to ciągle zawieszanie głosu, gdy pytała matkę o miłość, o małżeństwo, o ten ligustr w wianku, na dobrą wróżbę.

Wzięła wtedy w dłonie ten dziwny dokument i poszła do matki. Hilda była w ogrodzie, siedziała na starym pniu. Wyglądała, jakby się modliła. Z zamkniętymi oczami, w czerwonej sukience podniesionej wysoko, do samych ud, przypominała biedronkę na zagonie.

- Muter! - zawołała Rosemarie, podchodząc bliżej. Chciała widzieć twarz matki.

- Tak, Rosemarie? - spytała matka, poprawiając sukienkę.

- Znalazłam pewien dokument. Patrz, pomylili się! Napisali, że z ojcem braliście ślub cztery dni po jego śmierci. A to przecież niemożliwe!

Rosemarie do dziś pamięta tamto spojrzenie, które posłała jej matka, gdy zobaczyła ten dokument. Kobieta zgarbiła się pod tym pytaniem jak pod chłoszczącym batem. Nie chciała, by Rosemarie kiedykolwiek znalazła ten papierowy dowód jej dziwnego ślubu; kiedyś miała nawet spalić ten bezlitosny kawałek papieru, ale mógł być przecież do czegoś potrzebny. Schowała go więc do jakiegoś notesu, z nadzieją, że córka nigdy tam nie zajrzy, a tymczasem... znalazła go, akurat dziś, w dzień przeznaczony na odpoczynek, gdy można pozwolić pobiec myślom donikąd.

Otworzyła bezradnie usta, jakby chciała złapać powietrze. Na początku udawała, że nie wie, o co chodzi, żeby oddalić chwilę wyjaśnienia prawdy, do której Rosemarie miała przecież pełne prawo... Przez moment zamierzała brnąć w jakąś nieprawdę, zrzucić wszystko na błąd urzędnika, ale potem pomyślała, że przecież we wsi wciąż są świadkowie tamtego

ślubu i prędzej czy później Rosemarie i tak dowie się całej prawdy. I co wtedy? Czy nie straci do niej szacunku?

Postanowiła więc opowiedzieć wszystko, wyrzucając powoli z serca tę dziwną tajemnicę, co nie było łatwe, bo przecież dziś trochę wstydziła się tamtej determinacji, z jaką dążyła za wszelką cenę do małżeństwa, które nie mogło dać jej szczęścia.

- Przez to chyba moje serce zgorzkniało, nie było już potem zdolne do innej miłości. Zdrętwiało jak język po wypiciu piolunu - powiedziała na koniec. Wstała po chwili, zebrała dojrzałe nasiona z aksamitek, roztarła je w dłoniach, wdychając ten silny zapach odpędzający niechciane owady od rosnących w ogrodzie warzyw, i dodała jeszcze: - Wciąż pamiętam słowa babki spod lasu, z którą liczył się wtedy każdy we wsi. Mówili o niej: zielarka, czarownica, szeptucha, co posyła złe spojrzenie. Spotkałam ją kiedyś na drodze. Stała i wiązała pęczki ziół. Powiedziała do mnie: nie będziesz ty miała szczęścia w miłości, jeśli go poślubisz. Ani ty, ani twoja córka, ani wnuczka. Nie waz się brać tego ślubu! Nie posłuchałam wtedy babki. Pomyślałam tylko: skąd ona może wiedzieć, że urodzę córkę? A właśnie, że to będzie syn, powiedziałam sama do siebie. I nazwę go Erich, po ojcu!

Opowiedziana przez matkę historia jej tajemniczego ślubu z ojcem na wiele tygodni zawładnęła myślami młodej Rosemarie, a nocą wracała w dziwnych snach. Czasem, gdy pracowała w ogrodzie lub szła wydoić krowę, zastanawiała się, czy wszyscy we wsi wiedzieli o tym, o czym ona dowiedziała się dopiero teraz, i czy tak samo jak matka pamiętają tamten wyjątkowo duszny i burzowy czerwiec. Bo takim zachował się w pamięci matki.

Dojrzałość wyzwala nas z natręctwa pytań, sprawia, że przyjmujemy niektóre rzeczy zwyczajnie, ot, po prostu. Zaczynamy je rozumieć bezwiednie, jak bezwiednie oddychamy. U Rosemarie zrozumienie tej sytuacji nastąpiło z czasem. Wciąż jeszcze nie opowiedziała o tym Indze, choć kiedyś tak obiecywała sobie, że nie będzie miała przed córką żadnych tajemnic. Wciąż czekała na odpowiedni moment, na nastrój, na ważną chwilę. Potem ten złowróźbny ślub zarósł pajęczyną niepamięci i, skoro wciąż nie było okazji, nastroju, Rosemarie zrezygnowała. Inga jej tego nie ułatwiała, wciąż opędzając się od wspomnień jak od natrętej muchy. Żyła chwilą obecną, zakochiwała się w niewłaściwych mężczyznach, jak w tym nauczycielu, Ludwiku. Nie, Rosemarie go nie lubiła. Jej matczyna intuicja podpowiadała, że to zły człowiek. Nie dla jej córki. Z nim Inga na pewno nie będzie szczęśliwa.

Kiedy Inga wyruszała w tę francuską podróż z Ludwikiem i ich znajomymi nauczycielami ze szkoły, nie sądziła, jak bardzo wyjazd ten pokrzyżuje jej życiowe ścieżki. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że jedynie wskazał ścieżkę, którą powinna podążać. Tak wiele

bowiem zależy od drobnych z pozoru decyzji, choćby od pomysłu wyjazdu w jakąś podróż. A tymczasem decyzja taka może być jak wyciągnięcie konkretnego losu spośród wielu.

Każdy musi kiedyś wyruszyć w podróż zmieniającą życie. Po to, by rozkopać jak ziemię w ogródku swoje przyzwyczajenia i nawyki, bo czasem na dnie życia tworzy się zamulony osad. Takie przemieszanie po prostu się przydaje, bo potem można usiąść w oknie i pomyśleć: życie niech biegnie, a ja dziś odpocznę, zatrzymam się. Złapię ciszę.

Miała już czterdzieści lat, a następnych nie chciała przechodzić z godnością matrony. Wciąż jeszcze nie czuła narastającego z wiekiem pogodzenia ze światem, przemijaniem, ze stopniowo zdobywaną i wydeptywaną przez lata umiejętnością przyznawania się do wieku i słuchania z lubością, że na tyle lat to na pewno nie wygląda! Wciąż miała przecucie, że jeszcze coś, ktoś, kiedyś...

No, właśnie...

Ale do tego trzeba być kobietą szczęśliwą i spełnioną. Czy Ludwik dawał jej to spełnienie? Wysportowany, opalony, wymuskany. Przedmiot westchnień kobiet w jej miasteczku. I tak samo nudnawy, jak piękny. Jednak przy nim miała jakąś stabilizację, choć matka nie akceptowała tego wyboru.

- To chyba jeszcze nie ten - mówiła czasem do niej.

- Mamo, daj spokój. Jestem szczęśliwa. Naprawdę. Ludwik o mnie dba i kochamy się - zapewniała Inga, przekornie pochylając głowę na bok.

Rozmawiały ze sobą wciąż tym samym twardym językiem dawnej ojczyzny. Do polskich słów tylko czasem dobierały niemieckie. Dopiero na spokojnych ulicach miasteczka w jakiś naturalny sposób przechodziły na niemiecki, z obcym akcentem. Inga śmiała się czasem, że są jak przybysze z innego świata, jednak po paru latach obie zakorzeniły się tutaj na tyle, że ich niemiecki był podobny do języka mieszkańców.

Inga czuła, że tak jak w dzieciństwie straciła swoją dawną ojczyznę, jej ścieżki, zieleń u podnóża Diabelskiej Góry, tak samo straciła nadzieję na związek niezwykle, zbudowany na wzajemności. Mówiła do siebie: mądry człowiek wie, że wszystko przeminie. Zgodziła się więc na tę rzeczywistość, jaką dawał jej los, sądząc, że w jej wieku już nie czas na przestawianie zwrotnicy. Przez lata nauczyła się kompromisów i przemilczeń. Patrzyła na Ludwika wygodnie rozciągniętego na kanapie przed telewizorem i myślała, że mogłaby być nawet jego żoną. Czasem tylko wieczorem siadała w pociemniałym szarą godziną oknie swojego niemieckiego mieszkania w dwurodzinnym budynku niedaleko centrum Grinbergu i na gładkiej szybie rozpląszczała swoje myśli.

- Przeprowadź się do mnie - powiedziała mu niedawno.

Ludwik kładł akurat na cienką kromkę chleba różowy plasterek szynki. Jego palce zastygły w powietrzu, po czym wróciły do przerwanej czynności. Wydawało się, że czekał na to zaproszenie. Tydzień później z wielką walizką i kartonami wszedł do jej życia, a do jego niewielkiego mieszkania wprowadziło się jakieś młode małżeństwo.

Codziennosc dopadała ich teraz na każdym kroku i czasem bywała nieznośna. Ludwik miał silną osobowość, był jednak dość leniwy, a miejsce Ingi widział w łóżku i kuchni. Nie okazywał większego zainteresowania dla jej literackich pasji. Inga postanowiła bowiem spełniać swoje marzenia i próbowała sił w pisaniu. Marzyła, że kiedyś uda jej się wydać powieść, robiła notatki, spisywała myśli i sny.

Uczyła niemieckiego w młodszych klasach, jednak wieczorami czytała książki po polsku. Jej wielkim marzeniem było napisanie powieści po polsku i wydanie jej właśnie w kraju, którego prawie nie знаła, ale który kojarzył jej się z dzieciństwem. Ludwik nie miał dostępu do jej literackiego świata, bo nie znał tego języka. Dochodziło więc na tym tle do drobnych sprzeczek. Inga czuła, że Ludwik jest po prostu zazdrosny.

- Po co ci to wszystko? Czy praca w szkole już cię nie satysfakcjonuje?

- próbował podcinać jej skrzydła.

Pojechali w tę wakacyjną francuską podróż, bo chcieli naprawić nadwerżone relacje. Ludwik mówił do niej:

- Pobędziemy ze sobą dłużej, odpoczniemy od pracy. Może zastanowisz się nad życiem. Czas się ustabilizować, moja droga Ingo. Masz już czterdzieści lat.

Nie lubiła, gdy wypominał jej wiek. Jednak na wyjazd do północnej Francji, do Bretanii, zdecydowała się prawie natychmiast. Kamienne plaże, o których wiedziała tylko z telewizji i książek, miały w sobie coś z obietnicy świeżego smaku życia. I dlatego zdecydowała się tam pojechać

- wycieczka zorganizowana była przez szkołę, w której oboje uczyli, przez co nie była zbyt droga i na dodatek w znajomym gronie. Kolejny argument przekonujący do wyjazdu.

Może gdyby bardziej lubiła muzykę operową... Może gdyby nie zasypiała prawie na ramieniu swojego kolegi Franka, nauczyciela historii, z którym poszła na ten nudny koncert, bo oboje wylosowali po bardzo drogim bilecie! Ich grupa wzięła udział w hotelowym losowaniu - właściciel hotelu czasem „na dzień dobry” fundował takie niespodzianki swoim gościom.

Dla melomanów taka darmowa wejściówka na popołudniowy koncert byłaby prawdziwym rarytasem. Do grona doceniających ten rodzaj muzyki należał właśnie Frank, ale dla niej była to raczej wątpliwa atrakcja. Chciała nawet oddać swoje zaproszenie, ale nikt nie

chciał go przyjąć, więc poszła, żeby „się nie zmarnował”. Koncert operowy był jednym z punktów programu. W miasteczku Carentec, w którym mieszkali, odbywał się co roku o tej właśnie porze; były to koncerty wyjazdowe części składu opery w Rennes i miały podobny prestiż do odbywających się w znanym polskim kurorcie - Krynicy Górskiej, w której kiedyś mieszkał i tworzył tajemniczy Prymitywista Nikifor. Bywało, że występowali tam ci sami co we Francji artyści i dzięki temu melomani z obu krajów mieli szansę poznać operowe interpretacje artystów z dalekiego kraju.

Senność, która ogarnęła ją mniej więcej w połowie koncertu, mimo interesujących, zdaniem Franka, wykonan poszczególnych arii, nie dawała się pokonać i Inga zdecydowała, że wróci wcześniej do hotelu. Frank przyjął jej decyzję ze smutkiem, bo miał przed sobą perspektywę braku koncertowego towarzystwa, ale ostatecznie przesunął nogi pod fotel, by mogła zmieścić się w wąskim przejściu.

Miasto żyło tym festiwalem. Na ulicach młodzi ludzie rozdawali program imprezy, turyści czytali plakaty. Inga chciała jak najszybciej wrócić do hotelu, przedzierała się więc przez kolorowy tłum pieszych i rowerzystów, szepejąc co jakiś czas po francusku pardon.

Spoglądała na swoje odbicie w wystawach sklepowych. Tak, wciąż może się podobać Ludwikowi. Nie widać po niej tych nieszczęsnych czterdziestu lat, które tak bezceremonialnie wytknął jej podczas tamtej rozmowy, tuż przez wyjazdem. Czasem był taki... nieobliczalny, jakby nie był świadomy, że może sprawić jej przykrość. A mimo to była z nim, bo miała obok męskie ramię, życiowe oparcie, kogoś, do kogo może wracać z zajęć pozalekcyjnych, biblioteki, wieczornego kina z koleżanką.

Czemu wybrał właśnie ją? Może spodobały mu się jej oczy w kształcie brązowych migdałów? Może brwi podniesione jak jaskółki gotowe do lotu? Może długie miedziane włosy, zaplątywane przez wiatr?

Czasem myślała o innych kobietach, choćby koleżankach z pracy. Obserwowała je i porównywała ze sobą. Na przykład Martę, atrakcyjną blondynkę, która w jej szkole uczyła biologii. Była wysoka, szczupła, długonoga i znacznie od Ingi młodsza. Inga mówiła o niej na przerwach w pokoju nauczycielskim, że nigdy w życiu nie ubrałaby tak krótkiej spódnicy i obcisłej bluzki, że nie kupiłaby niepasującej do stroju torebki i nie malowałaby tak mocno ust. Koleżanki kiwały smętnie głowami, przyznając jej rację, i z tego wspólnego omawiania gustów zawiązał się między nimi swoisty pakt przeciwko pięknej Marcie. Wieczorami dzieliła się swoimi uwagami z Ludwikiem, który przytakiwał, mówiąc, że nie znosi blondynek i że poziom inteligencji Marty jest porównywalny do poziomu przeciętnego ucznia. Mimo że jest nauczycielką. Inga cieszyła się, że Ludwik tak sądzi - to dawało jej

stabilizację. Wierzyła też, że jeśli będzie z nim regularnie sypiać, on na pewno nie zainteresuje się nigdy inną kobietą.

Nie czuła, byjakoś szczególnie to doceniał. Żyła z nim, z jego koszulami na wieszakach, poparowanymi skarpetkami, obiadem w kuchence, gdy miał jakieś spotkania. Przez chwilę marzyła nawet o dziecku, które by odmieniło pojawiającą się czasem monotonię w ich nauczycielskim życiu. Ginekolog, do którego poszła, nie odebrał jej zbyt nachalnie złudzeń; mówił wprawdzie o dojrzałym wieku, lecz stawiał kontrargument - dobry stan zdrowia, postęp medycyny. Więc - gdyby tylko chciała... Ale nie była pewna, czy Ludwik tego chce, bo wypowiadał się na ten temat niezbyt chętnie. Któregoś dnia wyznał po prostu, że przywykł do wygodnego życia i jest szczęśliwy tylko z nią. Dziecko bardzo skomplikowałoby ich relacje. Inga pogodziła się więc z myślą, że nie zostanie matką, nie chciała bowiem stawiać swojego partnera w niewygodnej sytuacji, w której musiałby udawać szczęście z przypadkowego, nieplanowanego ojcostwa.

Oboje żyli „na widoku”, jak to mówiła czasem po polsku Rosemarie, upominając córkę, że powinna zawsze szanować swoją reputację. Inga okazywała wtedy lekkie zdenerwowanie, ale po cichu przyznawała rację. Griinberg ma to do siebie, że wszyscy się tu znają i pozdrawiają: rowerzyści - kierowców, piesi - rowerzystów, policjanci - sklepowe. Nauczyciele są tu również na społecznym świeczniku.

Dziesiątki spotykanych w sklepach czy na ulicach uczniów, ciekawskie „dzień dobry” ich matek czy ojców, szczególne zabieganie o względy i zerkanie na reakcje albo na to, jaki chleb lub jaką szynkę wybierają w niewielkim sklepiku, a potem mówienie innym klientom, że „ta nauczycielka niemieckiego, frau Inga” zwykle wybiera to i to.

Krótkie i miłe rozmowy z sąsiadkami, niehałasowanie po dziesiątej wieczór, niechodzenie w obcasach po mieszkaniu, bo na parterze dwurodzinnego domu mieszkali spokojni emeryci, niespuszczanie wody późnymi wieczorami lub nad ranem, gdy zachce się do ubikacji, bo za głośno ta woda przetacza się potem w rurach. Dziesiątki zakazów, na które Inga się zgodziła spokojnie i nieświadomie dla samej siebie, zbudowały w niej swoisty dekalog mieszkanki małego niemieckiego miasteczka, w którym żyją ludzie ułożeni i grzeczni dla siebie. jeszcze to jej „nie wyobrażam sobie!”, powtarzane przy każdej okazji. Nie wyobrażała sobie głośnych śpiewów do białego rana, wyrzucania chleba do pojemnika na smieci, pożyczania znajomym samochodu, zdrady, zaniedbania uzębienia, przechodzenia z uczniami na ty, niewykrojenią z ziemniaków czarnych oczek przed gotowaniem i całej masy innych życiowych drobiazgów, z których mogłaby uskładać inne życie. Tę „akuratność” odziedziczyła chyba po Rosemarie, która też lubiła mieć poukładane w życiu i na półkach.

Nic więc dziwnego, że życiowe klocki z Ludwikiem również dopasowywała według projektu, który nie był spełnieniem jej marzeń, bo był bardziej planem Ludwika niż jej. Mówiła tym samym co on językiem. Tak samo krytykowali polityków, w wyborach skreślali te same nazwiska, czytali podobne książki. Tylko te jej literackie wymysły, jak mówił Ludwik, były małą kością niezgody - przynajmniej to Inga chciała ocalić w tym bezpiecznym związku jako coś własnego.

Wszystkie te myśli kłębiły się w jej głowie, gdy wracała do hotelu. Zastanawiała się, jak spędzą wieczór. Może pójdą gdzieś ze znajomymi, wszak wycieczka dopiero się zaczęła, są w Carentec pierwszy dzień. Przed nimi jeszcze trzynaście takich letnich dni i nocy. Wakacyjnych.

Może gdyby wtedy została z Frankiem w dusznej sali koncertowej, to jej świat nie rozpadłby się na drobne kawałki? Ale czasem trzeba wyjść naprzeciw przeznaczeniu, które, jak tajemnicza wieża w talii tarota, czasem przynosi rychły koniec tak uporządkowanego świata. Ale wszystko dzieje się po coś.

Przed hotelem spojrzała w górę. W ich pokoju widać było słabe światło, bo panowała już lekka szarówka. Na dole spotkała swoją grupę. Wszyscy byli ubrani na sportowo, z aparatami w podręcznych torbach lub na szyjach wychodzili właśnie do miasteczka. Chcieli iść na piwo, ale ktoś z hotelu rzucił hasło, że tu, w Bretanii, pije się cydr i jada naleśniki.

- Koniecznie musicie tego spróbować! Znajdziemy jakąś uroczą naleśnikarnię, czyli creperię.

Niemieccy nauczyciele zainteresowali się smakami dalekiej Bretanii, zrezygnowali więc z picia piwa i postanowili poznać to, co inne i niezwykle.

- Inga? Miałaś być na koncercie?! Pewnie znudziłaś się? To chodź z nami - skinęli na Ingę.

- Dołączę do was, tylko się przebiorę - powiedziała, wskazując na elegancką fioletową sukienkę. Zapytała jeszcze o Ludwika: - Co z nim? Nie idzie z wami?

- Poszedł do pokoju, położyć się, narzekał na wyjątkowo silny ból głowy. Dałam mu nawet dwie tabletki - powiedziała jedna z koleżanek.

Ludwik, mimo że był wysportowany i obsesyjnie dbał o swoje zdrowie, czasem miewał takie bóle. Jak mówił - to migreny, jego matka również się z nimi borykała. Tego samego zdania był jego lekarz. Inga wiedziała, że Ludwik potrzebuje wtedy ciszy, ciemności i tabletek. Szkoda, że atak dopadł go teraz, na wybrzeżu Francji, w tym jakże pięknym miejscu. Najpiękniejszym, jakie do tej pory widziała...

Szła do pokoju cicho, by nie zbudzić Ludwika, zapewne śpiącego po tabletkach. Sen był zawsze najlepszym lekarstwem. Zaplanowała, że z krzesła przy łóżku weźmie wygodniejsze ubranie, przebierze się w łazience i wyjdzie po cichu, dołączając do tamtych, bo nie chciała tracić pierwszego wieczoru we Francji. Tak bardzo chciała zobaczyć miasto, pójść na plażę, której przecież jeszcze nie widziała, a której obecność przeczuwała, bo słony zapach morza osiadał w jej nozdrzach, a szum wody był słyszalny. Kiedyś była nad morzem z Ludwikiem. Chodziła wtedy boso po piasku, trzymając za paski sandały ściągnięte ze stóp i wyobrażając sobie, że idzie tą plażą jak w kadrze jakiegoś filmu, a kamera filmuje ruch piasku rozdrabnianego jej krokami i co jakiś czas w kadr wchodzi te roztańczone buty, dyndające beztrąsko w jej dłoniach.

Klamka od pokoju ustąpiła łagodnie i bezszelestnie, bo był to hotel luksusowy, w którym cisza grała na miękkich dywanach. Buty zostawiła w przedpokoju i bezszelestnie poszła dalej. Drzwi były prawie zamknięte, jednak lekki prześwit lampki nocnej w kształcie pionowej kreski dawał szansę na powolne i bezszelestne uchylenie skrzydła bez naciskania klamki. Wystarczyło je lekko popchnąć. Zrobiła to akurat w momencie, gdy znajomy skurecz na nagich plecach leżącego na łóżku mężczyzny jednoznacznie zwiastował rozkoszny finał w gościnnym wnętrzu kobiety, której drobne dłonie zacisnęły się na tych wzruszonych dreszczem plecach. I nagle Ludwik, bo to był jej Ludwik, wydał znany jej doskonale od lat jęk, cichy, jakby stłumiony poduszką. Zachowywał się identycznie jak z nią, niczego dla tamtej nie zmienił, nikogo nie udawał, żadnego aktora z filmu erotycznego, krzyżującego nienaturalnie Pokrzywionego grymasem twarzy w nieistniejącej ekstazie.

Szczupłe, długie nogi kobiety, za długie, bo wyglądała jak jasny pajak Popychający wielkie jajo, oplatały go przez dłuższą chwilę, po czym zwolniły i opadły na pościel, na której jeszcze dziś rano, w podobnej pozycji, ona, Inga, kochała się z nim, może bez finezji i tych długich nóg, ale z tak samo zaaranżowanym finałem. Teraz stała w tym lekko uchylonym prześwicie, nie wiedząc, czy może wejść i odrzec z intymności tę oczywistą chwilę, czy może najpierw zapukać? A może powinna wycofać się i pójść za tamtymi na naleśniki, jak gdyby nigdy nic. Jakieś drżenie i niepokój podeszły jej do gardła, a potem pojawiło się niedowierzanie, że to dzieje się naprawdę, bo miała wrażenie, że to po prostu banalny film. Patrzyła na Ludwika, który wycofał się lekko, jakby niechętnie i położył obok kobiety; i wtedy zobaczyła, że tamta ma długie jasne włosy, szczupłe ramiona i znajomą twarz. Inga popchnęła drzwi, jakby chciała się upewnić, czy to na pewno ta, której Ludwik tak nie lubił, o której mówił, że ma umysł przeciętnego ucznia.

Ich twarze na jej widok sprężyły się, zastygły w jakiejś panice. Piękna Marta energicznie zaciągnęła na siebie kołdrę, Ludwik zerwał się nagi, bezwstydnym i podbiegł do Ingi, a ona nie chciała robić scen, bo nawet nie umiała, wciąż nie wiedząc, czy ma krzyknąć, czy bić po twarzach, czy może jednak z godnością wyjść.

Ludwik coś do niej mówił, ale dźwięki zapadły jak w watę - te hotele są widać wytłumione nawet przed słowami, bo Inga żadnego z nich nie zapamiętała. Zbiegła szybko po schodach, nie zastanawiając się, czy dobrze robi, bo może powinna wyrzucić w złości wszystko z walizek, wykrzyknąć swój zawód, bolesne rozczarowanie. On, ten piękny Ludwik, któremu podarowała kilka lat swojego życia, zdradził ją po prostu, a może robił to już wcześniej i wracał potem do domu, do ich łóżka, kładł się obok niej i brał ją chętnie, kiedy tylko chciał, by zagłuszyć swoje wyrzuty. O ile je w ogóle miał...

Przecucia jej nie myliły - do plaży było niedaleko. Powietrze na obrzeżach miasteczka nie było już takie gęste, upał zelżał, zapadał powolny wieczór, jej pierwszy we Francji. Wstrząs, jakiego doznała przed chwilą, sprawił, że drżała cała i nie zauważała piękna tego miejsca. Wręcz przeciwnie, wydawało się jej szare i nieprzyjemne, a odległość, jaka dzieliła ją od jej niemieckiego domu, przerażała. Bo właśnie w ciszy własnego mieszkania wolałaby teraz przeżywać swój ból i upokorzenie.

Inga zobaczyła nagle szare skały otaczające plażę, dotykane jęzorami wody, i zdziwiła się, że takie plaże naprawdę istnieją. Chciała nabrać w dłonie żółtego piasku, przesyłać go między palcami - jak pękata klepsydra przesypuje upływający czas. Niezwykła uroda tego miejsca zadziwiła ją, wywarła na niej tak silne wrażenie, że na chwilę zapomniała o bólu, o widoku tamtych ciał w hotelu, który do tej pory tkwił pod powieką jak drzazga. Poczuli się jak w cichym kręgu innego świata, stojąc niczym Mały Książę na płaskim brzegu, oblizywanym przez lekkie fale. A potem poszła wolno, wciąż jeszcze roztrzęsiona, z poczuciem jakiegoś końca w życiu. Milczała i patrzyła na to szare misterium przyrody, która pozwoliła sennym kamieniom osiąść w tym właśnie miejscu, utworzyć z nich dziwny krąg, który hipnotyzował i wchodził w serce z każdą minutą patrzenia na niego. Mijała ludzi, pewnie turystów, którzy poruszali się w zwolnionym tempie, nie przejmując się coraz niżej zachodzącym słońcem, zsyłającym niechybnie na ziemię i stojące gdzieś kolorowe parawany szarą godzinę.

Zadzwoił telefon w torebce. Sięgnęła po niego odruchowo, dźwięk przywrócił ją rzeczywistości.

- Halo, kochanie, nie podejmuj pochopnie żadnych kroków, ja ci to wszystko wytłumaczę! - krzyczał do słuchawki Ludwik. Jej Ludwik, którego tak kochała i któremu wierzyła. Matka miała rację. Będzie jeszcze przez niego płakała.

- Nic do mnie nie mów! - odpowiedziała zbolonym głosem, który nagle załamał się, zabrzmiał łzawo, miękko.

- Inga, to nie tak. Inga, Kocham cię. Proszę, daj sobie powiedzieć...

Rozłączyła rozmowę. Nie mogła tego słuchać. Chciała zostać sama.

Tutaj. Na zawsze. Ona i Francja. Ta plaża, a w oddali szare kamienie niczym jej twarde przeznaczenie, stały się teraz ważniejsze niż on, żalony samiec, który nie potrafił powstrzymać swoich żądz.

Nie poczuła żadnego skrępowania i pozwoliła popłynąć łzom. Przysiadła na jakimś kamieniu. Tuż obok pięły się wątle roślinki, małe, białe i żółte kwiatki, których drobne główki wydawały z siebie odurzający zapach miodu. Ich istnienie w tym jałowym od soli świecie dawały jakąś nadzieję na to, że wszystko można pokonać, tylko trzeba przeć ku słońcu.

Pochyliła głowę, położyła ją na kolanach i objęła ramionami. Skulona pod bretońskim kobaltowym niebem, w otoczeniu poszarpanych klifów, cicho płakała, a czarny tusz z jej rzęs znaczył mokrymi plamami elegancką sukienkę.

- Excuse moi, vous allez bien, madame?"

Czyjś głos przestraszył ją, drgnęła i podniosła twarz do góry. Stał nad nią jakiś mężczyzna, ukryty za ciemnymi okularami, mimo że słońce już zaszło za wystające nad horyzont klify.

- Nie mówię po francusku - powiedziała łamanym angielskim, chcąc pozbyć się obcego spojrzenia ze swojej twarzy.

- Is everything okay? - zapytał znów.

Zrozumiała, choć znajomość języka angielskiego nie była jej mocną stroną. Skinęła głową i przetarła palcem miejsce pod oczami, tam, gdzie najczęściej zostają smugi rozmazanego tuszu.

- What happened? Can I help you? - mężczyzna był wyraźnie zaniepokojony, chciał jakoś pomóc, podał jej nawet chusteczkę.

- No, thank you. You're nice, but I want to be alone... - Inga dała mu do zrozumienia, że woli zostać sama, że chce, by dał jej wypłakać łzy do końca, zanim wróci do hotelowego pokoju.

- I understand, sorry - odpowiedział tamten i wolno odwrócił się.

Poszedł dalej plażą, ale obejrzał się jeszcze kilka razy na siedzącą na kamieniach Inge. Ona też patrzyła za nim, zdziwiona francuską uprzejmością i tym, że nieznanemu mężczyźnie zainteresował się nagle jej losem, zapytał, czy wszystko w porządku, czy nie musi pomóc i na koniec dał jej tę chusteczkę, którą teraz przekręcała w palcach. Lekki wiatr od morza wydymał mu szarą płócienną koszulę, targał nogawkami jego spodni, tak zakurzonymi i wyblakłymi, że ich kolor był trudny do określenia.

Inga wróciła do swoich myśli, do tego pochylenia głowy i ukrycia przed światem, ale łzy już nie nadchodziły, jakby coś wybolało, a pojawienie się tamtego mężczyzny sprowadziło jej myśli na inny tor. Czowała, że musi działać metodycznie: wrócić do hotelu i zabrać swoje rzeczy. Nie wiedziała, czy mówić znajomym o tym, co się stało, a może zataić przyczynę wyjazdu i zostawić sprawy swojemu biegowi, i wreszcie - w jaki sposób wyjechać stąd jak najszybciej, bo o wspólnym z Ludwikiem i Martą urlopie nie może być mowy! Szkoda, bo Bretania zaczęła już ją uwodzić swoim pięknem...

„Przepraszam, dobrze się pani czuje?”

Telefon znów zadzwonił. To Ludwik. Nie powinna odbierać, nie teraz. Jednak... Może spróbuje mu wykrzyczeć to wszystko jeszcze raz, bo widać nie zrozumiał, skoro znów dzwoni.

Dzwonek dźwięczał uporczywie, wreszcie nacisnęła na przycisk.

- Czego jeszcze chcesz? Nie rozumiałeś tego, co ci powiedziałam?!

- Możesz wracać do pokoju. Zabrałem już swoje rzeczy, wracam jutro do Niemiec, zostań tu, nie wyjeżdżaj, nie ma sensu, żebyś marnowała urlop. Proszę tylko o wybaczenie, wrócimy jeszcze do rozmowy, jak ochłoniesz - powiedział spokojnie, jakby zgadując jej myśli.

- A ona? - zapytała jeszcze krótko, odczuwając wewnętrzny ból na dźwięk słowa „ona”.

- Ona też wyjeżdża.

Inga rozłączyła się. Nie chciała go dłużej słuchać. Sytuacja rozwiązała się sama. Najważniejsze dla niej było teraz to, że mogła już wracać do hotelowego pokoju. Tylko jak wrócić do łóżka, na którym on...

Podniosła się wolno z kamienia, otrzepała sukienkę. Dopiero teraz zauważyła brzydkie plamy po tuszu do rzęs. Próbowwała zetrzeć je z sukienki chusteczką, ale nie zdało się to na nic. Machnęła ręką i poszła brzegiem plaży, patrząc na szarzące sylwetki mew, łopotem skrzydeł okalające ostre skały i ciemnofioletkową wodę. Takiego koloru wody nigdy wcześniej nie widziała.

Inga nie przeczuwała, że w tamtej chwili ametystowa dusza oceanu zasiała w jej sercu ziarno powrotów do tego szorstkiego od natury miejsca... rWśród czarów nocy w zaklętym jeziorze Tajemne głosy coś szepczą i bają

W hotelu panował lekki półmrok, recepcjonistka siedziała zmęczona przed wielkim, szklanym ekranem, zagadywał do niej jakiś starszy pan spragniony towarzystwa, jednak dziewczyna wyraźnie nie miała ochoty z nim rozmawiać. Za godzinę przychodziła zmienniczka, czekała więc, by po dwunastu godzinach pracy pójść do domu. Schyliła się, chcąc pomasażować lekko spuchnięte łydki i spojrzała przelotnie na wchodzącą Ingę. Inga chciała ją zapytać, czy pewien Niemiec z pokoju wyjechał już z hotelu, jednak zapomniała, że dziewczyna nie zna niemieckiego, z kolei jej angielski był na dość marnym poziomie i musiałaby wygrzebać z pamięci niektóre słowa, a zwyczajnie się jej nie chciało. Poszła więc wolno w kierunku wąskiego korytarza, modląc się w duchu, by nikt z niemieckiej grupy jej nie spotkał, nie zabrał na żadne wieczorne spotkanie, bo nie zniosłaby dziś obecności żadnej, nawet życzliwej, osoby.

W pokoju panował porządek, rzeczy Ludwika rzeczywiście zniknęły. Tylko jego ręcznik leżał złożony na pojemniku na śmieci, jakby zostawił go celowo, by musiała go podnieść, wziąć w dłoń, choćby chcąc wyrzucić wacik kosmetyczny po zmyciu makijażu. Wytarł się pewnie tym ręcznikiem po tym, jak... Uporczywe myśli nie dawały spokoju, brzęczały, cięły jak brzytwa. Jak jutro wyjaśni nagłe zniknięcie Ludwika z wycieczki? A Marta? Przecież również wyjechała... To wszystko będzie zbyt oczywiste, znajomi zapewne połączą w całość wydarzenia wieczoru - jego dziwny ból głowy oraz brak Marty na wieczornym spotkaniu całej grupy. Postanowiła jednak nie myśleć teraz o tym, pozbierać myśli, bo do tej pory wszystko wydawało się złym snem. Pomyślała tylko, że to dobrze, że nie mają dziecka, nie pobrali się, że łączyło ich tylko wspólne mieszkanie, z którego - Inga miała nadzieję - on wyprowadzi się jak najszybciej.

Prysznic podziałał uspokajająco, wycierała się wolno szorstkim ręcznikiem, patrząc na ręcznik Ludwika leżący wciąż w tym samym miejscu. Wiedziała, że trudno jej będzie dziś zasnąć, naląła więc do szklanki trochę koniaku przywiezionego z Niemiec i wypła jednym haustem. Poczula, jak napięte mięśnie rozluźniają się i przychodzi dziwny spokój. Tak, było jej teraz dobrze. Na tyle, by dokonać milczącego rachunku własnego życia. Była wolna, znów wolna, jak przed poznaniem Ludwika. Może wkrótce znów zakocha się, a może to samotność stanie się jej najwierniejszą przyjaciółką? Jadąc tu, nie myślała, że pierwsza noc w Bretanii będzie czasem takich podsumowań.

Z zamyślenia wyrwało ją stukanie do drzwi. Opatulona w hotelowy szlafrok, z białym turbanem na mokrych włosach, otworzyła drzwi bez pytania, bo alkohol zaczął już działać - nie bała się teraz niczego ani nikogo. Na progu stał... Ludwik! Szarpnęła za klamkę, chcąc zamknąć drzwi, jednak on był szybszy, przełożył nogę przez próg i powstrzymał jej zamiar.

- Proszę, pozwól mi chwilę z tobą porozmawiać! - prosił, skamlał wręcz o chwilę rozmowy.

- Nie chcę cię znać, rozumiesz?! - krzyknęła, ale on już wszedł, zamknął za sobą drzwi i syknął, dając jej do zrozumienia, że nie wypada tak hałasować w hotelu.

- Słucham, o czym chcesz mi powiedzieć. Bo chyba nie o tym, że jest dobra w łóżku? - wycodziła cynicznie, zdając sobie sprawę, że dotknęła go swoimi słowami. Chciała, by bolało. Na usta cisnęły się jej jeszcze inne słowa, ale powstrzymała je. Odłożyła na potem.

- Ingo, ja... Nie wiem, co mi się stało, co we mnie wstąpiło. Nie chcę cię stracić, rozumiesz? Teraz dopiero przekonałem się, jak cię kocham, jak jesteś dla mnie ważna. Wybacz mi, proszę, jeśli możesz.

Inga milczała. Stając przodem do okna, widziała majaczące gdzieś w oddali obrysy starego młyna, o którym pomyślała, że warto by go kiedyś zobaczyć z bliska, popatrzyła na cichnącą uliczkę, wypełnioną niedbale zaparkowanymi autami, wzdłuż której stały kamienice w szeregu tak ciasnym, że zdawały się być pochylone do ziemi, obciążone dodatkowo rosnącymi przy nich krzakami hortensji. Wreszcie naląła koniaku do szklanki i odwróciła się.

- Dziś uświadomiłam sobie, jak niewiele mam do stracenia, rozstając się z tobą...

- Nie, nie rób tego... - jęknął cicho, siadając ciężko na fotel.

- Słuchaj, ty... Eee, i tak nie zrozumiesz. Zostaję w Bretanii. Chcę poznać ten kraj i nie mam zamiaru zastanawiać się, ile czasu potrzeba ci na wyprowadzkę z mojego domu. w ogóle, co tu jeszcze robisz? Miałeś wyjechać, tak?

- Ingo, wybacz, ja tego nie chciałem, to ona... Przyszła po aparat fotograficzny, bo szła z grupą na wieczorny spacer, zaplanowała, że zrobi kilka zdjęć. Ja nie chciałem nigdzie iść, rozboleła mnie głowa i...

- Nie kłam! - ucięła krótko Inga.

- Nie kłamię. Wziąłem nawet tabletki. Ale ona przyszła po ten aparat, powiedziała, że skoro ja zostaję w hotelu, to nie będzie mi potrzebny. I wtedy, już wychodząc, dodała, że ja się jej zawsze podob...

- Daruj sobie te szczegóły. Jakimś cudem przestała cię boleć głowa? Marta okazała się najlepszym lekarstwem!

- To nie tak! Nie wiem, jak to się stało! Wyszło jakoś samo z siebie! To było najgłupsze, co mogłem zrobić.

- Jasne. Zrozumiałam, a teraz ty posłuchaj: nie chcę być z tobą. Nie jestem w stanie ci wybaczyć!

- Ja cię kocham! Nie odrzucaj mnie, bo nie wiem, jak będę żył bez ciebie! - Rozplakał się jak dziecko, klękając przed nią, ściskając ją za kolana. Przerazona Inga odstawiała szybko pustą szklankę na stolik i stanęła bezradnie, bo pierwszy raz w życiu mężczyzna płakał w jej obecności i w taki sposób prosił o wybaczenie, a ona nie wiedziała, co ma teraz zrobić.

- Daj mi jeszcze jedną szansę - żebrał już ciszej, wyraźnie wyczuwając jej wahanie, a ona, znieczulona kolejną dawką alkoholu, spojrzała wreszcie na niego z litością. Bo, mimo bólu i złości, chyba jednak nie wyobrażała sobie życia bez Ludwika... Nie teraz...

Marta rzeczywiście wyjechała z Francji. Ludwik również miał to zrobić, chciał jednak najpierw porozmawiać z Ingą. Obawiał się, że jeśli zostawi ją bez tych żalonych wyjaśnień, ona na pewno odejdzie od niego na zawsze. Swoim pozostaniem zwiększył szanse na wybaczenie.

I udato się. Po całonocnej rozmowie, obietnicach i tłumaczeniach, już nad ranem wylądowali w jasnej pościeli, na którą Inga kładła się początkowo z niechęcią, jednak alkohol szumiał jej w głowie na tyle, że zapach mężczyzny, który jeszcze niedawno kochał się na jej oczach z inną kobietą, podziałał na nią wręcz stymulująco. Oddała się Ludwikowi bezwolnie, a może z triumfem, jakby chciała zaznaczyć, że to ona, nie tamta, wygrała tę wojnę.

Przebudzenie nie było miłe. Oprócz wyraźnego syndromu dnia poprzedniego, Inga poczuła jeszcze obrzydzenie do samej siebie, gdy popatrzyła na śpiącego obok Ludwika.

„Jak mogłam mu tak szybko wybaczyć? Wszystko przez ten alkohol. Ja naprawdę tego nie chciałam” - tłumaczyła się przed samą sobą, wchodząc do łazienki. Zmyła z siebie cały zapach ich miłości, drażniący wrażliwy zmysł węchu, wtarła potem w ciało pachnącą lawendową oliwkę, wszystko po to, by pozbyć się pamięci o ich wspólnej nocy.

Zeszła na dół, na śniadanie. Inni Niemcy z jej grupy pojawiali się na sali powoli, ubrani już do wyjścia, do tego programowego poznawania Bretanii i zaliczania kolejnych punktów wycieczki. Inga nie pamiętała nawet, co mają dziś w planach. Sprawdziła w wydrukowanym specjalnie dla nich programie, co straci. Brest. Zwiedzanie Muzeum Morskiego, Oceanarium i Muzeum Sztuk Pięknych. Oceanarium zwiedziła kiedyś w Niemczech, w Stralsundzie, na północy. To było dwa lata temu; podobno na uroczystym otwarciu obecna była nawet kanclerz Angela Merkel, która powiedziała, że nowe oceanarium ma wielkie znaczenie dla całych Niemiec. Inga zastanawiała się wówczas, czy sztuczny

model wieloryba prawdziwych rozmiarów nie jest symbolem sztuczności i kultury masowej zakradającej się w życie współczesnego Niemca.

Nie miała dziś ochoty na zwiedzanie. Postanowiła, że zostanie na miejscu, w hotelu, a kiedy już wszyscy wyjadą, pójdzie jeszcze raz na kamienną plażę. Pomyśleć. Złapać ciszę.

Śniadanie było obfite i ładnie podane. Na szwedzkim stole stały podgrzewane naczynia z jajecznicą, talerze z różnymi kielbasami na ciepło i zimno oraz pomidorami pokrojonymi w dość grube talarki, posypanymi wiórkami cebuli. To był francuski ukłon w ich, Niemców, stronę. Na stole stały jednak również croissanty, a obok parowała aromatyczna kawa. Inga postanowiła zjeść to prawdziwe francuskie śniadanie, bo coraz bardziej w jej sercu kiełkowała chęć poznania tego kraju, jakby w przeczuciu zmiany toru jej ułożonego, niemieckiego życia. Rogalik miał smak sprasowanej waty i kruszył się z cichym trzaskiem. Okruchy leciały na serwetkę. Inga początkowo zbierała je w kupkę, jednak zobaczyła, że inni też kruszą. Okruchy zaścielały całe serwetki i stoły i nikt się tym nie przejmował.

- Wyspana? - zagadnął nagle Frank, przysiadając się do jej stolika.

- Raczej tak... - odpowiedziała zaskoczona jego obecnością.

- Żałuj, że nie zostałeś do końca na koncercie.

- Tak, żałuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Powiedziała to chyba zbyt gorliwie, bo Frank spojrzał na nią nieco zdumiony jej nagłym zapałem do muzyki operowej.

Inga naprawdę żałowała. Wolałaby chyba nic nie wiedzieć, nie widzieć. Obraz tamtych dwojga już zawsze będzie tkwił w jej pamięci, nie da się go zapomnieć. I teraz... Wybaczyła mu, choć ją zdradził. Rana była zupełnie świeża, ale tkwiło w niej również poczucie własnej wspaniałomyślności.

Wybaczyła. Jest więc kobietą szlachetną! Tak naprawdę po prostu bała się samotności. Przyzwyczała się do Ludwika i może nawet kiedyś zostanie jego żoną? Tak, wybaczenie jest cechą zwycięzców.

- Pół godziny po śniadaniu wyjeżdżamy. A Ludwika wciąż nie ma. Gdzie się podział?
- odezwał się nagle Frank.

- Nie wiem, śpi chyba... - Spojrzała nieprzytomnie.

- Nie wiesz? Nie śpicie w jednym pokoju?

- Znaczy... Śpimy, ale... Nie zwróciłam uwagi.

Frank rozejrzał się po sali i po chwili stwierdził:

- Marty też nie widać. Pewnie zasnęła. Nie będziemy czekać na nich wszystkich.

- Jasne. Pójdę, obudzę Ludwika - powiedziała Inga dla świętego spokoju, wstając od stołu.

- Już nie trzeba, właśnie przyszedł! - Twarz Franka rozjaśniła się na widok kolegi.

- Chodź do nas, czekamy! - Skinął w jego kierunku palcem.

Ludwik zbliżył się do Ingi i, jakby nigdy nic, pocałował ją we włosy, zaznaczając tym samym swoje terytorium. Tak na wszelki wypadek.

- Witaj, kochanie. Wyspana?

- Jasne - powiedziała cicho Inga, opuszczając głowę. Zbierała palcem okruchy croissanta i wkładała je do ust, chcąc zająć się czymś, by nie patrzeć w oczy Ludwikowi.

- Nie ma Marty - odezwał się znów Frank, rozglądając się z niepokojem po sali.

Ludwik poblądł, a po chwili zaczerwienił się, odwrócił szybko twarz w stronę okna, by ukryć zmieszanie.

- Marty nie ma, wyjechała do Niemiec, miała pilny telefon z domu. - Już opanowany podał koledze obowiązującą wersję zdarzeń, którą zapewne przedyskutował najpierw ze swoją niedawną kochanką.

- O, coś się stało? - zainteresował się Frank.

- Nie wiem, ale chyba nic ważnego, po prostu musiała wyjechać - powiedział szeptem Ludwik, całkowicie pogrążając się w mieszaniu kawy z mlekiem.

Inga nie wytrzymała tej konwersacji. Wstała i rzuciła sucho w kierunku Ludwika:

- Lepiej będzie, jak zostanę w hotelu. Ty jedź na to zwiedzanie. Zostaw mnie samą.

- Oczywiście, kochanie - zgodził się Ludwik potulnie.

Nie powiedział nic więcej, bo wiedział, że Inga i tak okazała mu sporo serca i wyrozumiałości. A swoją drogą... Marta... Wspomnienie jej ciała było nieznośnie przyjemne. Inga była jego codziennością, a Marta - świętem. Czy zechce się jeszcze kiedyś z nim spotkać, po tym wszystkim? Musi tylko bardziej uważać, bo cierpliwość Ingi ma przecież granice - powinien był zamknąć drzwi od pokoju na klucz. Albo spotkać się z Martą w jej pokoju. Tylko - to stało się tak nagle, po prostu nie pomyślał...

*W ostatnich blaskach kona dzień Jak szyba gładkie wód lazury

Ulica miasteczka przywitała Inge słońcem i gwarem. Turystów było więcej niż wczoraj, brakowało jej spokoju, sprzyjającego wyciszeniu. Inga rozczarowała się nieco, mijając nadbrzeżne domy, których kamienne grube ściany świeciły ciepłymi kolorami, a błękitnogrnatowe okiennice wyglądały jak wielkie oczy. Tkwiła w nich przeważnie biała koronka firanki, zazdrośnie strzegąca tajemnic domu, a nad wszystkim czuwał dach z czarnoszarego łupka. Wokół kwitło mnóstwo hortensji sadzonych dosłownie

‘Dusza’ Bretanii drzemie zarówno w jej pejzażach i architekturze, jak też w oknach i oczach mieszkańców... Takie okna mijała Inga podczas swojej wędrówki ulicami miasteczka... wszędzie - w kamiennych donicach, grudach ziemi, na klombach, pod plotami i w okręgach z szarych kamieni. Przez chwilę poczuła się jak w skansenie, jednak tutejszy klimat wyraźnie jej odpowiadał, bo, mimo gwaru, czuła się już znacznie lepiej. Usłyszała muzykę. Jacyś ludzie bawili się po prostu na ulicy, tańczyli ze sobą, już od rana wprawieni w dobry nastrój. Kobiety tańczyły z kobietami, a onieśmieleni mężczyźni patrzyli zdziwieni, po chwili dając się jednak włączyć do wspólnej zabawy. Inga przystanęła na chwilę, obserwowała ten spontaniczny festyn i robiła telefonem zdjęcia. Po chwili wróciła do swoich smutnych myśli, z którymi tu przeszła,

„Wybaczyłam, ale nie zapomniałam” - myślała, mijając ten poranny rejwach. Zapach wody był coraz silniejszy, prowadził ją na plażę niczym dziwna muzyka. Coraz wyraźniej czuła zapach piasku, powietrze stawało się wilgotne, a na ustach miała słony smak.

Uliczne tańce, których świadkiem była Inga. To jedna z form demonstracji swojej przynależności do wspólnoty i”Regionu, Plaża była dość zaludniona, choć słońce nie świeciło dziś zbyt gorliwie. Inga minęła poustawiane wszędzie parawany i poszła dalej, do miejsca, gdzie było mniej ludzi, gdzie wreszcie będzie mogła złapać ciszę... Zaludniona plaża zmieniła się w mniej przystępną. Przed Ingą rozciągał się oto ogromny płat piaszczystokamiennego lądu i białych morskich fal. Dziś woda nie miała fiołkowego koloru jak wczoraj, a niebo nie było już tak kobaltowe. Dziś było więcej słońca, powietrze czyste, a woda lazuruwa, doświetlona promieniami. Okolica była prawie bezludna, jeśli nie liczyć paru osób na kocach i spragnionych wody surferów, którzy wynurzali się spomiędzy fal, igrali z nimi jak bohaterowie, bez lęku i respektu. Piana morska opalizowała na nich kolorami tęczy i z daleka wyglądali, jakby byli namydleni. Inga patrzyła ciekawie, coraz bardziej upewniając się, że Bretania staje się oto ważnym dla niej miejscem na ziemi.

Nogi niosły ją dalej, nie chciała jeszcze wracać, pragnęła zobaczyć jak najwięcej. Za niewielkim zakrętem wyłonił się nagle kamienny dom, niedokończony, a wokół niego krzątali się opaleni, muskularni robotnicy. Wszędzie leżały zwaliska kamieni, budowlańcy leniwie wybierali materiał. Słysząc było nawoływania, pokrzykiwania. Inga miała wrażenie, że robotnicy wyrzucają z siebie jedynie uniwersalne wykrzykniki, że porozumiewają się w jakimś sobie tylko znanym języku. Nagle usłyszała polskie słowa:

- Trzymaj to lepiej, bo zaraz ci upadnie!

Zdziwiła się. Polski język na plaży w Bretanii!? Język jej powieści, jej dzieciństwa tutaj, nad oceanem! Zaczęła przysłuchiwać się z uwagą. Początkowy język uniwersalnych wykrzykników powoli zaczął przekształcać się w pojedyncze, coraz wyraźniejsze słowa.

Podeszła bliżej.

„Zapytam, skąd są i co tu robią” - postanowiła i z ciekawością zbliżyła się nich. Oni też odwrócili się w jej stronę, zauważyli ją i pomachali. Usłyszała słowa:

- Ej, księżniczko!

Mężczyźni nie wiedzieli, że Inga zna ich język. Podeszła bliżej, rozbawiona tą sytuacją, w duchu mając nadzieję, że żaden z nich nie pozwoli sobie na niewybredne polskie żarty, które ona przecież zrozumie. Z ich ust nie padło na szczęście żadne niewłaściwe słowo, a „księżniczka” okazała się bardzo miłym określeniem. Pomachała im jeszcze raz, gestem pokazując, że chce na chwilę do nich podejść. Nagle usłyszała za plecami głos, który wydał jej się dziwnie znajomy:

- How are you?

Odwróciła się. Podchodził do niej jeden z nich, w zwykłym zielonym podkoszulku i w zakurzonych obciętych przed kolanem spodniach.

- I'm fine, thank you - odpowiedziała odruchowo wyuczoną w szkole frazą. Przyjrzała się tamtemu. Na głowie miał czapkę z daszkiem, który skrywał rysy jego twarzy, pochyliła się więc ku niemu ciekawie.

- Doyoufeel better today? - odezwał się jak do znajomej.

Inga była zaskoczona, nie wiedziała, co powiedzieć. Mężczyzna chyba dostrzegł jej zakłopotanie, bo roześmiał się:

- We met yesterday at the beach!

Tak, to był ten sam człowiek, który dał jej wczoraj chusteczkę. Odparła zapamiętaną ze szkoły frazą:

- My English is very poor... - usprawiedliwiła się, że zna słabo język, w którym on próbował się z nią skomunikować. Z torebki wyciągnęła czystą chusteczkę i pomachała. Mężczyzna roześmiał się i pokiwał głową.

- Yes, yes, it's me! The man with the handkerchief!

Inga uśmiechnęła się. Szkoda, że nie знаła ani angielskiego, ani francuskiego, bo bardzo chciała mu podziękować za wczorajszą troskę, za to, że nie przeszedł obok niej obojętnie. Chciała też zapewnić, że wszystko jest już w porządku. Tak przynajmniej mogło się wydawać.

Tamci robotnicy, zamiast pracować, przysłuchiwali się konwersacji z zaciekawieniem, nagle jeden z nich zawołał po polsku do stojącego naprzeciw niej mężczyzny:

- Michał, o czym tak rozmawiacie?! Znasz tę panią?

Tamten odwrócił się i odpowiedział:

- Wczoraj spotkałem ją na plaży. Płakała. Myślałem, że stało się coś złego. Zagadałem tylko.

Inga zaniemówiła. Mężczyzna na plaży w dalekiej Bretanii mówi! oto w języku jej dawnej ojczyzny! Roześmiała się, rozbawiona tym zbiegiem okoliczności, i odezwała się, teraz już śmielej:

- Możemy rozmawiać po polsku, znam ten język.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się. Początkowo wyglądał na zdziwionego, po chwili jednak odezwał się:

- Znasz polski? To wspaniale! Ale... skąd? Przecież nie jesteś Polką? Ach, przynajmniej będę mógł dowiedzieć się, czemu wczoraj płakałaś?

- Urodziłam się w Polsce, mieszkam w Niemczech... Niby czemu mam ci opowiadać o sobie? - wyjąkała, zaskoczona jego ponownym zainteresowaniem.

- Nie wiem, może po prostu... Co powiesz na obiad w południe, bo mamy wtedy dwie godziny przerwy? - zapytał tym razem po niemiecku. Roześmiał się i dodał: - Ja również urodziłem się w Polsce, potem mieszkałem w Niemczech, a teraz, od wielu lat, we Francji. Może pójdziemy coś zjeść?

Zgodziła się. Sama nie wiedziała dlaczego. Może chciała pokazać samej sobie, że jest atrakcyjną kobietą, którą zainteresował się nieznany mężczyzna. Polak. Mimo jej czterdziestu lat podszedł do niej jak młodzieniec do obcej dziewczyny i zaproponował jej obiad. Tak naprawdę to nawet nie wiedziała, jak on wygląda. Wczoraj miał okulary przeciwsłoneczne, dziś ten szeroki daszek zasłaniający oczy, o których mówi się, że są zwierciadłem duszy. Chciała jednak pójść z nim - jakby naprzeciw przeznaczeniu. Chciała spojrzeć w jego twarz, zobaczyć, czy drzemie w nim prosta i śpiewna słowiańska dusza, czy może szalona i ujmująca francuska... Niemiecką duszę znała przecież doskonale.

Matka. Tyle razy mówiła jej o tej słowiańskiej duszy. W jej żyłach płynęła wymieszana krew. Wszyscy na Prusach Wschodnich byli tacy... Pomieszani. Matka chciała jej tyle razy opowiedzieć historię ich rodziny. Inga nigdy nie dała jej szansy, mówiąc, że to jakieś głupie sentymenty. A teraz nagle zapragnęła przekonać się, na czym polega owa „słowiańska” dusza. Czy to jest coś, co ma w sobie każdy mieszkaniec tamtej części Europy, czy może... To rodzaj poezji życia, przyjmowania go jakoś inaczej, lżej, pogodniej?

‘Wysłuchany w spowiedź nocy Co tajemniczym szyfrem kreśli gwiazdziste horoskopy,
{ybak zarzuca w głębię swe sieci.

Od wioseł stwardniałe dłonie Chłodzi wiatr pachnący kalmusem

Godzina dwunasta. Nastrojowa restauracja dwieście metrów od plaży. Niewielu turystów, bo wszyscy poszli do centrum. Spokój. Inga miała wolny cały dzień, gdyż wycieczka kończyła się dopiero późnym wieczorem. Zatem - nic ani nikt nie zmąci jej dzisiejszego dnia. Szła na spotkanie w Michałem z lekko bijącym sercem, podenerwowana, jakby szła na pierwszą randkę. Założyła jasne płócienne spodnie i cienką jak mgielka bluzkę w kolorze zgniętej zieleni, ładnie podkreślającą jej delikatną opaleniznę.

Qęś bretońska - wszędobylskie i ciekawskie stworzenie.

„Przecież zupełnie nie znam tego człowieka...” - pomyślała przez chwilę, gdy już dochodziła do restauracji. Nagły strach ścisnął jej gardło. Idzie na spotkanie z jakimś robotnikiem, który pracuje na francuskiej budowie, nie zna go w ogóle, a łączy ją z nim tylko ta biała chusteczka, którą jej wczoraj dał na otarcie łez. I to wszystko. Czy powinna? Zawahała się. Nie. Nie ma dość siły, żeby podejść do stolika. Zatrzymała się na ulicy, obok niej przechodzili turyści, szukający miejsca, w którym można coś zjeść i wypić cydr.

Odwaga nagle ją opuściła. Poczula się pozbawiona zasad moralnych, usłyszała słowa matki o tym, że powinna się dobrze prowadzić, bo przecież jest... nauczycielką!

„Co by było, gdyby uczniowie mnie teraz zobaczyli...” - pomyślała spłoszona i zatrzymała się tuż na progu. Postanowiła nie wchodzić do restauracji, wrócić do hotelu i już nigdy nie spotkać tego mężczyzny. Michała. Michaela.

Odwróciła się. Wolno skierowała ku wyjściu. I nagle zobaczyła go, siedzącego tuż obok, przy stoliku. Nie widział jej, bo patrzył w przeciwnym kierunku, na jakieś dzieci bawiące się z rudym kotem. Pierwszy raz zobaczyła go bez okularów, jego oczu nie zasłaniał też daszek czapki.

Patrzyła na smagłego od słońca mężczyznę, starszego od siebie o kilka lat. Miał na sobie białą płócienną koszulę i jasne oliwkowe spodnie. Na bosych stopach skórzane sandały. Skąd mógł wiedzieć, że właśnie te bose stopy w sandałach okażą się jego przepustką do spotkania z nią... Kiedy je nakładał, nie zastanawiał się nad tym, chciał tylko czuć się wygodnie.

Inga wiele razy prosiła Ludwika, by nosił je w taki właśnie sposób. Płócienne ubranie i skórzane sandały na boscie stopy. Ale on uparcie tkwił przy swoim i chodził w niezmiennych firmowych skarpetach, adidasach i spodenkach, w rozpiętych do końca koszulkach polo, które eksponowały jego wygolony i opalony tors i złoty łańcuszek na szyi. Wyglądał, owszem,

młodzieżowo i modnie, ale Inga... Nie lubiła tego sportowego stylu i wybierała niedbałą elegancję, wyławiając z tłumów tak właśnie ubranych mężczyzn. I teraz... Zobaczyła przed sobą mężczyznę naprawdę interesującego, jak Harrison Ford, jak Clint Eastwood, jak... Lekko szpakowaty, raczej średniego wzrostu, co było widać, mimo że siedział. Miał spracowane dłonie, te same, którymi wczoraj podał jej chusteczkę. Trzymał w nich telefon komórkowy, jakby czekał na jakieś ważne połączenie. Miał ostry męski profil, lekko przymknięte oczy i kilkudniowy zarost. Nie był wypielęgnowanym, wymuskany facetem jak jej Ludwik, wyglądał raczej jak rybak, który zszedł prosto z kutra i tylko zdążył się umyć i przebrać. Ale ten płócienny, godzien artysty strój... Nijak nie konweniował z jego fizyczną pracą, z jego szorstkimi dłońmi i ogorzałą twarzą.

Właśnie dlatego zatrzymała się jednak, zawróciła i podeszła wolno do stolika. Bo ten mężczyzna był zupełnie inny niż Ludwik...

- Witaj - powiedziała po polsku, ciesząc się, że może z kimś porozmawiać w języku, w którym ostatnio tylko pisze swoją powieść.

Wjej głowie wirowały jeszcze jakieś myśli, obawy, że przecież go nie zna, nie wie, kim on właściwie jest, ale odpędzała je, mówiąc do siebie: mężczyzna, który nosi sandały na boso stopy z taką gracją i luzem, nie jest zwykłym, przeciętnym mężczyzną.

W tej chwili ciekawa była najbardziej tego, jak pachnie ten nieznajomy. Złapała się na tym, że ma ochotę pochylić się nad nim i wciągnąć jego zapach, który tworzył wokół niego jakby ciepłą aurę, otoczenie jego człowieczeństwa...

On już ją zauważył, wstał, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając pasek równych zębów, odsunął z polską galanterią krzesło, by mogła wygodnie usiąść. Inga wolno usiadła, kładąc torebkę tuż obok, na wypadek, gdyby zadzwonił telefon. Na przykład od... Zapomniała, że na telefon od Ludwika już nie czeka, bo mimo że mu wybaczyła, to jednak wciąż tkwiła w niej zadra i każda myśl o nim wprawiała ją w lekki popłoch.

- Jak masz na imię? - zapytał bezceremonialnie, jakby to było coś oczywistego, preludium do ich dalszej znajomości.

- Inga. A ty - Michał. Wiem o tym.

- Skąd wiesz? Ach, pewnie chłopaki na budowie! We Francji jestem Michaeliem. Tylko Polacy mówią na mnie Michał. Odzwyczaiłem się od polskiego imienia - stwierdził wyraźnie ożywiony.

- Ci robotnicy...

- To moi koledzy. Z Polski.

- Ach, tak... - westchnęła nieco rozczarowana. Miała nadzieję, że jest inwestorem tej budowy, że to dla niego właśnie budują ten kamienny dom na plaży, a tymczasem był tylko ich kolegą.

- Rozczarowana? - wyczytał w jej myślach.

- Nie, ale myślałam...

- Myślałaś, że to mój dom?

- Tak, znaczy, nie... Myślałam...

- Buduję go. A ty... Opowiedz, czym się zajmujesz, co robisz w życiu?

Zastanowiła się chwilę. Tym pytaniem obcy jej człowiek zmusił ją do pewnego rozrachunku z samą sobą. Czym się zajmuje? Co ma mu powiedzieć? Że uczy małe dzieci w niemieckim miasteczku? Że próbuje pisać powieść? Że mieszka pod jednym dachem z mężczyzną, który wczoraj ją zdradził z ich wspólną koleżanką, a mimo to wybaczyła mu i spała z nim, choć ma po tym moralnego kaca? I wreszcie - że pochodzi z dalekich Mazur, o których on, skoro jest Polakiem, zapewne słyszał? Nie miała o sobie nic ciekawego do powiedzenia, poza tym, że jest w Bretanii pierwszy raz w życiu.

- Lepiej ty opowiedz mi coś o sobie - zaproponowała, z ciekawością patrząc mu w kobaltowoszare oczy. Takiego koloru tęczywek nie widziała u nikogo.

Michał wezwał kelnerkę, złożył zamówienie. Aperitif z orzeszkami ziemnymi, melon z miodem i miętą oraz makaron z warzywami dla Ingi i stek z frytkami dla siebie. Inga patrzyła ciekawie na jedzących obok i roześmiała się:

- Ile tu u was się je. Nie podołam chyba temu wyzwaniu! Myślę, że po tym melonie będę już najedzona!

- To zostawisz. Wiesz, we Francji celebrytuje się posiłki inaczej niż u was, w Niemczech. Nasze południowe obiady trwają dwie godziny. To ważny czas w ciągu dnia. Ta celebrycja jedzenia z Francuzami powinna być w programie waszej wycieczki. Wtedy dopiero poznasz Francję, kiedy jej posmakujesz. Wożenie zmęczonych turystów po rozgrzanych słońcem miejscach niewiele da. Wrażliwsi z tego zmęczenia mogą wręcz znienawidzić Francję - roześmiał się radośnie.

- Powiedz mi, co w ogóle robisz tutaj? Budujesz domy i... - zapytała Inga, biorąc w palce kilka orzechów.

Michał wziął łyk z dużego kieliszka i zaczął wolno opowiadać:

- Mieszkam dwa kilometry stąd, w niesamowitym kamiennym domu przy plaży, a nawet przy plażach, gdyż są tam pojedyncze, wydzielone zwałami usypanymi z wielkich szarych głazów, małe plaże. Pracuję na budowie, jak zauważyłaś, moje dni są jednostajne i

podobne do siebie, zmieniają się tylko pory roku i domy, które budujemy. Jestem kierownikiem, koordynatorem, jak mówią o mnie niektórzy. Moja codzienność to praca, południowa kąpiel w morzu, gdy jest ciepło, znów praca, a po niej wieczorna kąpiel, czytanie książek, jakieś spotkania w Internecie i wreszcie sen, ukołyszany szumem fal. Wiosną, gdy woda w morzu nie ma jeszcze swojej letniej temperatury, dopada mnie czasem lekkie przeziębienie, jak małego chłopca, nienasyconego urokami wody i przestrzeni. Jestem we Francji już piętnaście lat, poznałem ten kraj, nauczyłem się jego języka, znam obyczaje i smaki Bretanii, Prowansji i Paryża. Czy wiesz, że plaże na południu Francji są zupełnie odmienne od tych północnych, mają inną atmosferę, emanują innym ciepłem... Plaże południa są jak świeżo upieczone ciasto, na którym bardzo chciałabyś położyć rękę, aby ogrzać ją tym przenikliwym ciepłem. Mają zapach suchych wiatrów, tak gorących, że przynoszą na myśl oddech Afryki. Nigdy nie byłem w Afryce, ale mogę sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek w jej objęciach... Te plaże, które tutaj widzisz, to plaże północy. Zagubione w ostępach skalnych jak jasne kości rozrzucone wprawną ręką gracza, jak białe suknie celtyckich dziewcząt szukających swojego przeznaczenia, jak mewy rozkrzywane ptasim szczęściem, próbujące obrysować te kamienne horyzonty...

Mówił chętnie, był wyraźnie ożywiony i gdyby Inga wiedziała, że takie opowiadanie jest cechą ludzi samotnych, być może zadałaby mu więcej pytań, zainteresowała się bardziej jego życiem. Ona jednak milczała, pozwalając, by mówił sam z siebie, bez zbytej dociekliwości z jej strony, co skazywało rozmowę na pojawiające się w niej czasem milczenie. Michał odzywał się po chwili, opowiadał znów o swojej Francji, o teraźniejszości, nie wybiegał jednak w przyszłość, nie wracał do przeszłości, jakby nie istniały, a liczyło się tylko tu i teraz.

Inga słuchała jego słów, patrzyła w jego kobaltowoszare, niczym kamienie, oczy i czuła wbrew sobie, że mogłaby się kiedyś w nim zakochać. Gdyby spotkali się w innym miejscu, innym czasie...

Michał zabrał ją jeszcze na spacer po miasteczku, ale trwało to krótko, bo nie miał dla niej zbyt wiele czasu.

- Muszę już wracać, praca czeka, do wieczora musimy wykończyć detale w trzech pomieszczeniach, bo wkrótce przyjeżdża inwestor i trzeba zamknąć ten etap budowy.

Inga pokiwała głową. Nie chciała, by widział, jak zaintrygowała ją znajomość z nim, nie wiedziała, czy jest to uczucie wzajemne, czy jeszcze będzie chciał się z nią spotkać, nie powiedziała mu przecież sobie zbyt wiele, starając się być oszczędna w słowach, on też nie był nazbyt rozmowny, milkł czasami i zapadał się w swoje myśli. Nie zadał jej pytania, czy

jest z kimś, ona też nie wiedziała nic o nim, nie widziała na jego palcu obrączki, ale przecież mógł ją zdjąć, skoro ciężko pracuje. Odprowadził ją pod hotel, podziękował za wspólne popołudnie. odszedł.

„To nie ma sensu - myślała wolno, wchodząc po schodach. - Jestem głupia, że dałam się ponieść emocjom. To jest zwykły facet, nie ma w nim nic szczególnego, ot, prosty budowlaniec, który przyjechał wiele lat temu z Niemiec i został w nadziei na lepsze życie. Pewnie nie ma nawet wyższych studiów, ciekawych zainteresowań, a jego życie to praca, pikantne żarty z chłopakami z budowy i oglądanie telewizji z popcornem w rękę, bo Polacy uwielbiają naśladować Amerykanów”.

Myśląc w ten sposób, próbowała zniechęcić samą siebie do Michała, nazywając go jednak w myślach Michaelem, po francusku. I udało się jej to - zanim doszła do pokoju, powoli zapomniała o wrażeniu, jakie wywarło na niej słuchanie go i łowienie kamiennego spojrzenia. Wręcz nabrała do siebie lekkiej odrazy, że dała się ponieść emocjom...

Wieczorem wrócił Ludwik, rozpromieniony i zadowolony, pewnie znów był duszą towarzystwa.

- Żałuj, że z nami nie byłaś! Było świetnie, Francja to wspaniały kraj, Brest nad oceanem, port, a potem wyprawa do Finistere... Wspaniałe miejsca! Jakie widoki!

Po chwili zagadnął:

- A ty, co robiłaś?

Inga westchnęła niedbale:

- Nic ciekawego. Nudziłam się po prostu...

I tak powoli zapominała o tym popołudniowym spotkaniu, wypierając je z pamięci.

Ciągnące się kilometrami, regularne rzędy menhirów. To tajemnica dawnych Celtów, bretończycy pilnie jej strzegą, tak jak swojej widocznej do dziś odrębności.

LSfndrzej Skrodzki

Ludwik opowiadał jeszcze o Breście, Finister. Opisywał kamienne domy, wielobarwność kwiatów, oryginalność szyldów zdobiących stare budynki.

- Nawet one są małymi dziełami sztuki! - mówi! z pasją.

Poczuł się już pewniej w odbudowywanym właśnie związku, nadszkakiwał Indze, ona zgadzała się na tę uwagę, więc miał niemal pewność, że jego epizod z piękną Martą zostanie mu już wkrótce całkowicie zapomniany.

Wieczorem zamówił do pokoju szampana i, trzymając w dłoni czerwone pudełko, klęknął przed Ingą - jak wtedy, gdy prosił o wybaczenie.

- Chciałbym się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie? - powiedział krótko.

A Inga bez namysłu się zgodziła.

Iposzły w świat sny moje świetlane, Toszły jak echa w przestworza zakłęte

Rosemarie wiedziała, że wszelkie życiowe decyzje trzeba podejmować odważnie. Czasem odwaga ta graniczy z szaleństwem, zawsze jest jednak próbą pokonywania własnych ograniczeń. Nauczyła się tego w swoim życiu, kiedy została sama z córeczką. Wtedy to zdecydowała, że nie chce, by Gustaw, ojciec dziecka, w jakiś sposób istniał w ich życiu i nie powiedziała mu nawet o tym, że mają dziecko. Na pewno z czasem doszło do niego, że urodziła Inge, jednak nigdy więcej się nie pojawił. Sąsiedzi kręcili głowami ze zdziwienia, mówiąc, że powinna starać się o alimenty, bo dziecko kosztuje, jednak ona nie chciała niczego mu zawdzięczać. Czuła, że to łamanie jakiejś normy - wychowywać zupełnie świadomie panińskie dziecko ze swoim nazwiskiem, bez wpisywania nazwiska ojca w metrykalne rubryki, a jednak postanowiła zupełnie świadomie sprostać temu zadaniu. A potem wyjechała do Niemiec z kilkuletnią Ingą, a tam nie musiała się już przed nikim tłumaczyć ze swojej decyzji.

Wychowana w surowym, mazurskim klimacie, stawiała czoła życiowym problemom w taki sam sposób, jak ostrym, ciągnącym się od listopada do kwietnia zimom, deszczowej porze na przełomie maja i czerwca czy wiosennym przymrozkom, warzącym kwiaty w sadzie. Z nadzieją obserwowała zachodzące słońce, by w jego ciepłej poświacie wyczytać dobrą pogodę na jutro. Oddychała z ulgą, gdy częste, ciągnące do jezior burze odchodziły i nagradzały mieszkańców Pustnicka odświeżającym ozonem w powietrzu. Właśnie tego żywiołu bali się mieszkańcy Mazur najbardziej. Z wodą byli oswojeni, bo była dosłownie wszędzie. Wiatry, zrywające czasem czerwone dachówki i łamiące całe połączenie mazurskich puszczy - gdy ustawały, odchodziły w niepamięć. Burze miały jednak w sobie coś z wyroku. Rosemarie wspominała czasem przekazywane od pokoleń przysłowie, że w czasie burzy należy unikać dębów, a chować się pod bukami, i przyjmowała te słowa jak aksjomat, jak wszystko inne, co ludowe i znane od pokoleń. Nie zadawała pytań, dlaczego buki dają większe bezpieczeństwo i ochronę przed piorunem. Tymczasem nie tylko wysokość drzewa, lecz przede wszystkim wyjątkowa zdolność gładkiej bukowej kory do nasiąkania wilgocią, były naukowym wyjaśnieniem tego zjawiska, utrwalonego w przysłowiu. Namoknięty deszczem buk podczas uderzenia pioruna nie rozpada się na kawałki, jak na przykład dąb, topola czy sosna, które mają korę chropowatą i stawiają elektryczności duży opór. O tym jednak prosty mazurski lud nie wiedział, przekazując mimo to wielką mądrość swoim dzieciom i wnukom.

Ludzie nosili przy sobie złotawe kamyki niczym amulety chroniące przed burzą - mówili o nich „piorun” albo „prątek boży”. „To piorun, co spadł na ziemię” - tłumaczyli tę wiarę w ochronę przed żywiołem. Niektórzy nawet połykali te kamyki, chcąc uchronić się na całe życie.

Tak właśnie Rosemarie traktowała swoje życie - bez zbytniego zastanawiania, po prostu, zawierając intuicji. Dlatego była odważna, czasem niewytłumaczalnie. Tej odwagi starała się nauczyć dorastającą Inge, namawiając do walki o marzenia i udane życie. Nic więc dziwnego, że miała wątpliwości, gdy widziała swoją córkę przy boku Ludwika, który, miała takie wrażenie, tłumiał jej emocje i zniechęcał do podejmowania ryzyka. Jednak Inga nie miała chyba tej ważnej dla życia intuicji, decyzje podejmowała lekko i bez zastanawiania się nad ich konsekwencjami.

Inga zapomniała o słowach matki, która podkreślała, jak ważna jest intuicja. I choć ta podpowiadała jej co innego, natchniona własną wspaniałomyślnością, z jaką wybaczyła zdradę Ludwikowi i uwierzyła w jej jednorazowość, postanowiła oto stać się prawowitą żoną tego atrakcyjnego, przystojnego, choć tak naprawdę mało interesującego mężczyzny.

„Nie mam nic do stracenia” - pomyślała, wyobrażając sobie jednak dezaprobatę, z jaką matka przyjmie tę wiadomość.

„To moje życie” - usprawiedliwiła się przed samą sobą i w myślach zaczęła wyznaczać datę ślubu i organizować ceremonię. Skłonna nawet była zaprosić na ich ślub Martę, by stojąc gdzieś w tłumie, zazdrościła, że to ją, Inge, wybrał... Nie wiedziała jednak o tym, że Ludwik nie zamierzał rezygnować z kontaktów z długonogą i wysyłał jej ukradkowe esemesy, w których wspólnie odliczali dni do jego powrotu z Francji.

Do stóp uwieszają się wspomnienie...

Rosemarie kupiła maślane bretońskie ciasteczka, które niedawno pojawiły się w pobliskich delikatesach. Lubiła zachodzić do tego sklepu, bo wszystko było tu zupełnie inne, bardziej wyszukane i oryginalne, w przeciwieństwie do masowych towarów kupowanych w dużych marketach. Wprawdzie ceny były również wyższe, a oszczędna raczej Rosemarie nie lubiła szastać pieniędzmi, zawsze jednak tłumaczyła się tym, że ma wystarczająco wysoką emeryturę i jeszcze dodatkowe pieniądze za pomoc w niewielkim kiosku z gazetami i tytoniem, należącym do jej bliskiego znajomego. Chętnie pomagała mu, choć rzadko - tylko gdy musiał gdzieś wyjechać lub po prostu chciał odpocząć. Niezależność finansowa, która była głównym celem jej wyjazdu do Niemiec, dawała jej autentyczną swobodę życia na miarę przedstawicielki niemieckiej klasy średniej.

Smakowanie bretońskich ciasteczek lub oryginalnych włoskich win, które można było kupić w delikatesach, sprawiało jej wielką przyjemność. Postanowiła, że podczas wizyty Helgi poda właśnie te przysmaki.

- Na pewno takich nigdy nie próbowała - mówiła do siebie, rozstawiając na dębowym rozkładanym stole talerzyki i kieliszki do wina.

Helga była jak zwykle punktualna. Powiesiła sweter na wieszaku w przedpokoju, wygładziła fałdy spódnicy, przeczesała włosy przed lustrem szybkim gestem.

- No, co tam słyhać, kochana? - zagadnęła do krzątającej się w kuchni Rosemarie. Pocałowały się na dzień dobry serdecznie i rozpoczęły pogawędki dwóch przyjaciółek.

- Ależ te ciasteczka kruche i delikatne. Jakie maślane! Nigdy takich nie jadłam! - wołała z zachwytem Helga, rozkruszając odrobinę na talerzyku.

- Wiedziałam, że będą ci smakowały - uśmiechnęła się Rosemarie.

- A spróbuj jeszcze wina! No i daj mi to, z czym przyszłaś! Bo nie mogę się już doczekać!

Helga sięgnęła do torebki po pismo z niebieską winietą.

- To właśnie ten „Sensburger Heimatbrief”. Przeczytaj koniecznie.

Rosemarie wzięła do ręki niewielkiego formatu gazetę, właściwie małą książeczkę, dość niepozorną. Przekartkowała. Drobny druk - będzie musiała czytać w okularach. Wiedziała jednak, że wszystko, o czym za chwilę przeczyta, będzie dla niej ważne. Odłożyła gazetę na parapet, na potem. Przeczyta, gdy Helga pójdzie. Z radością czekała na ten moment, gdy powrócą do niej wspomnienia dawnej ojczyzny. Będzie to bardzo intymne, zapewne wymagające samotności, spotkanie.

Wizyta Helgi nie trwała długo. Jeszcze jeden kieliszek wina i trzy ostatnie ciasteczka zakończyły spotkanie, jakby Helga czuła, że lepiej pozostawić po sobie niedosyt niż przesyt. Domyślała się, że jej przyjaciółka chce zostać teraz sama.

Rosemarie wstawiła naczynia do zmywarki i poszła pod prysznic, by już wykąpana, w piżamie, sięgnąć po wspomnienia Heleny Kres, którą pamiętała jak przez mgłę. Tak, pani Helena była prawą ręką we dworze Heimannów, a po wojnie, gdy dwór stał się wspólną własnością i został nazwany pegeerem, pracowała w biurze. Nazwa ta potem tak utkwiała w świadomości mieszkańców, że nie mówili o tym jasnym, wyniosłym budynku inaczej niż „pegeer”. Chodziło się tam po mleko, wódkę produkowaną w tamtejszej gorzelnii, do klubu, czytać gazety i kupować lizaki. Rodzice prowadzali tam dzieci do przedszkola, które mieściło się w dawnym salonie, a o dawnym przeznaczeniu tego miejsca świadczyła misterna gipsowa sztukateria na suficie, którego centralny punkt zaznaczony był niegdyś kryształowym

żyrandolem. Potem żyrandol gdzieś znikł, a na jego miejscu zawisły wszechobecne jarzeniówki, rzucające na twarze niebieskawe cienie. Dzieci wyglądały w ich świetle blado i anemicznie, mimo że z apetytem wypijały codziennie tłuste mleko na śniadanie.

„A gdyby tam kiedyś pojechać, zobaczyć to wszystko jeszcze raz?”

- pomyślała Rosemarie, jakby samą siebie przekonując, że nie może odejść z tego świata, nie zobaczywszy dawnej ojczyzny. Otworzyła gazetę na

Kwiat”Diabelskiej (jóry zaznaczonej przez Helgę stronie. Był to wywiad niemieckiej dziennikarki z panią Heleną. Rosemarie zauważyła, że została zachowana prostota słów rozmówcy, co jej bardzo odpowiadało.

Czas powrócić wspomnieniom. Helena Kres stała się przewodniczką w tej ciekawej podróży.

Qorzelnia. Jeszcze przedwojenna. Służyła bfeitmannom, potem mieszkańcom wsi.

‘Wyrwany z ziemi, co jedna i tylko jedna, i wieczna, za którą płacze tęsknota

Jaki był przedwojenny Pustnick? - Pamiętam, że mieszkało tu coś ponad trzysta mieszkańców. Potem, już sporo po wojnie, powyjeżdżało ich więcej, a teraz to mieszka tam może ze sto pięćdziesiąt ludzi, czyli połowa tego, co było wtedy. Mieszkałam blisko dworu, moja rodzina gospodarzyła tu jeszcze przed pierwszą wojną. Znali się z rodziną Faberów, oni też od dawna tu żyją. Mieszkają w takim niewielkim, starym domu z czerwonej cegły, na początku wsi. Ja już od wielu lat nie mieszkam w Pustnikach, za ciężko mi było tu żyć samej na świecie, córka zabrała mnie do siebie, do Biskupca, a mój dawny dom wyremontowała wnuczka i gospodarzą w nim teraz. W Pustnikach dobrze mi się żyło, nie powiem, choć najgorzej to we wojnę. Jak przyszła Armia Czerwona i ukrywać się trzeba było, to wtenczas wszyscyśmy uciekali albo do rodziny, albo do lasu. Tam mężczyźni pobudowali takie ziemianki, to czasem człowiek się w nich chronił.

Ale opowiem od początku. Wieś to była piękna, nad jeziorem, a drogą za wsią, za dworem, szło się do Diabelskiej Góry. Bardzośmy się jej bali, tej góry, bo ludzie we wsi powiadali, że kiedyś rolnik poszedł ją zaorać, bo chciał sobie pole powiększyć. I jak orał, to się zwałił prosto do jeziora, razem z końmi, nieznana jakaś siła pociągnęła go w odmęty i już nie dało się go uratować. Ludzie, co to ponoć widzieli, mówili potem, że to diabeł jakiś tak sprawił, bo chyba tylko siła nieznana mogła człowieka tak pociągnąć. Myślę sobie, że może to był topich’ jakiś, ale to już dziś człowiek tego nie rozstrzygnie. No i od tamtej pory góra ta nazywa się Diabelską Górą, na pamiątkę tego zdarzenia i ku przestrodze, że nie u Demon wciągający do wody swoje ofiary wszystko człowiek musi zawłaszczyć dla siebie, że jest

tylko częścią wszechświata, a nie jego panem, i że natura też chce mieć miejsce dla siebie samej, a nie tylko dla służby człowiekowi...

Heimann zalesił potem tę Córę, żeby już nikogo nie podkusiło na niej ziemi uprawiać. Jak ludzie sadzili drzewa, to odkryli urny z prochami i we wsi się o tym rozniosło. Niektórzy zaczęli gadać, że może miejsce kultu było, jakieś cmentarzysko, w każdym razie to miejsce było naznaczone smutkiem, to i nic dziwnego, że po tamtego gospodarza topich jakiś przyszedł. Dziś na Górze las już ogromny, do samego nieba, tyle lat przecież minęło.

Raz do roku Góra zmieniała się w miejsce zabaw świętojańskich. Dziewczyny chodziły tu szukać kwiatu ligustru, nie, jak w Polsce - kwiatu paproci. Wierzyło się wtedy, że ten wonny, biały kwiat przynosi szczęście w miłości. Na Diabelskiej Górze rósł ten ligustr, ale pomiędzy tarniną nie było łatwo go znaleźć, na dodatek na tym najbardziej stromym zboczu. Jak która go wreszcie znalazła, to i szczęście w miłości miała. W wianku ślubnym też ten ligustr czasem był, jeśli kwitł akurat.

Potem przyszły gorsze czasy, wojna, chleb był jak glina. Człowiek się cieszył, gdy miał ziemniaki i sól. Kawał mięsa gotowanego to był rarytas, częściej kartoflanka, jajko z patelni i to, co w ogrodzie wyrosło - ot, i to wszystko, co ludzie jedli, i cieszyli się, że jeszcze to choć mają.

U Heimannów było zawsze trochę lepiej, srebra rodowe mieli i takie krzesła z nazwiskiem wrytym. Porcelaną lekką i bielušką pamiętam, ze złoconymi brzegami. Dostałam od nich jeden taki talerzyk, a jak córka moja kupiła kuchenkę mikrofalową, to włożyłam do środka ten talerzyk, żeby przygrzać placka z jabłkiem. Strzelały iskry takie, aż się wystraszyłam, mówiłam, że porcelana wojnę przeżyła, ale nie kuchenkę, ale córka się śmiała, że nic się nie stało, że po prostu nie można wstawiać złoconego naczynia do takiej kuchenki.

U Heimannów w salonie obraz wielki wisiał, pamiętam dobrze. Piękny był to obraz, kobieta z wyciągniętą do góry ręką i drzewko jakieś obok, liście zielone miało. Czasem, jak nikt nie widział, przed lustrem stawałam w takiej samej pozie, bo wydawało mi się, że to taka poza królewska, jakby wielkiej damy. Na obrazie był napisane: „Wonnym ogrodem jest nasz Bóg”. Piękne słowa. Do dziś je pamiętam. Bo tak sobie myślałam, że w swoim ogrodzie to naprawdę mojego Boga spotykałam...

Obraz należący kiedyś do Heitmannów. Cudem ocalał od spalenia, wisi w domu mieszkańca Tustników.

„Wonnym ogrodem jest nasz Bóg”... Rosemarie pobiegła myślą do ogrodu przyjeź domu. Niezbyt duży, rosło w nim tylko to, co najważniejsze - świat pełen życia i własnych

tajemnic, bezpieczny, oddany prawom natury. Lipa upijała jak wino. Matka rozkładała czasem lipowe kwiaty na szorstkim płótnie, suszyła, pakowała do worków i wieszała na strychu. Wystarczyło lekkie przeziębienie, a już lipa zalana wrzątkiem pojawiała się na drewnianym stole. Albo syrop z czarnego bzu, rosnącego w rogu ogrodu. Albo sok z aronii.

Zatęskniła nagle do tego ogrodowego świata. Tu, w Niemczech, nauczyła się żyć bez niego, bez tej zieloności pielęgnowanej księżycem i miłością, nagle jednak zdała sobie boleśnie sprawę, że tamten świat był ważniejszy, a tutaj, w Niemczech, znalazła się tylko przypadkiem, jakby weszła nie do tej rzeki... Czuła, że odezwało się w niej dziedzictwo, wyparte kiedyś myślami o dostatnim i wygodnym życiu.

- Muszę tam jeszcze wrócić - powiedziała do siebie.

Dobry to był człowiek, nasz dziedzic, wracam wciąż we wspomnieniach do niego, bo to niewyobrażalne, jak wiele serca nam okazywał. Pamiętam, jak kiedyś kupił krowę od Neumanna, myślę, że te pieniądze za nią podreperowały budżet rodzinny. Potem krowa ta najwięcej mleka dawała, dobrze jej było we dworze, czysta stała i zadbana. Nie pamiętam, co z nią potem było, jak już właściciele wyjechali.

A Bruderek, co w samej wsi mieszkał i rymarzem był, uprzęż dla Heimannów robił. Jego córka pracowała w sklepiku, żyli godnie i spokojnie. Kowal był też we wsi i stolarz, jego brat. Rzemiosło mieli opanowane, więc wtedy nasza wieś samowystarczalna była.

Do dziś żyje we wsi Neumann, z żoną, co ją poznał jeszcze w szkole podstawowej. Wszędzie zawsze razem, a dom ich taki mazurski był. Należał do jej rodziny, czysto w nim było, na ścianach pamiątki i makatki po babce. „Bóg czuwa nad tym domem” - mieli na jednej taki napis, i chyba czuwał naprawdę, bo do dziś dzień żyją spokojnie.

Po wojnie Rosjanie wszystko z pałacu wynieśli, stos zrobili. Popalili dobra Heimannów, a jak to wszystko płonęło, to płonęły też i moje lata młode, co je spędziłam u dziedzica. I wspomnienia płonęły, i wszyscy my płonęliśmy, Patrzyliśmy na to w milczeniu, jak na pogrzeb, i myśleliśmy, że nowy świat

Diabelskiej Qórze z polecenia hfeitmanna.

Erich TSleumann. Sadził drzewa na Tan Erich jest kopalnią wspomnień. przyszedł i na nowo żyć musimy. Co zostało z rzeczy po Heimannach, tośmy to zabrali do domów - krzesła z ich nazwiskiem na poręczach, naczynia, ubrania, pościel. Jeden z mieszkańców wziął tamten obraz z kobietą. Do dziś wisi pewnie u niego.

Wiem, że Heimannowie zdążyli niektóre skarby swoje pochować, w skrzyniach zakopali je, za domem, niedaleko cmentarza rodowego. Ktoś ze wsi, już za czasów pegeeru, kiedyś tam orał i o skrzynię zawadził. Wykopali ją w kilku chłopów, porcelana tam była i

ubrania, ale na nic się nie zdały. Potem byli jeszcze i tacy, co z nadzieją kolejnych skarbów po Heimannach szukali, przyjeżdżali z mapami, szukali czegoś w jeziorze. Chodzili przy stajni, kopali, a nawet marmury z cmentarza pościągali. Te marmury to podobno jakiś człowiek z Poznania powyoził, nie tylko stąd, z Pustników, ale i z okolicznych cmentarzy rodowych. Przecież to złodziejstwo było, ale wtenczas o to nikt nie dbał, nie zabiegał.

A potem to jeszcze chyba ropę znaleźli, bo na polu za wsią, pod lasem, naprzeciw pałacu, wciąż kopali. Pamiętam, że jeszcze przed wojną woda tam zawsze stała, taka niebieska, a zboże dziwnie słabo rosło. Przyjechali więc jacyś ludzie, robili wykopy, pozagradzali, nikogo ze wsi nie dopuścili. To ziemia pegeerowska już była, bo to po wojnie się działo. Pokopali, próbki pobrali i jakoś ucichło, ale kto wie, czy jakby dziś spróbować, to czy złoza ropy by się tam nie znalazło? Bo Pustniki to wieś pełna tajemnic, których wytłumaczyć nijak nie można.

Potem nowi ludzie się tu sprowadzali, mój sąsiad to nawet wioził takich jednych na wozie, małżeństwo z małym dzieckiem na ręku. Opiekowali się podobno tym dzieckiem bardzo, potem sąsiad mówił, że aż dziecku temu zazdrościł, że w puchu chyba będzie żyło, ptasim mlekiem karmione. Zamieszkali ci nowi w dawnym dworze Heimannów, co potem był ten pegeer. Żyli tam wiele lat, to dziecko urosło. Dziewczynka to była, Jola czy Wiola, nie pamiętam, a potem, jak już do szkoły miała iść, to poszli do Sorkwit, a ja do Biskupca. Ot, i tak losy ludzkie się plotą, jedni przybywają, inni wyjeżdżają. Ciekawe, jak potoczyły się losy tych, co do Niemiec wyjechali. Nie wszyscy ich tu we wsi lubili, mówili na nich „Szwaby”, a na kobiety „stare Niemry”. Myślę, że przykro im było tego słuchać, bo przecież z dziada pradziada tu żyli, to była ich ojczyzna. Jak wyprzedawali wszystko i wyjeżdżali, to żałowałam, że ostatni raz ich pewnie na oczy widzę. Pojechali do rodzin, ale w obcy kraj przecież...

Dwór bfeitmannów widziany od strony cmentarza rodowego. UD miejscu, gdzie widać ślady stóp na śniegu, znaleziony został przed laty przez pracowników pegeeru „skarb” Heitmannów.

Obcy kraj. Rosemarie nie traktowała swojej nowej ojczyzny jak obcego kraju. No, może na początku, a potem szybko wsiąkła w niego. A teraz... Zaczyna do niej docierać, jak bardzo różni się od tych, którzy tu byli wcześniej. Od Helgi - spokojnej i ułożonej gospodyni domowej, od sąsiadek gotujących zrazy wołowe i przyprawiających cukrem i goździkami czerwoną kapustę. Od pani z Perfumerii Chris, która podawała jej nowe próbki perfum, najbardziej modnych w tym sezonie.

„To nieważne, jaki zapach jest modny, czy kapusta ma być na słodko, czy na słono. Ważne jest, skąd przyszłam. Muszę tam wrócić” - myślała coraz częściej.

Przerwała czytanie. „Muszę dać tę gazetę Indze, tak niewiele wie o swojej dawnej ojczyźnie, o kraju dzieciństwa...” - pomyślała.

Zadzwonił telefon. To Helga.

- Czytałaś już? - zapytała radośnie.

- Właśnie czytam - odpowiedziała Rosemarie, zdejmując okulary. Miała je tylko do czytania i odruchowo ściągała, gdy tylko wzrok ześlizgiwał się z liter.

Nie wróciła już do lektury, bo nagle na progu mieszkania pojawiła się Inga. Opalona, wypoczęta, rozświergotana.

- Muszę ci o czymś powiedzieć! - rzucała słowa między pocałunkami.

Rosemarie przeczuwała, jakie nowiny przywiozła córka z urlopu.

- Ludwik mi się oświadczył. Rozumiesz? Jestem taka szczęśliwa. Powiedział: chciałbym się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie? Zgodziłam się.

Rosemarie zaczęła chować ręcznie wyszywane serwetki na dno szuflady. Musiała czymś zająć dłonie, by pomyśleć, co powiedzieć Indze, by jej nie urazić. Te serwetki przywiozła jeszcze z Polski, miały dla niej wartość sentymentalną, bo były, razem z pościelą, obrusami i nienoszonymi nigdy koszulami dla męża, złożone w kufrze posażnym Hildy, jej matki. Kufra już nie było, Rosemarie nie pamięta, co się z nim stało, ale zawartość przetrwała. Dwa razy w roku Rosemarie wszystko prała i krochmaliła, po czym układała na nowo w drewnianym kredensie, jeszcze po ciotce. Białe płótno, z którego były uszyte koszule i pościel, nie szarzało, a serwetki dzięki troskliwym zabiegom wciąż wyglądały jak nowe.

- Jak powiedział? Chciałbym się z tobą ożenić? - spytała, podnosząc wzrok na Ingę.

- Tak, właśnie tak powiedział!

- Jak tak można się oświadczyć?! - Rosemarie pokręciła głową z dezaprobatą.

- To znaczy? - Inga spojrzała pytająco.

- Kochanie, mężczyzna, który mówi do kobiety: chciałbym się z tobą ożenić, nie oświadcza się naprawdę! Mówi tylko o swojej wygodzie, o swoim zamiarze. Egoistycznym planie na życie. Chciałbym się z tobą ożenić brzmi tak samo, jak: chciałbym wypić sobie kieliszek wina. Po czym Słęga po nie. To on je wypija, nie ty. To on postanowił, że tak zrobi, i to jest tylko jego chęć, ochota. Nie pyta cię o zdanie, czy chcesz z nim pić to wino, tylko nalewa je do jednego naczynia. Rozumiesz?

Inga zamilkła. Patrzyła to na matkę, to na ułożone w stosik serwetki, myśląc podświadomie, że pewnie kiedyś dostanie je również w posagu, jak Rosemarie.

- Mamo, nie przesadzaj - rzuciła słabo, bez przekonania, bo oto matka powiedziała jej coś ważnego, z czego nie zdawała sobie sprawy.

- Nie udawaj, że mnie nie rozumiesz. Od początku ten Ludwik mi się nie podoba. Jest dziwny. Nie patrzy mi w oczy, gdy do mnie mówi, kiedy spotykam go na ulicy, podchodzi niechętnie i nie ma ze mną wspólnych tematów. Intuicja mi podpowiada, że to nie ten, że jeszcze kiedyś spotkasz mężczyznę, z którym powinnaś iść przez życie. I nawet jeśli czas do tego spotkania będzie ci się dłużył, to i tak lepiej go spędzić w samotności niż z marną namiastką szczęścia.

- Ludwik nie jest marną namiastką! - oburzyła się Inga.

- Jest. Kiedyś to jeszcze zrozumiesz. To mężczyzna dla kobiety płytkiej, bez większych ambicji. Nie rozumie tego, że chcesz pisać, realizować marzenia! Czy ty nie widzisz, jak on cię traktuje?

- Jestem z nim już tyle lat i znamy się doskonale. Jest atrakcyjnym mężczyzną...

- O tak... - weszła jej w słowo matka. - Atrakcyjny jest, i owszem, ale to wszystko. Na urodzie nie zbudujesz szczęścia.

- Mamo, już przestań. To moje życie i moje problemy. Wyjdę za niego, bo już chyba czas na ułożenie sobie życia.

- Jeśli to jest główny argument, to gratuluję ci dobrego samopoczucia i życiowej mądrości. - Spokojna zwykle matka zdobyta się wreszcie na lekką ironię.

Dla Ingi był to znak, że ich rozmowa staje coraz bardziej bezsensowna i Rosemarie irytuje to, że jej argumenty nie przekonują córki. Inga przeniosła więc rozmowę na inne tory. Z doświadczenia wiedziała, że to dobre posunięcie. Rodzinne dziedzictwo - temat jak rzeka, w który sentymentalna matka zagłębiała się chętnie.

- Mamo, jaką historię mają te serwetki?

Rosemarie spojrzała na nią zdziwiona i szybko sięgnęła po jedną z nich.

- Wykonała je jeszcze twoja prababcia, czyli matka babci Hildy. Płótno wtedy tkano się ręcznie i była to praca bardzo żmudna. Kto musiał ją wykonać, ten przez całe życie szanował owoc rąk swoich. Ważny był czas siewu. W moim domu siało się len przed dwudziestym pierwszym maja, czyli przed świętą Heleną. Kiedyś jeden gospodarz posiał len kilka dni przed nocą świętojańską, to wszyscy śmiali się z niego: „Kto sieje len po świętym Antonim, dobrego plonu nie spodziewa się po nim”.

Inga pokiwała głową. Dała się wciągnąć w tę opowieść. Poczowała, że pojawiło się w niej nieznane dotąd zainteresowanie tamtym światem, który odszedł wraz z wojną. Nigdy

wcześniej nie ciekawił jej, a teraz nagle zapragnęła dowiedzieć się więcej. Myśl, podsycana ciekawością, pojawiła się jak pierwsza jaskółka.

- Wiesz, mamó, wydaje mi się, że wtedy wszystko było inne, ludzie byli mniej wykształceni, żyli zgodnie z rytmem natury, a ludowe mądrości tłumaczyły ich świat. A dziś wciąż wyjaśniamy go naukowymi metodami, a wobec praw natury jesteśmy coraz bardziej bezbronni, błądzimy jak we mgle - powiedziała nagle.

Rosemarie spojrzała na córkę nieco zdziwiona, gdyż nigdy wcześniej nie mówiła w ten sposób. Zapragnęła nagle opowiedzieć jej o tamtym świecie, ludziach, wśród których niedługo żyła. I pociągnęła dalej swoją opowieść:

- Moja babcia parzyła utkane płótno ługiem, a potem kładła na łąkę za naszym domem. Rozpięte na palikach, bieląło w słońcu i rosie, a im było bielsze, tym lepsza gospodyni. Babcia mi opowiadała, że wtedy ludzi oceniało się nie za ich słowa, za ubiór czy sposób bycia. Liczyły się czyny. Bardzo konkretne, dla niektórych przyziemne. Ale ta przyziemność była dla nas, ludzi z Pustnicka, ważna. Jaki był smak kartoflanki, czy niedzielna kucha była dostatecznie pulchna, kapusta dobrze doprawiona kminkiem, a płótno odpowiednio białe. Ważne było, ile koszul dla męża się utkało oraz czy równo i starannie. Bywało, że we wsi pojawiali się złodzieje kradli gotowe płótna z bielnika, wtedy trzeba było pilnować całą noc. Wachtować, jak mówili ludzie w Pustnicku. Dlatego obrusy czy serwety w moim domu przechowywane były z tak wielką pieczołowitością. Bo każdy wiedział, jak wiele czasu trzeba poświęcić, by z lnu utkać białe płótno. Szanowaliśmy wszystko, co wytworzone było naszą ręką, plony lata przechowywaliśmy w spiżarniach, peklowaliśmy, suszyliśmy, wędziliśmy. Byleby nie zmarnować naszej pracy. I tego samego oczekuję od ciebie: przywiązania do tych drobnych przedmiotów, które tworzą historię twojej rodziny. Bo dzisiejsi ludzie żyją zupełnie inaczej.

Inga tym razem nie przerwała jej jak zwykle. Nie powiedziała, by dała spokój tym mazurskim sentymentom, lecz usiadła w starym fotelu, jeszcze po ciotce Róży, i milczeniem wyraziła swoją chęć dalszego słuchania. Rosemarie postanowiła wykorzystać moment i powoli wprowadzić córkę w tamten świat, w historię jej rodziny i... pewną tajemnicę, którą skrywała do tej pory.

Opowieść jej matki była tak dokładna, że Inga zobaczyła tamten czas jakby w filmie, wyobrażając sobie twarze, gesty, spojrzenia. Miała dziwne wrażenie, że przeniosła się w czasie do tamtej wiosny roku i uczestniczyła w tych dziwnych wydarzeniach, którymi żyła cała wieś i które po kilkudziesięciu latach wciąż pamiętali najstarsi mieszkańcy współczesnych Pustników.

WJ aksamit nieba wszywa noc syriuszowe brylanty.

‘Wiatr na zegarach przedświt...

Od samego końca zimy roku mieszkańców Pustnicka męczyły jakieś złe przecucia. A potem ta wiosna, dziwna i smutna, szara jak jesienny przedwieczór, kiedy wszystko powoli zapada w odrętwienie. Rosemarie pamiętała z opowieści babki, że tamtej wiosny ptaki całkiem milczały, nawet krzykliwe o tej porze roku żurawie jakby zapomniały o swojej misji i przecinały ołowiane niebo lekko słyszalnym łopotem. Łąki nie podnosiły się do słońca nazbyt śpiesznie, kwiaty wyrastały na nich trwożliwie, jakby przeczuwając trudny czas. Diabelska Góra, której obrys majaczył nad Pustnickiem szarym cieniem, spała zimowym snem, nie chcąc pokrywać się zielonością. Ludzie więcej niż zwykle modlili się, spoglądali z obawą w niebo, po czym wracali do swoich zajęć, w przerwach popijając swoje myśli słodką niedźwiedziówką. Wojna jeszcze trwała, na dalekich frontach toczyły się jakieś walki. Erich Sobottka, narzeczony Hildy Labusch, uczestniczył w nich, nie wiedząc jeszcze o tym, że będzie ojcem.

Któregoś dnia jakiś odłamek ranił go w brzuch, część jelit wyszła na wierzch i lekarze rozłożyli bezradnie ręce. Przemyli mu tylko to bolesne kłębowisko spirytusem i zapakowali z powrotem do środka, mechanicznie, popędzani następnymi ofiarami, rokującymi więcej nadziei na przeżycie. Erich leżał na białym łóżku i próbował wierzyć w cud. Tak bardzo chciał wrócićjeszczedo domu, do matki, do... Hildy. Obiecał jej przecież... Wojsko powiadomiło rodzinę, że jest ranny. Przez kilka dni czuł się lepiej, ale potem Pojawiła się silna gorączka. Lekarz, który mu wtedy wyplukał jelita, pokręcił tylko głową. To znaczyło, że nie ma szans, że nie da rady już mu pomóc.

Erich zmarł czerwca nad ranem. Jego ciało powróciło do Pustnicka cztery dni później, w prostej żołnierskiej trumnie, przykryte tylko całunem, naprędce prostowane do kształtu skrzynki przez nieznane sanitariuszki. Matka Ericha, zapłakana, z twarzą przeoraną cierpieniem, poszła do dworu i wywołała Hildę na schody. Powiedziała jej o śmierci Ericha. Hilda zachwiała się, zdążyła jednak złapać się metalowej poręczy.

- Co teraz?wyjąkała bezsilnie, pozwalając łzom płynąć po policzkach. Wszyscy we wsi już wiedzieli, że Hilda jest w ciąży.

- Musimy go pochować - powiedziała krótko Sobottkowa.

Nie wiadomo, kto pierwszy we wsi rzucił pomysł, by pojechać do pastora i poprosić o udzielenie ślubu z umarłym. Być może była to matka Hildy, którą przeraziła wizja narodzin wnuczka lub wnuczki z panięńskim nazwiskiem? A może sama Hilda? Dość, że pastor nie zgodził się, zabierając tym samym rodzinie ostatnią nadzieję. wtedy przyszedł do nich sąsiad

z końca wsi, Baclawski, do którego już dotarły smutne wieści śmierci Ericha. Rozmawiał chwilę z matką Hildy, która, pożegnawszy go, zawołała córkę i powiedziała:

- Podobno jest takie prawo, że gdy pastor nie może z jakiegoś powodu udzielić ślubu, może to zrobić nauczyciel. Ten Baclawski dobrze zna takiego jednego, może się zgodzi. Zapłacimy mu i poprosimy, by udzielił ci ślubu. Trzeba po niego pojechać. pojechały z Baclawskim.

Choć wydało się to wszystkim nieprawdopodobne, ten nauczyciel zgodził się i udzielił ślubu Hildzie i Erichowi! Podpisał stosowne dokumenty, przyjął zapłatę i odjechał, a w domu Sobottków rozpoczęły się przygotowania do pogrzebu.

Ludzie ze wsi siedzieli w oknach i stali przy płotach, w milczeniu patrząc, jak panna młoda idzie w żałobnym kondukcie przez drogę i pole na wiejski cmentarz. Wybujały piołun towarzyszył ich krokom, a zniewolone niebem skowronki grały w chmurach swój letni koncert. Hilda nie miała ślubnej sukni, a w sercu tej radości, którą czuje panna młoda. Nie uścisnęła ciepłej dłoni swojego męża, a jedynie dotknęła w pożegnalnym geście jego zimnej trumny. Ten gest miał być jej małżeńską przysięgą, nocą poślubną małżeńską codziennością. Jej dziecko nie będzie już panięskie, a ona jest teraz oficjalnie wdową, choć tak naprawdę nigdy nie była mężatką...

W uszach Hildy długo jeszcze brzmiały słowa babki spod lasu. „Nie będziesz ty miała szczęścia w miłości, jeśli go poślubisz. Ani ty, ani

Kwiat”Diabelskiej jóry twoja córka, ani wnuczka. Nie waż się brać tego ślubu!”. Oddalała te słowa od siebie, bo wizja panięskiego dziecka była jednak bardziej przerażająca. Tłumaczyła, że musiała tak postąpić, kiedy wyznawała po latach Rosemarie całą prawdę. Żebrała o jej zrozumienie, ale Rosemarie milczała. Nie wiedziała, czy płakać, czy roześmiać się, ale czuła, że życie z niej zakpiło, że tkwi teraz w jakimś absurdzie, który nie mógł się zdarzyć. Ojciec, niemiecki żołnierz, przywieziony w drewnianej trumnie, i młoda kobieta w ciążyrazem na ślubnym kobiercu? Jej matka przysięgała miłość nieboszczykowi? Czym była ta miłość? Wiernością po grób? Myśleniem o nim jak o żywym? Co mu obiecała? Że będzie pielęgnować jego mogiłę? Że będzie czyścić kamienne litery z kurzu i piasku? Tych pytań Rosemarie nigdy swojej matce nie zadała. Wspominała bezsenne noce i dni, wróżbę zielarki, lata pełne samotności.

Historia złowróbnego ślubu zdarzyła się naprawdę. ‘Na zdjęciu nagrobek Ericha Sobottki, z widocznym Krzyżem Żelaznym, l^a potrzeby powieści zmieniłam tylko datę śmierci...

Decyzję matki zrozumiała dopiero po wielu latach, gdy sama była już dojrzałą kobietą i urodziła Inge. Teraz opowiadała tę historię własnej córce - z nadzieją, że ta przyjmie ją łagodniej, zdystansowana do tego wydarzenia upływem czasu.

Inga słuchała uważnie, a przed jej oczami przebiegały obrazy tamtych wydarzeń. Zastygła na moment w swoich myślach, niezdolna do poruszenia się. Stary zegar cicho tykał, wywoływany mechanicznymi sekundami czas powoli kapał, rodził kolejne sekundy, które całą wieczność świata czekały, by się teraz właśnie pojawić, zaistnieć, i nagle mijały, pękały jak bańki mydlane, by nigdy już się nie powtórzyć.

Z zamyślenia wyrwały Inge słowa matki kończące opowieść:

- Po latach natrafiłam w gazecie na notatkę prasową. Mam ją tu jeszcze w dokumentach, przeczytam ci. To dowód na to, że nasza rodzina nie jest jedyna. - Wyszukała w teczce krótki wycinek z prasy.

Trzydziestoletnia Sandra Brown chce poślubić nieżyjącego przyjaciela Sebastiena Zafeza, który zginął sierpnia roku w Afganistanie. Kobieta złożyła już prośbę w tej sprawie w kancelarii Nicolasa Sarkozy'ego. Zgodnie z francuskim prawem zgodę na tzw. małżeństwo post mortem musi wyrazić prezydent, a podpisują ją premier i minister sprawiedliwości. Osoba występująca z wnioskiem musi dostarczyć dowody, np. zeznania świadków, że nieżyjący chciał zawrzeć z nią małżeństwo. Sandra Brown podkreśla, że jej niedoszły narzeczony, z którym ma syna, oświadczył się jej miesiąc przed śmiercią. Od początku roku zezwolono na małżeństw ze zmarłymi, rok temu było ich.

- Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie dobry czas, by porozmawiać o tym z tobą. Nie sądziłam, że czas ten wywołają układane w szufladzie serwetki. Jak wiele w życiu zależy od rzeczy niewielkich... - zawiesiła głos matka.

Inga odczuwała coś w rodzaju zdziwienia przemieszanego z rozbawieniem. Owszem, historia małżeństwa babki Hildy z umarłym Erichem zaciekała ją, jednak coś jej w tym wszystkim nie pasowało. Te mazurskie wierzenia, o których wspomniała matka, zaklęcia, wróżby... Nie dała im wiary.

- Nie sądzę, by ten ligustr i ślub z nieboszczykiem miały jakiś związek z naszymi miłosnymi niepowodzeniami, z samotnością i naszym życiem w ogóle - powiedziała stanowczo, jakby ogłaszając wyrok.

Wstała, podeszła do okna. Patrzyła na przemykające cicho auta, które według ustalonego porządku zatrzymywały się pod kościołem. Wsiadali z nich ludzie i szybko wchodzili do środka na wieczorne nabożeństwo.

- Teraz są inne czasy, mamó - zaczęła po chwili. - Dawniej ludzie może i w to wierzyli, ale dziś nie ma miejsca na bajki, można je tylko pisać. W miłości albo się wie, albo nie. I już. I nie ma znaczenia jakiś kwiat zerwany o odpowiedniej porze czy zaklęcie starej babki od ziół.

Rosemarie pokiwała głową.

- Pewnie masz rację, świat jest inny, pogalopował naprzód, aleja dorastałam w innym, bez telewizora i telefonów, ty zresztą też, gdy jeszcze byłaś dzieckiem. To natura przynosiła nam informacje o świecie i z niej odczytywaliśmy znaki. Ingo, magia codzienności istnieje. Życie to nie jest tylko to, czego możesz dotknąć, ale również to, co możesz odczuć. Nie traktuj życia naskórkowo. Dziwi mnie to, że nie masz czasem ochoty poznać czegoś, co jest głębiej, co stanowi o twoim jestestwie.

Czuła, że czar prysł i że Inga stała się na powrót nowoczesną czterdziestoletnią Niemką, której współczesność kojarzyła się z cywilizacją.

- A ja dziwię się, że tkwisz wciąż jeszcze w tych mazurskich historiach, myślałam, że odłożyłaś je wreszcie do lamusa i zaczęłaś żyć dniem dzisiejszym. - Głos Ingi był na powrót szorstki i nieprzyjazny.

- Ingo, jak możesz tak mówić? Nigdy nie pozbędziesz się tego dziedzictwa, choćbyś nie wiem, jak się starała. Ono upomni się o ciebie. W środku zawsze będziesz dziewczyną spod Diabelskiej Góry. Jeszcze się o tym przekonasz. IS(ie głoszą imion waszych marmury
Tylko te głązy omszałe

Postanowiła dać swojej córce czas. On jeszcze się kiedyś o nią upomni...

Kiedy Inga wyszła, Rosemarie usiadła ciężko w fotelu. Przypomniała się jej porzucona wczoraj gazeta. Tak, przecież miała doczytać do końca wspomnienia Heleny Kres! Kolacja może poczekać, najwyżej zje makaron z twarogiem. Matka go przyrządzała dość często, słodziła dużo i wlewała gęstej śmietany. Dziś nie ma już takiej śmietany, Rosemarie czasem wspominała jej gładkość i tłustawy smak. Wrócić tam, choćby dla smaku tej śmietany...

Założyła okulary, otworzyła gazetę. Tyle tu nazwisk, imion, dat... Sięgnęła po seledynowy marker i, zaznaczając ważne dla niej słowa, czytała dalej.

- Pustnick to była wieś nie byle jaka. Karczma w niej była i gorzelnia. Alkohol można było kupić bez problemu, a nie powiem, piło się go trochę, nawet niektóre kobiety dużo go piły, czasem to i więcej od mężczyzn. Bywało, że ludzie gospodarke całą przepili w tej karczmie, a jakże! Gorzelnia w Pustnikach to była jeszcze do lat dziewięćdziesiątych, jak już

te pegeery upadły. W naszym pracowało około trzydziestu osób. Ten pustnicki pegeer powstał w dawnym dworze Heimannów.

Oj, dobrze ludzie to byli! Ci, co byli przed nimi we dworze, słabo gospodarzyli, majątek popadał w ruinę, dopiero jak nastał Gustaw Heimann, zaczął ten majątek funkcjonować. Budynek gospodarcze odremontowali, niektóre z nich to powstały jeszcze za Criigera w roku. Te budynki stoją do dziś, choć wszystko już popadło w ruinę. Ale mury wciąż są, zrobione z dobrej, przedwojennej cegły.

Dawne budynki gospodarcze hfeitmannów.

Tak, Rosemarie pamiętała jeden z tych budynków. Miał podmurówkę z kamienia, a reszta była właśnie z tej dobrej, przedwojennej cegły. Kiedy matka nie miała dla niej czasu, sama bawiła się między budynkami, wyobrażała sobie, że to jej dom i za chwilę przyjmie w nim gości. Szykowała im nawet kanapki - z płaskich kamieni, na które kładła główki nagietków, żdźbła trawy, a wszystko sypała piaskiem jak pieprzem. Podawała je na dłoniach, mówiąc do siebie: częstujcie się, smakują wyśmienicie.

Wtedy właśnie mała Rosemarie spotkała po raz pierwszy Helenę Kres. Kobieta niosła z ogrodu główki kapusty; trzymała je pod pachą i wyglądała, jakby dźwigała dodatkowe wielkie piersi. Spojrzała na kucającą w trawie małą dziewczynkę i jej „kamienne kanapki”, uśmiechnęła się do niej i, jakby na przekór tej radości, opowiedziała nagle przejmującą historię zmorze, co dzisiejszej nocy w stajni splątała koniom grzywy i ogony. Rosemarie słuchała tego z otwartą buzią, a potem bała się wejść do stajni przez kilka nocy źle sypiała, bojąc się, że zhora przyjdzie również do niej. To wspomnienie pozostało w niej do dziś - na dźwięk słowa „zhora”

Hudynki gospodarcze. \[a ścianie widoczne nazwisko poprzednich właścicieli dworu w Tustnicku...

pamięć Rosemarie przywoływała zawsze obraz uśmiechniętej pani Heleny z główkami kapusty pod pachami.

- Jak pani wspomina pracę we dworze Heimannów?

- Pracowało się dobrze, choć ciężko... Byłam tam gospodynią, oj, piękne lata tam przeżyłam, jest co wspominać. Pracowała ze mną HUdegarda Labusch, była kucharką we dworze, a potem wyszła za mąż. Ach, ale jaki to był ślub! Szkoda mówić. Złą wróżbę na całe życie sobie tym ślubem rzuciła...

Serce Rosemarie mocniej zabito. Może lepiej, żeby Helena Kres nie wspominała tej historii? Ale... To na nic, przecież inni ludzie też ją pamiętają...

Wróćę jeszcze do Heimannów, zanim opowiem historię tej miłości. Otóż pan Gustaw miał naprawdę dobre serce, nawet dzieciom czasem prezenty robił i na Boże Narodzenie paczki ze słodyczami dawał. Pamiętam, że kiedyś mojemu mężowi ubranie dał, co już w nim nie chodził, i dzięki niemu mój chłop miał w czym do kościoła chodzić. Ubranie ładne było, paradne, jak się wtenczas mówiło.

Pan Gustaw to się chyba urodził w roku, więc jak wojna wybuchła, to był już po sześćdziesiątce. Niby syn już wszystkim rządził, Ignaz, ale i tak się we wsi mówiło, że idzie się do dworu, do Gustawa. Tak żeśmy się już przyzwyczaili. Ten syn jego, Ignaz, ożenił się z piękną kobietą z Królewca, Irene. Przyjechała tu do niego, miastowa pani, nienawykła do wsi. Zmarła zaraz po porodzie, bo kobiety często wtedy umierały. Syna mieli Ericha, to jeszcze go pamiętam, choć dużo młodszy był ode mnie. Erich to było popularne imię, zwłaszcza u nas, w Pustnicku. Był też jeszcze jeden Erich, starszy ode mnie chłopak, ładny i zdalny. Pamiętam, że jak był już dorosły, to ja mała byłam, po wsi biegałam na bosaka. Małe dzieci to wtedy na bosaka albo na golasa prawie biegały. Ten Erich to wąs miał jasny i oczy niebieskie, jak niebo. Za niego potem wyszła ta kucharka Hilda, co już wcześniej o niej mówiłam. Też zdalna kobieta z niej była, wysoka, postawna. Do roboty nawykła, jak pszczoła się w kuchni uwijała.

No i razu pewnego poszedł na wojnę ten Erich, wszyscyśmy go żegnali i życzyli, by wrócił cały i zdrow. Poszedł, jakieś odznaczenie podobno nawet tam dostał. Czasem przyjeżdżał, a potem z Hildą zakochali w sobie. No i przyszedł czterdziesty pierwszy, pamiętam, bo u mnie wtedy dziecko na świecie się pojawiło. Wiosna była, ale jakby nie wiosna, a jesień. Szaro, nijako, słońca na lekarstwo. Śnieg leżał po polach, na Gielądzkim jeszcze płyty lodu. Wszyscyśmy się bali, że to zły znak. Patrzyliśmy za okna i czekali na bociany. Niebo szare jak w burzę, modliliśmy się więcej, bośmy myśleli, że już koniec świata przychodzi. No i w taki dziwny czas urodziłam dzieciaka, syna, chojkę nawet wtedy zasadził mój mąż za domem, żeby na pamiątkę rosła. A potem lato przyszło, też dziwne, bo gorąc straszny i burze, no i któregoś dnia przywieźli w trumnie Ericha. Wszyscyśmy nad nim płakali, najbardziej to Hilda, bo w ciąży z nim już wtedy była. Nie zdążyła mu nawet powiedzieć. Jakiś nauczyciel ze wsi ślubu im udzielił, w głowie mnie się to nie mieściło, że ze zmarłym ślub wzięła. Potem

Tak przed wojną na Mazurach mówiło się na sosnę rentę wojskową po nim dostała, niby pieniądze jakieś były na nią i na dziecko, ale co z nich, jak jej szeptucha ze wsi urok rzuciła. Mówili, że to obsypka, czyli złe spojrzenie. Na pewno coś było, bo nie ułożyło się jej

życie, jak to bywa z uczynkiem. Ciekawa jestem bardzo, co tam teraz u nich, w rodzinie tego Ericha, czy ta córka Rosemarie żyje jeszcze i gdzie się podziewa?

Rosemarie uśmiechnęła się. Helena Kres, która nastraszyła ją zmorą, myśli czasem o niej... Jakaś kobieta na dalekich Mazurach wciąż przechowuje w pamięci jej imię...

Oto co zostało po dawnym dworze właścicieli Tustnicka, bfeitmannów.

Mazurskie obrzucenie czarami

Inna nazwa na rzucenie uroku

Potem, po wojnie, to się już wszystko zmieniło. Heimannowie wyjechali. Inni ze wsi, z mazurskich domów, to przed Rosjanami się pochowali, a jakże. Oj, mieli wtedy trudne życie! Aż żal było patrzeć. Kobiety z dziećmi na wozach czy czym się dało, a mężczyźni końmi. Ta Hilda to zamiast pojechać do ciotki do Tolkmicka, gdzie pewnie by miała lepiej, to poszła z innymi, do ziemianki koło Gązwy, w lesie głębokim. Niektórzy co stąd, z tych ziem, szli, przez Mierzeję Wiślaną się przeprawiali do Niemiec, zostawili domy i wszystko na pastwę losu. Jednych to Rosjanie dogonili, musieli dla nich pracować, nawet jeszcze tu, w Pustnicku. Jak wrócili, to Heimannów już nie było, całą rodziną uciekli do Niemiec, a potem to już słyszałam, że ktoś z nich we Francji żył. Cóż, takie koleje losu. Człowiek pozapominał już ludzi i imiona, ale potem, przez przypadek, usłyszałam znów to nazwisko, jak mówili o katastrofie, i wspomnienia powróciły.

Rosemarie odłożyła gazetę. Nigdy nie słyszała o żadnej katastrofie. Ale oczy już bolały, czcionka była drobna, okulary chyba już za słabe. „Resztę doczytam potem” - pomyślała. Ugotowała makaron, dodała twarogu i śmietany ze sklepu. Potem włączyła telewizor. Ten wszechobecny zjadacz czasu po raz kolejny odciągnął ją od lektury.

Gdy położyła się spać, została ze swoimi myślami, niepodsyconymi kolorowymi migoczącymi obrazami. We śnie ożyły wspomnienia, matka na łące, ojciec w trumnie, Diabelska Góra, która we śnie chichotała jak człowiek.

Szłam przez pola, z łzą u powieki

Inga szła ulicą. Padał deszcz. Wracała od mamy. Żałowała, że nie wzięła parasola. Drobna wodnista kaszka z nieba była prawie niewidoczna, a jednak ubranie powoli mokło, stawało się zimne i nieprzyjemne, jakby miała na sobie okład z zimnego błota. Mimo że było lato, ta pogoda nie pozwalała w to uwierzyć. Było całkiem jesienią. W miasteczku rzadko bywały takie dni, a jednak... tegoroczne lato było dziwne, chłodne, wilgotne. Jak wtedy, tamtej wiosny, w dalekim Pustnicku, w czterdziestym pierwszym. To porównanie samo przyszło jej do głowy, nie popychała myśli w jego stronę. Po prostu przypomniały się jej

słowa matki o dziwnej wiosnie, która nie wróżyła nic dobrego. Czy to lato, szare i deszczowe, też przyniesie jakieś zmiany w jej życiu?

Ślub jej babki Hildy z nieboszczykiem... Wyobrażała sobie tę sytuację - Hildę w żałobnej sukience, Ericha w trumnie. Nie o takiej miłości oboje marzyli...

W Bretanii, z której wróciła kilka tygodni temu, wciąż trwała piękna pogoda. Od powrotu z Carentec mimowolnie śledziła prognozy w tej części Europy. Wracając czasem myślami do tamtego spotkania z szorstkim, wysmaganym wiatrami i słońcem mężczyzną, który z pozoru nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, a jednak... Czasami myślała, że musiała go spotkać, że czekała na to spotkanie całe życie. Ale zaraz odpędzała od siebie te myśli. Bo przecież... Życie jest takie przyziemne... A potem to ich pożegnanie, oschłe, bezsensowne, a przede wszystkim to, co się przed tym pożegnaniem wydarzyło...

Wtedy właśnie postanowiła, że mimo wszystko wyjdzie za Ludwika. Gdzieś przecież trzeba zamieszkać. Ludwik wydawał się jej bezpiecznym, bo doskonale znanym, pozbawionym tajemniczości portem. Dała więc pobiec wspomnieniom, które kapały na nią wraz z deszczem, kiedy wracała do bezpiecznego mieszkania.

Wtedy, w Carentec, nazajutrz po zaręczynach, oboje rozświetotani jak skowronki zeszli na śniadanie. Frank od razu zauważył, że coś się stało.

- A co wy tacy uroczyści? - zagadnął, podając im widelce.

- Oświadczyłem się Indze i zostałem przyjęty - rzucił swobodnie, z tą dziwną pewnością siebie Ludwik.

- Ooo, to gratuluję! - zawołał Frank i zaraz ogłosił nowinę na sali.

Reszta znajomych zaczęła bić brawo, pokrzykiwać, Inga zawstydzona wstydziła się wtedy, bo chciała, by ich zaręczyny jak najdłużej pozostały tajemnicą. Miała nawet żal do Ludwika, ale nie chciała mu psuć humoru, widząc, jak się dumnie puszy. Dała się jednak pocałować w dłoń, ufnie wierząc, że to szczerzy pocałunek.

Nie wiedziała, że jego telefon pełen jest wiadomości od Marty, namawiającej Ludwika do szybszego powrotu. „Podaj jej jakiś powód i przyjedź do mnie. Tęsknię za tobą”, „Dziś śniłeś mi się, robiliśmy to na tarasie w moim domu. Przyjedź, niech marzenia staną się rzeczywistością” - pisała do niego, a on nie kasował tych wiadomości, tylko przechowywał w pamięci telefonu, delektując się uwielbieniem tej pięknej kobiety i własną próżnością. Mieć dwie kobiety, które czekają tak samo - mężczyźni lubią takie sytuacje. To wzmacnia w nich poczucie męskości, a poligynia kusi niczym zakazany owoc.

Po śniadaniu grupa rozeszła się do swoich pokoi. W programie był dziś odpoczynek na plaży. Inga nie dała po sobie poznać, że już zna to miejsce i umie tam trafić, na to

wybrzeże pod fiołkowym niebem. Z pobłażliwością, w milczeniu patrzyła więc, jak jej koledzy śledzą plan miasteczka, wyłuskują z mapy zarys wąskich uliczek, które mają ich poprowadzić na miejsce. Dotarli bez większych przygód na miejsce. Na ulicach nie tańczyli dziś ludzie, ale restauracje kusiły zapachami tak samo jak wtedy. Indze udzielił się zachwyty współtowarzyszy nad krajobrazem, plażą i lazurem wody, który jej znajomi wyrażali spontanicznie i głośno. Inni turyści, oswojeni już z tym miejscem, patrzyli na nich z uśmiechem. Inga szła na końcu grupy, patrząc na atletycznie zbudowane plecy Ludwika, jasną plamą sportowej koszulki polo odcinające się od jasnego tła wody.

Rozłożyli jakieś kocyki, parawany, wokół inni ludzie zrobili już wcześniej to samo, zagradzając starannie swoje strefy. Ten ludzki instynkt terytorialny objawiał się nawet w tak prozaicznych sytuacjach. Inga poczuła się jak w grupie zwierząt, które oznaczają swoje rewiry moczem bądź inną wydzieliną po to, by ostrzec pozostałych przedstawicieli gatunku granicach, do których nie można się zbliżać. Mężczyźni rozebrali się do hawajskich kolorowych spodenek, krzyczących barwami jak paw. Kiedy wstawali z kocyków, naprężali przed kobietami swoje klatki piersiowe wciągali brzuchy, gotowi do samczej potyczki. Kobiety zaś nabierały dziwnej miękkości ruchów, poprawiały wiązania kolorowych biustonoszy, eksponujące przestrzeń między piersiami, smarowały się nawzajem olejkami, by uwypuklić gładkość ciał. Całe to kłębowisko nagości i kolorów rozbawiło nieco Inge, wciąż ubraną w białą koszulkę na ramiączkach i wiązaną z boku spódnicę, wyglądem przypominającą zamotane na biodrach pareo.

Nie chciała się opalać. Jej delikatna, dość jasna skóra często reagowała alergią na słońce. Najpierw na dekolcie, a potem na całym ciele pojawiały się swędzące krostki, które z czasem zlewały się w czerwone plamy. Musiała się wtedy smarować maścią, w skład której wchodziło zbawcze hydroxyzine hydrochloride, którego działanie odczuwała już po kwadransie. Jej babka Hilda cierpiała na to samo, ale ją leczyła pustnickowska zielarka spod lasu. Robiła mieszankę z wysuszonego nagietka, krwawnika, rumianku, babki i fiołka, na koniec dodawała kilka listków szalwii. Wszystko ucierała w miedzianym moździerzu, wsypywała do płóciennych woreczków, które szyła ze starych koszul lub obrusów, a czasem po prostu zawijała w papier, bo płótno było drogie. W domu Hilda zwilżała mieszankę kilkoma kroplami wody i dodawała smalcu lub parafiny. Mieszała dokładnie i zostawiała, by wszystko zastygło, w jakimś niewielkim pudełku. Tak powstawała maść łagodząca nie tylko zmęczoną alergią skórę, ale również chroniąca przed konsekwencjami ukąszeń komarów lub pszczoł. Dawna Hilda czerpała z tego, co dawała jej natura, a jej współczesna wnuczka Inga

zawierzyła gotowej substancji hydroxyzine hydrochloride, która, niestety, nie rosła na łąkach...

W obawie przed pojawieniem się swędzącego wyprysku Inga postanowiła nie rozbierać się, tylko pójść na spacer po plaży. Zostawiła więc Ludwika w wianuszkach rozbawionych koleżanek, którym w scenerii plaży ton głosu podniósł się i stał się bardziej szczebioczący, i poszła brzegiem, kupując dwie gałki lodów o smaku suszonych śliwek, umieszczonych w wafelku domowej produkcji. Nigdy nie jadła tak niezwykłych lodów, dziwiąc się, że sprzedawca miał jeszcze w ofercie gałki o smaku ziemniaków i gumy do żucia.

Poszła nadbrzeżem, patrząc na wyrzucone przez fale kraby, mule i krewetki. Mijała smakoszy, którzy wybrali się po nie jak na grzyby. Poznawała smaki, zwyczajnie i nadmorskie oddechy Francji, nie zdając sobie sprawy, że miejsce to powoli wchodzi w jej krwiobieg, wtłacza się z każdym uderzeniem serca we włosowate naczynia żył i zostaje w niej. Od tej chwili to miejsce już zawsze będzie w jej ciepłych wspomnieniach.

Obejrzała się. Z daleka, na kocykach, wśród kolorowych parawanów, leżeli jej znajomi. Niektórzy opalali się leniwie, Ludwik zaś biegł do wody, za nim jakieś dwie koleżanki, których z daleka nie mogła rozpoznać. Pomachała im tylko ręką, pokazując, że idzie dalej. I by byli o nią spokojni.

Może chciała znów spotkać Michaela?

(rDom) uśmiechnął się do słońca rzędami okien, ^Pachniał wapnem, potem i troską...

Bretońska plaża. Znów te drobne, pachnące miodem kwiaty, których nazwy nie znała, pokrzykiwania w różnych językach - to wszystko otaczało Ingę w jakiś niezwykły sposób. Znalazła się oto w innym, nieznanym jej dotychczas świecie, szorstkość tej ziemi działała magnetyzująco, Inga zdjęła nawet sandały, by poczuć dotyk piasku. Na chwilę zapomniała istniejącym świecie, był taki odległy i nienamacalny. Nie zauważyła, że odeszła daleko od tamtej plaży, na której został jej narzeczony, o którym w odległej Polsce powiedzieliby „lanser”, ale ona nie znała tego słowa, nie patrzyła na Ludwika w tych kategoriach, uważała, że jego uroda i gibkość ciała rekompensują całą resztę, której od niego nie otrzymywała: opiekuńczość, odpowiedzialność i przede wszystkim oddanie.

Wciąż tkwiło w niej poczucie jego zdrady, chciała je wypłenić z siebie, by zacząć na nowo, ale uporczywe myśli wciąż powracały, wyobrażenia podsuwała tamten widok, te plecy, nogi, szybki oddech... Sama nie wiedziała, dlaczego mimo to wciąż z nim jest. Przecież powinna była, jak w filmie, dać mu w twarz i pozostać nieprzejednaną, jednak odczuwała coś w rodzaju podniecenia, gdy ją brał na tamtym hotelowym łóżku, na którym kilka dni temu...

A może to była jakaś skłonność do trójkątów, tworzonych chętnie z fantazją przez bardziej wyzwolone pary?

„Bzdura” - powiedziała sama do siebie, odrzucając te myśli, które wydawały się jej absurdalne; zawstydzila się sama przed sobą, jakby przyłapana na gorącym uczynku. „To lęk przed samotnością, nic więcej...” - dodała w myślach, odsuwając z wyobraźni tamten widok, który powracał, dręczył jak przenikający chłodem przykry wiatr, przed którym nie można się schronić.

Patrzyła pod nogi. Niedawno musiał być odpływ, bo na plaży leżały tysiące muszelek - były jak stożki lub patyki, niektóre przypominały jej nawet falbaniastą spódnicę z dzieciństwa. Piasek poskręcany był w drobne precelki, niektóre wydłużały się i wyglądały jak zasuszone trawy, woda widać wirowała na nim, jakby rysując swoje myśli. Inga wyciągnęła aparat z torebki i, siedząc na piasku, sfotografowała te piaskowe reliefy, które w niemym trwaniu czekały na natarczywy żywioł wody, mający je kiedyś, w jednej chwili, zmyć z powierzchni ziemi.

- Fotografujesz piasek? - usłyszała polskie słowa, na które przestawiała się wolno, jak na inny program.

Podniosła głowę. Była w pobliżu budowy, której kierownikiem był Michael. Michał.

Stał teraz nad nią, w płóciennych szortach, jeszcze bardziej zesmagany słońcem, z połyskliwą od potu skórą i lekkim, zwierzęcym zapachem jakiegoś dezodorantu.

- Taaak... - odpowiedziała wolno. Niechętnie. Miała się już z nim nigdy nie spotkać, zresztą, nie umówili się, nie zaplanowali wspólnego obiadu, rozmowy. Tymczasem znów ta plaża przywołała ich do siebie, zbliżyła na kolejny moment. Ją - elegancką, zadbaną Niemkę, i jego - spracowanego budową kamiennego domu i słońcem Polaka.

- Ten piasek... Niezwykle rysunki na nim... - odezwała się raczej powściągliwie, mając w pamięci to, jak ją wtedy pożegnał, nie chcąc widzieć się z nią ponownie.

- Tak, kiedy tu przybyłem, też mnie wzruszały, a teraz są moją codziennością - odezwał się zwykłym głosem, patrząc w jej ciemne oczy.

- Co dziś robisz, masz dużo pracy? - rzuciła zdawkowe pytanie, jakby chcąc dodać normalności ich rozmowie.

- Och, tak, wciąż robimy te wykończenia. Kolega pojechał do domu, do Polski, bo urodziło mu się dziecko. Musieliśmy przejąć jego obowiązki.

- Co tu zatem robisz?

- Rozmawiałem przez telefon. Odszedłem, nie chciałem, by moi koledzy słuchali. Ale zaraz wracam do pracy.

- Ach, więc jesteś zajęty. Nie przeszkadzam - rzuciła Inga, wstając z piasku. Otrzeptała starannie ubranie, wciąż czekając, że może przedłuży to rozmowę, ale Michał milczał.

- No to cześć... - wyciągnęła rękę. Podał jej swoją, patrząc na nią smutno, uważnie. Poczła pod palcami szorstkość, jego dłoń była prawdziwie zmęczona życiem. Dłoń Ludwika - taka miękka, wymuskana, odżywiona dobrym kremem - w niczym nie przypominała dłoni tamtego mężczyzny.

- Do zobaczenia... - rzucił cicho.

Inga miała wrażenie, że Michał boi się jej.

Popatrzyła jeszcze za nim i wolno oddaliła się, wgniatając stopy w piasek. Do głowy przysła jej nagle myśl, że piasek jest doskonałym pilingiem dla stóp, ściera z nich wszelkie zgrubienia i usuwa zmęczenie. Wciskała więc stopy mocno, przekręcając je na boki. Rozglądała się. Ptaki krzyczały pod niebem, turystów było tu wyraźnie mniej, widać odległość od miasteczka była zbyt duża, wszyscy woleli leżeć na kocykach lub pływać w spokojnej dziś wodzie.

- Inga! - usłyszała nagle za plecami, wśród krzyku mew i szumu fal.

Obejrzała się. Michał. Biegł do niej, w szarych, kamiennych oczach dojrzała jakąś desperację i zdecydowanie.

- Nie odchodź. Zostań tu ze mną...

To „zostań ze mną” zabrzmiało jak zaproszenie do życia. Inga nie wiedziała, czy Michał chciał tylko, by przysiadła z nim na piasku i by wspólnie przesypywali go w klepsydrach swoich palców, czy może chciał czegoś więcej? Wrażenie, jakie na niej wywierał, było bardzo silne; nigdy wcześniej nie spotkała takiego mężczyzny, a jednak coś ją przed nim powstrzymywało. Czy fakt, że go nie znała? Nie można przecież mieć takich uczuć wobec obcego człowieka. A może dlatego, że był zwykłym robotnikiem budowlanym i traktowała tę znajomość trochę jak współczesny mezalians? Ona, po studiach, nauczycielka, z pisarskimi aspiracjami i on... zajęty zwyczajnymi pracami wykończeniowymi w kamiennym domu?

Patrzyła na niego, jak szedł. Oczy miał lekko zmrużone i w kącikach robiły się delikatne zagniecenia, rozbielone od środka brakiem opalenizny. Na twarzy szorstki, kilkudniowy zarost. Inga miała ochotę dotknąć go, poczuć tę całą igłowość, na jaką nigdy nie pozwalał sobie jej wymuskany Ludwik. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić, bo Michał jest przecież zupełnie obcym mężczyzną, znała go zaledwie kilka dni, nie wiedziała, jakie jest naprawdę jego życie, a on nie znał jej życia.

- Do kiedy właściwie jesteś w Carentec? - zapytał dość nieśmiało, jakby był nastolatkiem, a nie czterdziestokilkuletnim mężczyzną.

- Jeszcze dziesięć dni - powiedziała krótko, wolno obracając twarz ku Michałowi.

- Rozumiem. Dziesięć dni...

Znów zamilkł, przyglądał się jej uważnie. Jakiś kosmyk włosów zawirował na jej twarzy, odgarnął go delikatnie, w taki sposób, że Inga poczuła dziwny dreszcz na plecach, a na przedramieniu pojawiła się gęsia skórka.

- Czy mogę cię zaprosić do swojego domu na kolację? - zapytał nagle, śmiejąc się.

- Nie wiem, gdzie mieszkasz - odpowiedziała, dając mu tym samym zrozumiałą obietnicę, że być może przyjdzie do niego, jeśli pozna jego adres.

- Niedaleko twojego hotelu. Podam ci adres. Trafisz, musisz tylko pójść drogą w kierunku plaży. Mieszkam w jednym z tych kamiennych domów, wchodzi się do mnie przez dużą drewnianą bramę, zostawię ją otwartą.

- O której? - zapytała, mrużąc oczy w uśmiechu.

- Około siódmej. Będę czekał. To jest mój adres i numer telefonu.

Jej telefon piknął, Michał wysłał jej elektroniczną wizytówkę. Odebrała ją spojrzeniem: Michael Heimann, Carentec, Rue de Kermenguy...

Otrzeptała ubranie, znów przysypane złotymi drobinkami. Popatrzyła jeszcze przez chwilę na jego opalone ciało, szczupłe, z zarysowanymi pod skórą mięśniami, wyrobionymi ciężką pracą, a nie sztucznym wysiłkiem w siłowni.

- Do zobaczenia. - Podała mu dłoń, on wziął ją delikatnie, choć drzemała w nim wielka siła; być może musiał się powstrzymać, żeby nie uścisnąć palców tej kobiety zbyt mocno, gestem, do którego przywykł przez lata pracy na budowie.

Rozstali się na słonecznej plaży, on wrócił do budowanego domu, ona - do swoich niemieckich przyjaciół, delektujących się słońcem i wodą.

(Tęsknota) czasem serc dwojga rozgina ogniwa

Carentec... Miasto przypiływów i odpływów... W czasie przypiływu woda wchodzi nawet na siedem metrów w ląd, zabiera go, anektuje w sobie tylko znanych zamiarach. A potem cofa się, pozostawiając całe płaszczyny suchej plaży, a zakotwiczone wcześniej przy samym brzegu niewielkie łodzie zostają samotne, wczepione kilami w suche dno. Niewielkie punkty na mapie piasku, wiadomy ślad ludzkich podróży. Cumujące w portach kutry rybackie mają nawet specjalne podpory mocowane do kadłuba, by w czasie odpływu nie przewróciły się na burtę.

Być może ta sama wielka siła rządzi tutejszymi ludźmi, bo wszyscy jesteśmy wszak częścią kosmosu. Skoro zatem księżyc ma wpływ na wędrowną morską i oceanów, dlaczego nie miałby mieć wpływu na człowieka? W myślach praktycznej i trzeźwo myślącej Ingi pojawiła się ta myśl zupełnie nieśmiało, rzecz by można - po cichu i na paluszkach, żeby nie przepłoszyć jej sceptycyzmu wobec praw natury. Gdy jednak obserwowała Michała, którego w myślach nazywała z francuska Michaelem, widziała w nim podobne przypływy i odpływy. Wtedy, na ich pierwszym spotkaniu, był rozmowny i otwarty, potem stracił jakby swoją spontaniczność, zaznaczając to milczeniem na plaży, małowównością, którą Inga w sposób naturalny porównała z odpływem. „Teraz powinien być znów rozmowny i otwarty” - pomyślała z uśmiechem, wracając plażą, znacząc swoimi stopami te pustynne reliefy, zostawiając ślad po sobie tu, na ten dziwnej ziemi, która swoją szorstkością zarażała ją, zbierała jej myśli i znaczenia.

Jej znajomi wciąż byli na plaży, nieco już zmęczeni słońcem, ale wciąż w radosnych okrzykach i piskach. Ludwik brylował wśród koleżanek bez troski i swobodnie, wiedząc, że Inga jest daleko i nie widzi tych flirtów i koleżeńskiej swobody.

Odpływ. Osamotnione przez wodę łódzie i kutry.

Kiedy zauważył Inge wracającą z wyprawy, podbiegł do niej i przywitał zimnym od wody pocałunkiem.

- Gdzie tak długo byłeś? Niepokoiłem się - rzucił lekko, jakby od niechcienia, chcąc pokazać zainteresowanie jej osobą.

- Na spacerze, niedaleko - rzuciła, nie mając ochoty wtajemniczać Ludwika w rozmyślanie nad przypływami i odpływami i szorstkim zarostem na policzku pewnego smagłego od słońca i wiatru mężczyzny.

- Inga, wracaj do nas! - krzyknął ktoś z wody, to był chyba Frank, Inga machnęła ręką, pokazując, że właśnie siada na kocu i zostaje z nimi.

Kiedy wrócili do hotelu, zakomunikowała Ludwikowi:

- Wychodzę dziś koło siódmej.

On zakręcił właśnie prysznic. Całkiem nagi i mokry, oswojony z Ingą we wspólnej codzienności, wszedł do pokoju, by poszukać czystej bielizny w walizce.

- Dokąd idziesz? - zapytał zdziwiony. Inga pomyślała, że tak samo stał przed nią wtedy, gdy najpierw kochał się z Martą, w ich pokoju, na ich łóżku, a potem weszła ona i...

- Ubierz się, nie stój tak - rzuciła szorstko, tłumiąc te myśli, by nie rozlały się po niej niechciane jak mrówki.

- No, właśnie się ubieram.

Kucnął przy swoich rzeczach, których jeszcze nie rozpakował z walizki, leżały tam skłębione. Pomyślał tylko, że Inga mogłaby mu pomóc je wypakować, że powinna była to zrobić jako oddana przyszła żona. Ubrał granatowe bokserki i znów spojrzał na Ingę.

- Dokąd wychodzisz? Znów na spacer po plaży?

- Tak - odpowiedziała zupełnie naturalnie.

- Pójdę z tobą. Mogę?

- Nie! - zareagowała chyba zbyt gwałtownie, bo spojrzał się na nią podejrzliwie.

- Chcę być sama, chyba rozumiesz... - dodała już ciszej, to „chyba rozumiesz” artykułując w taki sposób, by się domyślił, że wciąż nie uporała się z jego zdradą, choć przyjęła jego oświadczenia i kochała się z nim co noc. Jakby chciała mu pokazać, że to wybaczenie nie będzie łatwe i ona musi się z nim zmagać jeszcze przez jakiś czas, całkiem sama.

- Więc myślisz o tym... Przestań, to nie było nic ważnego, naprawdę... - próbował ją przekonywać. Zbliżył się do niej z oddaniem w spojrzeniu, chciał ją pocałować.

- No, dobrze, już dobrze - wyrwała mu się lekko z objęć.

- Ingo... - wyszeptała do jej ucha. - Naprawdę cię kocham i chcę być z tobą.

- Wiem, wiem, ale potrzebuję trochę czasu - powiedziała, opierając się pocałunkowi w szyję.

Szyja miała dziwne znaczenie w całej konstrukcji jej ciała. Była bowiem wrażliwa na najlżejszy podmuch wiatru, lekkie dmuchnięcie czy dotyk włosów. Zbyt szybko stawała się buforem emocji. Wiedział o tym, bo lata z nią spędzone nauczyły go mapy jej ciała. Wiedział też, że na każde dotknięcie tutaj zareaguje na pewno, że szyję ma jeszcze wrażliwszą niż sutki i wewnętrzną stronę ud. Całował więc jej zagięcie za uchem, z wielkim

^syceniem i różnorodnością zabytków Trancja mogłaby obdzielić kilka krajów. T^a zdjęciu zabytkowe miasteczko focronan, odwiedzone przez bohaterów powieści.

oddaniem, silnymi wargami zaznaczając swoje terytorium. Ujął ją w pasie i przechylił na róg łóżka. Oddała mu się potem chętnie i bezwolnie, wciąż mając w myślach ten łapczywy pocałunek w szyję.

Prysznic wyswobodził ją z jego zapachu. Spojrzała na zegarek. Było już późno. Szybko ubrała niebieską tunikę ze złotym, ręcznie haftowanym kwiatem i płócienne spodnie, lekkie i przewiewne. Kropla dobrych perfum na koniec. Niczym kropka w zdaniu.

- Ładnie wyglądasz, kochanie, nie wiem, czemu się tak stroisz na zwykły spacer po plaży? - powiedział do niej lekko podejrzliwie. I dodał po chwili, ubierając się w sportową koszulkę polo z logo znanej firmy: - Nie wracaj za późno, jutro rano wyjeżdżamy do

Locronan. Jak wrócisz, zadzwoń, pewnie będziemy w pobliżu, bo dziś uroczysta kolacja z atrakcjami!

- Jasne, zadzwonię - powiedziała cicho, zaniepokojona lekkim bólem, który promieniowa! na całe ciało. Czula się jak przed pierwszą randką, wiele lat temu, gdy miała siedemnaście lat...

Rosemarie przerwała czytanie wspomnień Heleny Kres. Lektura sprawiła, że na chwilę wróciła do świata, który, zdawałoby się, odszedł na zawsze. Gazeta wypadła z jej palców, Rosemarie spojrzała na błękitne niebo, obłoki przeganiane wiatrem i nagle dopadło ją dziwne wrażenie pomyłki w jej życiu. Jakby uświadomiła sobie, że nie powinna była porzucić wiele lat temu swojej dawnej ojczyzny, nawet za cenę bezpieczeństwa finansowego, dobrej pracy, niezależności... Że ta pomyłka kosztowała ją bardzo wiele, a świadomość jej popełnienia powróciła właśnie teraz, po lekturze wywiadu z prostą kobietą, Heleną Kres, która opowiedziała po prostu tamten czas...

„Muszę tam wrócić” - pomyślała, przepełniona dziwną pewnością. Gdzieś w głębi duszy wyobraziła sobie, że wraca tam ze swoją córką, Ingą, która wtedy miała zaledwie kilka lat. Tak bardzo chciała przekazać córce dziedzictwo tamtego świata... Tyle tylko, że Inga niezbyt interesuje się przeszłością, losami rodziny, nawet jej wiarę w złą wróżbę zlekceważyła i obróciła w śmiech. Na dodatek chce wyjść za mąż za człowieka, który za nic ma kobiecą wrażliwość i uczucia, i który jej, Rosemarie, czyli przyszłej teściowej, nie ma nic do powiedzenia.

Rozpłakała się. Nie takiej przyszłości chciała dla córki. A może to wszystko dlatego, że stamtąd wyjechała? Że opuściła rodzinną wieś, z jej upalnym zapachem lipca i chłodniejszym sierpniem, pozbawionym niedawnego jeszcze żaru? Z jej zimnymi ostrymi jak nóż, przecinającymi złudzenia o wiośnie? Jesieniami, dojrzewającymi rudym słońcem, chylącym się za brzegiem jeziora? I wiosnami - długimi i zgaszonymi, jak ta z roku, kiedy wszyscy przeczuwali, że w ich wsi wydarzy się coś dramatycznego i trudnego zarazem. Od tamtego czasu nikt już nie cieszył się kupałnocką...

Wróciły do niej niespełnione nadzieje o miłości, do której tak tęskniła, której pragnęła nade wszystko. Samotność, mimo że bezpieczna, bolała.

„Muszę tam wrócić” - postanowiła jeszcze raz. wiedziała, że kiedyś to zrobi. Na pewno.

Inga szła, przyglądając się numerom mijanych domów. Wreszcie znalazła właściwy - tak, to ta drewniana brama, od której mówił Michael. Michał. Inga nie wiedziała, jak nazywać go w myślach. Być może powinna mówić o nim Michał, by uszanować jego korzenie? Ale od

tak wielu lat był Michaelem, zaczął już żyć w symbiozie z francuskim światem i tutejszymi ludźmi. Mieszkał nawet jak jeden z nich, w kamiennym domu...

Pchnęła półotwarte skrzydło. Otworzyło się z lekkim skrzypnięciem, ukazując niewielki, poszarzały cieniem, kwiatowy ogródek, w którym oprócz hortensji kwitły również jakieś krzewy z oliwkowymi, podłużnymi listkami. Kwiat miały biały, pachnący silnie migdałem i zielenią. Inga ujęła jeden z nich w palce, wciągnęła nosem lekki aromat.

Obok zauważyła kamienne schodki z metalową poręczą, która, wygięta minionym czasem, zapraszała jakby do wędrówki, zapewniając, że odprowadzi gościa bezpiecznie do samych drzwi. Inga położyła dłoń na jej gładkiej powierzchni, zapachniało poruszonym metalem. Tak samo intensywnie zaczyna pachnieć geranium, lekko tylko dotknięte palcem. Metaliczny zapach poręczy uniósł się, dotarł do Ingi i na zawsze już pozostawił po sobie tamto skojarzenie. Od tego momentu ów metaliczny zapach kojarzył się jej będzie z cichą wspinaczką po kamiennych schodach do mieszkania Michała. Michaela.

Hortensje - kwiaty Trancji. Ogrodnicy mówią, że hortensje zakwitają tylko ludziom o dobrych sercach. Jeśli tak jest, to jesteśmy w kraju płynącym dobrocią...

Zapukata, ale nie usłyszała zaproszenia. Otworzyła więc śmiało drzwi i dopiero teraz spostrzegła, że to nie były jeszcze drzwi do mieszkania, a jedynie do chłodnej, kamiennej sieni. Stały tu buty: sandały, które pamiętała z tamtego obiadu w restauracji, jakieś sznurkowe klapki i wygodne półbuty z brązowej skóry. Podeszła do kolejnych drzwi i zapukała, wierząc, że tym razem ukrywa się za nimi gospodarz. Nie myliła się. Otworzy! jej szybko, jak człowiek, który czeka na swojego gościa w radosnym napięciu, udając tylko, że czyta lub rozwiązuje krzyżówkę, a tak naprawdę myśląc wyłącznie o tym, kiedy przyjdzie osoba, której wypatruje.

- Witaj - uśmiechnął się lekko stremowany, otwierając drzwi szeroko. Inga zobaczyła jasno pomalowany przedpokój, z jedną ścianą z kamienia. Za nim salon z żeliwną kozą i wejście do kuchni, prostej, ze starymi drewnianymi meblami. W rogu kanapa z ciemnobrązowej skóry, stolik z gazetami. Na środku stół - na nim wino i sałata w szklanej misie.

- Oto mój dom - powiedział mężczyzna, gestem dłoni prezentując wnętrze, jak teatralny spektakl.

- Mogę zobaczyć resztę? - zapytała Inga nieśmiało, jakby podświadomie wyczuwając, że jeśli zobaczy to miejsce, zobaczy również duszę tego mężczyzny.

- Wejdz, oczywiście. - I poprowadzi! ją na wprost, do dużego pomieszczenia oświetlonego oknem i świetlikiem na suficie.

Inga ogarnęła je wzrokiem szybko, od razu orientując się, że nie jest to zwykłe pomieszczenie. Na sztalugach dostrzegła jakieś obrazy, na ścianach - projekty.

- Ależ... piękne obrazy... Malujesz? - zapytała.

- Czasami, tylko hobbystycznie - wyjaśnił Michał.

- A to? - wskazała ręką projekty.

- To moje wnętrza. Kiedyś je projektowałem...

- Ach więc, jesteś... To znaczy... Dlaczego?... - Nie wiedziała, jak zadać pytanie, by nie domyślił się jej zdziwienia, że nie jest zwykłym robotnikiem, za jakiego go miała, że to nie żaden mezalians, że już myśli o nim inaczej...

Chyba odczytał jej myśli, bo odezwał się:

- Z zawodu jestem architektem wnętrz. Z zamiłowania - artystą. Ale teraz buduję domy. Kiedyś może opowiem ci, dlaczego tak się stało, że wybrałem zwykłą fizyczną pracę, porzuciłem sztukę...

To „kiedyś opowiem ci” zabrzmiało jak obietnica, nadzieja na to, że Inga pozna historię tego mężczyzny, którą na razie wolał zachować tylko dla siebie.

Usiedli do kolacji. Michał nalał Indze wina do dużego kieliszka. Wino było włoskie, prawdziwie słoneczne, jak mówił - подарowane przez pewną inwestorkę, Miriam, której kiedyś budował dom. Smak rzeczywiście miało głęboki i mocny, choć znacznie lżejszy niż na przykład wina gruzińskie czy mołdawskie. Inga poczuła się rozluźniona, słowa przychodziły jej szybko, wracały do niej z dawnego dzieciństwa, z rozmów z jej matką, przestawiała się na polski swobodnie, jakby zmieniała jakieś ubranie i stawała się zupełnie innym człowiekiem.

Michał podał sałatę, a po niej lekko brązowe naleśniki.

- To galettes, tradycyjne bretońskie naleśniki. Robi się je wyłącznie z mąki gryczanej, dlatego są takie ciemne. Naleśniki możesz faszerować prawie każdym składnikiem, moje są z serem i warzywami - wyjaśnił chętnie, zapewne dumny ze swoich kulinarnych dokonań.

Inga jadła powoli, pochłaniała ten obcy dla niej smak. Cała ta wyprawa była dla niej źródłem nowych doznań. Być może dlatego właśnie dość łagodnie znosiła tamtą zdradę, bo jej uwagę absorbowały zupełnie nowe bodźce?

- Smakuje? - spytał Michael kurtuazyjnie, mając pewność, że tak, bo przez te lata, które tu spędził, nauczył się mistrzowsko przyrządzać galettes.

- Taaak... - powiedziała przeciągle Inga, uśmiechając się, posyłając mu jedno z tych swoich wyćwiczonych na mężczyznach spojrzeń, o których mówili czasem, że są filuterne.

- Jesteś... - zaczął Michał, wyławiając to spojrzenie. Nie skończył. Inga zerknęła na niego ciekawie.

- Jestem?... - zagadnęła, ciekawa, co chce powiedzieć. Do tej pory nie dał jej nawet na chwilę do zrozumienia, że jest ładna, interesująca, intrygująca... Kobieta lubi słyszeć takie rzeczy, zwłaszcza ta, która stara się taka właśnie być.

- Jesteś... Taka inna... - dokończył.

- Inna niż kobiety, które były w twoim życiu? - zapytała.

- Nie, to znaczy... - zająknął się, jakby chcąc ukryć coś, o czym nie chciał mówić.

- Miałeś ich tak wiele, że nie pamiętasz! - zaśmiała się, bo wino znów zahuczało w jej myślach, sprawiło, że kolejne słowa stały się swobodniejsze.

- Nie, to nie tak. Nie jest tak, jak myślisz - uciął krótko, odkrawając kęś naleśnika nożem.

Jedli w milczeniu, po czym Michał podniósł się, żeby zebrać naczynia. Inga sięgnęła po kieliszek z winem; nie chciała mu pomagać, choć zwykle to ona wstawiała pierwsza i zbierała naczynia. Michael zaniósł je do zlewu i rzeki niedbale:

- Potem pozmywam.

Po czym zaproponował:

- Chcesz, to pokażę ci ten dom, który robiłem dla Włoszki, Miriam. Jestem z niego szczególnie dumny.

Skinęła głową, a on szukał na biurku, pomiędzy kopertami i kartkami, zdjęć tamtego domu. Inga tymczasem wstała, by rozejrzeć się po wnętrzu. Na komodzie dostrzegła zdjęcie Michała. Wyglądał na nim młodziej, musiało być zrobione kilka lat temu. Obok niego stała uśmiechnięta blondynka, krótko ostrzyżona. Bardzo ładna.

Inga wróciła do stołu. Wiedziała już wszystko. Michael nie był sam. Ona też nie. Ta wizyta nie miała więc sensu - poza tym, że zobaczyła jego dom. Jego kamienny świat, do której dał jej na chwilę dostęp. Tymczasem on już podchodził do niej z fotografiami, pokazywał, mówił coś, wyjaśniał. Twarz mu się ożywiła, wskazał palcem na kamienny kominek. Ona słuchała, kiwała głową, przed oczami miała twarz tamtej kobiety.

- Czemu w ogóle tym się zajmujesz? Sprawia ci to więcej radości niż samo projektowanie i malowanie? - zapytała nagle.

Michał roześmiał się lekko.

- Chyba tak. Wolę czuć w mięśniach ciężar mojej pracy.

Nalał jej wina. Inga patrzyła przez okno, widać z niego było ulicę, kawiarnie i ten cały bretoński uliczny gwar, zupełnie inny niż w Niemczech. Ona sama stała ukryta za liśćmi pnących się po murze winorośli.

Widziała grupy turystów krążących w pobliżu, szukających wytchnienia po całym dniu. Restauracje i kafejki kusily zapachami, uliczni sprzedawcy wciąż mieli nadzieję na sprzedaż lodów, smażonych krewetek czy kolorowych chustek chroniących przed upałem. Inga chciała zatrzymać ten czas, by trwał, niczym niezmacony, kołysał się w jej oczach bezkarnie, jak fala oceanu...

Spostrzegła nagle grupę turystów ubranych dziwnie znajomo. Tak, to jej przyjaciele! Zobaczyła nagle Franka rozmawiającego z Ludwikiem, elegancko ubrane dziewczyny, roześmiane, rozglądające się ciekawie. Inga miała wrażenie, że ogląda jakiś program w telewizji - Ludwik był tak blisko, jak na szklanym ekranie, niedaleko niej, nie podejrzewając, że stoi w oknie, a za jej plecami obcy mężczyzna z kieliszkiem wina w dłoni. Na szczęście Michael nie zauważył jej zmieszania na widok grupy turystów.

I właśnie w momencie, gdy Ludwik wskazywał palcem na ścianę pewnego domu z drewnianą bramą obrośniętą dziką winoroślą, namawiając, by jego towarzysze zrobili mu na tym tle zdjęcie, gdy już ustawił się w dumnej pozie współczesnego adonisa, Michał zbliżył nieśmiało usta do jej szyi, znacząc ją delikatnym pocałunkiem. Jakby od zawsze wiedział, że na mapie ciała to właśnie jest miejsce, przez które wchodzi się do jej duszy...

Tamci krzyczeli coś jeszcze, ich głos słyhać było przez uchylone okno, ten twardy niemiecki język, który brzmiał jak tupanie po drewnianej podłodze, zdecydowanie i z przebrzmiałym szybko echem.

- Ja też chcę tu zdjęcie, ten dom jest taki piękny! - nawoływał jakiś damski głos, którego Inga nie potrafiła dopasować do osoby. Znów te wysokie wibracje, jak w porze godowej, znów ta obecność mężczyzn sprawiała, że jej koleżanki zamieniały się w zapraszające do zabawy samice. Dziś rozbawiło ją to tylko.

Lekki pocałunek poczuła sekundę później. Odwróciła twarz w stronę Michaela, wciąż mając w myślach Ludwika, puszące się pod tym oknem, w którym stała ona... Zastanawiała się, czy odpowiedzieć na dotyk nieznanych jej ust, w obawie, że ta odpowiedź będzie przyzwoleniem.

Usłyszała głos z dołu:

- Ludwik, Inga nie widzi, chodź tu do nas, zrobimy sobie zdjęcie z tobą - zapraszały koleżanki radośnie.

„Inga nie widzi” - brzmiało w jej uszach, była w tym jakaś beztroska, pewność - nie wiadomo, na czym oparta, przecież nie na faktach, bo fakty były przecież inne. Właśnie że widziała, jak ręce tych koleżanek obściskują Ludwika, ciągną do siebie, jak on przechyla się, zadowolony z tej adoracji, próżny i podłehtany kobiecym zainteresowaniem.

„Ależ on jest głupi” - dotarło nagle do niej. Nie wysilała się intelektualnie, słowo „głupi” oddało chyba w sposób właściwy to, co czuła na widok swojego narzeczonego adorowanego przez koleżanki. Poczowała coś w rodzaju wstydu i zażenowania, odwróciła twarz ku mężczyźnie, którego oddech wyczuwała od kilku sekund na swojej szyi. Przechyliła głowę tak, że spoczęła na jego ramieniu, uśmiechnęła się. Jego usta spotkały się z jej ustami, rozchylonymi lekko. Całe ciało przebiegły dreszcze, czuła je od szyi poprzez plecy, aż do kostek. Jego język wdierał się w nią łapczywie, smakował zupełnie inaczej niż Ludwika. Do tamtego smaku była już przyzwyczajona, był znany, powszedni, a ten... Owa inność zapulsowała w jej głowie, myślach, zapragnęła doznać kolejnych tajemnic inności, nie zareagowała, kiedy jego dłoń powędrowała do jej piersi, obejmując je chciwie, jak dojrzałe jabłko.

- Nie powinniśmy... Na ciebie i na mnie ktoś czeka... - powiedziała cicho, ale jej słowa stłumił kolejnym pocałunkiem, śmielszym, mocniejszym.

- Nikt nie czeka - wyszeptał, a jego dotyk stawał się coraz bardziej zdecydowany. Jego słowa „nikt nie czeka” nie mówiły jej nic, nie odnosiły się do rzeczywistości, brzmiały jak próba zbagatelizowania tego wszystkiego, co zostawili za drzwiami mieszkania. Uśmiech blondynki z fotografii, głos Ludwika - jeszcze przed chwilą słyszany - zupełnie wyraźnie wróciły do niej.

Jednocześnie nie umiała cofnąć swojej twarzy, bo odczuła nagle na policzku ową szorstkość zarostu, o której dotyku nagle zamarzyła, wtedy, na piasku plaży, wśród krzyków zniewolonych niebem ptaków. Dotknęła palcem jego twarzy, zdziwiona swoją śmiałością i tym, jak szybko spełniło się jej pragnienie doświadczenia szorstkości zarostu. Jeszcze w południe marzyła, by go dotknąć, a teraz...

- Michał... Michael... - szeptała cicho w jego policzki, poddając się Jego dotykowi. Czuła, że za chwilę już się nie zatrzyma i nieważne jest już to, że na niego i na nią ktoś czeka...

- Ale... na ciebie i na mnie ktoś czeka - powtórzyła cicho za swoimi myślami, odsuwając się lekko od niego. Przyjął to jak nagle otrzeźwienie, jego oczy zmieniły się w jednej chwili.

- Nikt na mnie nie czeka... - powiedział ponuro. Widać, odczuł dotkliwie jej odrzucenie. Odwrócił się i wyszedł do kuchni.

Inga nie wiedziała, jak się zachować, miała jednak poczucie, że jej słowa go dotknęły. Wciąż czuła na szyi jego zapach, ostry, z nutą piżma. Intrygujący, nieznan. Nagle

uświadomiła sobie, że Michał jest zupełnie obcym człowiekiem, o którym wiedziała tak niewiele.

- Przepraszam - krzyknęła.

I nie zdobyła się na żaden gest, żeby nie myślał, że jej na nim zależy, że może być uzależniona od jego dotyku.

- Nie, nic się nie stało - uciął krótko, wracając.

Nalał jeszcze wina do kieliszków. Inga nie miała już ochoty pić. Czuła rozgoryczenie i zdziwienie. Może dała mu nadzieję, przychodząc tutaj. Mógł tak to właśnie zrozumieć - to pojawienie się w jego domu. Przysiadła na krzesle, jakby czekając, aż się odezwie, powie coś, co ją ośmieli. Michał jednak wciąż milczał. Szybko wypił wino i głośno odstawił kieliszek. Spojrzał na nią spod ściągniętych brwi, przechylił głowę na bok i dopiero wtedy zapytał:

- Zatem, kto na ciebie czeka?

Inga drgnęła. W jego spojrzeniu dostrzegła wrogość, jakiej nie widziała nigdy przedtem. Spojrzała spłoszona, czuła, że między nimi nawiązuje się dziwna gra.

- Ktoś - powiedziała krótko.

Nagle zapragnęła mu powiedzieć o Ludwiku, zdradzie, o tym, jak niewiele brakowało, a między nimi zaistniałaby bliskość, której ona sama nie spodziewała się, ale dopóki nie wyjaśni wszystkiego do końca... Jednak to jego kamienne, zimne spojrzenie i lekka ironia w głosie. Tak, wszystko zepsuł. Podniosła się z krzesła, wzięła torebkę i wyszła niezatrzymywana, jak wtedy, gdy odprowadził ją pod hotel i nie dał jej cienia złudzeń, że jeszcze chce się z nią spotkać. Był taki szorstki w obyciu. Trzasnęła drzwiami. Dopiero na schodach, w korytarzu, gdy otwierała już drzwi na zewnątrz, usłyszała krótkie i głośne:

- Inga!

Zbiegł za nią po schodach, pochwycił w ramiona, ale ona już miała łzy w oczach i ten rodzaj zacięcia w sobie, który sprawia, że każdy dotyk, nawet ten, który przed chwilą był bliski, staje się nagle nieznośny, ciężący jak kamienie pakowane w kieszenie na pamiątkę górskich wędrowek.

- Wybacz, wszystko ci wyjaśnię, porozmawiajmy, poczekaj! - mówił szybko; nie miał już w spojrzeniu tej wrogości, co przedtem.

Ona jednak odwróciła się od niego, otrząsnęła z jego rąk na swoich ramionach i odeszła. Czuła się bardzo źle. Michael biegł jeszcze przez chwilę za nią i wołał, ale kiedy zobaczył, że to nie ma sensu, wrócił do mieszkania. Inga nie zwolniła, nie odwróciła się, mijani ludzie patrzyli na nią zdziwieni, ona rzucała krótkie pardon i biegła dalej, aż do hotelu.

Usiadła na kanapie stojącej w chłodnym korytarzu i dopiero wtedy poczuła się bezpiecznie. Zamknęła oczy i dyszała chwilę, łapiąc oddech. Czowała na sobie jego zapach, który wdierał się w nozdrza i wciąż przypominał o istnieniu tamtego mężczyzny, o pocałunku, którego teraz żałowała. Czyjś dotyk nagle otrzeźwił ją. To był Frank.

- Inga, co ty tu robisz? Biegłaś?

- Tak, wracam właśnie z plaży - rzuciła lekko przestraszona.

- Martwiliśmy się o ciebie. Ludwik mówił, że poszłaś, szukaliśmy cię.

„Tak wiem, widziałam was” - pomyślała tylko. Po czym westchnęła:

- Poszłam pewnie w drugą stronę.

- Być może. Ja wróciłem po pieniądze, chcemy zwiedzić tutejszy kościół katolicki. Podobno piękny. A potem pójdziemy na kolację.

- Bardzo chętnie pójdę z wami - gorliwie zadeklarowała Inga, co sprawiło Franka w niemalże zdziwienie. Od początku wycieczki obserwował ją i widział, że była raczej sceptycznie nastawiona do wspólnych wypraw. Czas organizowała sobie raczej sama. Miał wrażenie, jakby coś przeżywała, dusiła w sobie, do swoich towarzyszy kierując czasem tylko wymuszony uśmiech.

- Ładnie dziś wyglądasz - powiedział nagle, a ona odwzajemniła się ciepłym, trochę smutnym uśmiechem.

- Dziękuję. - Frank podał jej torebkę porzuconą niedbale na oparciu hotelowej kanapy. Wyciągnęła po nią rękę i wtedy na chwilę ich palce zetknęły się. Frank lekko pochwycił jej dłoń, zbliżył do swojej i zatrzymał.

- Wiesz, podobasz mi się. Bardzo.

- Frank, przestań - roześmiała się, ściskając po koleżeńsku jego dłoń.

On cofnął się lekko i dodał:

- Naprawdę. Może jeszcze zastanowisz się nad tym ślubem?

- Chyba żartujesz?

- Trochę...

- Idźmy więc, bo pewnie na nas czekają.

Inga wstała i energicznym krokiem skierowała się ku wyjściu. Dopiero późnym wieczorem miała chwilę, by powrócić do siebie, do swoich myśli. Była już w łóżku, Ludwik pakował jeszcze podręczną torbę na jutrzejszą wyprawę. Spakował chusteczki nawilżane, plasterki na wypadek odcisków, okulary przeciwsłoneczne i dwa płaszcze przeciwdeszczowe, które zabierali ze sobą zawsze na wyjazdy. Ktoś zapukał do drzwi. To był Frank. Wyraźnie wesoły, na lekkim rauszu. Pod pachą trzymał laptop.

- Ściągnąłem dzisiejsze zdjęcia z aparatu, chcecie obejrzeć?

- Jasne, pokaż i wrzuc mi potem na pendrive'a - rzuci! Ludwik, sadowiać się przy stoliku.

Frank zerknął! na Inge, opatulając się szlafrok.

- Zobacz, to zdjęcia z plaży i naszego spaceru po mieście.

Inga patrzyła bez większego zainteresowania, jakby dając koledze do zrozumienia, że jest zmęczona. Tak bardzo chciała zamknąć oczy i zostać ze swoimi myślami. Przeanalizować to wszystko, co się dziś stało, doszukać się jakiegoś głębszego sensu, wyłuskać z tego tę najważniejszą pesteczkę, istotę wszystkich zdarzeń. Może dzięki temu dowie się, czemu właściwie miało to wszystko służyć?

Ludwik i Frank zaśmiewali się ze zdjęć, komentowali głośno to, jak na nich wyszli, czy właściwie prezentowali się w niebieskiej wodzie i na złotym piasku. Ludwik ładnie wychodził na zdjęciach, był bardzo fotogeniczny. Na wszystkich błyskał garniturem zębów, wyglądał jak amerykański gwiazdor.

- O patrz, tutaj, jak dziewczyny się do niego garną! - zaśmiał się Frank.

Inga mimochodem spojrzała. Widok, który ujrzała, zmroził ją. To był

Frank na tle tamtego domu. Okno Michała. Jej zacieniona postać w oknie, raczej obrys postaci, ale wiedziała przecież, że to ona. Za jej plecami postać nieco wyższa. To Michael. Oboje niewyraźni, jak zjawy, nierozpoznawalni. Na kolejnym zdjęciu - znów ona, tym razem Michael stoi bliżej. I kolejne.

~Bretońskie miasteczka tętnią życiem nawet o zmierzchu. To nocne targowisko sztuki, muzyki, rękodzieła.

^Andrzej Skrodzki

Wszystkie postacie zbliżone. Ludwik, Frank i koleżanki, uśmiechnięci, w objęciach, na tle tamtego okna z dzikim winem. A w nim ona, z głową przechyloną na bok, poddająca się pocałunkom w szyję. Ich rysy były już wyraźniejsze, zazłocił się lekko wyszywany kwiat na tunice; Inga widziała na tym zdjęciu tylko siebie i Michała, miała nieznośne wrażenie, że jej spojrzenie obrysowało jak gruby marker ciemną pętlą ich sylwetki ukryte za szybą i że Ludwik i Frank patrzą teraz tylko na nich.

- Patrz!wykrzyknął Ludwik do Franka i serce w niej zamarło. Patrzyła w kierunku wskazanym przez narzeczonego. Zaschło jej w gardle, zapewne pobladła, bo Frank z niepokojem spojrzął na nią.

- Źle się czujesz? - zapytał nawet z troską w głosie.

- Nie - rzuciła cicho, patrząc na Ludwika, który mierzył palcem w szybę ekranu.

- Patrz! - powtórzył tamten. Frank spojrział. Inga zadrżała.

- Wyszędłem jak ten aktor, Jude Law!

Odetchnęła z ulgą. Próżność jej narzeczonego okazała się zbawienną. Nie patrzył na nic więcej, tylko na siebie. Serce łomotało wciąż jak oszalałe, nie wiedziała, jak je uspokoić.

Usłyszała jeszcze głos Franka:

- No, rzeczywiście, jesteś nawet trochę do niego podobny. Tylko nieco starszy!

- Och, ty! - szturchnął go Ludwik i obaj zaśmiali się głośno.

Inga odwróciła się do nich tyłem i weszła do łóżka, dając tym samym Frankowi do zrozumienia, że jego wizyta jest już skończona.

Nie mogła spać, mimo że Ludwik posapywał już miarowo. Przed jej oczami wciąż przesuwwały się obrazy: spotkanie z Michaeliem, jego dotyk, pocałunek, a potem tamta złość i gniew na niego.

„Może po prostu nie kocham Ludwika, skoro poszłam do domu obcego mężczyzny i byłam prawie gotowa na to, by być z nim?” - pytała samą siebie. Miała w sobie teraz dziwną pewność, że jeśli się kogoś kocha, nie myśli się o innym mężczyźnie. „Czy zatem on mnie również nie kocha, skoro mnie zdradził?” - logika tych myśli zaskoczyła ją nagle.

Powróciła potem do niej, już na ulicy Grinbergu, gdy wracała od matki. Nie zwracała uwagi na deszcz, bo dzięki wspomnieniom zapomniała, że jest w swoim ciele. Była teraz znacznie dalej, tam, we Francji i nie potrafiła zapomnieć spotkania z Michałem. Nigdy żaden mężczyzna jej tak nie intrygował, ale i o żadnym nie wiedziała tak niewiele. Wciąż tkwił w niej żal do niego, drzemał czujnie jak kot, gotowy w każdej chwili skoczyć na swoją ofiarę.

Ludwik czekał na nią z kolacją - kanapki z szynką szwarczwaldzką. Do tego pomidory. Zjadła niewiele, tylko dwa czerwone krążki, i włączyła telewizor.

- Jak minął dzień? - usłyszała głos narzeczonego.

- Pracowicie - rzuciła z uśmiechem.

Dobrze mieć dokąd wracać. Więc może to jednak miłość?

Sobotni poranek. Gdy wstała, Ludwika już nie było. Mówił, że musi wyskoczyć na cały dzień, będzie załatwiał różne sprawy związane z naprawą samochodu. Nie wiedziała, że był zepsuty, ale widać nie o wszystkim Ludwik jej mówił. Dobrze, że nie musi zajmować się sprawami, o których nie ma pojęcia.

Zatem była sama. Włączyła komputer i otworzyła plik ze swoją powieścią. W notatniku wciąż zapisywała różne zdarzenia i myśli. Również te związane z Bretanią. Chciała, by była to opowieść o miłości narodzonej na bretońskiej plaży. O miłości, która była dla bohaterów niczym tajemnicze fatum i do której dochodzili powoli, krętymi drogami,

przeżywając masę trudności, upokorzeń i trudnych chwil. Wreszcie jednak odnaleźli się w odmęcie czasu i rzeczywistości, na plaży poznaczonej hieroglifami pustych muszelek. Podobno marzenia się spełniają. Czy jednak ona, Inga, miała wystarczającą wiarę w ich spełnienie?

Od komputera wstała dopiero po południu. Pora na obiad. Zje zupeł z wczoraj. Ludwika nie będzie, mówił, że zje coś na mieście. Piknął esemes. To on. Ależ lekki na wspomnienie! Tak zawsze mówi jej matka, przywiozła to powiedzenie jeszcze z Polski. Teraz młodzi pewnie powiedzieliby raczej: „telepatia”. „Kochanie, gdy wrócę, ustalimy datę ślubu. Mam nadzieję, że się nie nudzisz? Kocham cię” - przeczytała. „Czekam na Ciebie z kolacją, całuję” - odpisała, szczęśliwa, że ktoś o niej myśli. Bała się samotności, to chyba przez chroniczną samotność jej matki, która nigdy nie związała się na stałe z żadnym mężczyzną, a ci, z którymi próbowała się wiązać, byli beznadziejni. Przynajmniej w ocenie Ingi. Zagarniała wtedy matkę dla siebie, trudno jej było sobie wyobrazić, że w tym wieku może spotykać się z mężczyznami, ba, kochać się z nimi! Jej matka i seks? To było coś absurdalnego! Z biegiem lat sama zrozumiała, że seks nie ma swojego jednego najlepszego czasu, że każdy czas jest dobry. Być może i na marzenia nigdy nie jest za późno, więc może kiedyś spełnią się te, na których jej bardzo zależy? Wkrótce założy rodzinę, będzie miała swoją małą stabilizację. Będzie wyjeżdżała z Ludwikiem na wakacje, chodziła do pracy. Pewnie dziecka nie urodzi, ale może sprawi sobie chociaż kota?

Ludwik wrócił późnym wieczorem. Wyraźnie zmęczony. Pocałował ją tylko przelotnie i od razu poszedł pod prysznic. Pozostał po nim dziwny kwiatowosłodki zapach.

- Czym tak dziwnie pachniesz? - zapytała Inga, wciągając powietrze.

- Kupiłem nowy zapach do samochodu. To może on tak pachnie?

- rzucił od niechcienia.

Inga wróciła do swojej książki. „Chyba dziś nie ustalimy daty ślubu”

- pomyślała, odrywając się na chwilę od pracy. Ludwik nie jadł kolacji, od razu poszedł spać, chyba zapomniał, co jej obiecał. „Nic nie szkodzi, mam przynajmniej czas na pisanie” - pocieszyła się w myślach i wróciła wzrokiem do czarnych liter.

Nazajutrz Ludwik oznajmił jej, że znów musi wyjechać na cały dzień. Ma jakieś spotkanie organizacyjne dla trenerów.

- Ale zostawiam ci swoje auto, już naprawione! - rzucił na pocieszenie, tonem myśliwego rzucającego u stóp kobiety upolowanego mamuta.

- Świetnie, zrobię zatem większe zakupy - ucieszyła się Inga.

Wstała razem z nim. Śniadanie zjedli wspólnie, jajecznica na boczku była ulubionym daniem Ludwika. Ona nie przepadała za tym dodatkiem, odkładała więc na bok różowe skrawki mięsa, a Ludwik zjadał je za nią. Potem kawa, zaparzona we włoskiej kafeterce. Ludwik nie lubił innej. Ona lubiła to, co on.

Kiedy wyszedł, ubrała się szybko, zabrała płócienne torby na zakupy - z wytłoczonym herbem miasta, i wsiadła do samochodu. Przekręciła kluczyk. Nabrała powietrza w płuca. Ten zapach... Był ledwo wyczuwalny, za słaby na kupiony wczoraj odświeżacz powietrza. A jednak był tu, na pewno. Pochyliła się nad kierownicą, szukała odświeżacza, ale nigdzie go nie znalazła. Wtedy właśnie pomyślała, że może to nie był żaden odświeżacz? Musiała to sprawdzić. Wybrała numer Ludwika. Odebrał od razu.

- Słuchaj, jestem w samochodzie i nie ma tego odświeżacza, co tak dziwnie pachniał - rzuciła mu krótko. Chwila milczenia. I głos Ludwika:

- Bo go wyrzuciłem. Nie mogłem znieść tego zapachu.

- Ach, tak. No jasne, rzeczywiście, dziwny jakiś. Do zobaczenia, kochanie.

- Do zobaczenia...

...kochanie - tak myślała, że powie, ale nie, nie powiedział, było tylko „do zobaczenia”, już bez tego „kochanie” i bez żadnej innej czułości, dobrego słowa.

„Pewnie nie może rozmawiać” - pomyślała i wrzuciła pierwszy bieg. Zakupy zwykle robione w markecie za miastem zabierały jej dobrą godzinę, bo długo wybierała produkty, nie zdając sobie nawet sprawy, że wybiera to, co lubi Ludwik, a nie ona.

W tym samym czasie Ludwik wchodził do hotelowego pokoju na obrzeżach Griinbergu. W jednej dłoni miał torbę z zakupami z pobliskich delikatesów, drugą obejmował atrakcyjną kobietę. Martę. Od powrotu z Bretanii spotykał się z nią niemal codziennie, zwykle w jej mieszkaniu. Kochali się łapczywie, szepecząc słowa o wzajemnym oddaniu. Nie mówili jednak nic o miłości. Ludwik zastrzegł, że chce zostać z Ingą, na co tamta, choć niechętnie, zgodziła się. Wołała być jednak kobietą niezależną i na razie odpowiadał jej status kochanki. Prosiła tylko Ludwika, by zbyt często nie mówił przy niej o Indze. Odczuwała coś w rodzaju zazdrości, bo uzależniała się od tego mężczyzny coraz bardziej. Coraz bardziej też czekała na ich potajemne spotkania w jej sypialni. Od kilku dni mieszkała z nią kuzynka, która znalazła pracę w miasteczku. Marta przygarnęła ją pod swój dach do czasu, gdy tamta nie znajdzie mieszkania. Stracili więc możliwość przebywania sam na sam. Stąd właśnie desperacka decyzja o wynajęciu pokoju w hotelu. Na tydzień. Mieli przyjeżdżać do niego codziennie, by wieczorem rozstawać się i wracać do swoich domów. Ona - do kuzynki, on - do Ingi. Jego przyszłej żony.

Jak można było przeczytać w reklamowym prospekcie, hotel, który wybrali, leży pośród pięknych gór Vogelsberg w środkowych Niemczech, a jego nowocześnie urządzone wnętrza sprzyjają wypoczynkowi. Jak zapewne można się domyślać, sprzyjają również spotkaniom we dwoje.

Rosemarie tymczasem kończyła lekturę wspomnień Heleny Kres.

- Biedna kobieta. Miała takie ładne imię... Isabelle - pomyślała, składając gazetę. Nigdy wcześniej nie słyszała o opisywanym przez panią Helenę wypadku. Aż dziwne, że umknął jej uwadze, a przecież niemieckie media na pewno o nim pisały.

(Tęsknota) czasem serc dwojga rozgina ogniwa

Enter i... poszło! - powiedziała Inga sama do siebie, naciskając na duży klawisz prawej strony klawiatury. Rozluźniła palce, strzepnęła z dłoni zmęczenie. Miała za sobą tygodnie ciężkiej pracy. Pomyślała o tym, gdy wyciągnęła się na fotelu, oddając się dobremu myślowi. Ostatnio pisała już bardzo intensywnie, umawiając się sama ze sobą, że jeszcze w tym roku, jeszcze w tym miesiącu wyśle swoją powieść do polskich wydawnictw. Pracowała z niewielkimi przerwami na posiłki. Fakt, że Ludwik wymykał się wciąż na jakieś spotkania, był jej na rękę. Wiedziała, jak bardzo nie lubił, gdy pisała, wyśmiewał jej pasję, więc dzięki temu, że go nie było w domu, mogła ukończyć swoją książkę.

Spotkanie z bohaterami i ta szczególna łączność, jaką z nimi nawiązała, choć były to postacie stworzone w jej wyobraźni, stopniowo prostowały kręte francuskie wspomnienia, zwłaszcza tego pocałunku Michaela. Jego dotyk wyblakł w jej pamięci niczym napis na paragonie fiskalnym. To skojarzenie przyszło jej nagle do głowy i przypomniała sobie, jak kiedyś wyciągnęła z samochodu zwitek takich starych kasowych wydruków. Niektóre z nich musiały leżeć tam dawno, bo były prawie białe, wystawione na promienie słoneczne. Te na wierzchu były dość wyraźne. „Musimy je zbierać, tak na wszelki wypadek, na przykład jeśli chcielibyśmy złożyć jakąś reklamację” - tłumaczył jej Ludwik, a ona zgadzała się z nim, bo miała wrażenie, że on zawsze ma rację...

„Przecież to bez sensu, tak je zbierać. Te, co wyblakły, na pewno już się na nic nie przydadzą” - pomyślała teraz, zgarniając je do torby. Zrobiła z nich po kryjomu kulkę i wrzuciła do pobliskiego śmietnika.

Rosemarie schowała gazetę do szuflady z mocnym postanowieniem, że wkrótce pokaże ją Indze. Ta odwiedzała ją znacznie rzadziej - miała swoje ważne sprawy, o których najwidoczniej nie chciała rozmawiać. A ją tak bardzo niepokoiły te przyjęte przez córkę zaręczyny i pośpiech w wyznaczaniu daty ślubu.

„Ach, żeby stał się cud i nie wyszła za Ludwika!” - westchnęła. Dwa dni temu postanowiła, że zrobi wszystko, by jak najszybciej pojechać do Pustników. Musi jeszcze raz zobaczyć tamten świat, może nawet uda jej się spotkać Helenę Kres w pobliskim Biskupcu? Coś ją tam ciągnęło, obawiała się nawet, by nie był to wstęp do starości i próba uporządkowania wspomnień i przeszłości... Nie zawsze łaskawej, jak na przykład to zranienie przez Gustawa. Wiele razy myślała o jego zdradzie, o tym, że nie chciała z nim dalej żyć. O tamtym wyznaniu w dniu ślubu i odrzuceniu jego deklaracji. Może gdyby była mniej stanowcza i dumna, nie byłaby dziś kobietą samotną, a Inga miałaby ojca? Tymczasem... Wszyscy wyszli z tego poranieni.

Z biegiem lat takie myśli nachodziły ją coraz częściej, złość na Gustawa znikła, a w jej miejsce pojawiło się ciche przebaczenie i próba zrozumienia tego, co zrobił. Chciał być wobec niej uczciwy. Przyznał się przecież.

Dojrzała już do tej ciekawości, jak potoczyły się jego dalsze losy. Miała dość siły, by bez zbędnej egzaltacji stawić czoła wieściom o nim, gdyby skądś nagle nadeszły. Ale one nie przychodziły, sama zresztą nie starała się o to. Nie wiedziała, czy po rozstaniu z nią związał się z tamtą kobietą, czy wspólnie wychowywali tamto dziecko? Pamiętała wciąż złość, z jaką zrywała gałązki asparagusa z sukienki, jakby nie chcąc się narażać na śmieszność, biel materiału traktując jedynie jak marne przebranie.

Te wszystkie myśli powróciły pod wpływem lektury wspomnień. Mimo że nie były one bezpośrednio związane z jej życiem, a jedynie z jej matką i losami dawnych właścicieli Pustnicka, to jednak tamten czas powracał do niej. Wspomnienia mają bowiem tajemniczą siłę zaplatania się w łańcuchy. Jedno ich ogniwo przechodzi w kolejne, wyzwalając tym samym wielką chęć dotknięcia przeszłości.

W chwili, gdy te ogniwa łączyły się beztrąsko w jej pamięci, Inga wrzucała kulkę z paragonów fiskalnych do śmietnika, przez chwilę myśląc o matce i o tym, że chyba ją ostatnio zaniedbała. Wybrała więc znajomy numer na klawiaturze telefonu.

Znajome dźwięki wyrwały Rosemarie z zamyślenia. Muzykę Yanna Tiersena do filmu Amelia miała ustawioną tylko na córkę. To skojarzenie filmowej Amelii z jej Ingą nie było przypadkowe. Inga chyba w podobny sposób chciała zbawiać świat, nie zwracając uwagi na siebie. Dlatego wciąż była z Ludwikiem - zapatrzonym w siebie egoistą, który nie doceniał jej poświęcenia. Może to była kolejna misja dobra w życiu córki?

- Tak, kochanie? zapytała radośnie. Nie pamiętała już o tym, że córka niedawno jeszcze ironizowała z jej wspomnień i przeszłości.

Matki zawsze szybko zapominają, oddzielają kreskami niepamięci wszystkie złe wydarzenia, które były dziełem ich dzieci, nawet tych dorosłych. Nie ma nic prostszego na świecie, niż uzyskać wybaczenie matki. Czasem ma się wrażenie, że dzieci mają owo wybaczenie zapewnione odgórnie, a wszystko, co zrobią, jest im poczytane za dobro lub w najgorszym wypadku za brak zła.

- Mamo, jesteś dziś w domu? - usłyszała głos Ingi.

- Tak.

- Wpadnę do ciebie, bo jestem w pobliżu. Skończyłam coś ważnego i mam ochotę trochę odpocząć, zobaczyć się z ludźmi, pogadać.

- Jasne, pójdziemy na spacer albo zrobimy wspólnie obiad.

- Wybieram to drugie, bo jestem bardzo głodna.

- Wspaniale, zatem czekam na ciebie.

Inga przywiozła sok porzeczkowy. Obie lubiły jego prosty, cierpkawy smak - nieuchronnie kojarzył się z wsią, z kulkami czarnych owoców, obrywanymi łapczywie latem.

- W naszym ogrodzie rosła czarna porzeczkawspomniała Rosemarie.

- Gdy byłaś mała, zrywałaś owoce, a ja ci mówiłam, że jak będziesz je jadła, nie zachorujesz na serce. Pamiętasz?

- Tak, pamiętam - powiedziała Inga, wycierając kąciki ust językiem.

- Tak, i tamten ogród też pamiętam. Na środku rosła lipa. I takie rośliny dziwne pamiętam, pokrzywione, jakby puchate, z drobnymi zielonymi igielkami.

- To asparagusy, wszyscy we wsi je mieli. Do ślubu mi mama sukienkę nimi przystroiła! - roześmiała się Rosemarie.

- Dziś już się tak nie robi na pewno, nawet na polskiej wsi.

- Zapewne nie, ale wtedy tak było. To było inne życie...

- Czy to znaczy, że nie jesteś szczęśliwa, że żyjesz tutaj, w Niemczech?

- Nie, kochanie, ale to znaczy, że mam w sercu wiele ciepłych wspomnień tamtego kraju. Ja wiem, że pewne chwile już nie wrócą. Coraz częściej o tym myślę, że coś przeminęło nieuchronnie, a ja próbuję to jeszcze ocalać w zapachach albo smakach, jak na przykład w tym soku porzeczkowym.

A potem poszły obie do kuchni i przygotowały obiad. Towarzyszył im szum radia, brzęk naczyń i cicha rozmowa.

- Wiesz, Helga przyniosła mi pewną gazetę. Jest w niej wspomnienie napisane przez Helenę Kres, gospodynię w dawnym dworze w Pustnicku. Chciałabym, byś je przeczytała - odezwała się Rosemarie już przy poobiedniej herbacie.

- Oo, to może być ciekawe. Czy jest coś o naszej rodzinie?

- Niewiele. Jest parę słów o twojej babce Hildzie i jej nieszczęśliwym małżeństwie.

Podawała Indze gazetę, ta schowała ją do torby, nie zaglądając nawet, po czym wróciła do stołu.

- Mamuś - zwróciła się do Rosemarie polskim zdrobnieniem - wkrótce z Ludwikiem ustalamy datę ślubu...

- Świetnie. Cieszę się!

- Oj, chyba niezbyt się cieszysz. Przecież wiem, że nie na rękę ci moje małżeństwo z Ludwikiem.

- Cieszę się, bo mam nadzieję, że tak jest dobrze dla ciebie. Nie ja z nim będę żyła.

- Ale mogłabyś mnie wspierać, cieszyć się moim szczęściem!

- Kochanie, cieszę się tym, że ty się cieszysz. I nie mów, że cię nie wspieram, po prostu mam swoje zdanie o nim i niezbyt dobre przeczucia.

Inga zamieszała herbatę małą łyżeczką, popróbowwała. Trzeba posłodzić. Zielona herbata lekko gorzknieje, a wtedy cukier okazuje się jedynym panaceum na tę nieprzyjemną dla niej goryczkę.

- Inga, jesteś już dorosła, masz swoje czterdzieści lat. Ale to nie znaczy, że to ostatni dzwonek, że nic się już w twoim życiu nie wydarzy. Po prostu uważam, że Ludwik nie jest dobrym towarzyszem na resztę życia. Czy na pewno wiesz o nim wszystko?

Inga spojrzała na matkę czujnie. Czyżby się domyślała, że ją zdradził? Czy matki zawsze muszą mieć intuicję, jakiś szósty zmysł, którym posługują się w chwilach decydujących o życiu ich dzieci?

- Mamo, nigdy się nie wie o nikim wszystkiego - powiedziała wolno, żeby wy badać, czy matka wie, czy była to tylko jej asekuracja.

- Jasne, ale mam złe przeczucia. On jest taki... Kiedyś, wiosną, widziałam go, szedł koło ratusza. Z jakąś koleżanką, blondynką. Śmiał się do niej i patrzył tak, jak patrzy na kobietę zafascynowany nią mężczyzna. Może to była tylko koleżanka?...

- Mamo... - Inga domyślała się, o jakiej kobiecie mówi matka. Ale to przecież przeszłość, mówił, że się rozstali, że to, co było między nimi, nic nie znaczyło.

- Ingo, ja wiem, że to świetny facet, przystojny, elegancki, z manierami. Ja to wszystko rozumiem. Ale to jego nieszczere spojrzenie nie daje mi spokoju, mam złe przeczucia.

Chwilę milczały obie. Było to milczenie zawieszonych w powietrzu słów i myśli. Czulo się, że oto między tymi kobietami dojdzie do ważnych wyznań.

- Mamo, wiem, że z kimś się spotykał - powiedziała wreszcie Inga, nie chcąc dłużej ukrywać prawdy przed matką.

Ręka Rosemarie zatrzymała się powietrzu w momencie, kiedy sięgała po nóż, by ukroić kawałek ciasta.

- Jak to, z kimś się spotykał? ty mówisz o tym tak zwyczajnie, spokojnie? Inga, kiedy to było?! Zdradził cię?! Wybaczyłeś mu?!

- Mamo, nie męcz mnie, proszę.

- Wciąż z nim jesteś, mimo że cię oszukał?! - Jej głos stał się donośniejszy, bardziej stanowczy.

- Wybaczyłam mu, bo uważałam, że tak będzie dla nas lepiej - usprawiedliwiała się Inga cicho.

- Od początku miałam złe przeczucia, od początku wiedziałam, że to nie jest mężczyzna dla ciebie! - Rosemarie, wyraźnie zdenerwowana, mówiła tym swoim stanowczym, donośnym głosem, jak wtedy, gdy rozstawała się z Gustawem. - Jak go tylko spotkam, to z nim porozmawiam!

- Nie, nie rób tego!

- Nie pozwolę, by ten niedojrzały amant zmarnował ci życie!

- Nie mów tak. Nie masz prawa. Bo może gdybyś wtedy wybaczyła zdradę ojcu, to bylibyśmy normalną rodziną?! Myślisz, że to dobrze nie mieć ojca?

- Akurat to wiem... Też nie miałam ojca... - odpowiedziała wolno matka. Zabolalo. Inga dotknęła swoimi słowami miejsca w jej duszy, które wciąż bolało, pozostało niezabliźnione latami rozpamiętywań i przemyśleń.

Zapadła cisza. Ani Rosemarie, ani Inga nie wiedziały, co mają teraz powiedzieć, jak się zachować. Obie były zranione na swój sposób. Monotonne mieszanie herbaty, zbieranie okruchów ciasta z talerza, odgłos bijącego dzwonu na kościelnej wieży. Wystarczyło tylko wyjść z domu i już stało się na chodniku prowadzącym do kościoła. Rosemarie czasem tam zachodziła, by pobyć w ciszy. Zapagnęła nagle usiąść w drewnianej ławce i po prostu rozplakać się, przez nikogo nie niepokojona.

Pierwsza odezwała się Inga. Widocznie przeanalizowała w tej ciszy swoje zachowanie.

- Przepraszam, głupio się odezwałam, nie powinnam była.

- No, dobrze, już dobrze, też często się zastanawiam, czy wszystko w moim życiu pobięło właściwym torem...

Rosemarie dotknęła pleców córki. Zauważyła, że figura Ingi zmieniła się, nie była już tą sprzed dziesięciu lat. Szczupłe do tej pory ramiona córki zaokrągliły się lekko, lekkie pochylenie ciała do przodu wskazywało, że to kobieta w coraz dojrzałym wieku. Inga wciąż jednak była interesująca i zadbana. Mogła podobać się mężczyznom. Dlaczego wybrała właśnie tego?

- Opowiedz, w jaki sposób cię skrzywdził? - zadała jej pytanie, odpowiadając na swoje myśli.

- Nie wracajmy do tego, mammo.

- Chcę wiedzieć.

- To było tam, na wycieczce. Po prostu weszłam w nieodpowiedniej chwili do hotelowego pokoju.

- Żartujesz?

- Nie, nie żartuję. i opowiedziała całą historię, zrzucając ją z serca jak niepotrzebny bagaż.

- Ale już wszystko jest dobrze, mammo, on z nią zerwał, nie ma do czego wracać - zapewniła na koniec.

Rosemarie spojrzała uważnie na córkę.

- Jak możesz po czymś takim znów z nim być? To niedorzeczne. On nie szanuje ciebie, bo gdyby cię szanował, nie skamlałby w ten niemęski sposób o twoją litość.

- Mammo, daj już spokój, wybaczyłam mu, czasem trzeba wybaczyć takie rzeczy. Może się zagubił na chwilę? Każdemu trzeba dać szansę. On się zmienił, mam wręcz wrażenie, że coś zrozumiał i dał mi więcej wolności. Nie reaguje tak zazdrośnie, gdy piszę, nie muszę codziennie czekać na niego z obiadem, jest mniej absorbujący.

- Ingo, nie jesteś jego służącą. Masz czterdzieści lat i nie wiesz o tym, że twoim obowiązkiem nie jest czekanie na niego z posiłkiem? Jest mniej absorbujący, bo pewnie wciąż spotyka się z tamtą kobietą, nie rozumiesz?

- Nie ustalałby przecież daty ślubu. Po co miałby brać ze mną ślub, skoro kocha inną?

- A nie przyszło ci do głowy, że kocha was obie, ale ty jesteś jego bezpieczną przystanią, do której powraca po pełnym wrażeń rejsie?

Inga przekręciła w palcach kosmyk włosów i zaczęła go nad czołem. Kosmyk zawisł jak śmieszny loczek.

- Popatrz, mam grzywkę! - roześmiała się nagle jak dziewczynka. To rozbawiło również Rosemarie.

Śmiały się obie, bo przypomniało im się, jak mała Inga w dzieciństwie bawiła się w taki sposób włosami. Śmiech oczyścił ich napięte dusze, wymiół z nich te emocje, których nadmiar powoduje w organizmie liczne choroby psychosomatyczne. Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że złe myśli, zbijane w kulkę w naszych duszach, pękają kiedyś jak bolesne wrzody i zamieniają się w dolegliwości, których zwalczanie trzeba powierzyć lekarzom.

Kiedyś człowiek żył zgodnie z prawami natury, jej cyklem i ukołysany jej wyrokami. Ta otwartość sprawiała, że widział związki między stresem a stanem zdrowia człowieka. Psyche i soma były jak mąż i żona, sen i jawa, ziemia i zboże. Jedno wynikało z drugiego. Dopiero później nowożytna medycyna przecięła ten związek jak węzeł gordyjski, każąc ślepo ufać biologicznomechanicznemu spojrzeniu na ludzki organizm.

Na szczęście byli i tacy, którzy wciąż wierzyli w łączność ciała i duszy, w te sznureczki, które zapewniają odwieczną wymianę energii. Lekarze Franz Aleksander czy Flanders Dunbar, silnie wierzący w te związki, byli przede wszystkim psychoanalitykami. Zte emocje i wspomnienia, nadbudowywane latami w ludzkiej pamięci, tworzące trwale ślady pamięciowe, sprawiają, że z czasem w ciele tworzy się ognisko chorobowe. W to właśnie wierzyła Rosemarie, bo ona należała do tamtego świata, który w sposób naturalny doceniał połączenie myśli z ciałem i duszą człowieka. Czasem z prostoty życia wynika więcej niż z jego wystawności.

Po oczyszczeniu śmiechem obie miały wrażenie, że splukały się przyjemną chłodną wodą. Temat, który poruszyły, stał się nagle lżejszy i bardziej odległy, ale tak naprawdę tylko w duszy Rosemarie zapanował spokój. Ona wciąż potrafiła bowiem fascynować się rzeczami prostymi, czuć przyjemny skurcz w dole brzucha na myśl o pięknie czy spokoju duszy. Ich wspólny śmiech sprawił jej podobną przyjemność, Inga natomiast wciąż myślami wracała do złych wspomnień i karmiła się tamtym przeżyciem. Może to dlatego, że nie chciała o tym rozmawiać, wołała wszystko w sobie tłumić, wciskać jak wielkim tłokiem strzykawki z powrotem w swój umysł?

Gdy Inga wyszła, Rosemarie wstawiła naczynia do zmywarki i sięgnęła po album ze zdjęciami. Niewiele z nich ocalało z tamtych czasów, twarze i zarysy postaci blakły, jednak nie dla nich Rosemarie postanowiła spotkać się z przeszłością. Dziś chciała wskrzesić w sobie pamięć krajobrazu, który pozostawiła tam, na Mazurach, wiele lat temu. Świat, który ją otaczał, dotykał gałazkami lub źdźbłami trawy, fascynacja żywiołami, choćby groźną śnieżycą zasypującą dom z każdej strony, sprawiającą, że trzeba było kopać tunel, by przeprawić się do drogi. Żywioły były mazurską codziennością. Na tych obrzeżach świata

zmienność pogody i jej surowe wyroki uczyły ludzi pokory i poczucia przynależności do wszechświata. Kiedy tylko zrywał się wiatr, matka stawała w oknie i mówiła:

- Diabeł jedzie na wesele.

Albo:

- Koń leci przez chmury.

Albo:

- Pewnie ktoś się powiesił.

Tamtej wiosny, w czterdziesty pierwszym, mówiło się jeszcze:

- Zmora bije się z wiosną.

Matka opowiedziała jej kiedyś o tym, a w pamięci Rosemarie wciąż tkwiła opowieść o zmorze zaplatającej koniom grzywy i ogony. Mogła też dręczyć ptaki, drzewa i ogień.

Kiedy na niebie pojawiała się tęcza, matka mówiła:

- Człowiek zatonął i tęcza go wypła.

A Rosemarie już wyobrażała sobie topielca najeziorku Gielądzkim, bo wtedy jeszcze cały jej świat to były Pustniki i to jezioro, otoczone lasami, i widziała w myślach groźną, piękną tęczę wypijającą z człowieka duszę. A przychodząca do nich stara Bruderkowa powiadała jeszcze:

- Jak na niebie tenca jest, to descu nie będzie. Pan Bóg ukarał ludzi potopem i dał im tence, cyli znak, że ziencej karać ich nie bendzie.

Szara fotografia. To dom Heimannów. Okna kuchni, w której pracowała matka. Jak wiele dała jej ta prosta, niewykształcona kobieta! Więcej niż te wszystkie szkoły, przez które potem przeszła. Stoi tu na tle pałacu, ubrana w prostą bluzkę i spódnicę, jeszcze niezamężna, jeszcze bez córki na świecie.

Inna fotografia. Ścieżka prowadząca niby do ogrodu. Tak naprawdę prowadziła na rodowy cmentarz. Dalej drzewa majestatycznie prężące się ku górze, i płaszczynajeziorka Gielądzkiego, niemego świadka pustnickich miłości i śmierci. Na tym tle kilka osób, pewnie służba. Jest i matka. Ta sama bluzka, ta sama spódnica. Z boku stoi mały chłopczyk z patykiem w dłoni. To chyba mały Erich, syn Ignaza Heimanna, wnuk Gustawa, tego, u którego służyła matka. Tak, to on, na pewno, matka nawet śmiała się, że to młody dziedzic. To o nim opowiadała Helena Kres, że ożenił się z Ewą, już po wyjeździe z Polski. Tu jednak stoi beztroski, uśmiecha się lekko spod krzywo przyciętej grzywki. Przypomniała sobie nagle słowa pani Heleny:

Jak wróciliśmy, to Heimannów już nie było, ponoć podzielili się całą rodziną i uciekli do Niemiec. Człowiek pozapominał już ludzi i imiona, ale raz, przez przypadek, usłyszałam

znów to nazwisko, jak mówili o katastrofie, i pamięć mi wróciła. Zanim jednak opowiem o katastrofie, to jeszcze wrócę do Heimannów. Dbali o dzieci swoich pracowników, jak już powiedziałam, a jak się urodziła Rosemarie, dziecko z tego małżeństwa z nieboszczykiem, to o nią też szczególnie dbali, ubrania jej dawali i słodycze, mówili: biedne dziecko, nie ma ojca, to choć niech ma słodkie życie. Przychodziła tu czasem, chudzinka, do matki, do kucharki, mała była taka, ale patrzyła mądrze na nas jak jakiś' dorosły. Opowiadaliśmy jej o świecie całym, o cudach, o kautkach, czyli krasnoludkach, cośmy je niby czasem widywali, a mała słuchała z buzią otwartą.

Tak, te kautki pamięta. Chyba wtedy pojawiły się właśnie pierwsze wspomnienia dzieciństwa. Kautki miały pomagać ludowi mazurskiemu w codziennej robocie. Nosiły małe czapeczki i buciki. Rosemarie marzyła, że hoduje te kautki w wielkim stoju na ogórki, szyje im ubranka i wyprowadza na spacer na kwietne łąki. A potem buduje karocę zaprzęzoną do ślimaków i pozwala na powolne podróżowanie. Tak bardzo wierzyła w swoje marzenia, że czasem nawet chodziła sama po polach i łąkach i mówiła do siebie, jakby do swoich małych przyjaciół. Matka szeptała wtedy do babki:

- Mała znów gada do siebie.

A babka żegnała się i odpowiadała:

- Pilnuj jej, niech na te pola nie chodzi, bo ją babojędza weźmie!

Bali się wszyscy babojędzy, czyli żytniej babki, która ponoć porywała dzieci chodzące samotnie po polach. Dawne to były wierzenia, powinny były już zniknąć z tej mazurskiej świadomości, ustąpić miejsce innym, bardziej współczesnym i wytłumaczalnym, jednak w Pustnicku świat się jakby zatrzymał. Do dziś w snach Rosemarie powracały czasem pracowite kautki. Zwłaszcza, gdy nie chciało jej się sprzątać...

Mieli w Pustnicku ludzie prawo do łowienia ryb. Robiliśmy je potem na różne sposoby, popularna była zupa rybna, cośmy ją nazywali „ucha”. Ile ja się wtedy ryb najadłam, bo jeziora pełne ich były, potem to jakby już wszystko wyłowione zostało, ryb coraz mniej, jak na lekarstwo. To i podrożały, ale dawniej ryby na porządku dziennym mieliśmy. Hilda, ta kucharka, rybę świetnie zrobić umiała, szczupaka faszzerowanego, marchwi dodawała dużo, bo w ogrodzie rosła zawsze, za pałacem. Ten szczupak aż pomarańczowy był od tej marchwi, i do paszтетów też dawała, dobre były, z gałką, przyprawą.

Ryby. Kojarzyły się jej z Mazurami. Czemu teraz tak rzadko robi je na obiad? A przecież ich smak wyniosła z tamtego domu. Musi zrobić rybę i zaprosić Inge. Musi zaplanować wyjazd na Mazury i jakoś przekonać córkę, że powinna z nią jechać. Przeszłość

wróciła do niej nagle przez te wspomnienia, a potem przez smaki i obrazy, które zapamiętała z tamtych lat.

\W srebrna w błękitach rozwiła wokół ły (…), jam ją zrozumiała, lecz nie wiem, czy ty?

Ludwik wrócił dziś do domu wcześniej niż zwykle. Pocałował Inge na powitanie, ona podała mu kolację. Otworzyła butelkę czerwonego wina.

- Mam dziś dobry dzień, wysłałam moją książkę do wydawnictw. Dotzymałam wyznaczonego sobie terminu - powiedziała mu szczęśliwa. - Teraz kolej na ciebie. Musisz dotrzymać słowa.

- To znaczy? - spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Mieliliśmy wyznaczyć datę ślubu.

- Ach, rzeczywiście. Zatem, podaj kalendarz - roześmiał się.

Inga wyciągnęła z torebki zielony notes. Ludwik nalał wino do kieliszków i szybko wziął łyka, jakby w obawie, że na trzeźwo może się nagle zawahać, poczuć jakieś wyrzuty sumienia. Znieczulony alkoholem zaznaczył pierwszą lepszą datę, odpowiednio odległą, by się z nią oswoić. Spojrzał na Inge. Była jego spokojną przystanią, gdy wracał z pełnego wrażeń rejsu... Była zdecydowanie lepszą kandydatką na jego żonę. Marta nie umiała gotować, nie znosiła prac i sprzątać po kimś. I jeszcze ta Ingi łatwość wybaczenia... Kiedyś przeczytał w jakimś piśmie, że kobiety są głupsze społecznie. Powiedział tak pewien psycholog z Olsztyna. Przedruk tego artykułu znalazł się w niemieckiej prasie. Inga zareagowała burzliwie na to sformułowanie, a on po cichu przyznał rację tamtemu. Choć zdziwił się, że wykształcony człowiek pozwolił sobie na taki kolokwializm. W jego poczuciu, to była jednak prawda. Miał bowiem wrażenie, że 'nga jest od niego głupsza społecznie i na pewno będzie przez to dobrą ' oddaną żoną.

No cóż... Wciąż bywają tacy mężczyźni, którzy uważają, że prowadzenie domu i uległość mężczyźnie są głównymi zadaniami kobiety.

Jej pasje to zwykle fanaberie, a do takich na pewno należały marzenia Ingi o pisaniu książek. Znosił je cierpliwie, z nadzieją, że po ślubie wywietrzeją jej z głowy. A jeśli nawet nie, to trzeba pomóc losowi, by tak się stało...

Myśli Ingi od pewnego czasu kręciły się wokół ślubu i radosnego oczekiwania na opinię z wydawnictw. O niczym innym nie mogła myśleć. Rozpoczął się rok szkolny, Inga wypełniała swoje obowiązki poprawnie, lecz bez pasji. Pierwsze spotkanie z Martą na szkolnym korytarzu sprawiło, że policzki obu kobiet poczerwieniały, a drżenie serca

wywołało drżenie rąk. Żadna z nich nie odezwała się pierwsza, wzrok Ingi był groźnie wtopiony w oczy Marty, a tamta po prostu uciekła spojrzeniem.

Każde następne spotkanie było już mniej bolesne, obie wiedziały, że będą się mijać na jednym korytarzu, w jednym pokoju nauczycielskim. Inga znosiła to dzielnie, choć wyobrażenia wciąż podsuwała jej dawne obrazy. Karmiona bolesnymi wspomnieniami, miała wrażenie, że czuje się coraz słabiej.

Nie rozmawiała o swoich emocjach z Ludwikiem aż do dnia, gdy ogłosili wśród nauczycieli swoją oficjalną datę ślubu. Kątem oka widziała, jak Marta patrzyła wtedy na nich, dla Ingi mając spojrzenie harde i lekko bezczelne. Inga zauważyła wówczas, że Marta w ogóle nie przejęła się faktem zaślubin, jakby od dawna wiedziała, że ich ślub ma się odbyć za dwa miesiące. Odpychała od siebie to wrażenie, mówiąc, że coś się jej na pewno zdawało.

Frank podszedł wtedy do Ingi i powiedział na ucho:

- Życzę szczęścia, choć radzę, byś się dobrze zastanowiła.

Inga machnęła z uśmiechem ręką:

- Frank, daj spokój.

I odeszła.

Świat wysyłał jej tyle sygnałów, ale ona nie rozumiała żadnego z nich. Może gdyby odziedziczyła po matce tę szczególną zdolność zawierzania intuicji i umiejętność czytania ze znaków... Jednak ona nie należała już do tamtego świata, w którym rządziły żywioły i prosta wiara w magię codzienności. Jej światem była nowoczesność i chłodny racjonalizm, który jest panem zwykłych sytuacji. Wszystko można wytłumaczyć, wszystkiego dotknąć. Czasem, by zmienić ten racjonalny sposób myślenia i patrzenia na świat, człowiek musi przeżyć głęboką traumę, otrzymać od życia ciężar, który wydaje się niemożliwy do uniesienia. Jednak nie pojawia się on w życiu niepotrzebnie. Bo nawet najgorsze zło można przekuć na dobro.

Nieprzeczytane wspomnienia Heleny Kres wciąż leżały w wiklinowym koszyku z gazetami. Matka wielokrotnie przypominała Indze, że obiecała do nich zajrzeć, jednak ta wciąż wykręcała się brakiem czasu. Pozostał zaledwie miesiąc do ślubu, miał być skromny, zakończony rodzinnym obiadem, Ludwik kupił już obrączki, a ona - ślubną kremową sukienkę. Ostatnio czuła się trochę gorzej, w piersiach narastał jakiś ciężar i nawet wchodzenie po schodach do domu sprawiało jej lekką trudność. Zrzuciła to wszystko na stres i nerwy, które jej wciąż towarzyszyły. Przygotowania do ślubu, oczekiwanie na odpowiedź z wydawnictw. Czasem dopadało ją przekonanie, że powinna odwołać ten ślub, dopóki nie ma pewności, że to dobra decyzja. Brakowało jej jednak na to siły i przekonania.

Pewnej soboty miała wolny dzień. Ludwik wyjechał na kolejne spotkanie ze sportowcami, które zwykle ją bardzo nudziły i chętnie zostawała w domu. Postanowiła pójść do perfumerii Chris, niedaleko ratusza. Lubiła do niej zachodzić, bo panował tam spokój; pociągała ją też atmosfera luksusu. Wyjęła z szafy płócienną spódnicę, z szafki pantofle. Dobrze, że mimo początków jesieni pogoda wciąż jeszcze dopisuje, nie trzeba zamęczać się ubieraniem, przebieraniem, całym tym konfekcyjnym zamieszaniem - wystarczy wrzucić na siebie to, co pod ręką. Pod ręką była również torebka. Stała na komodzie, obok lustra. Chwyciła ją w pośpiechu, aż spadła koronkowa serwetka. Kiedy schyliła się, by ją podnieść, zauważyła, że wraz z serwetką spadły też klucze od skrzynki na listy i kulka z papieru.

„Pewnie znów jakiś paragon z kasy fiskalnej” - pomyślała i sięgnęła po papierek, by go wyrzucić. Ale... może się przyda do jakiejś reklamacji? Rozłożyła karteczkę na dłoni, nadruk był wyraźny. Inga pochyliła się i przeczytała listę zakupionych towarów: wino, szampan, czekolada gorzka, czekolada z orzechami, prezerwatywy, żel pod prysznic, pasta do zębów. Adres sklepu: Delikatesy przy ulicy Tannenkopf.

Zadrzała. Nigdy nie była w tym sklepie. To na obrzeżach miasta, zbyt daleko, by jechać tam po mąkę lub chleb. To nie był ich wspólny paragon, >ch wspólne zakupy, a te prezerwatywy... Nie używali ich! Zastanowiła Sę, gdzie dokładnie są te delikatesy. Tak, w ich pobliżu jest ten elegancki hotel! Zatem... Czy on, Ludwik, spotykał się tam z Martą? Czy to były jego zakupy?

Teraz wiedziała, że dlatego zniknął na całe dni, szybko zasypiał, nie interesował się nią i domem. Zwlekał z ustaleniem daty ślubu, a te wszystkie pełne miłości esemesy do niej wysyłał pewnie po tym, jak wychodził od tamtej. By uspokoić własne sumienie, dać znak, że żyje, pamięta... By usnąć jej czujność. Tak na wszelki wypadek.

Poczuła, jak zalewają ją fale duszności nieznanych jej wcześniej, jak zaczyna jej brakować powietrza, a ból w plecach opasuje jej klatkę piersiową niby stalowa obręcz drewnianą beczkę. Zlekceważyła jednak ten ból, jakby nie dotyczył jej ciała i duszy, która otrzymała potężny cios. Czy iść z tym wszystkim do matki i powiedzieć jej o tym? Ale ona na pewno powie: a nie mówiłam? Ostrzegałam cię przecież!? Bała się tej konfrontacji, bo w myślach tyle razy wyśmiewała matkę za jej przeczulenie i przywiązywanie wagi do przeczuć. Teraz musiałaby przyznać jej rację. Co zatem z tym robić? Czy stłumić w sobie? Udawać, że o niczym nie wie? To drugie rozwiązanie wydało jej się rozsądniejsze, zwłaszcza w tej sytuacji, kiedy na ślub zaproszeni są już ich wspólni goście.

Napiła się koniaku. Jeden kieliszek. Po nim następny. Ból minął, bo odprężone mięśnie odpuściły. „To pewnie jakieś nerwobóle” - pomyślała. Usiadła na fotelu i zaczęła

plakać. Tak bardzo, że ból znów wrócił, był teraz lekko rwący. Przestraszona, przestała łkać i nasłuchiwała, jak jej serce powoli uspokaja się, a łzy wysychają. Ból złagodniał, ale wciąż jeszcze powracał z każdym oddechem dziwnymi dusznościami. „Coś się ze mną dzieje” - pomyślała, nalewając znów koniaku do kieliszka. Postanowiła, że nazajutrz pójdzie do lekarza.

- Nie widzę tu nic niepokojącego, to na pewno alergia - powiedział jej starszy pan w jasnym kitlu. Jej rodzinny lekarz cieszył się wprawdzie autorytetem wśród pacjentów, jednak coraz częściej mówiło się o jego wieku i zdrowotnych konsekwencjach nieuchronnego upływu czasu. Podobno wciąż o czymś zapominał.

- Czy miała pani wcześniej jakieś uczulenie? Na cokolwiek? - spojrzał na nią, chowając stetoskop.

- Nie, nigdy - powiedziała zgodnie z prawdą. Zawsze była zdrowa, nawet katary dopadały ją rzadko. Zresztą, w jej karcie wszystko było czarne na białym. Wystarczyło spojrzeć.

- No cóż, w pewnym wieku pojawiają się choroby, jakich wcześniej nie mieliśmy... - powiedział lekarz przeciągle, a Indzie wydawało się, że szczególnie zaakcentował to: „w pewnym wieku”. Jakby chciał jej dać do zrozumienia, że radosna młodość już za nią i teraz wszystko, na co pracowała swoim stylem życia, upomni się o nią.

Lekarz ostatecznie stwierdził, że to alergia. Przepisał lekarstwa i zachęcił do wykonania testów.

Inga nie powiedziała Ludwikowi o wizycie u lekarza. Ten wrócił do domu późno jak zwykle. Wymawiał się przedłużającym się spotkaniem, machnęła tylko głową na znak, by dał już spokój, czuła się zbyt słabo, by teraz z nim rozmawiać. Nie chciało się jej nawet poruszać sprawy paragonu. Czuła irracjonalny lęk przed zadaniem pytania, jakby bała się odarcia ze złudzeń. Tłumaczyła sobie nawet, że mógł to nie być jego paragon, czasem przychodzą do nich przecież znajomi, wieszają nad komodą kurtki, bluzy, torby. Mógł po prostu wypaść któremuś z nich.

Duszności z każdym dniem stawały się silniejsze. Ingę męczyło wszystko, nawet mycie mopem podłogi, choć bywały chwile, że czuła się lepiej. Nie zdawała sobie sprawy, że zwykła alergia tak może dokuczyć...

- Być może to dolegliwości ze strony oskrzeli - zastanowił się lekarz, gdy znów poszła do niego, zaniepokojona swoim stanem.

- Czy ma pani w rodzinie jakieś choroby genetyczne? - zapytał po chwili.

- Nie, chyba nie mam - powiedziała, myśląc jedynie o matce i babce. Skąd miała wiedzieć, jakie choroby wnieśli do rodziny zmarły dziadek Erich lub nieznany ojciec Gustaw?

Dostała kolejne lekarstwa. Były w metalowych pojemnikach, jak aerozol. Miała wciągać je ustami, po naciśnięciu na specjalny przycisk. Po pierwszej aplikacji nie poczuła się lepiej, po kolejnej ucisk w klatce piersiowej jakby lekko ustąpił. Lekarz zalecił jej dodatkowo leki przeciwbólowe, mające zlikwidować ten bolesny ucisk. Tabletki stłumiły go, może nawet całkowicie, ale po raz pierwszy od kilku dni poczuła lekką ulgę. Nie wykonywała żadnych forsujących ją czynności, bo zwyczajnie nie miała siły - Unikała spacerów wśród kwiatów, które, mimo że chylity się już do Jesieni, mogły jednak wydawać na świat zdradliwe pyłki, powodujące nawet u niej wcześniej reakcję alergiczną.

Dostała kilkudniowe zwolnienie. Była wyraźnie osłabiona i blada, lekarz uprzedził ją, że tak właśnie jest przy alergii, a te cienie pod oczami to również książkowy objaw. Ludwikowi powiedziała, że cierpi na silną infekcję. W obawie przed zachorowaniem wyprowadził się do drugiego pokoju. Inga obawiała się, że po prostu nie chciał być blisko niej. Tym lepiej, z pewnej odległości łatwiej obserwuje się człowieka.

Któregoś dnia przyszła do niej matka. Ktoś w sklepie jej powiedział, że Inga nie chodzi do pracy.

- Jesteś na zwolnieniu i nic mi o tym nie mówisz? - W jej głosie celowo śmiech mieszał się z pretensją.

- Nie chciałam cię niepokoić.

- Dzieci zawsze tak mówią. Nie chciałaś niepokoić, a teraz to niby co robisz?

- Oj, mam...

- Nie wyglądasz dobrze. - Matka spojrzała na córkę badawczo.

- To zwykła alergia.

- O tej porze roku? Już prawie nic nie pyli! Poza tym przecież nigdy nie miałaś alergii, żadnego uczulenia, no, może poza tym od słońca. Wszystkie dzieci miały krosty po truskawkach, pomidorach, a ty nic! Nigdy nie kichałaś, gdy chodziłaś w trawach większych od ciebie! To jaka to może być alergia? Skąd?

- Coś widać mnie uczuła.

Rosemarie popatrzyła córce w oczy. Były zmęczone, nie błyskały iskierkami jak kiedyś, tylko patrzyły gdzieś smutno w dal. Inga była wyraźnie zmieniona, nie do poznania.

- Czy Ludwik niczego nie zauważył? - Jej myśli nasunęły to pytanie.

- Czego?

- Tego, jak wyglądasz?! Przecież jesteś blada, masz podkrążone oczy.

- To od alergii.

- Jakie leki bierzesz?

Inga pokazała pojemniki na szafce. Rosemarie patrzyła na nie, kręcąc głową. Jej córka poważnie choruje - miała takie przeczucie, nie wiadomo skąd. Matki często mają przeczucia, jakby to była pępowinowa podświadomość, której doświadczają tylko ze swoimi dziećmi.

Nazajutrz zaprowadziła Ingę do swojej lekarki. Widziała, jak Inga ciężko oddycha, wchodząc na pierwsze piętro do jej gabinetu. Lekarka, którą w myślach zawsze nazywała Doktor Sową, bo była podobna do lekko zaspanej sowy, była jej znajomą. Wypytała o objawy, osłuchiwała Ingę stetoskopem. Coś wyraźnie ją zastanowiło.

- Trzeba zrobić prześwietlenie - zawyrokowała. - Dziwię się, że tamten lekarz tego nie zlecił. Przy tak silnych dusznościach to poważne zaniedbanie. Trzeba poznać przyczynę tego stanu.

Serce Ingi mocniej zabiło. Prześwietlenie? A więc to może nie być zwykła alergia? Matka miała jednak rację - to coś poważnego. A jeśli to rak? Poczula, że cała dygocze, duszności stały się jeszcze silniejsze. I ten ból pleców...

- Spokojnie, proszę się ubrać, wszystko będzie na pewno dobrze. Nie miała pani nigdy wcześniej podobnych objawów?

- Nie, nigdy.

- Żadnego kaszlu?

- Jestem zdrowa. To znaczy, byłam, do tej pory - powiedziała Inga lękliwie. Bała się, po raz pierwszy w życiu tak bardzo się bała.

Po prześwietleniu usiadła na krześle w oczekiwaniu na zdjęcie. Tamta lekarka, Doktor Sowa, zleciła, by pracownia wykonała je jak najszybciej. Minuty dłużyły się, Inga popychała je, jakby chcąc przyspieszyć zbyt wolno mijający czas. Na korytarz wyszedł jakiś mężczyzna.

- Inga Sobottka. To pani?

Inga poruszyła się, ale matka ją uprzedziła, wstała wcześniej, wyciągając rękę po kliszę.

- Powinna pani trafić jak najszybciej do szpitala - powiedział mężczyzna, wielki nacisk kładąc na słowo „szpital”.

- Ale co?... - wyjąkała Inga. W oczach mężczyzny widziała niepokój. Znaczy, zdjęcie nie przynosi dobrych wieści.

- Musi pani iść do swojego lekarza. On wszystko wytłumaczy. Proszę się nie denerwować.

Najprostsze do wypowiedzenia słowa: „proszę się nie denerwować” rooga okazać się najtrudniejsze do wykonania. Jak można nie denerwować się, gdy od tej chwili zależy całe jej życie. Za chwilę dowie się, co jej jest, ten czarny arkusz w kopercie jest bezlitosny jak wyrok. Wstała jak automat, chcąc zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem tu i teraz, wzięła to zdjęcie w rękę, nie patrząc na nie, bo i tak nie umiałyby go zinterpretować i, nie czekając na matkę, poszła do gabinetu Doktor Sowy.

Nie wiedziała, że tamten mężczyzna z pracowni zatrzymał matkę i powiedział, że jeśli jej córka natychmiast nie trafi do szpitala, po prostu udusi się. Rosemarie przejęta pobiegła za Inga.

Doktor Sowa przyjęła ją od razu, Inga nie czekała nawet na przyzwolenie innych pacjentów stojących w kolejce. Wiedziała, że musi poznać wynik prześwietlenia teraz, natychmiast. Dość miała już tkwienia w dusznym cieple, które nie pozwalało jej na spacer, sprzątanie, gotowanie, normalne życie. Matka weszła zaraz za nią, zdenerwowana i zasapana.

- Prawe płuco jest zapadnięte, śródpiersie przesunięte w lewą stronę. Nastąpiło zaburzenie wentylacji w zdrowym płucu. Stąd te duszności. Zaniepokoił mnie już wcześniej brak szmeru oddechowego w prawym płucu, dlatego skierowałam panią na prześwietlenie. Powinien to zrobić już tamten lekarz - sucho i rzeczowo wyjaśniła lekarka, patrząc na kliszę.

Inga i Rosemarie oswajały się z diagnozą powoli, z ust lekarki padały bowiem nieznanne słowa, których znaczeń nie rozumiały. Doktor Sowa chyba zreflektowała się i wyjaśniła zdenerwowanym kobietom wszystko jeszcze raz.

- Teraz musicie jechać do szpitala, do Giessen, tam jest szpital uniwersytecki. Zajmą się panią, płuco trzeba odbarczyć. Lekarze włożą dren w płuco i tą drogą wyjdzie powietrze, które jakimś cudem znalazło się w jamie opłucnowopłucnej, a tam być nie powinno. Tyle dni chodziła pani z zapadniętym płucem! Dlaczego tamten lekarz nie zbadał pani, nie kazał wykonać prześwietlenia?! Nie do wiary, wciąż jeszcze lekarze traktują pacjentów masowo, jak przypadki, nie zastanawiając się nad przyczynami chorób - zakończyła wyraźnie zdenerwowana.

- Trzeba zadzwonić po Ludwika, musi nas zawieźć do Giessen, sama nie dam rady prowadzić - odezwała się sucho Inga, opadając ciężko na krzesło. Lekarka była jednak innego zdania:

- Zawiezie panią karetka, zajmę się tym. Za pół godziny będzie pani w szpitalu. Tu każda minuta jest ważna. Mąż zabierze pani osobiste rzeczy i dojedzie potem z mamą, bo na pewno pobędzie tam pani kilka dni.

{JMo że przyjdzie czas, gdy zabraknie Oczom łez, a sercu drzeń

Zjapach szpitala był dla Ingi czymś nieznanym. Nigdy wcześniej nie leżała w szpitalu, dlatego te sterylne korytarze zadziwiły ją i nieco przytłumiły, a sanitariusz, wiozący ją na wózku do przestronnej sali na jakieś badania, krępował.

Inga czuła się coraz gorzej, obojętniała na każdy dotyk i słowo, jej życie jakby zwolniło, oddalało się od niej. Podczas wprowadzania drenu w płuco, w znieczuleniu miejscowym, była już tak słaba, że nagle straciła przytomność. Zapadła w nieznaną jej miękką watę, która pochłonęła ją wolno, jak przyjemny wir. Nie docierały do niej odgłosy z zewnątrz, znalazła się w dziwnym miejscu. Miała wrażenie, że dusi się, brakuje jej powietrza, ale wcale nie chciała go chwycić, bo ciało stało się nagle niepotrzebną powłoką. Poczula, że stoi przed białą płaszczyzną, jakby wyłożoną starannie płytkami, na której wyznaczone były różne poziomy. Inga wchodziła coraz wyżej, a tam robiło się coraz jaśniej. Świat wirował tymi kafelkami jak śniegiem. I coś ją ściągnęło w dół, zrobiło się ciemniej, coraz trudniej było oddychać.

Po chwili usłyszała jakiś trzask, a po nim głos pielęgniarki, który przyniósł ze sobą przyziemne znaczenie słów:

- Wróciła, mamy ją.

To chyba chodziło o nią, że wróciła z tej dziwnej podróży. Otworzyła oczy. Nad sobą zobaczyła pochylone twarze lekarza, pielęgniarek i wydrenowane do samego sufitu ściany, których wcześniej tu nie widziała. ^ ech był już lżejszy, ale bolesny. Dren w płuco uwierał, czuła ból trudny, Wytrzymania. Pielęgniarka podała jej tabletkę i wodę. Po zabiegu na salę P zyszła mama, za nią wolno wszedł wyraźnie przestraszony Ludwik.

- Jak się czujesz, kochanie? - Podszedł do niej, pocałował w dłoń. Przyjęła ten pocałunek niechętnie, zamykając oczy. Rosemarie zauważyła to i z niechęcią spojrzała na narzeczonego córki.

- Naprawdę nie zauważyłeś, że coś się z nią dzieje?

- Mówiła, że to zwykła infekcja - bronił się.

Rosemarie odetchnęła ciężko, pokręciła głową nieprzyjaźnie. Inga nie odzywała się, czuła, jak wraca do niej życie. Może jeszcze nie wszystko stracone, może wyzdrowieje?

- Czy miała pani jakiś wypadek, przewróciła się? - dopytywali się wciąż lekarze.

- Nie, nic mi się nie stało - odpowiadała zgodnie z prawdą.

- Zatem to była odma samoistna. Gdy tylko płuco rozpręży się, usuniemy dren i wyjdzie pani domu.

Po prostu - płuco rozpręży się i wyjdzie do domu.

- Mamo - mówiła Inga do matki - przecież wszystko ma swoją przyczynę, prawda? Musi być jakaś przyczyna mojej choroby.

I Rosemarie w duchu przyznała Indze rację. Wszystko ma swoją przyczynę, źródło, choćby najmniejsze i mało dostrzegalne. Mazurska rzeka Krutynią, która swoją krętością i majestatem przyciąga tysiące turystów, ma swoje źródło w miejscu niepozornym, na łące między wielkimi lasami. Pasą się tam konie, a ich właściciele mieszkają w przedwojennym domu na skraju łąki. Gdy idą do koni, mijają owo źródło - spod zarośniętej koniczyną ziemi wypływa maleńki strumyczek. Z tego strumyczka robi się potem mała rzeczka. Z rzeczki - rzeka. Królowa Mazurskich Rzek.

Tu jednak wygląda jak zwykły ciek wodny, których pełno na całych Mazurach - nawadniające strumyczki przecinają pola i łąki, a czasem budowlane działki, i bywają tacy, którzy te strumyczki bezlitośnie zasypują, rzucają na nie zwały ciężkiej ziemi, nie pozwalają płynąć przez ich przyszłe ogrody, ścieżki, trawniki.

Wszystko na świecie ma swoją przyczynę. Swój początek.

Dlaczego to, co złe, zdarzyło się akurat teraz, w tak trudnym dla Ingi czasie?

Ani Rosemarie, ani Inga nie słyszały wtedy jeszcze o niemieckim psychiatrze o nazwisku Heinroth, który w roku przedstawił światu nowe określenie: „choroba psychosomatyczna”. Wyjaśniał, jak bardzo nasze zdrowie zależy od psychiki. Astma, cukrzyca, nadciśnienie, choroby skóry, tarczycy czy jelita grubego miały, jego zdaniem, początek w ludzkiej psychice, przeżyciach, stresie i złych myślach nawiedzających człowieka. Poszedł w swoich rozważaniach dalej, mówiąc, że teoretycznie każda choroba jest psychosomatyczna.

Rosemarie podskórnie to wyczuwała, bo była trochę z tego świata, w którym człowiek czuł wielki szacunek do praw natury i niejako w sposób naturalny godziła się z nimi. Wiedziała, że złymi myślami można zatruć swoje ciało - poniekąd była więc kontynuatorką dziewiętnastowiecznej myśli Heinrotha, nie mając pojęcia o jego istnieniu.

Inga była znacznie dalsza od tego odkrycia, tym bardziej teraz, na szpitalnym łóżku, niehumanitarnie zmęczona brakiem tlenu i ruchu.

- Przyniosę ci coś do czytania, jeśli chcesz - powiedział jej Ludwik podczas odwiedzin.

Przyszedł do niej z „bukietem bananów” - tak Inga określiła kiść żółtych owoców, związanych ze sobą pętelką łądyżki. Lubiła banany. Gdy mieszkała w Polsce i miała kilka lat, banany i pomarańcze były poza jej zasięgiem. O przybliżającym do polskiego portu statku z cytrusami mówiono w telewizji. Słuchali wtedy wszyscy, a matka cieszyła się, że kupi

dziecku cytrusy. W rogu pokoju zwanego stołowym stała drewniana skrzynka z jasnozielonym kineskopem. Głośnik obleczony był jasnożółtym płótnem. To był ich pierwszy telewizor. Inga oglądała czasem przesuwane się rytmicznie czarnobiałe obrazy, nic z nich nie rozumiejąc. Kineskop zniekształcał obraz, wyciągał. Twarz ówczesnego prezentera Jana Suzina, którego jeszcze pamiętała, zaczynała się od górnej krawędzi ekranu i ciągnęła przez całą szerokość ekranu. Znikała, niedokończona, za dolną czarną krawędzią. Inga próbowała zobaczyć, jak wygląda koniec twarzy prezentera, jednak czarna krawędź zazdrośnie strzegła obrazu.

Ludzie, którzy przyjeżdżali z miasta, coraz częściej mówili o telewizji kolorowej. Dla Ingi telewizyjna biało-czarność była oczywista, z przyjemnością jednak słuchała tych nowin. A potem wpadła na pomysł, jak zrobić własny telewizor kolorowy. Na naelektryzowany ekran przyczepiała arkusz kolorowej bibułki, tej gładkiej, niekarbowanej. Przywierał z cichym trzaskiem do ekranu i nagle świat zmieniał się - ekran był już biało-czerwony albo biało-żółty.

W swoim niemieckim życiu miała już zawsze banany i kolorowy telewizor, nawet teraz, w szpitalu.

- Przywieź mi książkę z mojej szafki nocnej. Poszukaj też gazety, którą dostałam od mamy - odpowiedziała sucho Ludwikowi, zamykając oczy. Wołała udawać przed nim, że jest chora, oddalała tym samym konieczność rozmowy z nim. Może nie chciała usłyszeć całej prawdy, czuła, że mogłaby być bolesna, a jej nie wolno się teraz denerwować.

- Co się dzieje, czemu jesteś taka...? - zapytał, zawiesiwszy głos. Zauważył chyba jej obcesowość i szorstkość, może zaczął się obawiać, że Inga coś podejrzewa?

- A jaka mam być? Źle się czuję. Ciekawe, jak ty byś się czuł, gdybyś musiał leżeć z rurą w płucu? - zapytała, odwracając głowę. To znak, że rozmowa skończona. W milczeniu patrzyła na wychodzącego Ludwika.

Był u niej nazajutrz, tak jak obiecał. Przywiózł gazetę i książkę. Inga porozmawiała z nim chwilę, ale dała mu do zrozumienia, że jest zmęczona. Wyjechał więc po czterdziestu minutach, żegnając ją lekkim pocałunkiem w czoło.

Gdy została sama, sięgnęła najpierw po tamtą gazetę, ciekawa wspomnień kobiety, która знаła jej babkę Hildę.

„Swoją drogą, to ciekawe, co ta kobieta może jeszcze pamiętać” - pomyślała, otwierając gazetę na stronie założonej kawałkiem kartki przez matkę.

- Jaki był przedwojenny Pustnick?

- Pamiętam, że mieszkało tu coś ponad trzysta mieszkańców. Potem, już sporo po wojnie, powyjeżdżało ich więcej, a teraz to mieszka chyba ponad sto pięćdziesiąt, czyli połowa tego, co było wtedy...

Inga przebiegła oczami pierwsze zdania. Wyobraźnia podsunęła jej tamte obrazy, których nie pamiętała, a może nie chciała pamiętać, bo czuła się czterdziestoletnią, wyzwoloną Niemką, która za nic miała te dawne sentymenty. Teraz jednak, zniewolona chorobą, uspokojona poprawiającym się z dnia na dzień oddechem i znieczulona farmaceutykami, powoli przewartościowywała swoje życie, dodając do niego szczyptę tego, co do tej pory uważała za niepotrzebne. Widziała zaznaczone nazwiska i fragmenty i czytała je z większą uwagą.

To Heimann zalesił potem tę górę, żeby już nikogo nie podkusiło na niej ziemi uprawiać.

- Heimann... - powtórzyła w pamięci to nazwisko. Wydawało się jej znajome, jakby już się z tym nazwiskiem kiedyś spotkała. Wzruszyła jednak ramionami i czytała dalej.

...Ten szczupak aż pomarańczowy był od tej marchwi, i do pasztetów też dawała, dobre były, z gałką, przyprawą.

Zapachniało minionym czasem. Tak, w jej domu też jadło się ryby. Ktoś je łowił i przynosił, Inga nie pamiętała nazwiska tego mężczyzny. Matka odbierała z jego rąk torbę i zaraz brała się do czyszczenia ryb. Mówiła, że ten człowiek pracuje w gospodarstwie rybackim w Sorkwitech. Inga nie zastanawiała się nad tym, dlaczego tak hojnie obdarzał matkę.

Czytała dalej - o służbie we dworze, topiach, historii Diabelskiej Góry, tajemniczych kautkach, dziwnym zamęściu swojej babki Hildy i małej dziewczynce, w której rozpoznała matkę. „A może coś w tym jest” - przebiegło jej przez myśl, gdy doszła do fragmentu o uroku rzuconym przez babkę zielarkę. „Żadnej z nas się w miłości nie udało, nie wiem, jak to wytłumaczyć”.

I wróciła do wspomnień, czytanych teraz już coraz chętniej.

W tamtych czasach jadło się głównie ryby, dużo ich było, teraz to ma się wrażenie, że wszystkie już wyłowione, jeziora wytrzebione są całkiem. Prosto i skromnie się żyło, zwłaszcza zaraz po wojnie, a potem jakoś się już życie organizowało na nowo. Ale wojna nie była lekka, tutejsi uciekali przed Rosjanami, którzy chcieli ich stąd wykurzyć, ale ktoś we wsi rzucił, że mieszkańcy Pustnicka nie dadzą się tak łatwo. To są nasze domy, nasze drogi i ogrody - mówili ludzie. Zewsząd ludzie uciekali, Mazurzy i Niemcy do Niemiec, ale nie ci z Pustnicka, tok postanowili. I jak przyszli Rosjanie, to żywej duszy już prawie we wsi nie było.

Ukrywali się w ziemiankach, poszła tam również Hilda ze swoją córeczką. Były też z nami i inne kobiety ze wsi, i mężczyźni też. A potem wrócili do wsi, a Heimann wyjechał. Płakaliśmy wszyscy za nim, bo dobry człowiek był i jego rodzina też dobra dla nas, mówiliśmy, że nigdy już takiego pana mieć nie będziemy. No i nie mieliśmy, bo panów już nie ma, a we dworze powstał pegeer. Heimannowie wyjechali do Niemiec, a potem podobno do Francji...

- Och, tak! - krzyknęła na głos Inga, gdy dotarła do słowa „Francja”. Wiedziała już, skąd zna to nazwisko. Drżącymi rękami wyciągnęła z szuflady telefon, by sprawdzić, czy ma jeszcze tę elektroniczną wizytówkę wysłaną jej przez Michaela. Nie zapamiętała jego nazwiska, w pamięci zatarł się również obraz jego samego. Nerwowo wyszukiwała małymi przyciskami tamtej informacji. Jest! Michael Heimann, Carentec. Rue de Kermenguy... Czy zatem... Czy on może być kimś z rodziny dziedzica z Pustnicka, czy to tylko zbieżność nazwisk? Helena Kres wyraźnie mówiła: „wyjechali do Niemiec, a potem chyba do Francji”. Dlaczego zatem mówił, że jest Polakiem?

Dalej czytała już z wypiekami na twarzy, bo grono opisywanych przez Helenę Kres osób poszerzało się. Była tu historia nie tylko jej rodziny, babki Hildy, dziadka Ericha i matki Rosemarie, ale również mężczyzny, z którym kiedyś się zetknęła.

Rodzina Heimannów zamieszkała w Niemczech, w Greifswald, jeśli dobrze pamiętam. Wiem, bo mieli do mnie adres i pisali czasem. Dzięki temu wiedziałam, co u nich słychać. A raz Erich Heimann przyjechał ze swoją żoną Ewą, Polką, do nas, do Pustników, to ich gościliśmy przez cztery dni. Przyjechali z małym synkiem, miał może dwa lub trzy latka, berbecić taki był słodki, biegał po ogrodzie i zrywał porzeczki. Mały miał na imię Michał i mówił świetnie po polsku. Okazało się, że często bywają w Polsce, bo prawie pół roku spędzali na wsi pod Warszawą, u matki Ewy. Erich był artystą, malował obrazy, mówił, że polskie plenery są najpiękniejsze. Sprzedawał je potem w niemieckich galeriach, kupowali je zwłaszcza dawni mieszkańcy Mazur. Ewa miała jakąś rentę, nie pracowała, zajmowała się mężem i synem.

Indziej pociemniało w oczach. To on. Michał Heimann. Michael z Bretanii. Mały chłopczyk zrywający - jak i ona kiedyś - porzeczki w dalekim, mazurskim ogrodzie. Syn Polki Ewy i Niemca Ericha Heimannów.

A potem Michał dorósł, a oni już pisali z Francji, z jakiejś miejscowości koło Carentec, chyba... Saint Pol de Leon.

Galopada wydarzeń i myśli. Świat w tej galopadzie jakby w zwariowanej karuzeli. Kręci się po to, by ludzi ze sobą witać, żegnać, trzymać przy sobie i dzielić. Kto wypadnie z

karuzeli, na tego bęc. Michał, Michael... Kto by pomyślał, że oprócz tych kilku spotkań łączy ich coś jeszcze... Pustniki na dalekich Mazurach...

Mnie, prostą kobietę, dziwiło czasem, że tacy ludzie, jak oni, wciąż pisali do mnie listy. Zaszczyt był to wielki, gdy listonosz przynosił list z zagranicznymi znaczkami, nad parą mu je odklejałam, bo jego syn je zbierał, a takich to jeszcze nie miał. Wiem, że Michał skończył studia, przez jakiś czas mieszkał w Polsce, został architektem, a potem ożenił się.

Więc jednak... Ożenił się, ma żonę. Nie był z nią szczerzy.

Odłożyła gazetę. Trudno jej było dalej czytać. Miała przed sobą życie Michaela, a raczej Michała, bo tak o nim mówiła tamta kobieta. Czuła, jakby zakradała się na palcach do czyjejs świata, odzierała go z intymności.

W drzwiach sali pojawiła się pielęgniarka.

- Płuco się rozprężyło, ma pani dobre wyniki. Dziś wyciągniemy pani dren, proszę czekać na lekarza - oznajmiła z uśmiechem.

Inga odetchnęła z ulgą. Marzyła, by wyjść na ulicę i po prostu poddychać.

- Ludzie, którzy nie dźwigali kamienia swoich płuc, nie zdają sobie sprawy, jak ważne jest to miarowe podnoszenie się i opadanie klatki piersiowej - odezwała się Inga do matki, która właśnie przyszła do niej.

- Myślę, że cię rozumiem, przynajmniej mogę to sobie wyobrazić.

- Nie wiem, czy możesz. Bo nie przeżyłaś tego, co ja. Wtedy... Ja chyba odchodziłam, mamó. Byłam po tamtej stronie, wznosiłam się na jakiś wyższy poziom. Wszystko było wyłożone białymi kafelkami, sterylne czyste, jak przysypane glazurowym śniegiem. Na tych poziomach czułam obecność nieznanymi mi istnień, ale nie widziałam ich.

- Już dobrze, dobrze, kochanie.

- Nie rozumiesz mnie, nie czujesz tego, co ja.

Rosemarie czuła. Tylko matki mają tę przedziwną zdolność wchodzenia w głąb duszy własnego dziecka. Wiedziała też, że wszystko jest potrzebne, awet cierpienie. Bo czasem w życiu człowieka musi wydarzyć się coś naprawdę trudnego i dramatycznego, by to, co było w życiu sztuczne i nieprawdziwe, ustąpiło miejsca prawdziwemu życiu.

Spojrzała na stolik przy łóżku Ingi. Leżała na nim tamta gazeta.

-, widzę, że zajrzałaś do wspomnień Heleny Kres.

- Tak - odpowiedziała Inga niechętnie. Myślała o Michaelu. Michale.

- Podobały ci się? - dopytywała Rosemarie z nadzieją.

- Tak, bardzo.

- Źle się czujesz? Nie chcesz ze mną rozmawiać?

- Nie, wszystko w porządku, po prostu... nie przeczytałam jeszcze do końca. Jak skończę, to porozmawiamy, dobrze?

- Przeczytaj koniecznie! A doszłaś już do tej katastrofy?

- Do jakiej katastrofy?

- E, to rzeczywiście nie przeczytałaś do końca. Musisz przeczytać, o mały włos ród Heimannów by zaginął...

- Mamo, co ty opowiadasz? - Inga zerwała się nieostrożnie, zabolalo, bo dren wciąż jeszcze w niej tkwił, czekała na lekarza, żeby go usunął, ale ten nie wrócił jeszcze z bloku operacyjnego.

- No, nie denerwuj się tak, przecież to nie dotyczy naszej rodziny, choć przecież... ci Heimannowie byli dla babki Hildy jak rodzina...

Inga już nie słuchała, o czym mówiła matka. Jej myśli rozpierzchły się jak przepłoszone szpaki. Ptaki te potrafią szarymi gromadami opadać na ziemię w poszukiwaniu jedzenia. Wyglądają przy tym jak skrzydlata plama. Wyszukują ogrody i łąki, siadają wszystkie jednocześnie, by potem tak samo nagle poderwać się do góry, gdy ich spokój zakłóci pies lub człowiek. Są jak części składowe skrzydlatego kleksa, jego protony i neutrony, ptasie dowody na istnienie atomistycznej teorii materii.

Rosemarie wciąż mówiła. Za oknem świeciło słońce, lekko żółcąc liście niczym pracowity malarz. Wtedy po raz pierwszy w sercu Ingi pojawiło się ważne spostrzeżenie - świat jest naprawdę piękny, o wiele piękniejszy niż ten widziany codziennie na ekranie telewizora. To piękno odczuła właśnie teraz, gdy świat ten był daleki i niedostępny, mogła go jedynie obserwować zza szyby szpitalnego okna. Dopiero wtedy dotarło do niej, że liście szeleszczą, chmury płyną cichym szumem, a niezapraszana do sterylnej wnętrza mucha głośnym krzykiem cienkich skrzydeł desperacko walczy o to, by wrócić do tych liści, drzew, słońca.

- Mamo, wypuść tę muchę - powiedziała cicho Inga.

Rosemarie przerwała w pół zdania, zobaczyła, że córka wcale jej nie słuchała, a ona mówiła jej właśnie, że planuje wyprawę na Mazury. Zaraz, o czym mówi Inga? Chce wypuścić muchę? Do tej pory zawsze tłukła muchy gazetą, a na słowa matki, że świat jest i tak wystarczająco wypełniony przemocą i zabijaniem, i po co kolejne zło mnożyć, odpowiadała nieco sarkastycznie:

- To co mam z tą muchą zrobić? Rosół ugotować?

Swoją drogą, to dziwne, jak bardzo ludzie sprowadzają wszystko do swojego brzucha, jak dążą do tego, by go napęlić, i żeby jedzenie było coraz bardziej wyszukane. Nakarmienie

brzucha jest tematem przewodnim książek, programów telewizyjnych, przewodników turystycznych, regulaminów żłobków i szpitali, rozmów w gabinetach lekarskich i piękności, debat politycznych, zdjęć w kolorowych pismach, reklam wysyłanych drogą mailową, instrukcji wysiewu nasion...

Jedzenie stało się rozpasanym bożkiem. Nawet Inga patrzyła na przydatność muchy przez pryzmat jedzenia...

Rosemarie otworzyła okno i wypuściła muchę, która czarnym płasem podziękowała za zwróconą jej wolność.

- Pani Ingo, już idzie do pani lekarz, będzie wyciągnąć dren. To dość bolesne, ale wytrzyma pani, mam nadzieję. - Pielęgniarka stojąca na progu sali miała dobre wiadomości.

- Tyle wytrzymała, to i to na pewno wytrzyma - uśmiechnęła się Rosemarie, szczęśliwa, że córka wkrótce wróci do domu i będzie można znów zacząć żyć normalnie. Bo normalność jest najbardziej wyczekiwany stanem, choć jednocześnie - najmniej docenianym. Dopiero ci, którzy choć na moment utracili ową normalność, wiedzą, że jest ona jak zapas drewna na zimę, pełna spiżarnia, kładka pod stopami na głębokim jeziorze.

Lekarz pojawił się natychmiast. Niski, szczupły człowiek, całkiem siwy. Trochę młodszy od Rosemarie.

- Proszę się nie denerwować, to będzie trwało krótko - powiedział, zlecając pielęgniarce ściągnięcie opatrunku. Sprawnymi palcami zdjęła go.

- Proszę wypuszczać powietrze! - zawołał i zdecydowanym gestem wyciągnął z płuca białą rurkę.

Silny ból przeszył plecy Ingi, miała wrażenie, że lekarz pchnął w nią ostry sztylet. Jęknęła, ale ból zniknął tak szybko, jak się pojawił, a wraz z jego zniknięciem poczuła wyraźną ulgę w swobodnym oddechu.

- Mam nadzieję, że choroba już nie wróci - powiedział lekarz. - Musi się pani oszczędzać, ale mimo wszystko starać się żyć normalnie. Pobędzie tu pani do jutra, a jeśli wszystko będzie dobrze, wypiszemy panią do domu.

- Ale jeśli choroba wróci?

- Proszę tak nie myśleć. Bo naprawdę wróci. Proszę myśleć, że jest pani zdrowa. I koniec.

- Jasne, postaram się.

- Pani Ingo, żadne „postaram się”.

- Chciałabym wyjechać z córką do Polski. Mam więc nadzieję, że będzie zdrowa - odezwała się nagle Rosemarie, ignorując zdziwione spojrzenie Ingi.

- Do Polski? Ja jestem stamtąd! Skończyłem nawet Akademię Medyczną w Warszawie, a mój najlepszy przyjaciel z roku wciąż tam mieszka. Jest znanym lekarzem, a nawet konsultantem.

- Pochodzi pan z Polski? - Rosemarie nie mogła uwierzyć, że świat jest taki mały.

- Tak, mieszkałem niedaleko Allenstein. Tutaj, w Giessen, mieszka dziś wiele polskich rodzin, mamy tu rodzaj Polonii, zupełnie jak w Stanach, nie wiedziała pani?

- Nie, nic o tym nie wiedziałam.

- Mój przyjaciel pracuje w szpitalu w Olsztynie. Nazywa się Aleksander Sienkiewicz, jest specjalistą chirurgii klatki piersiowej. Mówi się o nim, że ma niebywałą intuicję i potrafi znaleźć przyczynę choroby, a nie leczyć tylko jej skutki. Ja jestem zwykłym chirurgiem, a on - prawdziwym specjalistą. Ostatnio widziałem się z nim na międzynarodowym sympozjum, dwa lata temu. Ile dobrze pamiętam, pracował wtedy w Szpitalu Miejskim. Leczy właśnie takie przypadki, jak pani.

* Przedwojenna nazwa Olsztyna

- Ale to Polska, a my jesteśmy w Niemczech! - roześmiała się Inga.

- Oczywiście, mówię o nim tylko na wszelki wypadek.

- Jasne.

Lekarz podał jej kartkę z danymi swojego przyjaciela. Inga wrzuciła ją do torby jako zupełnie nieprzydatną, obok opakowań po chusteczkach, potwierdzeń przelewów i zabrudzonej paprochami starej szminki. Chciała jak najszybciej wrócić do domu.

Ludwik zadbał o to, by miała świeżą pościel i książki do czytania, które przekazały mu koleżanki Ingi. Na stolik nocny trafiły też pozdrowienia od uczniów na kolorowej pocztówce z kwiatami oraz pudełko czekoladek. Inga z sympatią pomyślała o tym podarunku. Miło, że pamiętali.

Usiadła na łóżku, oparła się o wysoko ułożoną poduszkę. Czowała, że sporo ostatnio przeszła, że jej w miarę spokojne do tej pory życie nieco wypadło z torów. Człowiek, gdy przeżywa coś nowego, skupia całą swoją uwagę na tym właśnie, nie zajmując myśli innymi sprawami. Inga również całe swoje siły wkładała w zrozumienie doświadczenia, jakie ją spotkało. Widziała podobieństwo między ostatnimi wydarzeniami. Najpierw zawiódł bliski jej człowiek, a teraz - jej własny organizm.

„Ach, żeby człowiek mógł sam wyczuć, że jest chory i jak powinien się leczyć...” - westchnęła, sięgając po gazetę. Postanowiła dokończyć tamte wspomnienia.

Michał wyrósł, został architektem i ożenił się. Jego żona, Isabelle, robiła artystyczne zdjęcia. Była znana w całym kraju, bo wciąż jakieś nagrody zdobywała. Przyjeżdżała na

Mazury, fotografowała stare dworki i pałace. Ludzie mówili, że do książki czy albumu. Przyjechali tu kiedyś razem, wiosną dwa tysiące ósmego roku, mój adres mieli od Ericha, ojca Michała. Chcieli zjeść coś prostego, wiejskiego. Dałam im wtedy zupy z młodej kapusty, a do niej ziemniaki z koprem i jajko sadzone, dojadali z apetytem. Mówili, że w ich domu, we Francji, została z przyjaciółką ich sześciolatnia córeczka, Dominią. Oj, tak cieszyłam się, że mogłam ich zobaczyć. Michał był już lekko szpakowaty, mimo że przecież nie stary, ale widać po ojcu Posiwiął, bo ojciec też za młodu miał jasne pasemka we włosach. A Isabelle była bardzo ładna, taka kruchotka, drobniutka, u nas na wsi nie dałaby rady w ciężkiej Pracy. Miała jasne włosy, jak zboże w słońcu. Była taka drobna, a wielkie aparaty na szyi nosiła i śmiałam się do Michała, żeby przetłumaczył jej, że ja się pytam, skąd ona tej siły tyle bierze w sobie? Bo ona nie znała polskiego, a Michał bardzo dobrze mówił w naszym języku. Miło było na nich patrzeć, tacy piękni i z dalekiego świata, a przecież stąd, z Pustników. Potomek rodu Heimannów mnie odwiedził - dumna byłam jak paw, całymi godzinami o tym ludziom ze wsi mówiłam, albo mojej sklepikarce, kształconej kobiecie, bo w pegeerze kiedyś weterynarzem była, a potem ten sklep założyła i takie się u niej centrum wsi zrobiło.

Mówiłam Michałowi, że może popytam, co ludzie po domach z ich dworu mają, bo przecież mieli jeszcze to wieszaki, to krzesła, obrazy, srebrne łyżki, których stary Heimann nie zdążył zakopać za domem, koło cmentarza. Ale Michał mówił, że innym razem, że może jeszcze kiedyś przyjedzie, że nie teraz, bo muszą z żoną te zdjęcia zrobić. On, mimo że architekt, też się znał i mówił: światło, przesłona. Ja nie rozumiałam, o co chodzi, ale widać to fachowe pojęcia. Dla mnie zdjęcie to zdjęcie - przyjeżdżał do wsi fotograf ze skrzynką drewnianą i robił. A teraz to już nowoczesność poszła do przodu, oj, poszła. Nie rozumiem się w tym zupełnie.

‘Wejście do piwnicy we dworze. Zwiedziłam ją z badaczem mazurskich historii, CMarcinem Jansem.

Ingę śmieszyły trochę te proste wywody pani Heleny. Nie trzymała się tematu, zbaczała z tematu, by po chwili wrócić do tego, co było najważniejsze.

No i zrobili te zdjęcia, album ukazał się rok później w Niemczech i Francji, nawet w telewizji o nim mówili, że zdjęcia unikatowe. Michał, jak jeszcze byli u mnie, mówił, że następna wyprawa to będzie do Hiszpanii i na Wyspy Kanaryjskie, Isabelle ma tam jakieś zlecenia. Nigdy nie mieli okazji zobaczenia takiego świata i postanowili, że polecą we trójkę, bo jeszcze z małą Dominią. Życzyłam im szczęśliwej podróży.

Mieli lecieć w połowie sierpnia. Najpierw zdjęcia w Hiszpanii, potem na tych Wyspach, mieli na nie lecieć dwudziestego sierpnia. Zapamiętałam dokładnie, bo mój brat miał rocznicę ślubu.

Tego dnia była ta katastrofa. Rozbił się samolot pasażerski linii Spanair na madryckim lotnisku Barajas. Zginęły osoby, tylko udało się uratować. Mam jeszcze wycinek z prasy na ten temat. Jak o tym usłyszałam w telewizji, to w oczach mi pociemniało. Pamiętam, jak spiker mówił, że w katastrofie zginął kapitan samolotu, część załogi i dwójka dzieci. I dalej było jeszcze o tym, że wśród ofiar była Isabelle Heimann, znana francuska fotograf i jej sześćioletnia córeczka Dominique...

Inga zadrżała. Zaschło jej w ustach, nie mogła się poruszyć, miała wrażenie, że znów powracają duszności, których się tak bała.

Zona Michaela nie żyje. Ta piękna, drobna blondynka, której zdjęcie stało w jego francuskim mieszkaniu, zginęła w katastrofie lotniczej, wraz z ich malutką córeczką! A on... Widać był wśród tych, którzy przeżyli...

Już ja wtedy w myślach pogrzebałam syna naszego dziedzica. Zaraz w sklepie opowiedziałam, co wysłuchałam w telewizji, a potem to już wszyscy czytaliśmy o tym w gazetach. No i wtedy ludzie ze wsi orzekli, że pewnie Michał też zginął tylko nie był tak znany i nie wspomnieli o nim. Ale potem ktoś powiedział, że Michał żyje, że podobno wcale do samolotu nie wsiadł. Szkoda mi tylko tej Isabelle, piękna była i skromna. Tak się życie układa. Jedni żyją krótko i pięknie, o inny się przez to życie telepią, czasem nie wiadomo po co i na co komu. Jak ten groch przy drodze.

Groch przy drodze... Matka tak mówi czasem. Widać, to powiedzenie stamtąd, z dalekich Pustników...

Teraz, na starość, jak patrzę wstecz, to innego miejsca do życia bym chyba nie wybrała, jak te Pustniki, choć różnie tam bywało, i pijaństwo było, i zdrady, rozwody, ludzkich kłopotów ta wieś pełna jest po brzegi. Ale jest i wiele tajemnic i czasem czuję się jak przed wojną, jakby się nic nie zmieniło pod tą Diabelską Górą.

Koniec. Inga zamknęła gazetę. Odłożyła na stolik. Sięgnęła po szklankę wody. Musi ochłonać. Poznała tajemnicę Michaela, którego coraz częściej nazywała w myślach Michałem. Od samego początku wydawał się jej intrygujący, coś było w nim niewyjaśnionego. To jej pytanie, czy ktoś na niego czeka, było po prostu głupie i niepotrzebne. Rozjątrzyło jakieś rany, które przez te dwa lata zdążyły się nieco zasklepić.

Telefon. Mama. Zaraz przyjedzie, z rosółem i naleśnikami. Kochana. Inga nie myślała o obiedzie. A przecież musi go kiedyś zrobić, postawić na stole przed Ludwikiem, zjeść, a

potem zamknąć ich niedokończone sprawy. Bo termin ślubu się zbliża, a Inga nie miała wciąż pewności, że jej wybranek na pewno będzie uczciwym mężem.

- Przeczytałaś wspomnienia do końca? - zapytała Rosemarie prawie do razu, gdy tylko przyszła.

- Tak, przeczytałam.

- I co?

- Mamo, muszę ci o czymś powiedzieć... - Inga postanowiła, że opowie o Michale.

- Słucham cię. Już po głosie słyszę, że to coś ważnego.

- Tak, mamo, otóż, te wspomnienia... Helena Kres opowiada w nich o potomku rodu Heimannów...

- Tak, pamiętam. Ona tyle lat u nich pracowała, a potem utrzymywała z nimi kontakty, paczki jej nawet ślali. Ona jest im bardzo wdzięczna.

- Nie, nie o to chodzi. Otóż. Mamo. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, aleja... znam Michała Heimanna.

- Cooo? - Oczy matki zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. - Jak to znasz Michała? To niemożliwe!

- Poznałam go we Francji. W Carentec. To musi być ten, bo niemożliwe, by żyło tam dwóch Michałów Heimannów. Ten, którego poznałam, zna doskonale polski i w tym języku rozmawialiśmy. Mówił, że jego matka była Polką. W jego domu, na komodzie stoi zdjęcie pięknej, drobnej blondynki.

- Byłaś u niego w mieszkaniu? - zdziwiła się matka.

- Tak, byłam, zaprosił mnie.

Rosemarie pokiwała tylko głową. Matki zawsze wyczuwają, że ich dzieci chcą im coś powiedzieć, tylko nie wiedzą jak. Więc wyczytują całą prawdę między wierszami milczenia.

Wyłożyła naleśniki na patelnię. Wlała tłuszcz. Jego rozgrzana powierzchnia przyjęła jasne placki i otoczyła je szklącymi się bąbelkami. Zapachniało obiadem, domem, dzieciństwem.

- Mamo, dziękuję, że jesteś - wyszeptała Inga.

Rosemarie spojrzała na córkę. Ostatnie wydarzenia nieco zmieniły ją - twarz Ingi była szczuplejsza, nabrała ostrych rysów. Jakby choroba i smutek zahartowały ją i uszlachetniły. To nie była już ta sama Inga. Przez chwilę pomyślała tak, jak matka nigdy nie powinna pomyśleć:

„Może to i dobrze, że to wszystko się stało. Nic nie dzieje się niepotrzebnie. To była dla niej trudna lekcja życia”.

Przelała rosół ze słoika do niewielkiego garnka, dołożyła ugotowany oddzielnie makaron. Nasypała pokrojonej drobno pietruszki, którą przyniosła zawiniętą w cienką folię. Tak się jadło w jej domu. Rosół i dużo pietruszki. Ludzie w Starym Gielądzie jedli rosół z koprem. O wyższości obu rosółów potrafili dyskutować długo i zawzięcie w drodze z kościoła lub gminy, nigdy nie dochodząc do porozumienia.

Inga podała jej talerz w drobne różowe kwiatuszki. Rosemarie rozczuliła się na jego widok - to był ten sam talerz, który zabrała ze sobą z rodzinnego domu. Więc wciąż jeszcze tu jest, u Ingi. Jak mało wiedziała o swojej córce. Jej samodzielność odgradziła je do siebie, i to chyba przez to zapomniały o łączących je więzach. Popękały jak wąsy chińskiego chmielu, który zarastał każdy kąt jej mazurskiego ogrodu. Dopiero ten talerz... Mała Inga tak go lubiła!

Ech, wrócić tam, znaleźć jeszcze tamten czas... Tamten niesforny chmiel i złote nawłocie pochylone w pokłonie do ziemi. Zieloną słodycz zapachu pomidorowych gałązek. Zapach ziemi w ogrodzie po deszczu.

Codziennie rano dorastało coś nowego, a ona, Rosemarie, patrzyła na to z radością: że cukinii przybyły dwa centymetry, a pietruszka naciowa wypuściła już kolejne liście.

znów pojawiło się to nieznośne poczucie, że tu i teraz jest jakby przez pomyłkę i na niby; że swojego niemieckiego życia nie przeżyła w zgodzie z samą sobą, tylko z własną wygodą... A swój prawdziwy świat zostawiła tam, w dawnej ojczyźnie. Czy nie wyrzekła się tej ojczyzny zbyt lekko?

Inga jadła powoli. Była zamyślona i blada.

- Rosół pomoże na wszystko.

- Mamo, nikt nie umie ugotować rosółu tak, jak ty - uśmiechnęła się Inga. Rosemarie usłyszała od niej takie słowa po raz pierwszy.

Po obiedzie Inga wróciła do łóżka, Rosemarie pozmywała i poszła za nią do pokoju. Inga włączyła laptop. Pokazywała zdjęcia z Francji. Rosemarie niektóre z nich już widziała, ale tych z Carentec nigdy.

- Mamo, co widzisz na tym zdjęciu? - uśmiechnęła się zagadkowo Inga, pokazując fotografię prężącego się do zdjęcia Ludwika.

- To twój narzeczony i koleżanki z pracy.

- Tak, ale popatrz dokładniej, spójrz na to zdjęcie głębiej, jakby miało drugi wymiar.

Rosemarie sięgnęła po okulary i wpatrywała się śmiesznie w monitor, marszcząc czoło i otwierając lekko usta, jak osoba zdziwiona nadmiarem detali. Wyglądała przy tym trochę jak małpka, co rozśmieszyło Ingę. Po chwili wskazała palcem.

- O tu, w oknie, stoją jacyś ludzie.

- Popatrz na następne zdjęcie. - Inga nacisnęła kursor.

- Tak, tu są bliżej siebie.

- I na następne...

- Tu on pochyła się nad nią. Całuje ją.

- To jest właśnie Michał Heimann. I ja.

Rosemarie nie miała czego wybaczać własnemu dziecku. Pocałunek nie był, jej zdaniem, niczym wielkim. Inga mogła zapragnąć nagle czyjejś bliskości, zwłaszcza po tych przeżyciach, jakie zafundował jej narzeczony. Nie poruszyła więc tej kwestii. Poradziła jednak, że w tej sytuacji, skoro już zna historię tamtego mężczyzny z Francji, Inga powinna mu wysłać kopię wspomnień pani Heleny.

- Napisz do niego, masz przecież jego adres.

- Mogę zadzwonić.

- List to co innego. Czasem na pewne słowa brakuje śmiałości, a list jest zawsze szczery. Powinnaś przeprosić go, bo może go zraniłaś, a przecież on wciąż jeszcze cierpi z powodu śmierci żony.

- Masz rację.

I gdy tylko matka wyszła do domu, a Ludwik po kilku zdawkowych, opiekuńczych słowach usadowił się przed telewizorem, Inga włączyła laptop i zaczęła pisać list do Michała.

Michale!

Nasze rozstanie nie było takie, jak być powinno. Wiem, że zachowałam się wtedy dość niemądrze i chciałabym cofnąć czas, a wtedy na pewno odwróciłabym się do Ciebie, wołającego moje imię. Na pewno bym też wróciła do Twojego domu, choćby po to, by raz jeszcze spojrzeć w Twoje szare oczy i podziękować Ci za to, że pojawiłeś się, choć na tak krótko, w moim życiu.

W moje ręce wpadły wspomnienia Heleny Kres, opublikowane w niemieckim czasopiśmie. Ta kobieta była gospodynią we dworze Gustawa Heimanna. Wiem zatem, kim jesteś, co znaczyło Twoje nazwisko przed wojną i z czym do dziś kojarzy się ludziom z dalekiego Pustnicka. Wiem też, że nikt na Ciebie nie czekał, wtedy, po naszym spotkaniu. Tak mi przykro z powodu Isabelle i Dominique, nie jestem w stanie napisać Ci, jak bardzo. To bolesny cień, który tkwi w Twoim sercu, a ja swoimi pytaniami i swoim zachowaniem niechcący go poruszyłam. Wybacz. Nie wiedziałam. Niewiedza może usprawiedliwiać nasze czyny, nieprawdaż?

Michale, Michaelu, historie naszych rodzin już się kiedyś ze sobą zaplotły. Moje nazwisko brzmi Sobottka, jestem córką Rosemarie, pewnej kobiety z Pustników. A ona jest

córką Hildy i Ericha Sobottków. Twój ojciec będzie pamiętał, na pewno wyjaśni Ci te wszystkie zawiłości. Dobrze zatem, że się potkaliśmy. Nie ma spotkań przypadkowych.

N/e wspominaj mnie źle. Niech Twoja myśl czasem pokona dzielącą nas odległość i spotka się z moją w połowie drogi, gdzieś pod Paryżem, na przykład wVHlierssurMarne...
Pozdrawiam, Inga Sobottka, dawna mieszkanka Pustników na Mazurach

W poświacie księżycy staliśmy oboje

List wysła jutro rano. Zaadresowała kopertę i położyła na stole. Jutro tylko naklei znaczek i już. Teraz musi porozwijać nawarstwione czasem choroby sprawy, a rozmowa z Ludwikiem jest właśnie jedną z nich.

- Zamów może coś do jedzenia, zjemy kolację, nie zdążyłam nic przygotować zaproponowała, wchodząc do salonu. Ludwik leżał rozciągnięty na kanapie, w telewizji trwał mecz Niemcy - Grecja.

- Kochanie, nie teraz, przecież jest mecz.

- Kiedy się skończy? - westchnęła z dezaprobatą. Nie rozumiała tej miłości do piłki nożnej, która stała się stylem życia, kulturą, całym przemysłem wreszcie. W jej głowie pojawiła się myśl: czy chciałabym, by mój mąż przedkładał mecze nad kolację ze mną? Fascynował się tym dziwnym sportem, polegającym na bieganiu za piłką i okrzykach kibiców? - Chcę z tobą porozmawiać...

- Nie mów, że jesteś w ciąży?... - Pobladł, na chwilę odrywając wzrok od ekranu.

- Nie, nie jestem... - Odpowiedziała spokojnie, widząc, jak oddycha z ulgą.

- Co może być tak ważnego, że musisz mi powiedzieć o tym teraz?

- Nie chcę, żebyś dzielił uwagę na mnie i na telewizor - odpowiedziała sucho. Poczula się nagle zepchnięta na margines przez ten głupi mecz, a przecież dopiero wróciła ze szpitala, powinien zadbać o nią, nawet kosztem piłkarskiego widowiska. Przecież są rzeczy ważne i ważniejsze! Dlaczego Ludwikowi brakuje tego poczucia hierarchii?

- Czy zatem możemy porozmawiać po meczu? Kończy się za siedem minut, już jest dogrywka! - zapytał błagalnie, zerkając na nią uważnie. tak wystarczająco się poświęcił, został wieczorem w domu, choć Marta miała urodziny i chciała ten dzień spędzić z nim. Ale Inga wyszła ze szpitala i musi z nią być - tak jej powiedział.

- Dobrze, zatem poczekam te siedem minut - powiedziała Inga cicho i wyszła do kuchni. Sięgnęła po gazetę. Znana aktorka opowiadała jakąś miłosną historię o tym, jak poznała swojego narzeczonego i że zamierzają się pobrać. Patrzyła na zdjęcie pięknej kobiety o ciemnych oczach i bujnych lokach. Aktorka wsiadająca do samochodu. Aktorka w kuchni, przy wysokim barze, ze szklanką soku. Aktorka na spacerze z psem.

- Kobiety nie wyglądają tak na co dzień. Pisma lansują nieznośnie perfekcyjny wygląd, a potem wszyscy kogoś udają i chcą dorównać tym pięknym twarzom z kolorowych pism. Kobiety zwykle chodzą przecież po domu w dresach lub wygodnych sukienkach, nie siedzą w eleganckich pozach przy barze, ze szklanką soku. Spacer z psem jest zwykle obowiązkiem, a nie okazją do przewracania się z boku na bok na trawie. Trudno zresztą to robić w tak eleganckim stroju... - mruzczała pod nosem, wyraźnie znudzona i zdziwiona, że nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na tę kolorową nierzeczywistość lansowaną w prasie. Kupowała kilka tytułów kobiecych pism, aktualne numery czytała w wolnych chwilach, stare numery składała do kartonu w komodzie, a gdy uzbierał się pełen, wywoziła do mamy, która przejmowała po niej czytelniczą schedę. A potem gazety wędrowały do koleżanek i sąsiadek Rosemarie.

Sędzia odgwizdał nareszcie koniec meczu. Inga odczekała jeszcze serię głośnych komentarzy rzucanych przez Ludwika i weszła do pokoju z jabłkiem na talerzu i nożykiem w dłoni.

- Zamówiłaś coś do tego jedzenia? - zapytał trochę nieprzytomnie, jakby siłą ściągnięty na ziemię.

- Nie, nie wiem, na co masz ochotę, nie mogłam się z tobą porozumieć w tej kwestii - powiedziała dość obojętnie.

Od wyjścia ze szpitala życie odbierała jak przez szklaną taflę. Obojętnie patrzyła, gdy Ludwik wyciągnął telefon i wybrał numer pizzerii w centrum miasteczka. Zamówił wielką jak dynia pizzę i usiadł zadowolony na fotelu.

- O czym chcesz ze mną porozmawiać?

Inga wyciągnęła z kieszeni białą karteczkę i położyła ją na stole.

- Wyjaśnij mi, skąd wziął się ten paragon w naszym domu, to po Pierwsze. Po drugie, jeśli to twój, wyjaśnij mi czwartą pozycję na liście zakupówpowiedziała bez żadnego wstępu, licząc na to, że Ludwik, w ten nagły i niespodziewany sposób przyparty do muru, odpowie szczerze. Parząc na niego, wyczuje od razu każdy przejaw fałszu. Człowiek zaskoczony nie umie kłamać. Marszczy czoło lub pociera nos, żeby wymyślić coś na poczekaniu, ale wytrawny obserwator zauważy te niezbite dowody kłamstwa.

Tymczasem Ludwik ani nie zmarszczył czoła, ani nie podrapał nosa. Spojrzał na paragon, przeczytał go, sprawdził tę czwartą pozycję i spokojnie powiedział:

- Frank poprosił mnie, bym wracając ze szkolenia, zrobił mu zakupy. Ma nową dziewczynę i wiesz... - Głos Ludwika zabrzmiał nawet odpowiednio tajemniczo, na tyle, by zainteresować tym Ingę.

- No coś ty?! - wyrzuciła z siebie zdziwiona.

- Tak, od niedawna. Stąd te zakupy - wyjaśnił, rozciągając się wygodniej.

Podniósł do góry obie ręce i podrapał się pod pachą. Zadowolony, zadowolony z życia samiec, który ma obok siebie swoją samicę. Inga westchnęła i sięgnęła po nożyk i jabłko. Sprawnym ruchem obierała je, a żółta sprężynka skórki podskakiwała śmiesznie. Sprawa paragonu wyjaśniła się więc dziwnie szybko, niepotrzebnie tak z tym zwlekała. Rozmowa wyglądała inaczej, niż sobie ją wyobrażała. Bo zwykle wszystko jest inaczej, niż to sobie wyobrażamy. Kawiarnie, w których mamy się spotkać, wyglądają inaczej, spotkania z ważnymi ludźmi też. Imprezy, na które nie chce nam się iść, wypadają świetnie, a te, o których myślimy, że będą niezapomniane, są totalną porażką. Inga zdała sobie nagle sprawę z przekorności życia i ze spokojem patrzyła, jak Ludwik rozlewa wino do kieliszków.

- Wypijmy za nas! - zaproponowała spontanicznie.

- Za twoje zdrowie - powiedział Ludwik z naciskiem na „twoje” i Inga uśmiechnęła się, zapominając, że w szpitalu odwiedzał ją rzadko i tylko na chwilę.

Potem, już w łóżku, gdy poczuła dłonie Ludwika między swoimi udami, porzuciła dręczące ją myśli i oddała mu się chętnie. Nie zwróciła nawet uwagi na to, że na jej poduszce leży długi jasny włos.

Inga wiedziała już na pewno, że chce być z Ludwikiem. Mimo jego wad, ale przecież każdy jakieś ma. Tak to sobie wytłumaczyła. Postanowiła, że nie wyśle tamtego listu do Michała, napisze nowy. Przecież mógłby odświeżyć w pamięci ich pocałunek i odebrać to jako danie nadziei. Woli potraktować go jak przechodnia, który podał jej tylko chusteczkę, jak minutę w godzinach życia, jak nieważną kroplę wody, która nic do świata nie wnosi. Dopiero tysiące takich kropel tworzą morze...

Rano chciała zniszczyć list albo przynajmniej schować go głęboko do szuflady, jednak nigdzie go nie było. Niepokój wdarł się w jej serceczyżby Ludwik go znalazł i przeczytał? Czy ma teraz do niego zadzwonić? Chyba zaraz ma lekcje - spojrzała na zegarek. Tak. Więc co robić?

Wertowała papiery na stole. Tak, na pewno zostawiła list na stole. Leżały na nim jeszcze inne rzeczy: gazeta sportowa, jej książka przełożona starą kopertą, rachunek za telefon. Tak, był jeszcze duży notes reklamowy niemieckiej firmy produkującej kable do samochodów. Wszystko to leży na miejscu, nie ma tylko listu...

Niepokój. Co napisała w tym liście? W sumie nic wielkiego - ale można się domyślić, że coś połączyło nadawcę z adresatem. Odetchnęła ciężko. Bólu w klatce piersiowej już nie

było. Powietrze jak dawniej przechodziło przez płuca, czuła je dokładnie, jak zimny podmuch. Więc była zdrowa. To najważniejsze. A list... Na pewno się znajdzie.

To listkach półsennych kładł cicho się zmrok

Rosemarie myślała o rozmowie z Ingą jeszcze długo w nocy. Wspomnienia powracały zupełnie zniecka, pod postacią nieznanego jej Michała Heimanna, który omal nie uwiódł jej córki w dalekiej Francji. Czyż życiowe ścieżki nie zaplatają się w sposób niewyjaśniony i nieprzewidywalny?

Przypomniał się jej nagle dzień, kiedy spotkała na mrągowskim rynku tamtą kobietę, która odebrała jej Gustawa. Tamta nie zauważyła jej i Rosemarie mogła dokładnie przyjrzeć się swojej rywalce. Wiedziała, że to ona, bo w małych miejscowościach wszyscy się znają. Razem pracują, chodzą na te same nabożeństwa i festyny, jeżdżą tymi samymi pokaesami. Maria była już ociężała i gruba, brzuch jej obniżył się wyraźnie, co znaczyło, że za tydzień lub dwa wyda na świat dziecko Gustawa. Brzuch Rosemarie wyglądał jak śmieszna piłka, nie krępował więc jej ruchów, jak tamtej. Gdy patrzyła na nią, widziała wielki wysiłek, jaki wkładała w stawianie spuchniętych stóp w zakurzonych pepegach. Rynek wyłożony był kocimi łbami, kobieta lekko potykała się o nierówności.

Rosemarie pomyślała z satysfakcją, że Maria wcale nie jest od niej ładniejsza, a zapewne po porodzie figura jej zmieni się całkowicie. Zbyt dużo bowiem przytyła, to było widać. Maria ciężko podeszła do furmanki z żółtymi jabłkami, wybrała kilka owoców, mężczyzna odważył je na metalowej szalce wagi i podał. Sięgnęła po nie ciężko, całą sobą, jakby ten gest zabierał jej całą życiową energię. Wrzuciła owoce do żyłkowej siatki, zapłaciła i poszła przez rynek, stąpając ciężko. Rosemarie patrzyła za nią ze łzami w oczach. Nie wiedziała, czy to z litości nad tamtą, czy z żalu nad sobą. Łzy spadły cicho po policzku, przez nikogo niezauważone, wytarte rękawem ciężowej sukienki.

Na moment spotkały się obie na kamiennym bruku - dwie kobiety jednego mężczyzny. Gdyby można było zdecydować się na wielożeństwo, być może by się zaprzyjaźniły, a ich dzieci bawiłyby się wspólnie jak przyrodnie rodzeństwo. Każda z nich chciała jednak mieć Gustawa dla siebie i z żadną nie był do końca.

Teraz Rosemarie pomyślała, że nie chce takiego życia dla córki. Nie może pozwolić na to, by Inga miała owo znane jej z młodości poczucie, że dzieli swoje życie z inną kobietą. Nie chciała, by powracały do niej wspomnienia zdrady.

Wtedy, gdy Maria urodziła syna, ludzie z jej wsi zaraz się o tym dowiedzieli. Pierwszy Baclawski, bo on zawsze pierwszy docierał do wieści. Przyszedł nawet do domu starej Sobottkowej i powiedział od progu:

- Nidoszłemu zięciowi syn się urodził!

Hilda spojrziała na niego zdziwiona:

- Ooo, to pogratulować. - Chciała, by jej głos brzmiał obojętnie, ale kątem oka zerknęła na córkę, która patrzyła przez okno na szary świat. Kończyły się lutowe mrozy i świat oblekał się wilgocią. Marzec. Jej dziecko urodzi się już wiosną. Złożyła ręce na brzuchu i odwróciła twarz do Baćławskiego:

- A co nas to obchodzi, panie Baćławski? - powiedziała obojętnie, obejmując duży brzuch gniazdem dłoni. Było jej smutno, że Gustaw nie pojawił się w jej życiu, a przecież na pewno dowiedział się od kogoś, że jest w ciąży.

- Eee, bo ludzie na wsi gadali, tom przyszedł powieźcie - rzucił mężczyzna i wyszedł z domu, niezaproszony przez żadną z nich, niczym poseł, na którego nikt już nie czeka.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Rosemarie milczała wciąż, głaszcząc swoje dziecko przez pergamin skóry. Jego ruchy były wyczuwalne - tu piętka, to główka. Miało jeszcze dość miejsca, by kręcić się w kółko.

- Moje dziecko będzie tylko moje - powiedziała krótko do matki. Hilda pokiwała głową. Tak, tak właśnie będzie. Gustaw nie będzie miał nawet wstępu, by je zobaczyć. Ona, babka dziecka, osobiście tego dopilnuje.

Mała Inga urodziła się w kilka tygodni później, w mrągowskim szpitalu. Pewna położna, niska i drobna blondynka, pani Bronia, zawinęła ją w białą flanelową pieluszkę i powiedziała nad nią:

- Śliczna jesteś, maleńka. Bądź w życiu szczęśliwa.

Mówiła tak do wszystkich noworodków, ale wtedy dla Rosemarie brzmiało to jak zaklęcie.

Rosemarie czytała gdzieś, że córki wybierają mężów podobnych do ojców. Jakimi kryteriami wyboru kierowała się Inga? Czy intuicyjnie wybrała takiego, który będzie ją zdradzał? Przecież nie znała Gustawa i nie wiedziała, jaki był wtedy.

Tak, to był piękny czas. Jej pierwszej miłości. Gustaw był zaradny i pracowity, z dużym ciemnym wąsem, co wtedy było oznaką męskości. Miał urodę dość pospolitą, ale Rosemarie się podobał. Nauczony pracy w swoim dawnym domu rodzinnym, mógł być oparciem dla niej, mieli tu wspólnie w Pustnikach, w jej domu, gospodarzyć. On też się cieszył, że będzie panem na gospodarstwie, widać lubił tę pracę, choć była ciężka.

Ludwik jest jego przeciwieństwem. Wymuskany, gładko wygolony, w firmowych sportowych ubraniach, smukły i gibki, wyglądał raczej jak dwudziestolatek. Gdyby ktoś kazał mu rozrzucić widłami obornik, pewnie krzywiłby nos i narzekał na feter. A potem

popracowałby kilkanaście minut, bawiąc się widłami, jakby to były duże bierki. Nigdy nie musiał ciężko pracować, był nauczycielem, mieszkał w mieście i uwielbiał kobiety, a one jego. Dlaczego wybrał właśnie Inge?

Poszła do córki jeszcze tego wieczoru. Ludwik był w domu, oglądał, jak zwykle, telewizję. Inga siedziała przed komputerem. Przywitała się z matką serdecznie i zaprosiła do pokoju.

- Wciąż nie mam odpowiedzi z wydawnictw - powiedziała smutno na powitanie.

- Nie przejmuj się, kochana. Jak się czujesz?

- Znacznie lepiej. Mam nadzieję, że najgorsze już za mną.

- Też mam taką nadzieję, córeczko. Wciąż myślę o tej sprawie i uważam, że powinniśmy pomyśleć o podróży do Polski. Chciałabym bardzo odwiedzić moje Pustniki, zobaczyć wieś innymi oczami, z dystansu lat. Pojechałabyś ze mną?

- Mamo, na pewno nie teraz! Wiesz, moje zdrowie, dopiero co wyszłam ze szpitala, no i ślub...

- Ale może potem? - spytała z nadzieją w głosie.

- Potem może tak - odpowiedziała Inga, widząc, jak matce na tym zależy.

Może naprawdę powinna tam jechać? Niewiele pamięta z dzieciństwa, może wspomnienia obudzą się w niej, poruszone widokiem i zapachem tamtej wsi.

- Czy na pewno chcesz tego ślubu? - matka zmieniła temat, wyraźnie szczęśliwa, że córka dała się namówić na sentymentalną podróż.

- Ależ tak, między nami naprawdę jest dobrze!

- A ten paragon?

- Był Franka. Frank ma nową dziewczynę.

- Ach, tak. Widzę, że w to wierzysz. No cóż, zrobisz, jak zechcesz, kochanie. A odpowiedziami z wydawnictw nie przejmuj się, na pewno niedługo otrzymasz jakiś list.

Wizyta nie trwała długo, Rosemarie wróciła do siebie, do swojej samotności. Coraz mniej ją lubiła. Gdyby była młodsza... Może zakochałaby się? Ale teraz... To już chyba nie ma sensu. nie ma w kim. Za późno.

- Nie widziałeś może mojego listu, który leżał na stole? - Inga rzuciła niby od niechcienia w kierunku migoczącego telewizora.

- Tam było parę listów, to były moje zgłoszenia na szkolenia. Wysłałem je dziś, a czemu pytasz?

- Tam był też mój list...

- Nie zauważyłem. Podałem pani na poczcie, żeby nakleiła znaczki i wysłała. Śpieszyłem się.

Inga zamilkła. Usiadła przy stole. List do Michała był już w drodze. Wysłany przez Ludwika. Gdyby wiedział, że niechący stał się posłańcem... Nic już nie mogła zrobić.

- Do kogo był ten list?

Inga nie usłyszała. Zastanawiała się, co robić. Czy wysłać kolejny list, w którym napisze, że unieważnia ten pierwszy? Nie, to bez sensu... Może zadzwonić i powiedzieć, żeby nie otwierał koperty? To dziecinne.

- Halo, Inga, pytałem o coś!

- Taaak? - spytała nieprzytomnie.

- Do kogo był ten list?

- Do znajomego. - Jakiego?

- Eee, dawny znajomy, nie ważnego.

Nie, nie mogła mu przecież powiedzieć, kim był Michał dla niej. Że zafascynowało ją jego kamienne spojrzenie, niski głos, tamten pachnący wiatrem pocałunek. Że podświadomie czekała na odpowiedź na jej list, choć wcale nie planowała go wysłać.

Nie chciała psuć tego, co między nią a Ludwikiem budowało się od nowa, codziennie, małymi krokami.

^Barwne klony na miedzy szlak sypnęły liści przebogato!

Jesień zażółciła świat. Kolorowe astry przekwitały już w przydomowych ogródkach, całe miasteczko przybrało barwy złota i czerwieni. Zieleń krzewów stała się dojrzała, jakby malarz dodał na palecie zieloności kilka kropel brązu i czerni. To znak, że świat zmierzcha, szykuje się do zimowej nocy. Jaka będzie ta jesień? Rosemarie często wracała pamięcią do jesieni na Mazurach. Ludzie lubili tamtą jesień, mówili o niej, że jest polska, złota... Ta niemiecka była znacznie cieplejsza. Powietrze nie tak przesycone wilgocią, klimat łagodniejszy, bogactwo kolorów wciąż kwitło, niewarzone przymrozkami końca roku. Na początku łagodność jesieni i zim zadziwiała ją, stopniowo jednak, gdy już się przyzwyczaiła do tego stanu rzeczy, zaczęła odczuwać coś w rodzaju tęsknoty za zadymkami i nawałnicami śnieżnymi, zaspami po pas i światem zamilkłym od silnego mrozu.

Jej córka zaplanowała swój ślub przed Bożym Narodzeniem. Obie chciały, by to był najpiękniejszy dzień w jej życiu. Rosemarie wierzyła, że tak się stanie i przynajmniej ona z całej rodziny będzie wreszcie szczęśliwa. Starła się nie myśleć źle o Ludwiku. Ostatnio zachowywał się milej, troszczył się o Inge. Może po prostu chciał się pokazać jako dobry

przyszły mąż i zięć? Wszystko zdawało się układać. Tylko tamten cień wspomnienia o Michale Heimannie nie dawał jej spokoju.

Inga wyciągnęła z szafy sukienkę do ślubu. Była kremowa, z gładkiego jedwabiu, z ręcznie malowanymi tulipanami. Bardzo oryginalna, kupiona w eleganckim butik w centrum. Kosztowała majątek, ale Inga stwierdziła, że sukienkę będzie mogła założyć jeszcze na inne okazje.

- Raz się bierze ślub - powiedziała do matki, a ta jej przytaknęła, szczerze zachwycona sukienką.

Schowały ją potem do szafy, wcześniej nasyciwszy oko i zamknąwszy kremowy materiał w granatowym pokrowcu.

Inga wróciła już do pracy. Była wyraźnie spokojniejsza, podchodziła do zawodowych spraw z lekkim dystansem, jakby nie wszystkie jej dotyczyły. Wciąż czekała na odpowiedzi z wydawnictwo milczenie wyraźnie ją niepokoiło. Często czuła na sobie uważne spojrzenia Marty, a przy tym obserwowała Ludwika. Ten zachowywał się wobec pięknej koleżanki zupełnie obojętnie. To ją cieszyło. Najlepiej jest zostawić sprawy własnemu biegowi.

Matka wciąż mówiła o podróży na Mazury. Inge zaczęła ta myśl zajmować do tego stopnia, że zaplanowała nawet tygodniowy urlop w przerwie wiosennej, w połowie maja.

- Zobaczysz, jaka piękna jest wiosna na Mazurach, to zawsze była moja ulubiona pora roku! - Ucieszyła się matka.

- Robię się tej twojej wiosny coraz bardziej ciekawa, mam - uśmiechnęła się do niej Inga, strzepując siwy włos z kołnierza niebieskiej bluzki. Przytuliła się do niej szybko, jak w dzieciństwie.

Dawniej ukrywała się w szyi swojej matki, jak w bezpiecznym namiocie, chroniącym przed burzą. Lubiła dotykać czołem miękkości czyjś ciała. Czasem wydawało jej się, że ta potrzeba ma początek w dzieciństwie. Być może tak właśnie wtulała się w pierś matki, gdy ta ją cierpliwie karmiła? A może potem matka kładła jej przy twarzy miękką pieluszkę, by zamknąć dostęp złego świata? Inga do dziś wtulała czoło w poduszkę i zasypiała właśnie w ten sposób. Sen przychodził szybko z każdego zakamarka myśli, zapadał w Inge, a ona w niego, i trwali w tym uścisku aż do porannego, łaskoczącego słońcem przebudzenia.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Inga spojrzała badawczo na matkę, ta wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że to nie ona dzwoni, bo przecież stoi tutaj, w pokoju z wielką szafą, za której drzwiami drzemie już ślubna sukienka.

- No, otwórz.

- Ale kto to może być o tej porze? - zastanowiła się.

- Może Ludwik nie wziął klucza i dzwoni?

- Nie, on ma dziś zajęcia do wieczora.

- Zatem, idź...

Po chwili Rosemarie wiedziała już, że dziwne poruszenie w przedpokoju i cichy jęk córki zapewne nie wróżą nic dobrego. Nadmierna ciekawość pchała ją do wyjścia z pokoju, jednak powstrzymała się. „To są sprawy Ingi, nie moje, jeśli będzie chciała, powie mi, kto przyszedł” - tłumaczyła sama sobie po cichu. Dotykała palcem chropowatego wiklinowego koszyka, w którym stała doniczka. Jakieś drobne włókno weszło jej w palec i utkwilo pod samą jego powierzchnią. Rosemarie odruchowo wykrzywiła kciuk w taki sposób, by wyciągnąć drzazgę. Próba ulżenia ciała zaabsorbowała ją tak bardzo, że zapomniała o gościu Ingi. Z zamyślenia wyrwał ją głos córki:

- Mamo, pozwól, że ci przedstawię...

Podniosła głowę do góry, choć kciuk wciąż jeszcze próbował wyluskać z palca małeńki ościć, który sprawia! ból. W progu stał średniego wzrostu mężczyzna o smagłej twarzy, ubrany w zwykłą płócienną kurtkę i dżinsy. Na twarzy miał lekki zarost, a jego oczy osłaniał niewielki daszek brązowej czapki. Szybkim ruchem zdjął tę czapkę, jak sztubak, zmiął ją w dłoni i podszedł do Rosemarie.

- Dzień dobry, nazywam się Michał Heimann - powiedział w dawno niesłyszonym przez nią języku. Języku, za którym tęskniła, do którego w myślach wracała, w którym śniła i, choć rzadziej, pisała.

Język, w którym dzieją się sny, jest tym najważniejszym, włączonym przez dzieciństwo do krwiobiegu, który wraz z hemoglobina uczestniczy w transporcie pokarmu i tlenu, wraz z limfą toczy się w sieci naczyń i w węzłach chłonnych. To język eksplorujący najgłębsze pokłady podświadomości, język zaczątku istnienia, kamień węgielny myśli. Tego języka nie mogła zapomnieć, bo był językiem jej ojczyzny.

- Dzień dobry, nazywam się Rosemarie Sobottka - odpowiedziała cicho, wydobywając z pokładów myśli polskie słowa jak zawinięty w zwyczajny szary papier prezent. Wzruszona tym niespodziewanym spotkaniem, nie zastanawiała się, jak do niego doszło. Traktowała to jak coś zupełnie naturalnego, że stoi przed nią potomek rodu, z którym tak bardzo związana była matka, który był częścią historii jej rodziny.

Michał zaczął wyjaśniać swoją obecność. Mówił o liście od Ingi, w którym znalazł ważne dla niego informacje, o podróży do Niemiec, do ojca, który doskonale pamiętał Helenę Kres i Hildę Sobottkę. Sploty tych sytuacji były jak łańcuch zdarzeń, którym Michał poddał się bezwolnie.

- A poza tym pomyślałem, że będę cię mógł jeszcze zobaczyć - powiedział do zdziwionej Ingi.

Rosemarie wiedziała, że jej córka musi teraz zostać z nim sam na sam, rzuciła mu więc tylko ciepłe spojrzenie i wyszła.

Inga zaprosiła swojego gościa do kuchni, zestresowana i przejęta.

- Nie denerwuj się tak moją obecnością. Przepraszam, że nie uprzedziłem, ale naprawdę nie miałem jak. Nie dałaś mi swojego numeru telefonu

- powiedział do niej miękko, siadając na wskazanym krześle.

„Nie prosiłeś o niego” - pomyślała Inga, a potem powiedziała:

- Nie denerwuję się, tylko jestem zaskoczona.

- Po twoim liście... - zaczął. Inga zamilkła, nieco skrepowana, że napisała ten list. - ...zadzwoń do ojca, który mieszka w Niemczech. Zapytałem o to wszystko, o czym pisałaś, i powiedział mi, że zna was i że to niesamowite, że spotkaliśmy się właśnie we Francji, my dwoje. I że mnie zaprasza do siebie. Moja matka już nie żyje...

- Bardzo mi przykro. Tak, to rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności

- szepnęła Inga.

Zanurzyła właśnie palce w zielonym glinianym pojemniku na herbatę, by odmierzyć porcję herbaty. Kruchość czarnych listków sprawiała jej przyjemność, dlatego właśnie nie używała łyżeczek do wsypywania herbaty.

- Tak, zbieg okoliczności... - zawiesił głos Michał.

Milczenie dopadło ich niewymuszenie, Inga wciąż próbowała sobie przypomnieć, co napisała w liście do Michała, minęło już bowiem trochę czasu, parę tygodni, które dodatkowo umknęły jej z pamięci w związku z nawałem wydarzeń i przygotowań do ślubu.

Zalała herbatę gorącą wodą. Drobinki śmiesznie kołysały się na powierzchni.

- Więc wiesz już o mnie i mojej rodzinie... - zaczął wreszcie.

- Tak, przeczytałam o tobie w tych wspomnieniach - powiedziała jakby na usprawiedliwienie, że niechcący zupełnie posiadała tę wiedzę, do której może nie była powołana. Może Helena Kres nie powinna była tego mówić w wywiadzie dla niemieckiego pisma? Ale cóż, stało się, powiedziała i wspomnienia być może ożyły; musiały zboleć Michała.

- Wtedy... Zycie uratował mi ważny telefon z biura, że mam natychmiast stawić się u bogatego klienta i poprawić projekt, inaczej zrywa ze mną intratny kontrakt.

- Ach tak...

- Zdecydowałem, że nie polecę, bo nie chcę stracić tych kilku tysięcy euro. Chcieliśmy kupić dom, który wynajmowaliśmy. Liczył się każdy grosz. To pieniądze zatrzymały mnie we Francji.

Inga mieszła herbatę, patrząc, jak szary dymek wrzątku unosi się nad filiżankami. Za oknem warkotały samochody, słychać było okrzyki rowerzystów witających się na drodze. Wciąż jeszcze jeździli ulicami miasteczka, lekko ubrani, bo jesień była wyjątkowo ciepła.

- Bałem się, że wszystko stracę. Rozumiesz? One poleciały, a ja czekałem na ich powrót i wciąż nie mogłem dojść do porozumienia z klientem... - zawiesił głos.

- Tak, rozumiem.

- Byłem akurat u niego, kłóciliśmy się głupio, niepotrzebnie. Miał włączony telewizor. Jakiś serwis informacyjny, zdjęcia z katastrofy. Nie docierało do mnie, że to zdarzyło się naprawdę, było jak wiadomość o ataku na World Trade Center. Początkowo nie słuchałem zupełnie, myśląc, że to gdzieś daleko, że to mnie nie dotyczy. Dopiero potem ktoś powiedział: „śmierć zamiast wakacji w raj” i podano informację, że oprócz Hiszpanów na pokładzie znajdowali się Niemcy, Szwedzi i Holendrzy, a przecież Isabelle miała niemiecki paszport, choć od lat mieszkaliśmy we Francji, w tym naszym niekupionym domu. I te słowa pojawiające się na dole ekranu: „Piętnastoletni McDonnell Douglas MD - runął na ziemię około godz.. czasu lokalnego”.

Te bezlitosne słowa zapamiętam na całe życie. Dla innych były tylko informacją, newsem o tym, że runął samolot, a dla mnie były upadkiem mojego świata, życia, jakbym nagle zderzył się z betonową ścianą i nie mógł nic zrobić, ani kroku w tył, jakby nieznana siła przygwaździła mnie do tej ściany, bez szansy na obronę.

A potem kolejne słowa, bezlitosne, jak sen, który wciąż nie docierał; tamten klient wciąż coś mówił, nie słuchałem go, tylko tego dziennikarza, którego słowa zapadały w moją pamięć: „Samolot runął zaraz Po starcie. Prawdopodobnie powodem upadku była awaria jednego z silników. W chwili uderzenia o ziemię samolot miał pełne zbiorniki Paliwa. Kadłub przełamał się na pół i wybuchł gwałtowny pożar. Jest dużo zwęglonych ciał”.

Miałem jeszcze nadzieję, że wśród nich nie ma ciał mojej żony i córki, zapisałem numer infolinii w nadziei, że dowiem się czegoś więcej, numer był wciąż zajęty, dopiero wieczorem zadzwoniła matka Isabelle, że miała telefon z Hiszpanii. Isabelle została zidentyfikowana po obrączce, miała bardzo charakterystyczną, z wygrawerowanym od środka moim imieniem i datą ślubu. Jej drobne ciało wyglądało jak spalony manekin ze sklepu odzieżowego. Było jeszcze mniejsze niż za życia, widziałem je podczas identyfikacji zwłok. Próbowałem znaleźć w nim coś wspólnego z żywą Isabelle... Nie było znanej mi krągłości

bioder, wystających lekko obojczyków ani jasnych włosów, tylko bezlitośnie proste kości i czarna okrągła czaszka. Ciało Dominique było doszczętnie spalone, wróciło do Francji później, przebadane przez specjalistów od DNA. Nie widziałem go. Nie byłem w stanie zajrzeć do trumny. Pogrzeb... Nie chciałem oddać tych poranionych ciał ziemi. Spaliłem je w krematorium, by dokończyć rozpoczęte przez przeznaczenie dzieło. Prochy wrzuciłem do morza, nad którym co roku spędzaliśmy wakacje. Isabelle i Dominique nie mają ziemskiego grobu. Nie wyobrażałem sobie bezsensownych cmentarnych odwiedzin, plakatowania nagrobka zdjęciami pięknych i uśmiechniętych twarzy, pisania na kamiennych tablicach patetycznych pożegnań. Wydawało mi się to takie przyziemne i niepokorne wobec wyroku, jaki wydało na mnie życie. Skoro ich obu już nie ma, nie będzie też kamiennych wspomnień.

Inga płakała. Łzy leżyły się pod powieką jak larwy, po czym wędrowały ścieżkami lekkich zmarszczek przy ustach, podążały w kierunku brody i kapały na blat stołu.

- Nigdy więcej nie wykonałem żadnego projektu. Nie namalowałem obrazu. Wszystko jakby we mnie zastygło. Postanowiłem budować domy, które zaprojektował ktoś przede mną. Budować z sercem, jak najlepiej, by w ich ścianach skupiać się mogły myśli i sny szczęśliwych rodzin. To jest mój pomnik pamięci dla Isabelle i Dominique - dodał Michał, podając Indze chusteczkę. Drugi raz w życiu.

Inga przeżyła szok. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy tego mężczyznę, a tymczasem w spotkaniu tym niezamierzenie pomógł Ludwik. Gdyby wiedział!

Michał znalazł ją najprościej na świecie, po adresie zwrotnym, bo jak się okazuje, najlepsze są najprostsze rozwiązania. Człowiek zastanawia się czasem nad czymś, przebiera w środkach i możliwościach, a kiedy już nie może dłużej znieść patowej sytuacji, życie samo rozwiązuje za niego problem. Najprostszym z możliwych sposobów. Los, który postawił jej na drodze tego mężczyznę, był wciąż jeszcze przez nią niezrozumiany. Jakby mówił do niej innym językiem zdarzeń.

Piknął esemes. Mama.

„Zapraszam Ciebie i Michała na kolację na godzinę.”. Osiemnasta piętnaście była tą godziną, o której Ludwik wracał tego dnia do domu. To był plan Rosemarie. Inga nie musiała szukać stosownego alibi, by móc dłużej pobyc z Michałem. Po prostu powie, że jest na kolacji u matki.

Inga odpisała niemal od razu:

„Będziemy wcześniej” - co oznaczało, że przyjęła propozycję.

I w ten sposób połączyła je, matkę i córkę, tajemnica. Czasem bowiem w życiu tak bywa, że to nie podobne potrzeby, gusty czy upodobania kulinarne łączą ludzi, a właśnie

tajemnice. To one mają ten szczególny dar jednoczenia w ciasnym kręgu spotkań i szeptów na ucho. Ze wspólnych tajemnic wyzwała się umiejętność niewerbalnego porozumienia i odwagi w stawaniu w obronie powiernika. Tak buduje się wielkie przyjaźnie, które jeśli nie zostaną zgwałcone zdradą tajemnicy, mają szansę przetrwać wszystkie próby czasu.

- Zamierzam zostać w Niemczech kilka dni. Mieszkam w niewielkim hotelu u podnóża gór Vogelsberg, kilkanaście minut drogi stąd. Byłem u ojca i w drodze powrotnej postanowiłem odwiedzić ciebie - mówił Michał, patrząc, jak Inga wyciera oczy. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Zamierzasz tu być przez kilka dni? - zapytała, jakby chcąc upewnić się, czy naprawdę przyjechał tu do niej.

- Tak. Twój list... Zachowałem się wtedy bardzo głupio, przyznaję, bo skąd mogłaś wiedzieć... Powinienem był powiedzieć, ale nie potrafiłem. Wiesz, tamto nasze spotkanie... Utkwiło mi w pamięci, próbowałem o nim zapomnieć, ale nie mogłem, nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się coś takiego. Od naszego pierwszego spotkania miałem dziwne przeczucia... Twój zapach, dotyk, sposób, w jaki patrzysz, opowiadasz, uśmiechasz się, to niezwykle. Już po pierwszym spotkaniu chciałem ci powiedzieć, że nie Powinniśmy się więcej spotykać. Bałem się, że to wszystko będzie zbyt ulotne, kruche, że to jest jak sen, bo przecież jesteśmy z dwóch różnych światów. A potem, gdy przyszłaś do mnie...

- Nic nie mów - przerwała mu, patrząc w oczy. Mrużył je śmiesznie, a wtedy pojawiały się wzdłuż nich podłużne zmarszczki. Nie były to zmarszczki saturniczne, ponure, lecz należące do człowieka pogodnego, uśmiechającego się do swoich myśli. Miał lekki zarost, delikatne zagięcie skóry nad podbródkiem, a gdy się uśmiechał, jego oczy wyglądały jak półksiężycy.

Inga nie chciała, by mówił o tamtym spotkaniu, jakby obawiając się, że przypomni jej wszystko, co nie powinno było się wydarzyć. Miała wrażenie, że wstydzi się tego i chce ukryć przeszłość przed samą sobą. On jednak mówił dalej:

-...powiedziałaś wtedy, że ktoś na ciebie czeka. Nie przywiązywałem do tego wagi, traktując cię tylko jak chwilę, jak letni podmuch. Dopiero gdy wyszłaś, a raczej wybiegłaś, a ja, jak głupi, nie pobiegłem za tobą, nie zatrzymałem i nie powiedziałem, dlaczego tak się zachowałem, uświadomiłem sobie, że może cię zraniłem. A potem ten list, twoja i moja historia, które tak się zbiegły tamtego dnia... Wiedziałem już, że nie spotkaliśmy się przypadkiem, że jesteś moim przeznaczeniem.

- Michale... Mam narzeczonego... On mieszka ze mną tutaj, w moim mieszkaniu, w tej szafie wiszą jego ubrania, w łazience stoją jego kosmetyki, wisi ręcznik i szlafrok. Za kilka

tygodni będę jego żoną... - wydusiła jednym tchem, jakby chcąc mieć już za sobą tę krótką spowiedź ze swojego życia.

- Ach, tak... Zatem... Nie wiem, co powiedzieć. Czy kochasz go naprawdę?

- Myślę, że tak.

- Gdy kobieta mówi, że myśli, że kocha, ma w swoim sercu masę wątpliwości...

- To znaczy: kocham go. Tak.

- Wcześniej powiedziałaś co innego.

- Wiem, ale teraz mówię to.

- Ingo, powiedz tylko, czy to nic dla ciebie nie znaczyło? To wszystko, co nas połączyło, a potem ta cała historia... Przecież to niezwykle, to nie przydarza się codziennie. Nie myślałaś o tym?

- Myślałam, ale... Czy możemy po prostu zostać przyjaciółmi?

- I żyć tak, jakby nigdy między nami...

- Nic nie mów. Zapomnij, tak będzie lepiej. Nie powinnam byta. On wtedy... Zdradził mnie i to dziwna pustka w mojej duszy i sercu sprawiła, że tak się zachowałam. Nie powinnam była, na dodatek to nie było uczciwe wobec ciebie. Przepraszam.

- Nie przepraszaj.

- Powinnam.

- Ingo... - dotknął ją lekko, jakby chciał sprawdzić, czy jest tu przy nim, czy to do niej przejechał cały kraj, przemierzył tyle godzin i kilometrów swoją czarną, wysłużoną terenówką, by usłyszeć, że go przeprasza. Pod jego dotknięciem jej serce jakby stopniało; miał ciepłe palce.

- Twój list... Sądziłem... Chciałaś się ze mną spotkać, choćby w myślach...

- Tak, ale potem zrezygnowałam z wysłania go. Miałam go zniszczyć, miałeś nigdy go nie zobaczyć. To Ludwik go wysłał, przypadkowo, zbierając ze stołu swoje listy.

- Ach, tak...

Inga bawiła się leżącym na stole telefonem, przekładała go na boki, jak kostkę do gry, aż cichy stukot przypomniawszy jej coś:

- Moja mama zaprasza nas na kolację. Wypijemy herbatę, bo całkiem wystygła. Pójdziemy, dobrze?

- Nie znam twojej mamy.

- Ale ona zna twoją rodzinę. To chyba wystarczający powód, by tam pójść?

- Tak, oczywiście - powiedział chłodno, wstając nagle.

- Michał... - szepnęła spłoszona, widząc, że wygląda, jakby szykował się do wyjścia. Stał wyprostowany jak struna, czujny jak kot prężący się do skoku. Zatrzymany w pół oddechu, obrócił wolno twarz. Zmarszczki uśmiechu znikły, a oczy lekko pociemniały i w szarości dnia, wnętrza i duszy wyglądały teraz jak kobalt, jak niebo w Bretanii, tamto bez słońca, pochmurne i ciemne.

Czuła dziwne rozdarcie, coś ją powstrzymywało od tego, by wyznać, że wtedy, we Francji, myślała nawet przez chwilę, że się w nim zakochała, jednak to było tylko zauroczenie, fascynacja, a jej życie jest tutaj, przy innym mężczyźnie. Michał wyciągnął do niej rękę, ona przybliżyła się miękko, wiedząc, że nie ma takiej siły, która powstrzymałaby ją teraz przed jeszcze jednym dotknięciem, muśnięciem choćby tamtego ramienia, łokcia, palców, jakby na pożegnanie.

- Nie wiem sama, co ci powiedzieć, jak żyć, wszystko mi się poplątało - powiedziała tylko, choć chciała przecież powiedzieć zupełnie coś innego. Już zbliżyła się do Michała, już czuła jego dziwny zapach perfum, jakich nigdy wcześniej nie czuła, ale gdyby mogła go namalować, zużyłaby na palecie wyobraźni wszystkie kolory czerwieni, poprzez karmin aż do amarantu.

A on dotknął ustami jej policzka, najpierw jednego, potem drugiego. Ciepło i miękko osiadł ten dotyk, nie za szybko, w pośpiechu, jak klaśnięcie, lecz jak słoneczny podmuch, jak mgła nad łąką, o której na Mazurach mówi się „pranie”.

- To na dzień dobry. Trochę późno, ale byłeś taka odległa. Batem się zbliżyć. Teraz czuję, że mogę. My we Francji zawsze wymieniamy między sobą pocałunki.

Inga roześmiała się i chwilę pozostała w tych ramionach, a Michał podniósł ją lekko do góry, uniósł ponad swoją twarz:

- Ależ jesteś lekka!

Inga zamachała nogami, lekko bezradna, bo pozbawiona oparcia podłogi, zadziwiona tą nagłą wylewnością, bo przecież przed chwilą wyglądał, jakby miał wyjść... Chwilę jeszcze wtulali się w siebie tak, że czuł, jak jej piersi przylgnęły do niego ufnie, zapragnął ich dotknąć, ale wiedział, że coś ich rozdzieliło. Tym czymś była jej decyzja, a on czuł głuchą rozpacz i niemoc, że nic nie może zrobić. Mógł tylko cieszyć się chwilą. I nagle poczuł się jak Faust podpisujący kontrakt z Mefistofešem, chcąc wbrew wszystkiemu zatrzymać ten czas, który był jego udziałem. Jej zapach ciała, oddechu, dotyk włosów wydawał się być pieczęcią do jego cyrografu serca...

- Zazdroszczę mu...

Krótkie słowa, przyziemne, postawione nad jej głową jak stanowcza kropka, jak pękaty kruk na śniegu, w bezlitosnej czerni, postawiony tam przez zimę, wiatr, żywioł, otoczony drobnymi znaczkami zabieganych ptasich pazurów. Zwyczajne „zazdrość mu” było jakby odkryciem słabości, z którą sobie nie poradził. Przez chwilę był kimś innym, w zwykłej zazdrości odkrył swoje niezrozumienie. Czy ona naprawdę tego nie rozumie, że są dla siebie przeznaczeni?

W jej duszy toczyły teraz walkę wstyd i upór. Nie rozumiała, że romans Ludwika z Martą nie był przypadkowy, że wszechświat w jakimś desperackim akcie kazał jej przebudować własne życie, że ocierając łzy, szła do własnego szczęścia.

- Zazdrość to złe uczucie. - Zabrzmiało to pedagogicznie i sucho. Przecież każdy wie, czym jest zazdrość.

Stali wciąż obok siebie, ona z nadzieją, że może pocałuje ją jeszcze raz, on - z lękiem, że zaraz uderzy w szybę jak ćma.

- Chodźmy już do mojej mamy, na kolację...

zrobiło się jak w ich wspólnym domu, ona poszła się przebrać, on wstawił kubki z resztkami herbaty do zlewu, sięgnął po gąbkę, płyn, odkręcił wodę, która cicho uderzyła o glinianą powierzchnię, splukując brązowe resztki i osad z herbaty.

- Zatem zostaniesz kilka dni w naszym mieście? Może Inga pokaże ci jutro jakieś ciekawe miejsca, rynek, muzeum? - Rosemarie rozstawiała na stole talerze, by zaraz podać sałatkę warzywną z ziemniakami, ogórkami kiszonymi i marchewką.

- Bardzo chętnie zobaczę Griinberg - przytaknął Michał, zerkając na Ingę.

Inga rozkładała kolorowe serwetki i również spojrzała na Michała. W myślach pojawiły się wątpliwości, czy na pewno tu i teraz jest odpowiednie miejsce, miała wrażenie, że matka prowadzi jakąś grę. Inga nie rozumiała jej, ale wiedziała, że zawodnik, dla którego ta gra była przeznaczona, chwycił w lot wszystkie jej zasady.

- Tylko co ja powiem Ludwikowi? - zapytała głośno, by Michał nie miał wątpliwości, że traktuje go wyłącznie jak kolegę, starając się uśpić w sobie to, co narodziło się we Francji i teraz znów wychodziło na świat - jak młody borsuk wczesną wiosną, zadziwiony ilością słońca i długością dnia.

Borsuk przecież na dobre nie zasypia, budzi się wielokrotnie podczas swojego snu, wychodzi na tę samą wciąż ścieżkę, łączącą jego norę z lasem. Zupełnie inaczej niż lis, do którego nory prowadzi kilka ścieżek, każda inna, czasem przy złamanej sośnie, czasem przy krzaku czarnego bzu. Ile ścieżek prowadziło do serca Ingi?

- Oj, coś wymyślisz... - Rosemarie wyraźnie lekceważyła te dylematy, jakby przestała przyjmować do wiadomości, że jej córka wkrótce wychodzi za mąż.

- Łatwo powiedzieć. Ale co?

- Już nie udawaj, że on jest wobec ciebie taki uczciwy - matka ucięła wątpliwości. Michał podniósł głowę i spojrzał pytająco na Ingę, ona na niego. Milczeli oboje.

- Wiesz, Michale, na starość robię się chyba sentymentalna - zaczęła Rosemarie swobodnie, jakby Michał być częścią jej rodziny. Widać już samo pochodzenie, znajomość tych samych pustnickich ścieżek i domostw, przynależność do dalekich Mazur, otoczonych lasami i wodą, stawiały go w równym rzędzie z najbliższymi.

- To znaczy? - Roześmiał się, zaniepokojony.

- Chciałabym odwiedzić rodzinne strony. Chciałabym pojechać na Mazury. Do Pustników. Wiem, że też tam byłeś przed laty.

- Tak, byłem, jeszcze z moją żoną... - Głos lekko spoważniał, zabrzmiał głębiej, chropowato, na skutek wspomnienia tamtego czasu.

- No więc właśnie. I ja też chciałabym tam pojechać. Nie byłam tam od wyjazdu. Bałam się, jak przyjmie mnie ta wieś, ludzie mówili, że nowi mieszkańcy nie dbają o tę ziemię tak, jak powinni. Ze nie odnawiają domów, w zabytkowe domy wstawiają plastikowe okna, zaś niezadbane stare dachy zarastają mchem. Im jednak jestem starsza, tym bardziej mnie tam ciągnie. Wrócić, zobaczyć jeszcze raz tamten świat, przejść główną we wsi drogą, zejść do jeziora, zobaczyć dawny dwór, który podobno teraz powoli zrasta się z szarą ziemią. Inga początkowo wyśmiewała mój sentymentalizm...

- Ależ mamo, Michała to nie obchodzi! - przerwała Inga, zta na matkę, że mówi o takich sprawach przy obcym mężczyźnie, a przecież w obecności Ludwika nigdy tak się nie zachowuje, nie jest tak otwarta i szczerą.

- Ależ obchodzi! - odezwał się Michał, uśmiechem dając przyzwolenie tej sympatycznej starszej pani, by opowiadała jak najwięcej o swojej córce, skoro wyraźnie miała na to ochotę.

- No więc właśnie - znów użyła swojego ulubionego zwrotu, owo „no więc właśnie” przywiozła jeszcze stamtąd i mogła teraz go użyć, po polsku, bo w niemieckim języku słowa brzmiały zupełnie inaczej. - Inga nie chciała do tej pory słyszeć, ale teraz, po tej dziwnej chorobie, obiecała mi, że pojedzie tam ze mną.

- Dziwna choroba? - spytał Michał. - Czy Inga jest chora?

- Już nie, ale chorowała. Ja myślę, że to nadmiar przeżyć spowodował pewną niedyspozycję płucną... - zaczęła Rosemarie, po czym w skrócie opowiedziała mu o chorobie

Ingi i jej pobycie w szpitalu, mimo że Inga rzucała jej nad stołem złe spojrzenia. Michał stuchał, zmarszczywszy czoło, co znaczyło, że słucha uważnie i może naprawdę przejmują się losem Ingi?

- Musisz teraz o siebie dbać - powiedział na koniec, dotykając lekko dłoni Ingi, walczącej właśnie z opornym kawałkiem ogórka.

- Dbam o siebie, nie martw się. - Inga była wyraźnie zła, że matka pozwala sobie na takie wynurzenia. Miała wrażenie, że popisuje się po prostu, bo chce pozyskać sobie sympatię Michała.

- No i, wyobraź sobie, Inga zgodziła się pojechać tam ze mną podczas ferii wiosennych, w połowie maja - rzekła Rosemarie z radością w głosie.

- Naprawdę? A może pojechałbym wtedy z wami? Chętnie zrobię sobie wycieczkę do Polski, a jeszcze w tak miłym towarzystwie... - zapytał nieśmiało Michał, prostując się na krześle.

Twarz Rosemarie rozjaśnił uśmiech:

- Naprawdę, pojedziesz z nami? To wspaniale! Ingo, słyszałaś?

- Tak, to wspaniale - odparła Inga sucho, widząc, że nie ma większego wpływu na relacje, jakie oto nawiązują się między jej matką a Michałem.

Późny wieczór, przerywany cichym tykaniem zegara, płynął wartko, bo towarzyszyły mu pogodne rozmowy i spojrzenia nad stołem, które jednak rzadziej były udziałem Ingi. Miała wrażenie, że matka całkowicie zawładnęła Michałem, osnuła wokół niego nić przywiązania, jakby była pajakiem okręcającym swoją ofiarę sprawnie i szybko. Michał był już otoczony kokonem matki, w jego oczach grały iskierki szczęścia, Pochłonięty był rozmową i oczarowany wdziękiem Rosemarie. Również matka zmieniła się - jej twarz nabrała rumieńców, usta zaczerwieniły od ciągłego mówienia i oblizywania zeschniętych od słów warg, gesty stały się miękkie, jakby Michał był częścią jej rodziny, wręcz synem, który wrócił z dalekiej wyprawy i szukał wypoczynku pod bezpiecznym dachem rodzinnego domu.

- Muszę się zbierać, późno już - powiedziała nagle Inga, wstając wolno.

- Zostań jeszcze - odezwała się matka, zatrzymując ją spojrzeniem.

Inga przysiadła na chwilę po to, by powiedzieć tylko:

- Muszę już iść, mamę, muszę jutro rano wstać.

- Też będę się zbierał, muszę przecież dotrzeć do hotelu. - Michał podniósł się, zatrzymywany spojrzeniem przez Rosemarie. Uśmiechnął się tylko do niej, podziękował za wspaniałą kolację i... szarmancko pocałował w rękę. Rosemarie wzruszyła się tym polskim gestem, bo przecież Michał wywiózł pewnie ten zwyczaj stamtąd, z tamtego kraju, uczony

przez ojca, który zawsze odnosił się z wielkim szacunkiem do kobiet, nawet tych, które służyły we dworze.

- Michale, bądź jutro moim gościem na obiedzie. Zapraszam cię serdecznie. I ciebie, Ingo, też - rzuciła w progę matka, powodując u Ingi nerwowy skurcz w dole brzucha.

Nie zaprosiła Ludwika, tylko Michała, pokazując tym samym, jak mało ważny jest dla niej przyszły zięć. Teraz była już całkiem zła, wyszła więc, rzuciwszy tylko suche „dobranoc”. Michał wyszedł za nią, zeszedł po prowadzących na zewnątrz schodkach w ciemność, rozświetloną jedynie światłem stylizowanej latarni, stojącej obok kościoła.

- Nie złość się na nią - powiedział do Ingi, obejmując ją lekko, po przyjacielsku. Przez chwilę poczuła dziwną przyjemność, a po chwili lekką niechęć, że tak łatwo dał się matce omotać.

- Odwiozę cię - dodał po chwili.

- Dziękuję.

Rozstali się przecnicę wcześniej, Inga nie chciała, by zatrzymywał się pod domem, bała się wzroku sąsiadów, a może i Ludwika, choć ten zapewne leżał jak zwykle na kanapie przed telewizorem. Tymczasem dom był uśpiony, Ludwik posapywał równo w sypialni, co znaczyło, że nie czekał na nią.

- Wyjeżdżam na weekend. Mam zawody w siatkówkę, będę sędzią - powiadomił rano Inge przy wspólnej toalecie. Gdy wychodzili do pracy tej samej godzinie, szykowali się razem, przepychając przy umywalce niewielkim lustrze na ścianie. Kiedy Ludwik się golił, Inga myła się pod prysznicem, a potem lustro było dla niej - robiła przed nim makijaż. Uważała, że kobieta w wieku czterdziestu lat powinna to i owo na twarzy podkreślić i wyjście „saute” powinno zdarzać się możliwie najrzadziej. Rysowała właśnie kreskę na dolnej powiece i ręka jej lekko drgnęła na dźwięk głosu Ludwika.

- Ach, tak... - rzuciła Inga, dodając w myślach, że jej dylematy oto rozwiązują się same. Nie będzie musiała mówić Ludwikowi, gdzie wychodzi i z kim. Po prostu go nie będzie.

- Jadę autem, organizatorzy nie zapewniają dowozu - dodał jeszcze.

Griinberg jest tak niewielkie, że nie ma potrzeby wyruszania w każde miejsce samochodem. To są właśnie uroki prowincji - wszędzie można dojść pieszo.

Inga miała tego dnia w pracy nieznośne wrażenie, że Marta, z którą od tamtego wydarzenia miały się w zupełnym milczeniu, patrzy na nią dość natarczywie. Bagatelizowała to, powtarzając sobie, że to na pewno tylko złudzenie, że tylko sobie wmawia. Czuła się na wyraźnie wygranej pozycji - to ona wkrótce będzie żoną Ludwika, a tamta zdrada nie miała

żadnego znaczenia. Przynajmniej ona nie czuje już zagrożenia. Ludwik nie esemesuje potajemnie, nie dzwoni, nie wychodzi z telefonem, nie siedzi godzinami w Internecie, a po pracy jego ulubionym zajęciem, oprócz treningów i szkoleń, jest relaks przed telewizorem. Inge wprowadzie taki sposób spędzania czasu drażnił, nazywała to zabijaniem czasu, jednak czasem wołała to przemilczeć, niż egzekwować na narzeczonym zmianę przyzwyczajień. Ludwik nie wyglądał na kogoś, kto prowadzi podwójne życie, a o tamtej sprawie paragonu już dawno zapomniała.

- Nie uważasz, że Marta jest dziwnie blada i źle wygląda? - zapytała ją koleżanka, napotkana nagle na korytarzu.

- Nie, nie przyglądam się jej - odpowiedziała Inga, panując nad emocjami, bo gdy przybierały na sile, jej policzki stawały się nagle czerwone. Koleżanka mogłaby, widząc te zdradliwe rumieńce, wysnuć wniosek, że temat Marty jest wyjątkowo drażliwy.

- No to się przyjrzyj. Na moje oko jest w ciąży. Tylko z kim?zawiesiła §'os tamta i poszła do klasy. Inga poczuła przyspieszone bicie serca. Nie wiedziała, dlaczego to ją tak przejęło, bo nawet jeśli Marta jest w ciąży, to przecież nie jest to żadna ważna dla niej wiadomość. Nie obchodzi jej Marta, jej dziecko ani facet, z którym zostało poczęte. Musiała wziąć kilka głębokich oddechów, by wyrównać tętno. poszła na lekcję do swojej klasy.

Z Michałem umówili się u Rosemarie, na czwartą. Ludwik pojechał na szkolenie, zapakowawszy niewielką weekendową walizkę. Inga miała pół godziny, by przebrać się nieco swobodniej, w dżinsy i sportową bluzę z kapturem. Chwyciła jeszcze książkę obiecaną mamie i wyszła z mieszkania, na schodach zakładając w pośpiechu kurtkę. Zanosiło się na deszcz, wróciła więc po parasol. Ludwik zabrał przecież auto, a nie chciała zmoknąć. Gdy znalazła się już na chodniku, szara chmura przesłoniła niebo i dźwięczna ściana deszczu spadła na ziemię, zagłuszając codzienne odgłosy ulicy. Ciężkie krople spadły na parasol, lekko uginając materiał; Inga zdziwiona patrzyła w niebo, bo dawno już tak mocno nie padało. Oby tylko Ludwik dojechał szczęśliwie. Mówił, że to jakieś pięćdziesiąt kilometrów, ale powinien uważać, bo na drodze mogą leżeć mokre liście i łatwo o poślizg. Wyciągnęła komórkę i chroniąc ją przed deszczem wysłała mu wiadomość: „Jedź ostrożnie, uważaj na liście! Całuję!”.

Po kwadransie szybkiego marszu dotarła do szachulcowej kamienicy, na której tyłach mieszkała mama. Strzepnęła energicznie wodę z parasola i rozejrzała się. Czarna terenówka Michała stała już na parkingu. Zatem przybył przed nią, zachęcony zapewne życzliwością matki. Dla niej cała ta sytuacja była mało komfortowa, poczuwała się jednak do odpowiedzialności i postanowiła traktować Michała jak miłego gościa, spodziewając się, że w

przyszłym tygodniu wróci już do siebie. Musi mu się przecież skończyć wolne. Kto zresztą bierze urlop na przełomie października i listopada? Deszczową porę powinno się spędzać w domu, a nie na podróżach.

Lekkim pukaniem obwieściła swoje przybycie. Nie czekając na zaproszenie, weszła, zostawiając w korytarzu otwarty parasol. Materiał był tak namoczony, że krople wody spadały z niego strumieniem, przesiąkały na deski podłogi i wpełzały w szpary, tworząc wokół mokrą deszczową aureolę.

Rosemarie zależało na tym, by posiłek był nie tylko smaczny, ale i tradycyjny. Chciała, by Michał poczuł się jak na Mazurach, przygotowała więc sandacza z grzybami według dawnego przepisu Hildy. Była to ulubiona potrawa starego Heimanna, Hilda szykowała ją przy okazji ważnych świąt lub rodzinnych uroczystości. Mimo że ryby jadało się często we dworze, taka z grzybami była wyjątkowa i odświętna. Podawano w ten sposób również karpia lub lina.

Rosemarie, stawiając talerz przed Michałem, opowiedziała mu o tej rodzinnej tradycji. Słuchał uważnie, wyraźnie wzruszony opowieścią, a Rosemarie kątem oka zauważyła, że Inga również się przysłuchuje. Przyszła dziś dziwnie milcząca i ponura, ale to pewnie dlatego, że zmolda. Taki deszcz, a ona na piechotę! Kieliszek wina na pewno dobrze jej zrobi. Dla Michała miała schłodzone piwo z okolicznego browaru. Podała mu niewielką butelkę niskoprocentowego bursztynowego płynu. Nalał do wysokiej szklanki i pił powoli, próbując nieznany mu smak.

- Bardzo smaczne. Macie tu świetne piwo - przyznał.

Inga patrzyła na niego, gdy pił. Kolor jego oczu był teraz lekko bursztynowy, zupełnie jak piwo, które wychyla! drobnymi łykami.

Znów nadszedł wieczór, spokojny, uśpiony miarowym deszczem, który znacznie się już uspokoił. Zjedli obiad, do którego Inga z matką wypity całą butelkę wina, potem był deser: ciasteczka francuskie z czekoladą, przygotowane przez Rosemarie. Michał poczuł się jak w domu. Roześmiał się nawet:

- U nas mówiło się: tu mi dobrze, tu się będę rozmnażać. Mam ochotę teraz to powiedzieć!

Obie zawtórowały mu śmiechem i popatrzyły na niego z sympatią. Rosemarie - jak na mężczyznę, który mógłby być jej zięciem, Inga - jak na przyjaciela, czując, że znika między nimi jakiś dystans. Wciąż jeszcze traktowała go jak zamknięty rozdział swojego życia, a ten dalszy ciąg był tylko nieplanowanym, ale miłym scenariuszem.

Michał był już wyraźnie zadomowiony, pomógł zmywać, sprzątał ze stołu jakieś okruchy, śmiał się i rozmawiał głośno. Czuł się tak dzięki Rosemarie, która gościnność miała niemalże w krwiobiegu, bo pochodziła ze świata, w którym gość przyjmowany był z sympatią i otwartością. Był coraz bardziej spontaniczny i radosny. Takiego go Inga nie знаła. Zyskiwał przy dłuższym poznaniu. Opowiadał jakieś historie, z których śmiały się oboje, a wypite wino potęgowało jeszcze poczucie lekkości. Czasem dobrze jest poddać się działaniu tego oszałamiającego szumu, który wpuszcza kroplę koloru do szarzejącej jesienią codzienności.

- Odwiozę cię do domu - zadeklarował, gdy zrobiło się późno.

Inga skinęła głową potakująco, nie miała ochoty na brodenie w kałużach. Uściskali oboje Rosemarie i wyszli ze śmiechem na korytarz. Zapomniany rozpięty na metalowej rączce parasol, niepotrzebny już, pozostał pod drzwiami.

Drzwi czarnej terenówki trzasnęły głośno. Inga zapięła pas i opadła na miękkie siedzenie. Było jej dobrze i bezpiecznie. Nie chciała jeszcze wracać do pustego domu. Ludwik nie dał znaku życia, pewnie bierze udział w integracji, rozpoczynającej każde szkolenie.

- Może przejedziemy przez miasto. Pokażę ci kilka miejsc - zaproponowała.

- Bardzo chętnie. ty w roli przewodnika. To mi pasuje!

- Zatem zobaczysz miasto moim oczami. Najpierw pojedziemy w prawo, główną drogą wyjedziemy za miasto i zaczniemy oglądać od początku, czyli od rogatek.

- Zgoda.

Michał sprawnie wymanewrował autem, radząc sobie doskonale z jego rozmiarami. Widać było, że dużo czasu spędza w samochodzie. Wrósł w niego, w dużą kierownicę, wygładzoną od ciągłego dotyku, w radioodtwarzacz o otartych z farby przyciskach, dźwignię zmiany biegów pozbawioną już szorstkości. W przegródkach na drzwiach tkwiły rzeczy codziennego użytku: chusteczki do nosa, czapka z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne, stare gazety, aparat fotograficzny, karmelki w szeleszczącej torebce. Inga rozglądała się po wnętrzu, wiedząc, że takie miejsca wiele mogą powiedzieć o właścicielu.

Inga opowiadała o corocznej imprezie w jej miasteczku, organizowanej w połowie października. Impreza nazywała się Gallusmarkt i odbywała się od ponad pięciuset lat. Były to szczególne targi dosłownie wszystkiego, odbywające się w ogromnych namiotach niedaleko centrum.

- Na Gallusmarkt przyjeżdżają również Polacy. Nasze miasto ma podpisane partnerstwo z Mrągowem i co roku ściągają do nas jego mieszkańcy.

- Nie wiedziałem. Popatrz, jaki świat mały. Jedna wielka prowincja. Mrągowo przecież jest niedaleko Pustników?

- Tak. Kiedyś jeździłam tam z mamą na targ.

- Musimy tam się wybrać, gdy już będziemy wiosną na Mazurach.

Inga zamilkła. On naprawdę chce z nimi jechać do Polski. Ciekawe, co na to powie Ludwik? I jak ma mu o tym w ogóle powiedzieć? Kim jest Michał? Dlaczego jedzie z nimi? Pytania wciąż mnożyły się w jej głowie, czuła, że zaczyna prowadzić jakąś podwójną grę i nie było jej z tym dobrze. Chciała, by to się skończyło, a jednak wciąż była tu, w aucie Michała, słuchała rozgadanego radia, próbowała traktować tego siedzącego obok mężczyznę jak zwykłego znajomego, bo tylko dzięki temu czuła się mniej rozdwojona w swoich emocjach.

Jechali gładką i równą drogą. Jaskrawo oznaczone rozjazdy i podświetlone znaki drogowe przerywały monotonię wieczoru. Zbliżali się do podnóża gór Vogelsberg, będących częścią Deutsches Mittelgebirge, niemieckich gór średniej wysokości.

- Lubię tę drogę - powiedziała cicho, przypominając sobie, jak miejsce to wygląda wiosną, pokryte skłębioną zielenią i pierwszymi kwiatami.

Każda pora roku ma swoje dominujące w kwiatach barwy. Wiosna jest biało-fioletowo-niebieska, wciąż jeszcze chłodna w odcieniach, pełna przyłasczek i krokusów. Lato wchodzi w świat pomarańczami, czerwieniami i żółcią, pokazuje, że słońce jest jego głównym towarzyszem i animatorem tych barwnych zdarzeń na łąkach i zboczach gór. Jesień jest zielonobrazowa, z przebłyskami żółci, a potem wszystko ciemnieje, staje się tak brązowe, że aż szaroniebieskie, bo kolory też gniją, ulegają rozpadowi, jak wszystko na świecie. A potem z tego nadgnicia, z tych szarości lekko zbrązowiałych, wyłania się brudna biel, jak ze zleżałych w parkach liści, zakończonych obwódkami szarej pleśni. Zimą ta biel staje się coraz czystsza - to mróz sprawia, że barwy się konserwują, stają się bardziej zdecydowane.

Inga mówiła Michałowi o tych przemianach. Była taka swobodna i radosna - to chyba przez to wino. Nagle umilkła, zapatrzona w gasnące niebo, uśpione domy i zbocza.

- U mnie, we Francji, nie ma zimy. Jest tylko wilgoć i zgniła zieleń - odezwał się nagle Michał, wykorzystując ciszę.

- Nie macie zatem bieli?

- Śnieg prawie nie pada, czasem mam wrażenie, że trwa tam ciągła vegetacja.

Inga spojrzała zdziwiona. Nie wiedziała, że na palecie Francji zabrakło białego przerywnika.

- A wiesz, jakie zimy są w Polsce? Sama pamiętam taką. Kopaliśmy tunele w śniegu, żeby móc wyjść z domu.

- Francja byłaby wówczas całkowicie sparaliżowana. U nas nie ma nawet pługów śnieżnych, odśniezarek i całego zimowego przemysłu, jaki kwitnie zimą na wschód od Francji.

- U nas zimy też są łagodniejsze niż tam, w Polsce. Wiesz, to dopiero byłoby ciekawe, pojechać na Mazury zimą!

- Może kiedyś pojedziemy tam właśnie wtedy?

- Niestety, dla mnie to niemożliwe. Wciąż trwa przecież rok szkolny. Będzie wprawdzie kilkudniowa przerwa, ale mam wtedy inne plany...

-, jakie?

- Będę tuż po ślubie...

Zabrzmiało to bezlitośnie. Micha! spowaźniał.

- Ach, tak.

I zamilkł. Teraz mówiła tylko Inga. Pokazywała kierunek, gdzie powinien skręcić. On już nie patrzył na to, co za oknem. Zamyślony, wodził tylko oczami po jaskrawych oznaczeniach dróg.

Okolice, gdzie byli, nagle wydała mu się znajoma.

- Chyba tutaj, niedaleko, jest hotel, w którym mieszkam, ale jeżdżę do niego inną drogą - odezwał się nagle.

- O, tak, wiem, gdzie to jest! Podobno to dobry hotel, ma sporo gości w sezonie i poza nim. Nigdy tam nie byłam, ale wiele słyszałam o tym miejscu.

- Mogę ci zatem je pokazać, jeśli chcesz. Poczujesz się jak hotelowy gość. Rzeczywiście, to piękne miejsce. Mam pokój z widokiem na góry.

Skręci! w znajomą już drogę; na niewielkim rozwidleniu stał jednorodzinny dom zarośnięty dziką winoroślą, wiedział więc, gdzie jest, mimo że mieszka! tu dopiero drugi dzień. Zredukował bieg, zbliżał się do parkingu dla hotelowych gości, jadąc wolno, wypatrywał wolnego miejsca. Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie i zduszony jęk. To Inga.

- Za... zatrzymaj się! - wyjąkała, rozpinając gwałtownie pas.

- Nie mogę, za sobą mam samochód, muszę jechać.

- To wysiądę sama! - zaczęła wstawać, gotowa wyskoczyć choćby w czasie jazdy. Zahamował. Inga natychmiast pokonała wysoki próg auta i wybiegła na parking. Machała rękami, wskazując na jakiś samochód. Michał nic z tego nie rozumiał, sytuacja wyglądała dość komicznie, jakby Inga chciała klócić się z kierowcą tamtego auta, ale nie było to możliwe, bo wewnątrz nie było nikogo.

Michał zjechał na wolne miejsce i dotarł do zdenerwowanej Ingi.

- Co się stało?

- To nasze auto. Znaczy, Ludwika. Mówił, że pojechał na szkolenie, ale... jak to możliwe, skoro auto jest tutaj?!

- Wczoraj też tu stało, widziałem je. Kierowca parkował obok mnie, taki wysoki blondyn. Zwróciłem uwagę, bo zachowywał się wyjątkowo głośno. Głośna muzyka, jechał szybko, zatrzymał się z piskiem opon...

- Tak, to on! - wykrzyknęła Inga, choć przecież nie wiedziała, czy ma rację.

- Nie był sam...

- Az kim? - jęknęła Inga, blednąc nagle. Zatoczyła się lekko, Michał podtrzymał ją za łokieć.

- Spokojnie, poczekaj, wejdźmy do środka.

Inga nie wiedziała, co robić, kręciła się wokół siebie, zaglądała do tamtego auta, patrzyła na zegarek, wreszcie wyciągnęła telefon, włączyła opcję aparatu fotograficznego i zaczęła robić zdjęcia w taki sposób, by można było na nim zobaczyć nie tylko pojazd, jego numery rejestracyjne, ale i wejście do hotelu.

- Uspokój się. To jeszcze nic nie znaczy - mówił do niej Michał, ciągnąc ją, bo cała ta sytuacja zaczęła przyciągać uwagę grupy wchodzącej do hotelu.

- Jak to nic nie znaczy?! On tu jest, rozumiesz?! On wciąż mnie zdradza z tamtą! Jak wyglądała tamta kobieta, no jak?! - krzyczała, uderzając Michała w pierś, a on próbował złapać jej ruchliwe nadgarstki, drobne Pięści rzucające ciosy na oślep.

- Inga, uspokój się!

- Mam już dość, rozumiesz? To była taka atrakcyjna, długowłosa blondynka, tak?

- Może, nie przyglądałem się...

- Wiem, że to ona, Marta! Oni tu są, idę do nich, muszę ich znaleźć, a jak me> to uszkodzę szybę, włączy się alarm i on wyjdzie, będzie musiał wyjść!

- Inga, wejdźmy do środka. - Michał czuł, że musi pomóc Indze się uspokoić, że w tej sytuacji to on z nich dwojga jest odpowiedzialny za racjonalne myślenie. Nie chciał być świadkiem marnej sceny zazdrości, nie chciał również, by Inga w ogóle brała w niej udział.

Prowadził ją, wciąż roztrzęsioną, wyczuwając w jej drobnych, szczupłych łokciach cały żal do tego świata. W ważnych życiowych momentach to właśnie łokcie są naszymi barometrami. Kiedy jesteśmy zranieni, przyciskamy je do siebie, skuleni w lęku przed ciosem przeznaczenia. Czasem, roztrzęsione, wyglądają tak, jakby tkwały. Kiedy bierzemy życie łączywie, rozpychają się, jakby chciały zdążyć za nami, a gdy mówi przez nas pewność siebie, rozkładają się na boki, sająk skrzydła, gotowe w każdej chwili unieść nas do góry.

Łokciom Ingi życie zaczęło już zanadto ciążyć. Widok zdradzającego ją mężczyzny, próba odbudowy związku za wszelką cenę i codzienna nauka kasowania z pamięci traumatycznego przeżycia, choroba, która zabrała jej oddech i unieruchomiła ją na pewien czas, pojawienie się Michała, który miał być zapomnianym przez nią epizodem, a sam wskrzesił się nagle jak nieśmiały przebieśnięg po mroźnej zimie, i wreszcie to bolesne kłamstwo Ludwika, odkryte na parkingu dla hotelowych gości, na który Inga nigdy by sama nie trafiła. Gdyby nie Michał... Ale w tamtej chwili Inga nie myślała o tym połączeniu okoliczności z wdzięcznością, jak o darze danym jej przez zapobiegliwy kosmos. W tamtej chwili było to dla Ingi przeżycie pulsujące bólem, powodujące lekką duszność, z której nie wyzwał nawet październikowy chłód. Rzucała w świat najgorsze z możliwych myśli, nienawiść zaczęła drażyciej komórki, tłumiąc odporność organizmu. Najślabsze ogniwa pękały. To, czego najbardziej się bata, pojawiała się, werbalizowało, stawało się coraz bardziej realne i dotykalne.

Inga nie wiedziała o tym, co może dziać się w jej organizmie, gdy wysyła złe myśli. Człowiek nie czuje przecież tego, w którym momencie pęka ważne ogniwo, mimo że rzecz dzieje się w ciele najbardziej mu bliskim.

Usiadła w niewielkim holu; Michał poszedł po klucz do swojego pokoju, wiedząc jedno: najlepiej byłoby Inge po prostu znieczulić. Zamówił więc do pokoju butelkę koniaku. Poprowadził ją do swojego pokoju, otworzył drzwi. Inga weszła, ukrywając czerwoną twarz w dłoniach, jakby wstydziła się tego, że płacze. Podał jej chusteczkę. Trzeci raz w swoim życiu. A ona po raz trzeci przyjęła ten biały skrawek papieru, powierzając mu łzy.

- Nie płacz, on na to nie zasługuje, rozumiesz?! - potrząsnął nią, kruchą i szczupłą. Nalał kieliszek koniaku, podał jej i patrzył, jak łapczywie go pije, jakby chciała połknąć swój ból.

Chwilę jeszcze płakała, nim zbawcze działanie alkoholu usunęło napięcie mięśni; szloch powoli stawał się coraz słabszy, do Ingi docierało wreszcie, że tamten naprawdę nie zasługuje na jej łzy. Oczy wysychają, gdy ktoś, kto nas zranił, przestaje nam już być bliski. To pierwszy symptom rozstania się ze złudzeniami, którymi cierpliwie karmiliśmy się w związku.

- Pomyśl, co teraz zrobić, oni gdzieś tu są - szepnęła błagalnie.
- Myślę, że powinnaś do niego zadzwonić. Wtedy dopiero upewnisz się, że kłamie.
- Masz rację - westchnęła.
- Zrób wszystko, żeby nie wyczuł w głosie twoich tez.
- Nie mam już tez - powiedziała sucho.

Wybrała numer. Sygnat trwał dłuższą chwilę, wreszcie trzask oznajmit odebranie telefonu.

- Cześć, kochanie - zaczęta beztrosko.

Grata wspaniale, Michał był z niej zadowolony, pokazał jej to gestem uniesionego kciuka, co dodało jej pewności siebie i sprawiło, że kolejne słowa wypowiedziane były jeszcze swobodniej:

- Martwię się, czy dojechałeś, bo marna pogoda i ciekawa jestem, gdzie w ogóle jesteś, opisz mi to miejsce!

Słuchała, a w jej oczach pojawiło się coś w rodzaju triumfu:

- Zatem, powiadasz, jesteś w niewielkiej wiosce zabitej dechami, a'e z ekskluzywnym centrum konferencyjnym? Wspaniale! A jaki masz numer pokoju?

Trzydzieści trzy - Michał usłyszał to wyraźnie. pomyślał, że Inga Jest bardzo sprytna. Bo kto wie, czy Ludwik nie podał jej prawdziwego numeru pokoju. W tym hotelu. Jego umysł jest już przecież wystarczająco zmęczony kłamstwem. Mógł więc pójść na łatwiznę i spojrzeć po prostu na duży, ciężkawy breloczek z metalowym numerem, podobny do tego, Jak' miał on, Michał.

Po pożegnaniach i życzeniach dobrej zabawy Inga rozłączyła się i dopiero teraz jej głos znów zmienił się, zmiękł, do oczu napłynęły łzy, które jednak dzielnie powstrzymała.

- Okłamuje mnie. Wciąż mnie okłamywał.

Zdecydowała, że pójdzie sama do pokoju trzydzieści trzy. Czy to ten pokój? Pokój Michała miał numer dwadzieścia pięć. Więc była całkiem blisko.

Przypudrowała nos, by ukryć ślady łez, i wyszła z pokoju, cicho stawiając stopy na hotelowym dywanie. Kolejny hotel wytłumiony od ludzkich emocji. Jak tamten w dalekiej Francji. Każdy krok przybliżał ją do pokoju trzydzieści trzy i coraz bardziej docierało do niej, że może to przeznaczenie daje jej jakieś znaki, robi wszystko, by jednak nie wyszła za Ludwika, bo jej miejsce w życiu nie jest przy nim.

Dotarła. Pokój trzydzieści trzy. Musi tam wejść i sprawdzić. Zapukała. Cisza. Jeszcze raz. Słyszać ruch za drzwiami.

Serce wali jej głośno, słyszy je w uszach, oczach, nosie.

Zgrzyt zamka.

Ruch klamki.

Jej głowa podniesiona do góry, odruchowo, na wysokość twarzy tamtego.

On.

W koszuli, którą mu prasowała na wyjazd. Zarzuconej niedbale na nagi tors.

Dżinsy. Ściągnięte paskiem. Zdążył je założyć.

Twarz. Całkiem błada. Ze spojrzeniem, o którym można swobodnie powiedzieć, że nie wymyśli na poczekaniu żadnego kłamstwa.

- Cześć, kochanie, wpadłam zobaczyć, czy się nie przemęczasz na tej konferencji. -
Zrobiła krok do przodu.

Nie spodziewała się po sobie, że w takiej chwili pojawi się u niej zwykłe poczucie humoru. Nie zatrzymał jej, gdy śmiało weszła do pokoju. Marta siedziała w fotelu, ubrana w kolorowy szlafroczek, z nogami przełożonymi przez fotel.

- O, witaj, dziwnie często spotykamy się w hotelach, nieprawdaż? - Inga starała się, by ton jej głosu był wystarczająco ironiczny.

Tamta spojrzała spłoszona, zaczęła dukać jakieś „cześć”, Ludwik też, wciąż pytając, jak się dowiedziała. Wreszcie wykrzyknął:

- Śledziłaś mnie! Jesteś wariatką!

- Nie, nie śledziłam. Nie zniżyłabym się do tego poziomu.

Starała się, by jej głos brzmiał z godnością, by Ludwik nie myślał, że wciąż jest dla niej ważny, a jej na nim zależy. Widok tamtych dwojga, zaskoczonych jej obecnością, sprawił jej wyraźną przyjemność, bo wszystko było już zupełnie jasne.

- Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że jeszcze dziś twoje rzeczy będą stały w workach na śmieci przed domem.

Ludwik skurczył się w sobie, nie miał nic do powiedzenia, nie było już w nim tej pewności siebie, która pozwalała mu rozpierać się wygodnie na kanapie przed telewizorem i uśmiechać się czarująco do koleżanek.

- Jesteś zwykłym draniem, wiesz? Okłamałeś mnie po raz kolejny. Wciąż mnie okłamywałeś. A ja naprawdę cię kochałam. Byłam skłonna ci wybaczyć tamto. Nie doceniłeś tego.

Inga mówiła wolno i z namysłem. Pierwsze zdenerwowanie i szal minęły bezpowrotnie, koniak zadziałał, a wyschnięte łzy dodały pewności siebie. Nie zachowywała się jak opętana szalem zazdrosna kobieta, rzucająca się na rywalkę z pazurami. Rozegrała swoje rozstanie spokojnie. Czula przewagę.

Jednak miała wrażenie, że ktoś szybkim kopnięciem podciął jej oba kolana. Znalazła się na ziemi, wydrwiona i z podciętymi skrzydłami. Bo oto zauważyła, że na stoliku, obok fotela, na którym siedziała Marta, stały dwa różowe maleńkie buciki jak dla lalki - amerykański zwyczaj mówienia mężczyźnie, że na świecie pojawił się owoc miłości, przyjął

się szybko w Europie, odczytywany tak samo przez wszystkich, niczym esperanto komunikacji niewerbalnej.

Ona też kiedyś chciała mieć dziecko z Ludwikiem. Kołysać je do snu. To było wiele lat temu, gdy była znacznie młodsza, mniej więcej w wieku Marty. To on nie chciał; tłumaczył, że nie zniesie nieprzespanych nocy i że małe dziecko może być przyczyną wielu konfliktów w związku.

Tymczasem... Marta spodziewała się teraz jego dziecka. Zabolało. Bardziej niż odkryta właśnie zdrada. Bardziej niż lata spędzone razem i zakończone przed chwilą sprawnym cięciem gordyjskiego miecza. Podeszła do stolika, wzięła w palce oba buciki, pomachała chwilę nimi i zrzuciła je na ziemię.

- Nienawidzę cię - wycedziła przez zęby w kierunku Ludwika. Milcząc, schylił się po buciki, postawił na stole i odprowadził Ingę dziwnym spojrzeniem. Chyba po raz pierwszy w życiu dotarło do niego to, że można go za jego egoizm znienawidzić.

Zamknęła za sobą drzwi. Odczuwała dziwny żal. Nie za Ludwikiem, ale za niespełnionym marzeniem o dziecku. To bolało najbardziej. Inga nie rozumiała jeszcze wtedy, że nie każda kobieta musi być matką i że urodzenie dziecka nie jest jej najważniejszym życiowym posłannictwem. Życie nie znosi próżni i rekompensuje czasem ten brak nadmiarem czegoś innego - sił twórczych, pasji w tworzeniu czegoś nowego, niebywałej siły w realizowaniu swoich marzeń. Każdy ma do przedeptania swoją własną ścieżkę i niekoniecznie musi się ona wiązać nierozzerwalnie z rodzicielstwem. Czasem może być ono symboliczne, jak akt tworzenia czegoś, co ważne. Dopiero uspokojenie swojego serca i pogodzenie się z tym sprawiają, że kobieta staje się z każdym dniem coraz bardziej spełnioną i pewną siebie. Inga jeszcze nie uspokoiła swojego serca, ale cały kosmos pokazywał jej, że warto wierzyć w jego łaskę.

Michał stał na korytarzu, przy oknie. Czekał. Podeszła do niego, on ją objął, i wtedy z jej oczu popłynęły ciężkie łzy.

- Wszystko skończone. Nie będzie żadnego ślubu. Zawieź mnie do domu, muszę spakować jego rzeczy. Na dodatek ona jest z nim w ciąży...

I wyplakała przed Michałem cały swój żal, a on znów stał się studnią jej tajemnic i myśli.

Gdy pakowała rzeczy Ludwika do worków, czuła, jakby umarł, a ona wyprawiała mu właśnie pogrzeb. Sięgnęła po jego szlafrok. Nie wrzuciła go bezlitośnie na dno, ale ułożyła, jakby był bezbronnym dzieckiem. To nie jego wina, że ma takiego właściciela. Wtuliła przedtem twarz w gruby materiał, co wyglądało jak ostatni pocałunek. Wyczuła zapach wody

Ludwika, dość intensywny, a mimo to przebijał przez niego również zapach jego skóry. Nigdy więcej już go nie poczuje. Nie dotknie jego butelek z szamponem i wodą po goleniu, nie kupi mu nowej szczoteczki do zębów. Zawsze kupowała podwójne, w pakiecie, by były takie same, różniące się tylko kolorami. Różowa dla niej, zielona dla niego. Chociaż wołała kolor zielony. Kobietom obligatoryjnie narzuca się ten różowy, a potem mężczyźni śmieją się z nich, że go lubią. Zawsze jednak godziła się na tę różową szczoteczkę, bo nie wyobrażała sobie, że przypadnie w udziale Ludwikowi. On i różowa szczoteczka!

Sięgnęła po ręcznik używany przez niego od kilku dni. Złożyła go starannie. Lubiała go. Ciemnogranatowy, prawie czarny. Z jasnoniebieskim dyskretnym wzorem. Dobrze wchłaniał wilgoć. Miała taki sam, kremowy, który został na wieszaku. Oba były teraz osierocone, nieprzydatne, bo funkcjonowały dotąd tylko w tandemie.

Pizama. Granatowe bokserki i szara góra. Kapcie. Również granatowe, z grubego sztruksu. Powędrowały do worka, uprzednio zapakowane w woreczek.

Teraz szafa. Koszule i koszulki, lekkie, na wierzch worka. Zapelniał się szybko. Na dno kolejnego - swetry i spodnie. Nie zmieściły się. Jeszcze marynarki i trzy garnitury. Te włożyła do specjalnego worka na ubranie. Nie chciała, by się gięły. To nie ich wina, że mężczyzna, którego ciało ożywiało je, zdradził ją. Nie będzie się mściła na niewinnych ubraniach!

Książki. W karton po sokowirówce. Miał ich ze sobą zaledwie kilka. Muszą z nim wrócić, nie chce zostawiać niczego po nim.

Wełniany koc. Ciepły, z wielbłądziej wełny. Lubiała go. Teraz musiała się z nim rozstać. Pogładziła z żalem jego szorstką fakturę. Kupi sobie kiedyś taki sam, doskonale rozgrzewa zmarznięte zimą stopy.

Nóż. Mówił, że poręczny i dobrze kroi. Stary, w drewnianej rękojeści. Odda mu go z powrotem. Po co Ludwik ma potem mówić Marcie, że taka pazerna i zatrzymała sobie jego nóż? Zawinęła go w ściereczkę i wrzuciła do worka.

Korkociąg. Solidny. Metalowy. Stał u niego w kuchni. Dostał go od kolegów z drużyny. I jeszcze wielofunkcyjny scyzoryk. Inga uświadomiła sobie nagle, że przedmioty, które wniósł do ich życia, posiadają głównie ostrza. Ostrze jest agresywne, bolesne. On też taki był. Pod maską opiekuńczości męskości drzemał wyrachowany samiec, dążący do stałego sprawdzania samego siebie. Zdolny do bolesnych cięć, jak ten jego scyzoryk...

Budzik, zegarek na rękę, gazety sportowe, archiwalne numery - Playboya”, płyty, dwa albumy ze zdjęciami z dzieciństwa i studenckiej młodości, komplet szklanek do piwa. Z tym ostatnim miała problem, nie dało się go tak po prostu wrzucić do worka. Każdą szklankę pakowała więc oddzielnie, w papierowy ręcznik.

Butelka whisky, którą dostał na urodziny. Wciąż zamknięta. Mówił, że czeka na specjalną okazję. Nie trafi się już ich wspólna. Teraz będzie miał swoje okazje.

Buty. Mnóstwo butów. Te można wrzucać do worków luzem, bez dbałości o pary, bo przecież nie będzie ich wiązać albo spinać gumką recepturką. Zestaw piór w srebrnym pudełku. Prezent od wychowanków. Laptop. Kalkulator. Notes. Ładowarka do telefonu. Stary aparat telefoniczny, znaleziony na dnie szuflady. Wełniane skarpety kupione w tamtym roku na Gallusmarkt. Jeszcze jedna płyta wyciągnięta z odtwarzacza. na wierzch - gazeta z programem, którą kupił na nadchodzący tydzień. Przypomniała sobie coś jeszcze. Z szuflady wyciągnęła czerwone pudełeczko z wytłoczonym sercem. Szybkim gestem ściągnęła z palca pierścionek zaręczynowy. Włożyła do środka. Ciche klaśnięcie zamknęło tę ostatnią po ich związku pamiątkę. Pudełko powędrowało również do worka. Leżało teraz w jednym z butów, grzechocząc śmiesznie o wyściółkę buta.

Około trzeciej w nocy miała już spakowane całe życie Ludwika. W ośmiu czarnych workach i dwóch walizkach. Wystawiła je do przedpokoju i położyła się spać.

Nie słyszała, kiedy zabrał swoje rzeczy. Rano, gdy się obudziła, w przedpokoju nie było już spakowanych wspólnych lat. „Klucze wyślę pocztą” - napisał na kartce zostawionej na stole. Nic więcej. Żadnego „przepraszam” czy „głupio wyszło”, albo nawet: „Zrozum, naprawdę ją kocham”. Może by wtedy zrozumiała. Brak jakichkolwiek słów zabolął najbardziej. Tyle wspólnych lat, tyle wspólnych nocy, wyznań, chwil szczęścia. I nic więcej. Tylko to: „Klucze wyślę pocztą”.

Szkoda, że nie można wysłać pocztą swoich wspomnień, łez, utraconego czasu...

Parasol... Gdzie go zostawiła? Ocknęła się po kilku godzinach niezdrowego, kłębiącego myśli snu i zastanowiła się, co stało się z jej parasolem. Przecież wczoraj zabrała go, bo padał deszcz, a potem... Pojechała z Michałem, chciała pokazać mu miasto nocą, widać - zostawiła parasol w jego aucie.

Została sama. Nie będzie już żoną Ludwika. Oddała pierścionek. Zamknęła kolejny rozdział swojego życia. Teraz ma czas na podsumowanie wszystkiego. Lekka duszność zapchała ją jak gruda gliniastego chleba.

Dopiero pod prysznicem orzeźwiła się na tyle, by pomyśleć o śniadaniu. Niedzielne ranki zwykle spędzali wspólnie, Ludwik robił na wielkiej patelni jajecnicę, którą czasem posypywał szczypiorem lub utartym żółtym serem. Odruchowo chciała sięgnąć do lodówki po jajka, jednak przypomniało jej się, że nie będzie tamtych śniadań.

Mówi się, że samotność może być inspirująca, jednak wtedy dla Ingi była przyciężkawym bagażem, od przenoszenia którego kręciło jej się w głowie, bolał brzuch i znękanie nerwami nadgarstki.

Usiadła przy stole, opierając głowę o bambusową podkładkę. Rozplakała się znów, choć wiedziała przecież, że Ludwik nie jest wart jej łez. Ale chyba nie nad nim płakała, ale nad sobą, całkowicie rozczulona własnymi łzami, co sprawiało, że miała ich jeszcze więcej, że spod jej powiek płynęły całe potoki słonej żalności.

Zadzwoił telefon. Radosny głos matki w żaden sposób nie pasował do tej rozpoczynającej się właśnie niedzieli.

- Prawda, że miły był wczorajszy wieczór? Dziękuję, że byłaś! Ach, zostawiłaś, córuś, parasol. Wpadnij po niego.

Parasol... Tak, zostawiła go u niej, a nie w samochodzie Michała. Może to i lepiej, bo nie będzie musiała do niego dzwonić. Czowała coś w rodzaju wstydu za swoje życie, zdradę Ludwika i całe zamieszanie w hotelu.

- Mamo, przyjdę na pewno, ale potem, dobrze? - Inga starała się, by jej głos brzmiał normalnie. Chyba się udało, bo matka pożegnała się i rozłączyła.

Inga odłożyła na bok telefon i wstała. Sięgnęła do szafki po pojemnik z kawą, wyciągnęła kafeterkę. Czy będzie umiała zaparzyć kawę dla jednej osoby? Jej świat - po tylu latach wspólnego bycia razem - nagle zmienił! Proporcje. Czy będzie umiała wszystko podzielić na pół? Mieć połowę mniej myśli i wypowiedanych słów, połowę marzeń, masła, mleka, snu, Proszku do prania? Coś musi ze sobą zrobić, tu i teraz, bo nie da rady być w tym stanie, ze świadomością tego podziału. Żałowała, że nie ma przy niej osoby, której mogłaby o tym wszystkim powiedzieć, a własny sejf myśli, mimo że bezpieczny, stał się nagle pełen. Inga czuła, że wkrótce przestanie nad tym panować. A tymczasem w życiu istnieją zwroty, przyływy i odpływy, imperia powstają i upadają, wszystko zaczyna się i kończy, a świadomość możliwości czyjegoś odejścia powinna towarzyszyć każdemu poznaniu. Owo pulsowanie zmienności świata przypomina nieco sinusoidalną łodygę powoju, pnącą się zakrętami ku nowym miejscom. Nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele może zależeć od jednej sekundy. Może od niej zależeć całe życie.

Inga sięgnęła po telefon. Musiała powiedzieć mamie o czymś, na co się właśnie zdecydowała, zanim się rozmyśli, bo pomysł był iście szalony.

- Mamo, to ja, Inga!

- Czy coś się stało?

- Chcę ci powiedzieć, że pojedziemy na te twoje Mazury.

- Wiem przecież, umówiliśmy się już na wiosnę.

- Ale zmienił się termin. Pojedziemy tam choćby jutro!

Milczenie w słuchawce nazbyt się przedłużało, a Inga nie chciała nawet słyszeć, że matka odmawia lub chce jej powiedzieć, że musi się przecież spakować, spotkać z Helgą, dokończyć czytanie jakiejś książki, obejrzeć film. Inga oczekiwała od matki takiej gotowości, w jakiej znajdowała się ona sama. Rozłączyła się więc po chwili, wrzuciła telefon do torebki, poszła do pokoju, wyciągnęła pierwsze z brzegu spodnie i sweter, założyła kurtkę i wyszła. Nie zareagowała na nękający wewnątrz jej torebki dzwonek telefonu. To Rosemarie chciała dowiedzieć się, dlaczego Inga chce jechać na Mazury już teraz, natychmiast.

Strojna w welony babiego lata s pł ywa ku ziemi jesień uroczą...

Rosemarie przypomniała sobie, że sama kiedyś, w młodości, wybiegła z domu bez słowa, zostawiając swojej matce pod opiekę małą, kilkuletnią zaledwie Inge. Czuła, że dopadła ją dziwna depresja, nie ta każąca zamknąć się we własnym domu i łóżku, a zupełnie inna, krzykliwa i popędliwa, jak imperatyw miłości. Mieć dziecko z mężczyzną, którego niespecjalnie się lubi, nie jest przecież łatwe i proste. A jeśli jeszcze jest się przez tego mężczyznę osamotnioną... Rosemarie była wtedy młodą kobietą, a czuła się w środku obolała i stara, bo doświadczenie to wyrysowało na jej duszy rysę niczym niechcianą zmarszczkę.

Zakochała się wówczas w pewnym mężczyźnie, chcąc poczuć jeszcze raz, jak to jest, gdy czeka się na spotkanie rąk i ust. Jednak on nie był dobry dla Ingi, nie nawiązał z nią żadnych relacji, a Rosemarie patrzyła na mężczyznę już inaczej niż kiedyś. Osamotniona w swoim macierzyństwie i zakochana w tamtym mężczyźnie, z wyrzutami sumienia, że to nie ma przyszłości, bo przecież on nie stanie się z dnia na dzień ojcem dla Ingi, pobięła przed siebie, wiejską drogą, nie zwracając uwagi na pełnię lata, nawał pracy w ogrodzie i narzekającą na ból w nogach matkę. Tęskniła za młodością, ale tą sprzed narodzin Ingi, choć przecież kochała córkę i nie wyobrażała sobie dziś życia bez niej. Pamiętała wciąż słowa matki: ale gdybyś jej nie miała, tobyś nie wiedziała, jaka to miłość, i żyła dalej jak przedtem.

Owo „przedtem” miało już nigdy nie wrócić, jej świat podzielił się zatem na dwie połowy, a ona czuła własne zagubienie w tej drugiej części ‘wielką tęsknotę do pierwszej. Pobięła wtedy przez pola aż do Diabelskiej Góry. Była połowa lipca, panoszący się wszędzie ligustr przekwitał już, pełen brązowych zaschniętych piąstek, tych kruchych pozostałości po białych kwiatkach, które niedawno jeszcze pachniały migdałami i słońcem. Rosemarie kruszyła w palcach suche płatki i rzucała je na trawę, jakby chciała wyrzucić z nich: „kocha, nie kocha”.

Usiadła wtedy na omszałym kamieniu, u podnóża Góry, zamyślona i smutna, nie zauważając nawet, że kamień ten ma kształt serca, a pośrodku niego biegnie jakaś rysa, jakby pęknięcie. „Niech stanie się w moim życiu coś pięknego. Niech wróci do mnie miłość, niech moja Inga będzie szczęśliwa” - mówiła do siebie, jakby chcąc usprawiedliwić się przed samą sobą, że uciekła z domu, na chwilę zapomniała, że jest matką małej dziewczynki i córką starszej, coraz częściej chorującej na nogi kobiety.

Miała poczucie dziwnej jedności z kamieniem, na którym siedziała, i ligustrami otaczającymi ją wysokim łukiem. Czuła się jakby tkanką tego miejsca, przybrany w świeże zieloności młodym lasem, posadzonym przez starego Heimanna wiele lat temu. Drzewa te nie szumiały jeszcze dojrzałe, zginały się tylko śmiesznie, bawiąc się swoją młodością, czuła się podobnie, mniej wytrwała niż tutejsze dęby, brzozy i klony. W delikatnym pulsowaniu słońca odkrywała pieszczotę, jakiej wciąż jej brakowało, wyobrażała sobie, że słońce ma długie męskie palce, które przesuwają się po jej szyi i plecach, zaplątują we włosy, które zwykle związywała w kok, teraz jednak rozpuściła je, pozwoliła słońcu na powolne pieszczoty.

W martwym pęknięciu kamienia odszukała ruchliwą mrówkę. Łaskotała czarnymi odnóżami tę nieruchomą, skalną chropowatość. Rosemarie podała jej źdźbło trawy, mrówka wbiegła na nie szybko, wciąż gdzieś zabiegana, pewna siebie, jakby źdźbło było już wcześniej zaplanowane do zdobycia, a Inga była tylko narzędziem wszechświata, podającym mrówce tę wąską zieloność.

Pojawił się przy niej rudy kot, podobno przynoszący szczęście. Wjej wsi ludzie mówili, że wraz z rudym kotem wchodzi do domu powodzenie. Ten był zwykłym dachowcem do łapania myszy. Rosemarie próbowała go przywołać, by był jej talizmanem, chciała wtopić twarz w kocia miękkość tułowia i szyi, jednak zwierzę spojrzało tylko na nią, zdziwione tym nagłym zainteresowaniem, i uciekło w krzaki, z powrotem do swojego kociego, niezależnego życia.

Wróciła przed wieczorem, z zapłakanymi oczami, cicha i milcząca, z nieznośnym poczuciem, że nikt jej nie zrozumie, nie ma więc sensu tłumaczyć matce, gdzie była tyle czasu. Zamknęła myśli we własnym sejfie... Sięgnęła po garnek stojący w dolnej części starego kredensu i wlała do niego mleko. Tego wieczoru mała Inga zjadła na kolację kaszę manę, w której pływały dwie łzy jej matki.

Wspomnienie tamtych lez ugotowanych w kaszy pojawiło się teraz nagle. Rosemarie pomyślała, że może w życiu Ingi stało się coś ważnego, co sprawiło, że córka nie wytrzymała i uciekła w duchową samotność. „Przekazałam wtedy mojej córce swój smutek” - pomyślała, jeszcze raz wybierając numer telefonu Ingi.

Inga tymczasem była już o krok od jej domu. Wchodziła po schodach na tyłach kamienicy, blada i niewyspana, ze swoim dramatem w oczach, choć próbowała bladość ukryć beżem podkładu do twarzy. Parasol stał na korytarzu, tak jak go zostawiła wczoraj. Złożyła go sprawnym gestem i schowała do torby. Był dobrym pretekstem do odwiedzin.

- Boże, co się stało? - jęknęła Rosemarie, widząc Inge wchodzącą do pokoju.

- Mamo, rozstałam się z nim. - Te słowa powiedziała jeszcze bez łez, ale kolejnym towarzyszyło już głośne łkanie. Córka opowiadała w dość dużym nieładzie o tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy, okraszając słowa wybuchami złości i przekleństwami.

Takiej Ingi nie znała. Zwykle była bardziej spokojna, wybuchowość towarzyszyła jej tylko w niektórych momentach życia, tych najbardziej bolesnych. Teraz widziała Inge zupełnie nową, nieznaną jej wcześniej, jakby przeszła jakąś metamorfozę. Podobno ludzie zmieniają się co siedem lat. Ich dusze są jak sinusoidy, obliczone na siedmioletnie obiegi Saturna i Urana. Ni stąd, ni zowąd Indze przypomniała się dziwna propozycja niemieckiej polityczki Gabrieli Pauli z konserwatywnej partii CSU, która uznała, że każde małżeństwo powinno być ważne tylko przez siedem lat. Ponowną ważność nadawaliby mu małżonkowie, zadowoleni z tej konfiguracji dusz i ciał. Mniej zadowoleni otwieraliby przed sobą drzwi Wolności. Być może tym się przed wiekami kierowali Celtowie, u których w prawie obyczajowym istniało co najmniej siedem rodzajów małżeństw i Wszystkie nosiły znamiona tymczasowości?

Może właśnie teraz Inga miała początek swojego kolejnego siedmioletniego cyklu życia?

- Nie wybaczę mu nigdy. Upokorzył mnie. Zabrał mi najpiękniejsze lata mego życia, kiedy mogłam jeszcze zostać matką! Ale przecież nie chciał dziecka, mówił, że ono zniszczy nasz związek. A teraz będzie je miał, z tamtą! - Inga wyrzucała z siebie tę całą niesprawiedliwość świata.

- Kochana, uspokój się już, widocznie tak musiało być - próbowała pocieszyć córkę, ale tamta najwyraźniej nie chciała takiego oparcia.

- Miało tak być? Po co? Żeby mnie bolało?

- Ingo, czasem zamykają się drzwi, by mogły otworzyć się wrota... - powiedziała cicho Rosemarie, głęboko wierząc w to, co mówi.

Matki głęboko wierzą w to, co mówią swoim dzieciom. Bo słowa te wypływają z serca, które na zawsze powiązane będzie wspólnym tchnieniem z sercem dziecka.

Wciąż zastanawiała się, dlaczego córka chce jechać na Mazury już jutro. Inga po chwili, jakby zgadując myśli matki, rzekła nieco spokojniejszym głosem:

- dlatego postanowiłam pojechać na Mazury. Natychmiast. Nie dam rady pójść jutro do szkoły, w której spotykać będę na każdym kroku tamtych dwoje. Nie dam rady prowadzić lekcji, rozmawiać z uczniami. Ale przecież nie zwolnię się ot, tak, po prostu. Więc muszę wyjechać. Ochłonąć. Wolne sobie jakoś załatwię, choć pewnie nie będzie to łatwe podczas roku szkolnego.

Inga wyszła, sprawdzając jeszcze, czy zabrała ze sobą parasol.

Najpierw zadzwoniła do swojego lekarza. Zapytała, czy da jej zwolnienie lekarskie. Wyjaśniła, że znajduje się w trudnej życiowej sytuacji i musi mieć kilka dni na podreperowanie nerwów i odpoczynek. Lekarz zgodził się i umówił się z nią na jutro w swoim gabinecie. Następnie zadzwoniła do dyrektorki i poinformowała, że jest chora i odniesie zwolnienie lekarskie. Następnie zadzwoniła do Franka, czując się w obowiązku, ze względu na wieloletnią znajomość, poinformować go o tym, co się stało.

Gdy skończyła rozmawiać, ktoś zapukał do drzwi. Poszła otworzyć, mając cichą nadzieję, że to może Ludwik przyszedł wyrazić swoją skruchę i prosić o wybaczenie. Nie wróciłaby do niego, ale liczyła na jakikolwiek przejaw przyzwoitości z jego strony. Tymczasem za drzwiami stał Michał.

- Wszystko w porządku? Nie dajesz znaku życia... - padło zapytanie zamiast powitania.

- Przepraszam, miałam kilka spraw do załatwienia. Jutro wyjeżdżam z mamą na Mazury.

- Może pojedę z wami? - zapytał nieśmiało, a Inga poczuła nagle, że nie może być inaczej, bo Michał wpisywał się w ten scenariusz wyjazdu niejako w sposób naturalny - choćby dlatego, że posiadał samochód. Auto, którym do tej pory jeździła, znikło bowiem z jej życia wraz z Ludwikiem i nie pomyślała o tym, że nie ma czym pojechać.

- Świetnie. Zatem zaplanuj trasę i cały wyjazd, a my się dostosujemy - powiedziała szybko.

Ta podróż była czystym szaleństwem, nigdy wcześniej nie podejmowała decyzji tak spontanicznie. Czowała, że wraz z jej dramatem zmienia się całe życie; świat obrócił się wprawdzie o stopni, ale jeszcze wciąż był jej światem, z wielką niewiadomą, co bardzo ją intrygowało.

Michał wrócił do hotelu i poprosił o poranne budzenie oraz mapę samochodową Europy. Mimo że miał nawigację, chciał sprawdzić, jak jechać do Pustników. Obliczył, że ma przed sobą niewiele ponad tysiąc kilometrów. Droga wiodła przez Jenę, Dessau, Świebodzin, Gniezno, Toruń i Olsztyn. Spędzą zatem około dwóch dni w podróży, noclegi będą planować

w trasie. Podobne dystanse już pokonywał, więc nie bał się zmęczenia podróży. Zresztą piękna kobieta na przednim siedzeniu jego terenówki na pewno będzie na niego działała stymulująco. Przeczuwał, że obecność jej matki nie będzie zbyt nachalna, zresztą czuł, że ta starsza kobieta sprzyja mu.

Wyruszyli najszybciej, jak było możliwe. Michał najpierw zajechał po Rosemarie. Zabrała ze sobą tylko małą walizkę.

- Kobiety w moim wieku nie potrzebują wielu rzeczy - zaśmiała się, Patrząc, jak zdziwiony Michał pakuje bagaż do auta.

Oboje pojechali po Inge. Wyjeżdżali z Griinbergu zasnutego płaszczem mgły i ciepłej wilgoci. Inga wciąż myślała o tym, czy wszystko, co Pozostawiła w domu, na pewno jest bezpieczne. Kwiaty podleje sąsiadka, której w zamian za opiekę obiecała przywieźć coś z Polski. Wszystkie Urządzenia elektryczne, poza lodówką, odłączyła z prądu, wodę zakręciła, babrała wszystkie niezbędne dokumenty, dowód ubezpieczenia i pieniądze, wcześniej wybrane z banku. Nie zdążyła tylko sprawdzić poczty mailowej, ale na to może znajdzie czas w jakimś hotelu, w którym będą nocować - o ile będzie tam dostęp do Internetu.

Wplotem się rozpostarło słonecznikowe dumanie.

Koniec października był na Mazurach wyjątkowo chłodny. Po słonecznym początku miesiąca, obfitującym wciąż jeszcze w słoneczniki i barwne dorodne dalie, nadszedł czas chłódów i deszczów. Ludzie odczuwali łamanie w kościach, na zmianę pogody. Naznaczeni od najwcześniejszych lat reumatyzmem - ze względu na wszechobecną wilgoć z jezior, mokradeł, rozlewisk i przydomowych stawów - niczym barometr przeczuwali nadejście pierwszych przymrozków. Przyzwyczajeni byli do tych nagłych, warzących przyrodę przepowiedni zimy. Liczyli się z tym, że świat w każdej chwili może pokryć się białym puchem. Zima w październiku nie dziwiła nikogo, tak jak ciągnące się do kwietnia mrozy.

Niewielka stacja benzynowa, na której zatrzymali się na kawę, wydawała się samotna i nieprzyjazna. Być może była to wina wilgotnego przedświt, a może wszechobecnego chłodu.

- Wkrótce będziemy na miejscu - odezwał się Michał, sprawdzając na mapie, gdzie się znajdują.

Rosemarie od chwili przekroczenia granicy z Polską niemal się nie odzywała. Patrzyła na mijany krajobraz i czuła się, jakby wróciła z dalekiej podróży. Ani Michał, ani Inga nie wiedzieli więc, czy matce podoba się jej dawna ojczyzna, czy może jest rozczarowana zaniedbanymi gospodarstwami, dziurawymi drogami czy pobrudzonymi farbą budynkami.

Inga natomiast dawała upust swoim odczuciom. Głośno komentowała wszechobecną blachodachówkę na dachach i plastikowe okna wstawiane we framugi starych warmińskich i mazurskich domów.

- To jak zalepianie historii - mówiła, pokazując palcem kolejne domostwa. Poprosiła Michała, by zwolnił, gdy przejeżdżali obok pewnego dwurodzinnego budynku sprzed wojny. Podzielony był na dwie połowy. Jedna z nich zachowała swój pierwotny wygląd - szachulec i czerwona cegła mimo upływu lat wciąż przyciągały ludzkie spojrzenia. Natomiast druga połowa była ocieplona styropianem, otynkowana i pomalowana na soczysty zielony kolor.

- Nie, to niemożliwe, że takie rzeczy dzieją się naprawdę. Gdzie są architekci? Kto pozwolił na takie ohydztwo?! - pytała samą siebie. Zrobiła nawet zdjęcie przez szybę auta.

Rosemarie wciąż się nie odzywała. To chyba nadmierny sentymentalizm sprawiał, że widziała tylko piękno krajobrazu, lekką pagórkowatość terenu, krętość dróg, wszechobecność kapliczek na Warmii i prostotę maleńkich jednorodzinnych domów na Mazurach.

Michał obserwował Ingę, ciesząc się, że tak emocjonalnie angażuje się w obserwowanie świata, a nie rozmyśla wciąż nad tym, co ją ostatnio spotkało. Był zmęczony podróżą. Inga zaproponowała, że poprowadzi, on zgodził się chętnie i na stacji benzynowej zamienili się miejscami.

Mieli za sobą dwie noce spędzone w hotelu. Inga spała w jednym pokoju z matką, nie dała się namówić nawet na wieczorne piwo i rozmowę, wymawiała się sennością. Tak bardzo chciał pobyć z nią sam na sam, choć nie miał dużych nadziei, że połączy ich coś więcej. Czuł bowiem, że Inga świadomie daje mu do zrozumienia, że tamtego dnia, we Francji, popełniła błąd. Wiedział, że jest dla niej tylko towarzyszem podróży i dobrym znajomym jej matki. Tak, czuł się dziwnie w tym układzie. Miał bowiem wrażenie, że Inga jakby oddała go matce, przekreślając tym samym jakiejkolwiek szanse u siebie.

Mimo to jednak podróż z nią była przyjemnością. Wierzył, że Inga w końcu porzuci smutne myśli i otworzy się bardziej na świat.

Remonty dróg znacznie spowalniały podróż. Ruch wahadłowy, sygnalizatory świetlne, mnóstwo tablic informacyjnych o prowadzonych inwestycjach. Unijne flagi. Nazwy firm krzyczące z szyldów. Banery reklamowe powieszony na płotach. I w tym wszystkim drogowe znaki, tkwiące na poboczach jak powciskane w piasek niedojedzone lizaki. Taki widzieli obraz mijanej Polski.

- No to mamy Europę - skwitowała wreszcie Rosemarie, jakby chcąc powiedzieć, że zauważyła zmiany w jej dawnym kraju.

Olsztyn. Krajowa szesnastka.

Rosemarie nigdy nie była w Olsztynie.

Biskupiec.

W tym mieście, gdzieś na jego uliczkach, mieszka Helena Kres.

Sorkwity.

Rosemarie ukradkowo wytarła oczy i patrzyła ze zdziwieniem na mijane domy. Zakręć na Pustniki. Od tej strony w lewo. Ona zawsze skręcała od Mrągowa. W prawo. Bo jeździło się „do miasta” tylko tam. Olsztyn był za daleko na zwykłe zakupy.

Noclegi mieli zarezerwowane w niewielkim pensjonacie w Gielądzie Starym, ostatniej wsi przed Pustnikami. Ładny, nowy żółty dom na zakręcie wyglądał dość przyzwoicie na zdjęciu w Internecie. Jego zaletą był brzeg jeziora, łagodnym jęzorem wchodzący do ogrodu. Mimo że na Mazurach panowała coraz chłodniejsza jesień, słoneczniki w ogrodzie przed domem niczym wielkie słońca rozjaśniały nieco ponurość dnia.

Gospodarze, u których zamieszkali, okazali się pogodni i gościnni, na dodatek znali język niemiecki.

- U nas wszyscy go znają - zaśmiała się gospodyni, pani Tereska. I opowiedziała, jak kiedyś przyjechał do nich Amerykanin. Chciał się porozumieć z ludźmi ze wsi po angielsku, ale oni odpowiadali mu tylko po niemiecku. Wrócił i zapytał:

- Czy Polska jest jakąś kolonią Niemiec? Dlaczego wy tu wszyscy mówicie po niemiecku?

Wynajęli dwa pokoje na parterze budynku, z widokiem na jezioro. Wystarczyło otworzyć drzwi, zrobić kilka kroków przez ogród i już był łagodny brzeg, chlupoczący o kamienie. O tej porze roku jezioro było uśpione, spokojniejsze, przebrzmiałe upałami i słońcem.

- Jak pięknie tu musi być latem... - westchnęła Rosemarie, dla której widok ten był niemal jak mistyczne nabożeństwo.

Wyjazd do Pustników odłożyli do jutra. Dziś chcieli odpocząć po podróży, zjeść coś tutejszego, rozpakować rzeczy. Mieli przed sobą dwa tygodnie - by na nowo odkryć Mazury. Pora roku być może nie sprzyjała wycieczkom, ale przynajmniej nie było tu letniego tłoku. Sentymentalne Powroty pięknie współgrają z samotnością.

- Uwielbiam francuską kuchnię. Zwłaszcza desery, a najbardziej rozczulającym jest petites tartes a la mousse au chocolat et framboises. Jednak Polska kuchnia ma w sobie coś sycącego i takiego... domowego. Prostota składników, a jaki smak! - powiedział Michał, krojąc na talerzu kolejny pieróg obłany smażoną cebulką. Pani Tereska podała wszystkim dodatkowe porcje, zadowolona z apetytu gości.

Wcześniej poczęstowała wszystkich rosółem z dodatkiem kopru zamiast pietruszki. Rosemarie westchnęła:

- Wciąż pamiętam tutejszą tradycję. W Pustnikach do rosółu zawsze dawaliśmy pietruszkę, w Gielądzie dodawało się koper.

- Coś więc pozostało, niezmiennego jak krajobraz... Niby zwykła zielenina - roześmiała się Inga.

Już w połowie podróży poczuła się trochę gorzej, lekki ból w plecach nie niepokoił wprawdzie, ale jednak dawał o sobie znać. Inga tłumaczyła sobie, że to wszystko przez brak ruchu i siedzącą pozycję, nieuniknioną podczas jazdy samochodem. Z apetytem zjadła kolację i zapragnęła wyciągnąć się w wygodnym łóżku.

Michał pomógł Indze zanieść bagaże, a Rosemarie została na piętrze z panią Tereską.

- Zmęczona? - zapytał, patrząc na bladą twarz Ingi.

- Chyba tak. Wszystko mnie boli. Plecy, kręgosłup.

- To od jazdy samochodem.

- Na pewno.

- Połóż się, jutro rano wstajemy, musisz mieć siłę.

- Michał... Dziękuję... Opiekujesz się mną jakbym była kimś bliskim...

- Może jesteś?

Inga popatrzyła przez okno, na gęstą szarość, o której wiedziała, że jest jeziorem. Czy mogła być mu bliska? Może wtedy, we Francji, ale teraz?... Tamten czas oddalił się już od niej zbyt daleko, by można było do niego wrócić. Do Michała czuła coś w rodzaju ciepłej przyjaźni, ale to, co ostatnio przeżyła, sprawiło, że nie była gotowa na nowy związek. Udawała więc, że nie słyszy tego „może jesteś...”. To nie był dobry czas na takie wyznania. Sięgnęła po torbę.

- Inga... Może moglibyśmy... Przecież wtedy, latem... - zaczął nieśmiało.

- Nie wiem, tyle się od tamtego czasu wydarzyło...

- Żałujesz tego, co się wtedy stało?

- Nie wiem, czy było potrzebne.

- Inga, chyba czujesz, że nie jesteś mi obojętna. Że przyjechałem tu przede wszystkim dla ciebie. Cała ta rodzinna historia, te wspomnienia... Przecież to nie może być przypadkowe!

- Michał, rozumiem, ale daj mi jeszcze trochę czasu. Wrócimy kiedyś do tej rozmowy. Od tamtej chwili sporo się wydarzyło, naprawdę, czuję, że jestem inna. Muszę poukładać swoje myśli, zebrać je, nauczyć się żyć na nowo, wyłącznie własnym życiem, a nie życiem dla

kogoś. Wiele zrozumiałam przez ten czas. Nie wiem, czy w ogóle chcę z kimś być, rozumiesz?

- Dobrze, zatem poczekam.

- Michał...

- Tak?... - Spojrzał na nią z nadzieją. Chciał, by chociaż do niego podeszła, by położyła mu głowę na ramieniu, a on poczułby wtedy jej zapach; pachniała wciąż tak samo, jak wtedy, we Francji. Delikatny zapach świeżych kwiatów zmieszany z wiatrem.

- Nie, nic... Już nic...

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Patrzył potem przez okno, czy światło w jej pokoju zgasło. A kiedy niewielki prostokąt szyby pociemniał, wyobrażał sobie, w jakiej pozycji śpi Inga. Jak oddycha, czy cicho, niemal bezszelestnie, czy może pochrapuje jak zmęczone bieganiem dziecko. Nigdy jeszcze nie widział jej śpiącej.

Śniadanie było już gotowe, gdy rankiem weszli na górę. Pani Tereska od rana krzątała się przy stole. Była gospodynią domową, jej mąż pracował gdzieś w mieście, codziennie rano wyjeżdżał, musiała więc wstać, przygotować mu kanapki, a potem odprowadzała go wzrokiem do drzwi. Dzieci już dorosły, wyjechały do dużych miast na studia i mieli teraz więcej czasu dla samych siebie, jak na początku małżeństwa. To piękny czas, gdy dzieci opuszczają swoje gniazda. Można wtedy usiąść przy stole bez Pospiechu i pomyśleć, jak wiele za nami dni i nocy oddanych dzieciom. Czy te chwile opłacały się?

Na talerzykach leżały wędliny, sery, w koszyku świeże pieczywo. Herbata zaparzona w wielkim dzbanku czekała na rozlanie do kubków. rzez kształtny dzióbek wydobywała się para.

- Jak się spało? Sen na nowym miejscu podobno się sprawdza - zaPytała z uśmiechem pani Tereska.

- Mnie śniły się Pustniki, te dawne, z lat mojej młodości - odpowiedziała Rosemarie.

Inga milczała. Ból w plecach z każdą godziną stawał się silniejszy. Był na tyle wyraźny, że Inga zaczęła poważnie się niepokoić. Żałowała nawet trochę, że tak lekkomyślnie wybrała się w daleką podróż. A jeśli ten ból w plecach to nie brak ruchu i zmęczenie, a nawrót choroby?... Po śniadaniu założyli ciepłe kurtki i wsiedli do auta. Dzień zapowiadał się słonecznie, choć byto dość chłodno.

- W tym roku mieliśmy naprawdę złotą polską jesień - zaśmiała się pani Tereska, machając im na pożegnanie. Będzie czekała z obiadem. Z rosółu zrobi pomidorową, na drugie danie przygotuje sandacza z prawdziwkami. Wschodniopruski przepis. Rosemarie

uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Bo sandacz w prawdziwkach ocalał, mimo wojny, zmiany państwa, systemu. Ludzie stąd wciąż go przyrządzali.

IV Cjielądzie Starym droga rozwidła się. Na Tustniki trzeba jechać prosto.

- Na szczęście grzyby obrodziły w tym roku. Wystarczy udusić je na patelni, dodać cebulę i na koniec śmietanę z natką pietruszki. Doprawia się to jedynie solą i pieprzem. - Mimo że byli najedzeni, poczuli przemożną chęć spróbowania potrawy, o której tak apetycznie mówiła pani Tereska.

Przy pensjonacie stała tablica. Na Choszczewo w lewo, na Pustniki prosto. Michał wyjechał na drogę. Minęli niewielki drewniany budynek pokryty czerwoną blachodachówką. Dostępu do niego bronił niski, równo przycięty żywopłot.

Toza drzewami widzę już jezioro modrookie

Rosemarie wciąż milczała, nie chcąc przy Michale i Indze zdradzać nadmiaru emocji, które jej towarzyszyły przez całą podróż. Bo i cóż miałyby im opowiedzieć? tym, jak wraz z Gustawem jeździli starymi rowerami drogą z Sorkwit do Pustników, mijali drzewa i domy, które teraz wydawały się inne, większe i pozbawione dawnych barw; jak ona prostowała się za kierownicą, by lepiej uwypuklić talię, nie związywała włosów, by wiatr rozwiewa! je jak u modelek na fotosach w kolorowych pismach.

Jak zatrzymywali się czasem na odpoczynek, ona była zmęczona, ale starała się nie sapać, by Gustaw nie pomyślał, że nie ma kondycji. Udawała przed nim wysportowaną i wytrwałą, choć czasem naprawdę nie miała siły. Jak zsiadali z rowerów tuż przed Pustnikami i szli wolno, krok za krokiem, mówiąc ze śmiechem, że dzięki temu będą dłużej ze sobą. Mijali dom z czerwonej cegły, czasem machali Faberom na powitanie. Po prawej stronie mijali zarośnięty krzakami cmentarz. Latem trudno było się domyślić, co kryje się za tym kłębowiskiem zieleni. Dopiero zimą zza gałęzi przeświecały nagrobne płyty. Na tym cmentarzu leżał jej ojciec i inni ludzie ze wsi. Chodziła tu rzadko, wciąż nagabywana przez matkę. Aleja z jesionów i dębów prowadziła ich do wsi. Mijali łąki i pola, z dojrzałymi ostami i żółtym krwawnikiem, czasem jakaś przytulnią czepna plątała ich kroki, gdy schodzili na pobocze.

Nie mogła im powiedzieć o tym, jak czasem jechali dalej, mijając niewielki dom Rosemarie, przy drodze, a w samej wsi, już za Neumannem, skręcali w prawo, obok boiska, zwanego dawniej Sportplatzem, i jechali brukowaną drogą do dworu. Tuż przy drodze była plaża, na której czasem siadali, kładli rowery w tataraku i dyszeli zmęczeni, śmiejąc się. Latem Gustaw wdrapywał się na stojącą na brzegu trampolinę i odważnie skakał do wody. Rosemarie nigdy nie miała odwagi pójść za nim, podziwiała z brzegu jego odwagę.

„Ciekawe, czy tamta trampolina jeszcze stoi?” - zastanowiła się, ścierając niewidoczny pyłek z szyby auta.

Obok plaży była struga, która łączyła jezioro Pustnickie z Gielądzkim. Mruczała sennie, odgradzona od reszty świata żelaznym mostkiem. Pewnie zarzewiał przez te lata. Za tym mostkiem był już dwór. Dom po prawej stronie, po lewej - gorzelnia z kominem i stajnia.

A potem zegnali się na rozstaju dróg, ona jechała w lewo do domu, a Gustaw w prawo, do Zyndak, piękną wąską drogą nad jeziorem Gielądzkim, a żółte dziewanny pyszniły się jak wysokie drogowskazy.

„Czy tamten świat jest wciąż taki sam? Ile z tamtych lat znajdę w mojej wsi?” - myślała, patrząc na mijane po drodze drzewa i obrazy. Łzy wzruszenia piekły pod powiekami, ale starała się ich nie pokazywać, by nie wprawiać w zakłopotanie Ingi i Michała.

„Niech oni będą kiedyś razem, niech stanie się coś, co przekona Inge ° Michała...” - powtarzała jak mantrę, jakby chciała zaczarować przeznaczenie, zniszczyć wróżbę pustnickiej szeptuchy, rzuconą może trochę bezmyślnie, naprędce... Tymczasem drogowskaz z napisem Pustniki stanął jej przed oczami. Mantra ucichła, ustąpiła miejsca wspomnieniom.

- Michał, czy możesz się zatrzymać? - zapytała, gdy dom Faberów pojawił się już między drzewami.

- Oczywiście - rzekł Michał i wolno zjechał na pobocze.

- Tam, gdzie stoją tamte drzewa, jest cmentarz. Na nim leży mój ojciec, dziadek Ingi - rzekła cicho, wysiadając z samochodu.

Żółte i czerwone liście zakryły cmentarz. Szykował się do zimowego snu. Najpierw spadały liście, a potem przychodził mróz i warzył je bezlitośnie, po nim spadał śnieg. Głuchy i miękki, zakrywał wszystko wokół. Najpierw to, co poziome, czyli kamienne płyty, a potem, niczym bluszcz, wpełzał na drzewa, ogrodzenia i krzyże.

„Erich Sobottka”- przeliterował Michał cicho, patrząc, jak Rosemarie zapala znicz wyciągnięty z torebki. Przygotowała się zatem na spotkanie z ojcem. Całe życie spotykała się z nim tylko tak, w tym otoczonym drzewami miejscu...

Ogień zajął się lekko, a po chwili wybuchł z wielką siłą, rozjaśniając wnętrze szklanego naczynia. To dziwne, w jaki sposób ludzie chcą przebywać z umarłymi, pokazywać im, że wciąż o nich pamiętają, są blisko, choć tak naprawdę umarli nie mają już tej pępowiny łączącej ich ze światem żywych. Została odcięta ostatnim oddechem, podziałem na duszę i ciało, jak w zapisie urządzenia monitorującego życiowe funkcje. Linie rozdzielają się i wtedy lekarze wiedzą, że zamiast wskrzeszać życie kolejnymi elektrowstrząsami, powinni cicho pochylić głowę. Jakby po tych głowach, niczym po kamieniach, dusza ludzka stąpała w

niebyt, w swoje poziomy, coraz jaśniejsze i cieplejsze. A potem sprawdza się godzinę śmierci. To wszystko może być ważne dla rodziny zmarłego. Skoro godzina narodzin jest kluczem do duszy i pozwala sprawdzić, w jakich roztańczonych konfiguracjach było niebo nad rodzącym się człowiekiem, to może godzina śmierci ostatecznie przerywa ten taniec, zamyka go na wieczną tajemnicę? Nikt już nie znajdzie ścieżki do duszy zmarłego. Jej dalszy los na zawsze pozostanie zagadką.

Każdy inaczej pokazuje swoje przywiązanie do zmarłych. Żydzi kładą na groby swoich bliskich kamienie, jakby chcieli powiedzieć, że to jest najlepsze dla tych, których dusze już zastygły. Kwiaty powinny być dla żywych. Jakby w tym dotyku kamienia zaklinali ciche słowa modlitwy „Shema Israel” („Słuchaj, Izraelu!”). A są i tacy, którym nagrobek nie jest potrzebny, by wielbić w duszy tych, którzy odeszli. Jest tylko niepotrzebnym totemem, a czasem wręcz cielcem ozdobnym, którego rytm istnienia wybijają takty sadzonych namiętnie kwiatów i krzewów. Jednak ich żywość tak naprawdę nie ożywia niczego...

Rosemarie nie miała łez dla swojego ojca. Płacze się wtedy, gdy ktoś wzbudza w kimś żywe emocje. Erich Sobottka był zawsze dla Rosemarie kamienną płytą.

A potem powrót do samochodu zostawionego na poboczu, jeszcze spojrzenie na panoramę pól i łąk, za nimi lekkich pagórków i szklanej szyby jeziora, która przeświecała przez gałęzie w sposób zupełnie naturalny. Jakby chciała powiedzieć: tu jestem i nie pamiętam czasu, gdy mnie nie było...

Podobno jeziora żyją kilkadziesiąt milionów lat i dopiero po tym czasie zamieniają się w bagna i wysychają. Nic zatem dziwnego, że jezioro może mówić o prawie do Niemal Wieczności.

Rosemarie przeczuwała, że zaraz zobaczy swój dawny dom. Bała się tego pierwszego spojrzenia, po tylu latach.

Jeszcze jeden zakręt. I już majaczy w oddali drewniany płotek, wcięty długim pasmem w łąki, na których stał jej dom... Najpierw zauważyła stare drzewa owocowe, sadzone przez dziadka. Skarlałe upływającym czasem, wciąż jeszcze owocowały. To w tym sadzie rozmawiała z Gustawem, a potem rozbiegli się każde w swoją stronę. Ciekawe, czy w ogrodzie wciąż jeszcze rośnie tamten asparagus?

Drzewa. Pamięta je. Jedno z nich to była stara dobra antonówka, a drugie... chyba grusza. Tak, słodka klapsa! Matka robiła dzemy z antonówki, zachwalała: dobra, kwaskowa. Nie lubiła cukru, co potęgowała zaniedbana cukrzyca. Potem doszły kłopoty z krążeniem. Widok popuchniętych nóg matki Rosemarie pamięta do dziś.

Za sadem był niewielki staw. Wysoki poziom wód gruntowych dawał s'ę we znaki i to był jedyny ratunek przed zalaniem. Mimo upływu lat był na swoim miejscu, nieco bardziej tylko zrosnięty z trawą i brzegiem, awna stodoła, obita poziomymi deskami, teraz otoczona z jednej strony dzikim winem. I dom... Taki jak wtedy... Niewielki prostokąt ze ściętym dachem z czerwonej dachówki, zasłonięty wyrosłymi do połowy dachu drzewami owocowymi, piętrzącymi się dumnie za niskim metalowym parkanem. To był jej dom... Dom jej dzieciństwa, pierwszej miłości i dzieciństwa jej córki. Ingi.

- Patrz, Ingo, to tu kiedyś mieszkałaś! Pamiętasz? Na tym podwórku wystawiałam cię w ceratowym wózku! Piękny był, w kolorze malinowym.

Powróciły do niej wspomnienia tamtych chwil. Rój brzęczących pszczół na przydrożnej lipie, ciasne podwórko obsadzone różowymi floksami. Za miesiąc miały zakwitnąć słoneczne rudbekie, stojące niczym sfinksy przy ogrodzeniu. Żółte wiechcie kwiatów, silne i odporne na wstrząsy, mimo cienkości łodyżek. Mała Inga w wózku, zasłonięta firanką przed owadami. W błękitnym kaftaniku i śpioszkach. Bez przykrycia. Z rączkami przy twarzy, podniesionymi do góry, jakby mówiła pokornie swojemu światu, że poddaje się jego wyrokowi. Podobno tak śpią szczęśliwe dzieci... Czy jej dziecko wciąż jest szczęśliwe? A przecież... szczęście jest tuż obok, blisko niej, ale Inga jakby go nie zauważa.

Rosemarie, pochłonięta rozmyślaniami, też czegoś nie zauważyła. Grymasu bólu i strachu na twarzy Ingi. To właśnie teraz Inga domyśliła się: choroba wróciła. Właśnie teraz. W obcym kraju. Znajoma duszność znów przetoczyła się wolno przez jej oddech.

Do lekarza pojechali niemal od razu. Inga złapała nagle matkę za rękę, gdy ta chciała wejść za ogrodzenie i podejść do wychodzącej z tamtego domu młodej kobiety. Po ścieżce biegł mały chłopczyk, trzymał kolorowy latawiec, a kobieta podrzucała go do góry, wołając:

- Leć do góry, leć.

Latawiec nie leciał. Nie było wiatru.

Inga miała wrażenie, że powietrze w niej samej również stoi w miejscu. Powiedziała matce i Michałowi, że muszą przerwać swoją sentymentalną podróż.

- Choroba wróciła - stwierdziła sucho.

Te kilkanaście kilometrów dzielące ich od Mrągowa pokonali bardzo szybko. Michał sprawnie wchodził w zakręty, jakby krętość dróg była jego codziennością. Rosemarie nie spotkała się więc ze swoim domem. Zabrana wprost z ulicy, zdążyła tylko położyć rękę na klamce furtki. Tyle lat minęło, a ona spojrzała na ten dom ledwie przez chwilę, czując się, jakby czas się nagle zatrzymał.

Inga miała ze sobą wszystkie dokumenty, jakby przewidziała, co się stanie. Sympatyczna pani w rejestracji sprawdziła je dokładnie, po czym zaprowadziła ją do gabinetu. Lekarka zbadała Ingę, zleciła prześwietlenie. Ale Inga miała już pewność: płuco znów opadło, a lekarka nie słyszała w nim cichego szmeru.

- Musi pani natychmiast jechać do szpitala - usłyszała.

Wybór szpitala. Mogą wybrać, w Polsce nie ma rejonizacji. Skierowanie. Białoczarne zdjęcie rentgenowskie, potwierdzające podejrzenia. Inga dopiero teraz załamała się, płaczem okupując swój kolejny dramat. Dlaczego właśnie teraz ją to spotyka? Po raz kolejny czekała ją męka znoszenia bólu i długie godziny leżenia - ze szklanym pojemnikiem obok, połączonym plastikowym drenem, przytroczonym do ciała nicią chirurgiczną.

- Może lepiej spróbować w Olsztynie, skoro to już drugi raz. Coś jest nie tak, być może będzie potrzebna operacja... - zasugerowała lekarka.

I wtedy Inga przypomniała się tamta rozmowa z lekarzem w Niemczech. Dała jej wtedy kartkę z nazwiskiem znajomego lekarza. Tak, przecież ten lekarz był z Olsztyna! Wrzuciła tamtą kartkę do torebki. Myślała wtedy, że pewnie i tak nie będzie jej potrzebna. A tymczasem... Życie pisze dziwne scenariusze. Żeby tylko znaleźć tamten zwitek papieru!

Inga drżącymi dłońmi wysypała zawartość torebki na ziemię. Stała pod gabinetem lekarskim, już po wizycie, zapłakana. Inni pacjenci patrzyli na nią zszokowani, widać było, że ta czterdziestoletnia kobieta toczy walkę z samą sobą. Matka i Michał stali obok, uspokajali. Inga tylko szeptała po niemiecku:

- Muszę ją znaleźć, muszę ją znaleźć.

Nie znalazła. Zrezygnowana, wyciągnęła z przegródki telefon. Myślała, że może zadzwoni do swojego lekarza w Grünbergu i poprosi o pomoc. I wtedy z małej przegródki wypadła niedbale złożona karteczka.

- Jest! - odetchnęła z ulgą, prostując jej pozaginane papierowe ciało.

- Aleksander Sienkiewicz, Olsztyn, Szpital Miejski...". To było dla niej Jak drogowskaz.

Pod Olsztynem rozpadało się. Drobne krople rozpryskiwały się na szybie, Michał starał się jechać najszybciej, jak umiał, bał się o Ingę, która starała się nie poruszać, siedziała z głową przechyloną do tyłu, wsłuchana we własny oddech. Lekarka zaproponowała wezwanie karetki, ale okazało się, że będzie trzeba poczekać, bo mają jakieś wyjazdy, więc Michał zadeklarował odwiezienie Ingi.

Rosemarie też jechała, przejęta chorobą córki. Miała nawet wyrzuty sumienia, że tak namawiała ją na tę podróż na Mazury. Skąd jednak mogła wiedzieć, że Inga nie jest całkiem

zdrowa, poza tym to Inga zdecydowała, że pojedą teraz, a nie wiosną, jak planowały. Te jej przeżycia, problemy... Chciała odreagować, a tymczasem... To przez nie choroba wróciła, Rosemarie wiedziała to na pewno. Fizjologia połączona z myślą. Oba wymiary tego świata, połączone klepsydrą znaczeń...

Dzięki nawigacji szybko dotarli do Szpitala Miejskiego. Sprawdzanie dokumentów, rozmowa, EKG, a potem pielęgniarka z oddziału chirurgii płuc. Wózek, który zabrał Ingę do windy. Michał i Rosemarie zostali na dole. Zszokowani.

- To będzie operacja ratująca życie. Musimy otworzyć klatkę piersiową. Trzeba wyciąć część płata prawego płuca - wyjaśniał spokojnie Aleksander Sienkiewicz. Wysoki, wzbudzający zaufanie mężczyzna koło pięćdziesiątki, w którego wielkich dłoniach tkwiła Inga, osłuchiwana po raz kolejny.

Opowiedziała mu o swoim niedawnym pobycie w szpitalu i spotkaniu z jego niemieckim kolegą. Był zaskoczony, mówił coś o górze, która się z górą nie zejdzie. Śmiał się. Inga odbierała to jako dobry znak. Może zatem jej stan nie jest tak ciężki, skoro badający ją lekarz śmieje się?

Człowiek chory zebrze w każdej sekundzie o nadzieję zdrowia. Wyławia ją ze spojrzenia i słów lekarza. Jest czujny jak kot, łowi z każdego gestu rokowania dla siebie. Nie da się oszukać. Chory ma specyficzny zmysł, będący kontaminacją wzroku i słuchu. Traci go już po wyzdrowieniu, otrzepuje się z niego jak z pyłu drogi. Zapomina.

Inga była czujna. Skoro śmiał się, mówiąc o tamtym lekarzu, więc... To dawało nadzieję.

Nie wiedziała, że lekarz tym wypróbowanym sposobem pragnie ukryć swoje obawy. Miesiąc temu w podobnym stanie przywieźli młodszą od Ingi o dziesięć lat pacjentkę. Niestety, nie udało się jej uratować.

Michał wszedł na oddział, w podręcznej torbie od pani Tereski przywiózł piżamę Ingi i jej rzeczy osobiste, spakowane przez matkę. Rosemarie nie przyjechała z nim. Po powrocie ze szpitala źle się poczuła, pojawiła się jakaś lekka arytmia i ogólna słabość. Pani Tereska napoiła ją walerianą i melisą z ogródka, wysuszoną na ciepłym stryszku. Obiecała zająć się miłą starszą panią jak należy. Michał pojechał więc do Olsztyna sam. Nie wiedział, jak nazwać jego status w życiu Ingi, czy lekarze poinformują go o stanie jej zdrowia, czy będzie mógł wejść do niej bez przeszkód.

Sytuacja rozwiązała się sama, a właściwie pomogła w tym pewna niska, drobniutka pielęgniarka, która na małym identyfikatorze miała napisane „Agata”. Gdy zobaczyła nieco

wystraszzonego mężczyznę wyglądającego na zagranicznego turystę, podeszła do niego sama, pytając:

- Pan do pani Ingi, co ją dziś przyjęliśmy?

Michał skinął głową. Cieszył się, że nie ma bariery językowej, że zna język polski i może swobodnie się w nim komunikować, tutaj, w szpitalu, gdzie tak bardzo liczy się przecież każde prawidłowo zrozumiane słowo...

- Proszę iść za mną, zaprowadzę pana do żony.

I został wtedy jej mężem, tam, na szpitalnym korytarzu, a siedzące w pokoju pielęgniarek kobiety powitały go ciepłymi uśmiechami.

- Jest w nim coś niepokojącego. Wygląda jak mój dawny narzeczony, żeglarz - westchnęła nawet jedna z nich.

Agata poprowadziła go korytarzem, skręcając na prawo, do przedostatniej sali. Inga leżała na jednym z łóżek, ubrana w szpitalną piżamę w białoniebieskie wzory. Obok niej siedział wysoki mężczyzna, lekarz. Rozmawiał z chorą. Padło obco brzmiące słowo. Torakotomia. Operacja. Jutro o ósmej.

Słaby uśmiech na bladej, dziwnie wychudzonej twarzy Ingi i wyciągnięta w stronę Michała dłoń były dla niego szczególną przepustką. Lekarz zapamiętał go jako osobę bliską. Michał nie musiał się już tłumaczyć, że Jest tylko towarzyszem podróży. Był teraz jej mężem. Szpitalnym.

Zauważył, że z ciała Ingi wychodzi biały dren. Wyobraził sobie, jak musiała cierpieć podczas jego zakładania. Lekarz wyłowił jego spojrzenie i wyjaśnił mu wszystko. Teraz już wiedział, że Inga może oddychać dzięki szklanemu pojemnikowi stojącemu przy łóżku.

Rozstali się wieczorem. Inga pożegnała się z nim ciepło, inaczej niż zawsze.

- To na wszelki wypadek, gdybym... - zawiesiła głos.

- Przestań, nie mów tak, operacja na pewno się uda!

Inga nie chciała nikogo widzieć po operacji. Poprosiła Michała, by wstrzymali się z odwiedzinami do czasu, aż sama da znać, że chce się z nimi widzieć. Michał zastanawiał się, dlaczego tak zdecydowała; nie rozumiał, że Inga woli lizać rany w samotności.

W noc przed operacją nie spała, mimo podanych tabletek nasennych. Czuliła się źle, miała złe przeczucia i żal do świata, że nie pożegnała się z mamą. A jeśli operacja się nie uda?

Czy była oto u kresu swojego życia? Czy to ciągle zastanawianie się, jak to jest, gdy się odchodzi, miało nagle przerodzić się w rzeczywistość, na którą skazany jest każdy człowiek? Nie umiała opanować złych przeczuc, które pogłębiały jeszcze jej stan, sprawiała,

że duszność narastała, że każdy oddech stawał się ciężki. Wezwała pielęgniarkę. Przyszła Agata. Usiadła przy niej i pogłaskała po zimnej dłoni...

- Niech się pani nie martwi.

- Łatwo pani mówić, bo jest pani zdrowa - wyszeptwała Inga z cichym lękiem.

- Nieprawda. Za tydzień mam operację wycięcia woreczka żółciowego. Jestem taka szczupła, niby mówi się, że tylko otyli są zagrożeni tą chorobą. A tymczasem każdego może dopaść. Może jestem za chuda? Będzie mnie operował również doktor Sienkiewicz. Niech się pani nie boi, to naprawdę dobry lekarz.

- Ale pani może przynajmniej oddychać... - szepnęła Inga, zamykając oczy.

Marzyła o spokojnym, zwykłym oddechu. Nic innego nie było już ważne. Zdrada Ludwika, podróż na Mazury, nieodebrane od kilku dni maile. Nic więcej ponad zwykły, ludzki oddech, bez białej plastikowej rurki...

Obraz matki i Michała pojawił się jej na chwilę przed oczami, Inga gestem ręki pożegnała się z nimi i zapadła w oczekiwany sen, wywołany działaniem małej, białej pigułki.

Sfrunął listek brzozy, złoty dukat jesieni

Nie pamiętała, ile razy dostała morfinę. Zastrzyki uśmierzały wprawdzie silny ból po operacji, ale zabierały również świadomość chwili. Inga zanurzała się w dziwny niebyt, przerywany jasnością lub ciemnością świata za oknem, pragnieniem wody i potrzebami fizjologicznymi. Istniała tylko dla nich, znajdując się oto u podstawy słynnej piramidy ludzkich potrzeb Abrahama Masłowa, nie potrzebując niczego ponadto. Nie chciała widzieć nikogo z bliskich, którzy na pewno byłiby intruzami w jej obecnym życiu. Przynieśliby ze sobą własne wyższe potrzeby, których nie rozumiała.

Ból przychodził zwłaszcza nocą, był silny i rwący. Inga pierwszy raz w życiu była, zadziwiona uległością własnego ciała wobec tego krzyku. Pielęgniarka przychodziła z kolejną dawką szczęścia dopiero nad ranem...

Inga nie chciała już dłużej trwać w tym otumanieniu, poprosiła pielęgniarkę w chwili większej świadomości, czyli tuż przed kolejną dawką morfiny, by podać jej jakiś inny lek przeciwbólowy. Trwanie w tym zawieszeniu między życiem a niezyciem było dziwnie męczące. Chciała wrócić całkiem na stronę życia. Lekarz zgodził się na inny rodzaj zastrzyków. I odtąd ketonal wstrzykiwany wolno w mięśnie odbierał jej wprawdzie mniej skutecznie ostry ból w całej klatce piersiowej, ale nie odbierał świadomości.

Kontrolne prześwietlenia. Inga doliczyła się w sumie trzynastu zdjęć rentgenowskich podczas swojej choroby. Po ostatnim zobaczyła uśmiech na twarzy doktora.

- Będzie dobrze, pani Ingo... - pocieszał ją.

- Czy ja jeszcze kiedyś zatańczę? - zapytała, myśląc o tym, ile trzeba złapać powietrza w tanecznej zadyszce.

- Oczywiście, że pani zatańczy! Już niedługo!

Inga z zamkniętymi oczami zobaczyła siebie wirującą na parkiecie. To był jej odważny taniec marzeń.

Pierwsza po operacji wizyta mamy. Wyraźnie przejętej i jakiejś... uroczystej. Opowiedziała Indze, jak wróciła do swoich Pustników i poszła do dawnego domu, zobaczyła ogród...

Po kwadransie przyszedł Michał, który był w sklepie i przyniósł Indze owoce i soki. Przysiadł na krześle przy łóżku, patrzył na bladą twarz Ingi.

- Popsułam wam odpoczynek, tę sentymentalną podróż. - Złowiła jego wzrok.

- Uspokój się. Być może dzięki temu będziesz już zdrowa.

Po wielu dniach doktor Sienkiewicz poprosił ją wreszcie do swojego gabinetu. Poszła, z lękiem, zmagając się z własną słabością. Człowiek przykuty do łóżka po pewnym czasie upodabnia się do leżącej na nim pościeli. Staje się tak samo wąty i jasny, pozbawiony szybkości ruchów.

- Pani Ingo... Zatem... Choroba wywołana została przez pewną wadę płuca. Jakby to pani wyjaśnić...

Inga słuchała uważnie i wyobrażała sobie, jak jej płuco było zrosnięte z czymś, z czym nie powinno, i pod wpływem kaszlu lub wysiłku doszło do zerwania tego połączenia, a przez powstałą dziurę wpadło do środka powietrze. Lekarz wyjaśniał jej to mądrze, Inga na potrzebę własnego zrozumienia wyobraziła sobie taki schemat działania.

- To jest wada rozwojowa. Może ktoś z rodziny chorował na to samo? - zakończył.

Inga zamyśliła się. Mama przecież nigdy nie chorowała na płuca... Tymczasem jej choroba może być dziedziczna... Może zatem ojciec? Nieznany jej Gustaw, który ani sekundy w życiu nie spędził z nią, dał jej w posagu na życie tę dziwną chorobę.

- Pani Ingo, jest jeszcze inny wymiar pani choroby - lekarz zamyślił się, spojrzawszy na nią, jakby chciał wy badać, czy może z nią rozmawiać na tym poziomie. - Wiele chorób ma początek w ludzkiej psychice, w złych myślach nawiedzających człowieka. Czy nie miała pani w ostatnim czasie poważnych życiowych problemów, jakiegoś zakrętu, po którym myśli się tylko źle?

Inga milczała. Kiwała tylko głową. Na koniec powiedziała:

- Zaczynam wszystko rozumieć. Dziękuję, doktorze. I za uratowanie mi życia też dziękuję.

Lekarz miał dla niej dobrą wiadomość: jutro otrzyma wypis. Łzy szczęścia spłynęły po twarzy. Wróciła do sali. Otworzyła okno. Patrzyła na brązowożółte drzewa, dostrzegła, jak żółty brzozy liść wiruje gdzieś w górze i opada lekko na okienny parapet. Żółty dukat polskiej jesieni. Dotknęła go ustami. Tym symbolicznym pocałunkiem wracała z powrotem w tętno ziemi.

Michał przyjechał po nią nazajutrz. Pomógł wynieść torbę i sprowadził ją wolno po schodach. Inga nie mogła się jeszcze wyprostować, długi szew pod prawą pierś bardzo bolał. Każda próba gwałtowniejszego ruchu przynosiła za sobą strach, że gojąca się rana nagle pęknie, rozejdzie się na boki i potrzebna będzie kolejna operacja.

- Twoja mama czeka na ciebie w Gielądzie. Odchorowała to wszystko. Pani Tereska zajmuje się nią troskliwie, chyba się nawet zaprzyjaźniły.

- To dobrze, martwiłam się o nią.

- Wciąż jeździ do Pustników. Spotkała kilka osób, które jeszcze ją pamiętały. Odwiedza stare kąty. Nie udało się jej jednak skontaktować z Heleną Kres. Podobno rodzina oddalają do jakiegoś domu pogodnej starości. Miała kilka miesięcy temu wylew i jest sparaliżowana. Stała się dla swojej rodziny ciężarem.

- To smutne.

- Tak, twoja mama bardzo to przeżyła. Dobrze, że pani Helena zdążyła podzielić się swoimi wspomnieniami.

Na razie nie mówił jej nic więcej. Najważniejszą wiadomość, tę o jej ojcu, Rosemarie chciała przekazać jej sama.

Kątem oka obserwował kruchość jej ciata. Uważał na dziury w drodze, omijał wyboje, w zakręty wchodził łagodnie i powoli, by nie sprawić jej bólu. Ale i tak Inga pojękiwała przy najmniejszym wstrząsie. To nie była ta sama Inga, którą zobaczył wtedy, na plaży. Tamta miała w sobie jakąś energię, jej oczy błyszczały, choć pierwszego dnia tylko łzami. Teraz wiozł obok siebie kobietę szarą i przygasłą. Czy jeszcze kiedyś jej spojrzenie będzie iskrzyło się dawnym blaskiem?

Co do niej czuł? Pokochał ją? Fascynowała go? Czy może była w nim zwykła czułość dla chorej kobiety, którą poznał na jednej z bretońskich plaż? Bo czy można pokochać kogoś jedynie za metafizyczność spotkań, nie przebrnąwszy z nim przez codzienność, nie obudziwszy się obok, z zaspaniem i porannym wstydem? Wiedział tylko jedno - że została mu po coś ofiarowana przez ten splot wydarzeń. Z wielkiego nieszczęścia rodzi się czasem wielkie szczęście. Trzeba tylko dać czasowi czas. czekać, aż wszystko, na czym nam zależy, rozwiąże się samo.

Rosemarie czekała, siedząc na krześle przy oknie, zaniepokojona przedłużającą się podróżą Ingi i Michała. Chciała wracać do Niemiec. Spotkała już swoją dawną ojczyznę, jednak przeżycia związane z tym spotkaniem zostały przytłumione chorobą Ingi. I jeszcze teraz ten Gustaw. Informacja nim, przekazana jej przez Ignacego, syna starego Baclawskiego. Stary już nie żył, a Ignacy zajął jego miejsce, zarówno w obejściu, jak i we wsi. Podobnie jak tamten, również wszystko o wszystkich wiedział, żył sprawami swojej małej ojczyzny, które czasem przeinaczał lub po prostu zmieniał. Rosemarie przeczuwała jednak, że to właśnie on pomoże jej natrafić na jakiś ślad Gustawa. Dawno już mu wybaczyła, szukała go teraz ze zwykłej ludzkiej ciekawości. Pomyślała, że skoro już tu przyjechała, powinna wiedzieć, co przez te lata działo się z człowiekiem, który miał zostać jej mężem, a był ojcem jej córki. Spotkała się więc z Ignacym Baclawskim na ławce koło dawnego Sportplatzu. Tamtego dnia Inga miała operację. Rosemarie, by zagłuszyć niepokój, pojechała do Pustników na spotkanie swoich wspomnień. Mężczyzna zaczął opowiadać:

- Pani, my myśleli, że pani przez te lata to o nas zapomniała. Mówili my, że do Reichu wyjechała, do lepszego życia, co jej po wspomnieniach. Dom sprzedała. Nie wróci, znaczy się. A było trza ten dom zostawić, to by był na teraz, na emeryturę.

Baclawski miał chyba rację. Trza było dom zostawić. By był teraz, na emeryturę. Prosty człowiek, jak jego ojciec, a mądry. Nie przewidziała, że tęsknota będzie ją trawić, kawałek po kawałku, a ta ziemia wzywać, jak kogoś wypędzonego. A przecież wyjechała sama, chciała tego wyjazdu lepszego życia dla córki. Tylko teraz... Sploty okoliczności, które dziwnie nagle pojawiły się w życiu ich obu, zadziwiały ją na każdym kroku. Jak odczytać ten znak, dawany przez przeznaczenie?

- Pani Sobottkowa... - ciągnął dalej Baclawski, obierając małym kozikiem jabłko. - Dać jabłko mogę. Chce pani? To nasze, z sadu, z jabłonki, co i panina matka ją miała u siebie w sadzie. Te same odmiany mielim, bo we wsi wszyscy się ze sobą dzielili, pamięta pani, co?

Rosemarie pomyślała, że kiedyś wszyscy byli tu na ty. Baclawski był Ignacem. Ona - z tym trudnym i twardym dla Polaka imieniem - nazywana była Rošką. Właśnie teraz sobie o tym przypomniała, gdy mężczyzna podawał jej kawałek jabłka na ostrzu nożyka.

Zjadła ze smakiem. Już sama wiedza, że jabłko jest z tutejszego sadu, dodawała mu smaku.

- On, ten Gustek, to potem pracował w pegeerze w Sorkwitach. Rozpił się, a jakże, jak wszyscy. Alkoholikiem był. Z tamtą żył w Rybnie parę lat, ślubu nie wzięli, ale dzieciaka chował, podobny był nawet do niego, chłopak. Będzie w wieku paninej córki, co? No i jak Gustek się rozpił, to telewizor wziął sprzedał, a tamta się na niego wkurzyła, bo to ona go

kupiła, za swoje, i pognała go z powrotem do tych jego Zyndak, do ojców wrócił i tam już był do końca.

- Do końca? - Głos Rosemarie zadrżał niebezpiecznie. Przyjechała tu z wybaczeniem, gotowym i czystym jak kartka papieru. Myślała nawet, że znajdzie go, gdziekolwiek by był. Że tutejsi ją do niego zaprowadzą. A on... Do końca?

Wspominała tę rozmowę z Baławskim teraz, patrząc w okno, czekając na Inge. Przebierała palcami złożonymi w mały młynek, zupełnie jak jej matka, która kręciła młynka wtedy, gdy się denerwowała. Jak wtedy, gdy pierwszy raz zezłościła się na nowy ustrój. Po wojnie, razem z tymi, którzy zostali, uczyła się w polskiej szkole języka. Powtarzała słowa, które wciąż zapominała. Zdenerwowała się raz, rzuciła książką o ziemię i usiadła, kręcąc nerwowo palcami:

- Na co mnie teraz uczyć się? Na stare lata? - narzekała.

A jednak nauczyła się. Zmarła jako dwujęzyczna. Jej polski był twardy jak niemiecki, a jej niemiecki - szeleszczący jak polski. Zapytana kiedyś, w jakim języku myśli, powiedziała: na zmianę. Raz w tym, raz w tym. Hilda Sobottka, wdowa po mężczyźnie, dla którego nigdy nie była żoną, zabrała ze sobą swoje tajemnice, bo nie uznawała ckliwych wyznań. Milkliwa i cicha, nikogo więcej nie kochała przez całe swoje życie. Wierząca w moc przepowiedni wiejskiej baby, wciąż mówiła do Rosemarie, że kobiety z ich rodu nie mają prawa do miłości. Pochowana w Niemczech, nigdy nie spoczęła obok męża, więc nawet po śmierci nie połączyła się z nim...

- Inga, Ingusiu, dziecko moje... - wyszeptwała, widząc przez okno w kuchni wysiadającą córkę.

Michał wspierał Inge ramieniem, pomagał wejść po schodach. Po chwili przytuliła tę drobną postać do siebie. Zapachniało szpitalem i chorobą.

- Musisz jak najszybciej zacząć dobrze myśleć. Nie możesz być teraz smutna. Wszystko się ułoży, zobaczysz. Gdy się uśmiechniesz, zajaśnieje świat i zobaczysz go w innych kolorach. To wszystko stało się przez te przeżycia, problemy, stres. No, już dobrze, dobrze... - wyrzuciła z siebie.

Inga skinęła głową. Owa nieważność pewnych rzeczy i sytuacji, jaką odczuła wtedy, w szpitalu, sprawiła, że zaczęła cieszyć się nagle z prostych rzeczy. Z tego, że widzi matkę. Że Michał ją przywiózł do tego miłego pensjonatu, który na tę chwilę stał się jej domem. Że wszystko ma jakiś sens, a ona - dach nad głową, choć przecież nie własny. Ale jeszcze wróci tam, do siebie, jeszcze wróci... Niech tylko wydobrzeje.

Nabierała sił przez kilka dni. Nieudany urlop wydłużył się, wszyscy chcieli już wracać, Mazury zrobiły się szare, nieprzyjemne, a poranne przymrozki zabierały barwę kwiatom i trawom. Sprawiały, że rośliny stawały się szkliste i wiotkie, pozbawione faktury i sprężystości.

- Czas wracać... - westchnęła któregoś dnia Inga. Musiała jeszcze jechać do Olsztyna, do kontroli; ta wypadła pomyślnie.

Lekarz zdjął szwy z cienkiej jak włos rany pod piersią i pożegnał tę miłą Niemkę, życząc jej zdrowia. Był wręcz przekonany, że choroba już nie wróci, choć wiedział, że do końca życia Inga będzie z lękiem przyjmowała jakąkolwiek duszność lub ból w plecach.

- Sprawdziła pani, czy nikt w rodzinie nie chorował na płuca?

Na szczęście знаła już odpowiedź na jego pytanie. Bo po jej powrocie ze szpitala matka sama poruszyła ten temat:

- Ingo, rozmawiałam o twoim ojcu, chciałam go odnaleźć.

- Tak? I co? Znalazłaś go? Pozdrowiłaś od nieznanej córki? Podziękowałaś za zainteresowanie własnym dzieckiem?! Przez całe życie ani razu... Jak mógł! Nie pomyślał, że może zawsze chciałam mieć ojca?! - Głos Ingi był wyraźnie wzburzony.

- Nie, Ingo, nie mogłam tego zrobić.

- Dlaczego?

- Twój ojciec nie żyje. Zmarł dwa lata temu, pewnej sierpniowej nocy. Był wtedy straszny upał, lato gorące, ludzie jakby otepiali. Miał jakąś ciężką chorobę płuc, ale za późno trafił do szpitala...

Inga zamilkła. Wiedziała już. To po nim ma to smutne dziedzictwo. Nigdy go nie pozna, lecz przez całe życie będzie nosić w sobie jego skazę. Jak dobrze, że nie ma własnych dzieci!

I wtedy wybaczyła mu wszystko.

Powrót do Niemiec. Siedzenie Ingi rozłożone wygodnie, by mogła prawie leżeć. Pod głową poduszka. Czowała się jak królowa. Zaczynała się już uśmiechać, cieszyć życiem... To był piękny czas... Nawet na Michała patrzyła inaczej. Czowała coś w rodzaju wdzięczności dla niego. Sprawdził się w tej trudnej sytuacji jak nikt na świecie, jak najbliższa jej osoba. Szkoda tylko, że mieszka tak daleko, we Francji, że ich życia nie biegną jedną ścieżką, lecz rozdławiają się niebezpiecznie.

Podróż trwała dłużej niż w tamtą stronę. Inga musiała więcej wypoczywać, ale była mimo to szczęśliwa - że jest zdrowa i wraca do domu. Doświadczenie, jakie miała za sobą,

owa kruchość własnego życia, jakiej doświadczyła, sprawiły, że przestała już bać się swoich marzeń i pragnienia miłości. Wciąż mówiła o tym, że cieszy ją wszystko, co wokół, świat, szare drzewa, mijane w jesiennym milczeniu, i że wróci jeszcze na te Mazury, spojrzy na nie innymi oczami, zachwyci się. Mimo że była tam tak krótko, zbyt krótko, by ożywić dawne wspomnienia i znaleźć ich źródła, to jednak, widząc pasję swojej matki i Michała w poznawaniu tej ziemi, zapragnęła nagle stać się jej częścią.

Powiedziała o tym w samochodzie, gdy mijali Olsztyn.

Rosemarie uśmiechnęła się:

- W mojej wsi mówiło się, że jesienią, gdy słońce przełamuje się z coraz dłuższymi nocami, po Jeziorze Gielądzkim pływa czarodziejka w olchowej łódeczce. Snuje nitki babiego lata i oplątuje nimi ludzkie serca. Sprawia, że ludzie chcą już zawsze wracać do tego miejsca. Myślę, że czarodziejka oplątała również twoje serce...

- Mamo, przecież to stare mazurskie bajki! - roześmiała się Inga, nie szydząc jednak z matki jak dawniej.

- Wiesz, Ingo, tak myślę, że w każdym wierzeniu jest jakiś symbol. Czarodziejka z nitką babiego lata... To piękne. Za to kocham tę ziemię. Za tajemniczość i miłość, jaką wzbudza odezwał się Michał, odwracając twarz do Rosemarie.

Inga zamilkła na chwilę. Tajemnicza czarodziejka z Mazur zapadła jej w pamięć, stała się cichą przyjaciółką, której nagle, wbrew samej sobie, przyobiegała powrót na Mazury. Kiedyś tam. Popatrzyła na siedzącego obok Michała. Nie był już dla niej zwykłym znajomym z podróży, nieco onieśmielonym jej obecnością. Zgodził się na dystans, jaki im obojgu narzuciła, a jednak opiekował się nią troskliwie, pokazując, że jest dla niego ważna. Jak zachowałby się Ludwik? Czy potrafiłby być z nią w tych najtrudniejszych chwilach? Czy karmiłby ją małą łyżeczką, przekonując, że trzeba jeść, by się wzmocnić, a ona tylko dla niego pokonywałaby tę szczególną nudność wynikłą z niechęci do jakiegokolwiek jedzenia?

Matka... Tak zależało jej na ponownym spotkaniu z Mazurami.

- Przeze mnie twoja podróż sentymentalna nie udała się, mamo - powiedziała Inga z wyraźnym żalem.

Rosemarie pocieszyła ją:

- Nie martw się, najważniejsze, że jesteś zdrowa. Jeszcze tam wrócę. A może kiedyś wrócimy tam wszyscy?

Czasem warto zdobyć się na otwarcie serca na coś na pozór kruchego, co może stać się treścią życia... Trzeba tylko dać czasowi czas, żyć z nim, ale nie sterować, nie popychać na siłę. Słuchać, jak mówi: dajmy życiu zrealizować jego plan.

Rosemarie nie mogła już doczekać się, kiedy obejrzy na ekranie swojego starego komputera zdjęcia zrobione w Pustnikach, Mrągowie, Sorkwitach. Na szczęście zdążyła odwiedzić te miejsca, tak ważne dla niej. Nie odważyła się tylko jechać do Zyndak, skąd pochodził Gustaw. Bała się spotkać z jego synem, który wciąż mieszkał w domu odziedziczonym po zmarłym ojcu. Może był podobny do tamtej kobiety?

Chciała też jak najszybciej podzielić się z Helgą dziwnym, szalonym jak na kobietę wjej wieku pomysłem, jaki przyszedł jej do głowy po spotkaniu z Ignacem Baćławskim.

Do Griinbergu wjechali gęstą nocą. Powietrze było cieplejsze niż w Polsce, mniej wilgotne, przez co wydawało się lżejsze. Dla Ingi to miało duże znaczenie, gdyż wciąż jeszcze odczuwała ciężar w płucach. Najpierw zawieźli do domu Rosemarie, Michał pomógł jej zanieść bagaże, a potem pojechali do Ingi. Na schodach panowała ciemność, Michał sięgnął ręką w pustą przestrzeń, chcąc zapalić światło. Inga zrobiła to samo. Na moment ich dłonie zetknęły się ze sobą jak ćmy, ciepło, przyjemnie. Inga szybko cofnęła swoją dłoń, a po chwili, jakby zawstydzona, odezwała się, chcąc słowami zagłuszyć tę dziwną sytuację, która znosiła dystans pomiędzy nimi:

- Jak dobrze, że nareszcie jestem w domu, tu mi najlepiej, moje łóżko, moja kuchnia - mówiła szczęśliwa, choć po chwili uświadomiła sobie, że niedawno jeszcze wracała do kogoś, a teraz czekają na nią samotne ściany i kwiaty na parapecie. Michał szedł za nią, z walizką, torbą, nie zastanawiając się, gdzie przenocuje; przecież hotele czynne są całą dobę.

W drzwiach mieszkania tkwiła biała kartka. Inga wyjęła ją wolno, zaciekawiona. Przeczytała i podała Michałowi:

„Chcę się z tobą spotkać. Musimy porozmawiać, daj mi jakiś znak. L”.

Pobladł dziwnie. Posmutniał. Inga zauważyła to.

- No coś ty, wcale się z nim nie spotkam! Nie mam zamiaru. Zaczynam życie od nowa, bo to wielki dar. Jak wielki, zrozumiałam dopiero teraz, gdy mogłam je stracić. Nie mam czasu na tracenie go z beznadziejnymi facetami.

- A z jakimi chcesz go tracić? - zażartował Michał, stawiając walizkę na podłodze.

Inga spojrzała na niego. Przez te wszystkie spędzone razem dni przekonała się, że jest dobrym człowiekiem. Nie zrobił niczego, czego by nie chciała. Ani razu jej nie dotknął, poza podaniem ramienia na szpitalnych schodach. Miała jednak nieznośne poczucie, że wciąż dotykał ją swoimi myślami.

- Z takimi, którzy mnie zafascynują, w których oczach będę widzieć odwagę do walki z każdym życiowym przypływem i odpływem. Którzy, niczym odważni żeglarze, będą w stanie zmierzyć się z wielkim wiatrem swoich marzeń.

Michał nie odezwał się. Podszedł tylko do Ingi i lekko musnął jej policzek swoimi ustami. Zapachniało jak wtedy, tym purpurowokarminowym zapachem, od którego Indze zaszumiało w głowie. Wspomnienia, które oddalały się od niej każdego dnia, teraz nagle powróciły odświeżone, dotykalne.

- Niewyobrażalnie fascynujesz mnie. Nie obawiam się niczego z twojej strony, a właściwie... Nie... Obawiam się, że zbyt rzadko będę cię widywał. To cała moja obawa...

po chwili dodał:

- Muszę wracać do Francji. Mój urlop się kończy. Jeszcze tylko kilka dni...

Inga stała nieruchomo, patrzyła dziwnie na niego. Lekko zakłopotana, otworzyła walizkę i wyciągnęła z niej prążkowaną kosmetyczkę, odłożoną na wierzch.

- Michał...

Spojrzał na nią z nadzieją.

- Michał... Michael... Zostań u mnie na noc, nie szukaj już dziś hotelu. Są dwa pokoje, dwa łóżka, nie ma sensu, byś wyjeżdżał. Musisz odpocząć po podróży.

- Naprawdę, mogę?

- Oczywiście.

- Dziękuję ci. Naprawdę. Padam z nóg.

Nie mów, że nigdy we wrota nie wstąpi skrzydlata baśń twego życia!

Mądry człowiek wie, że wszystko kiedyś przeminie i nie zrasta się za bardzo z tym, co pojawia się wokół niego. Bo nic nie jest dane na stałe, na zawsze. Michał starał się tak właśnie myśleć o swoim życiu, doświadczony tym, że wystarczy chwila, dziwny zbieg okoliczności, by stracić to, co kocha się najbardziej. Teraz w jego życiu pojawiła się Inga, której tak naprawdę nawet nie dotknął, poza tym dziwnym spotkaniem w jego mieszkaniu, ale oboje wykreślili to z pamięci. Zresztą, tamta Inga była zupełnie inna niż ta, którą teraz miał przed sobą. Tamta pierwsza wydawała mu się wyzwoloną Niemką, otwartą na życie i nowe doświadczenia, zaś ta Inga była dotknięta cierpieniem i bólem, ale przez to jakby wyszlachetniała, dorosła. Obie jednak fascynowały go tak samo - silne, elektryzujące spojrzenie, uśmiech, który niczego do końca nie mówił. Michał chciał wciąż być mądrym człowiekiem, a jednak dziś nie liczył się z tym, że coś w jego życiu nagle przeminie. Chwila, w której trwał, była dla niego dłuższa od całego życia.

Leżał w niewielkim pokoju, w mieszkaniu Ingi, na jej łóżku. Przygarnięty nocą jak psiak, nagrodzony za wytrwałość i opiekę w podróży. Przeczynał w Indze pokłady wdzięczności zmieniające powoli jej nastawienie do niego.

Był czterdziestokilkuletnim mężczyzną, a czuł się jak młody chłopak, na tyle odważny, by marzyć o kobiecie, zbyt jednak nieśmiały, by to jej okazać. Pamiętał ich pierwsze spotkanie, w restauracji. Nie umówił się z nią drugi raz, choć bardzo pragnął tego spotkania. Wiedział jednak, że nie powinien, bo spotkania takie prowadzą do miejsc i stanów nieprzewidywalnych. Miał bowiem przeczucie, że Inga jest kobietą, przy której jego umiejętność kontroli znika. Myślał o niej już wtedy niebezpiecznie często i bał się ją zranić. Bo przecież miała jakieś swoje życie, być może trwała w związku, chciała być lojalna. A potem... To drugie ich spotkanie... Nie miał już żadnych wątpliwości, żałował tylko, że spotkał ją tak późno. „Ech, zostawić wszystko i już do końca świata wpatrywać się w te roziskrzane oczy” - marzył czasem. Od śmierci żony nie myślał w taki sposób o żadnej kobiecie. Ten list był jak przepustka do Ingi. Wiedział, że sposób, w jaki przeznaczenie zaplotło ich losy, jest ważnym znakiem. Zdecydował, że spróbuje, zawalczy o Inge. Pojechał do niej pod pozorem wskrzeszania przeszłości, ale z nadzieją na zdobycie przyszłości...

Gdzie był teraz? W powietrzu łączą się oto ich oddechy. Myślał o nich, jak zachodzą na siebie kręgami, niczym fale, jak przenikają wzajemnie. Inga jest jednak wciąż daleko, mimo że w pokoju obok - dystans nie do pokonania. Zasnęła od razu, czuł to, bo oddychała miarowo, a jemu przypomniały się tamte noce w podróży, z nią za ścianą, i marzenia o niej, pełne niepokoju i lęku, gdy kolejne noce spędzała w szpitalu.

Obudził ich dzwonek do drzwi. Michał spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Usłyszał, że Inga wstała i poszła otworzyć. Nie ruszył się. To nie był jego dom, nie mógł więc pełnić tu roli gospodarza.

Usłyszał rozmowę, prowadzoną najpierw w drzwiach, a potem już w przedpokoju.

- Inga, jak dobrze, że cię widzę. Mówili, że masz zwolnienie lekarskie. Martwiłem się o ciebie.

- Chyba żartujesz. Ty o mnie?

- Tak, bardzo, chciałem... Z tobą porozmawiać.

- Nie mam już o czym z tobą rozmawiać.

- Inga! Ale muszę ci to powiedzieć. To była pomyłka, nie chcę z nią być, teraz to zrozumiałem.

- A ja nie chcę tego słuchać, rozumiesz? - Głos Ingi załamał się.

- Inga, czy możesz mi jeszcze raz wybaczyć?

Milczenie. Michał zdrętwiał. Czy mu wybaczy? Czy wróci do niego tak, po prostu, po tym wszystkim, co zrobił?

- Ona... Marta... Nie jest kobietą dla mnie... Będę płacił alimenty, to ona chciała tego dziecka, ja nie, przecież wiesz, nigdy nie chciałem!

Inga milczała. Michał zastanawiał się, co teraz robi. Czy patrzy w oczy Ludwika i pozwala płynąć obrazom wspomnień zupełnie bezkarnie, czy odwróciła się od niego? A może patrzy na niego z cierpką ironią? Cokolwiek to było, Michał cierpiał. Bo wiedział, że tamtych dwoje łączy lata wspólnego bycia ze sobą, wyznań, miłosnych nocy, podróży, czytania książek. Że każda chwila, która ich kiedyś połączyła, była jak nitka czarodziejki z Mazur, przywiązująca do siebie, uzależniająca.

- Teraz wiem, co straciłem. Ingo, wkrótce byłby nasz ślub...

- Ale nie będzie...

- Ingo, nie skreślaj nas, zobacz, jak było nam cudownie! Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

Milczenie Ingi prowokowało go wyraźnie.

- Bylibyśmy tacy szczęśliwi. Czy źle ci było ze mną? A seks? Przecież również nas łączył, i to bardzo! Inga, nie przekreślaj tego! Nigdy już więcej się z nią nie spotkam, wybaczone, przegrałem swoje życie, ale jeśli mi wybaczysz, będzie to dla mnie światełko nadziei, będę najlepszym mężem na świecie. Nigdy cię już nie zdradzę, przysięgam.

Mówił szybko, chaotycznie, głos mu się łamał, ton zmienił się na płaczliwy.

„Co będzie, jeśli mu uwierzy po raz kolejny?” - myślał Michał gorączkowo, z niepokojem czekając na to, co powie Inga.

- Inga, kochana moja, ciebie tylko kocham i kochałem, ty jesteś moim życiem, moją miłością, a ona... Głupi byłem, zauroczony jak szczeniak. Nigdy, przysięgam, nigdy więcej...

Dlaczego ona nic nie mówi? Przecież tamten może to odebrać jako zastanawianie się. Nie, teraz nie może jej stracić, po tym wszystkim, co razem przeżyli! Przecież... Nie spotkali się przypadkiem, przeznaczenie zetknęło ich po coś. Czy po to, by teraz dać satysfakcję temu wiarołomcy, temu bufonowi, temu... Michał ciskał pod adresem tamtego najgorsze słowa, hamując się wprawdzie, ale po chwili jego wzburzone emocje znowu powracały. Miał ochotę wstać, wejść tam, przygarnąć Ingę do siebie, pokazać mu, że teraz on... Choćby to było tylko chwilowe udawanie... Nie mógł jednak tego zrobić, bo to mogłoby być wbrew Indze.

Znów głos tamtego:

- Inga... Czy mogę zostać?

Michał zamarł. Musi przerwać ten monolog, nie mógł już go słuchać, Inga wciąż nic nie mówi, jej milczenie jest nieznośne. Dlaczego kobiety są takie naiwne, dlaczego tak łatwo ulegają facetom, którzy na nie nie zasługują?

Nie wiedział, że Inga po prostu patrzy w okno, z miną obojętną, wyswobodzona z tamtego chorego uzależnienia od Ludwika. Że układa w myślach słowa, które zaraz mu powie, ale pozwala, by jeszcze do niej mówił, bo może przestanie wreszcie mówić i myśleć tylko o sobie, a zapyta, co u niej, dlaczego znikła nagle z miasta, ze swojego domu, z pracy? Gdyby naprawdę ją kochał, to przecież zapytałby o to! I dopiero po paru minutach tego ciągłego proszenia o wybaczenie, zapewnień o popełnionym błędzie i chęci naprawy wszystkiego, co zepsuł, Inga odezwała się:

- Jesteś zwykłym dupkiem, wiesz?

Ludwika zamurowało.

- Jak to? - zapytał wreszcie.

- No, słyszysz przecież. Jesteś dupkiem. Na swoje życzenie schrzaniłeś swoje życie. To, że chcesz do mnie wrócić, to nie znaczy, że ja tego chcę. Nawet nie spytałeś, dlaczego mnie nie było, co się ze mną działo. Myślałeś tylko o tym, by przyjść i wypowiadać się z tej całej krzywdy, której TY doświadczyłeś, nie zastanawiając się, czym ta krzywda była dla mnie. Przez ciebie zachorowałam. Ciężko. Leżałam w szpitalu w Polsce i tam, wracając do zdrowia, obiecałam sobie, że nigdy już nie zrobię w swoim życiu niczego wbrew sobie. Bo tacy ludzie jak ty na to nie zasługują. Nie obchodzi mnie już twoje życie, ani twoja Marta, ani wasze dziecko. Mam zamiar odważnie dążyć do SWOICH celów, bez oglądania się na takich beznadziejnych facetów jak ty!

„Dzielną dziewczynką” - pomyślał Michał, oddychając z ulgą. I naraz usłyszał wołanie z pokoju:

- Michał, na śniadanie wolisz kawę czy herbatę?

Zwyczajnie, po męsku, odebrał to jako przyzwolenie na wyjście, na pokazanie się, że tu jest, że słyszał całą tę rozmowę. W pomiętych bokserkach, przeciągając się, wszedł do kuchni, narzucając szlafrok i udając, że nie widzi tamtego:

- Może być kawa. Aleja zaraz zrobię jajecznicę. Taką, jaką lubisz...

I spojrzął przy tym na Ludwika. Warto było dla jego zdziwionej miny odegrać tę całą komedię.

- Dzień dobry. Nie mówiłaś, że mamy gościa?

- Ach, Ludwik? To kolega z pracy. Niepokoił się, że tak długo mnie nie było. Wpadł spytać, jak się czuję. Ale już wychodzi...

Michał nie podejrzewał, że ta sytuacja będzie tak Inge bawić. Posunął się więc dalej, podchodząc do niej i ogarniając ją ramieniem.

- Jak spałaś? - zapytał.

Oboje nie słyszeli nawet, jak drzwi trzasnęły za Ludwikiem głucho, nieprzyjemnie. Stali tak razem, połączeni tą sceną, jakby skeczem rozegranym dla dzieci na podwórku.

- Chcę być mądrym człowiekiem, nie chcę, by wszystko co jest dla mnie fascynujące, przeminęło, ja sam nie chcę przeminąć. Nie podchodzę do ludzi i zdarzeń, jakby miały przeminąć, uwielbiam tę tajemniczość i nieodgadnione niespodzianki mojego życia, nauczyłem się po prostu żyć z własnym życiem. W zamian otrzymałem coś niesamowitego, bo to ono poprzez symboliczne sytuacje pokazuje mi, co i jak mam dalej robić. Pozwólmy więc życiu płynąć, chwili trwać - mówił do niej Michał. To był jego ostatni wieczór w Griinbergu. Pożegnał się już z Rosemarie, która zaprosiła ich na obiad. Poszli razem, jak para, choć przecież... Byli razem dwa dni pod jednym dachem, a on wciąż nie zdobył się na żadną bliskość, bojąc się o zdrowie Ingi i o to, jak zostanie przyjęty.

Był już spakowany, nazajutrz rano miał pożegnać tę kobietę, miasteczko, jej kraj. Inga miała teraz dwie ojczyzny, tak to czuła, opowiadała wciąż o tym radośnie, jak o nowym odkryciu. A przecież tam się urodziła.

- Ale nigdy tamo miejsce nie było mi tak bliskie, jak teraz...

Michał spojrział uważnie, jak śmiesznie poruszyła nosem, nabierając powietrza. Przechodziło przez nią swobodnie jak kiedyś i tylko słabnący z dnia na dzień ból w klatce piersiowej przypominał jej cierpienie, nierozzerwalnie związane z wyjazdem na Mazury.

- Obiecuj, że pojedziemy tam jeszcze kiedyś - poprosiła go zabawnie, Jak mała dziewczynka.

Obiecał. Pojadą tam pod koniec lipca. Co roku ma wtedy letnią przerwę °d pracy. Cały miesiąc, który rezerwuje tylko dla siebie. I dla niej.

Kim była dla niego? Pojawiła się w jego życiu tak dziwnie, jakby od niechcenia, zesłana przez los, ale miesiącami musiał dochodzić do tego, kim mogła być, gdyby spotkał ją wcześniej. Nie byłoby w nim wtedy tego bolesnego wspomnienia Isabelle, nie patrzyłby wtedy na nią przez pryzmat kobiety, która była kiedyś jego żoną. Przez ten czas, który upłynął od jej śmierci, nie wyzbył się całkiem jej obrazu, wciąż z nim żył, codziennie patrzył na fotografię i obawiał się zbliżyć do innej kobiety. Miał poczucie, jakby sprawiał Isabelle przykrość. Inga była pierwszą, przy której czuł, że traci to poczucie lojalności.

Siedzieli na kanapie, połączeni cichym wieczorem. Z głośnika sączyła się spokojna muzyka. Inga - w domowej sukience, z podwiniętymi pod siebie nogami. Włosy miała upięte wysoko, pospinane niedbale spinkami; długie pasma wychodziły niesfornie i opadały na ramiona. Michał wciągnął nosem jej zapach. Kwiaty i wiatr. Jak zawsze. Inga miała znów te same oczy, roziskrzone, coraz częściej uśmiechnięte. Wyciągnął w jej kierunku dłoń. Drżał

cały, obecność jej ciała, tak bliskiego, a jednocześnie odległego, nieznanego, wciąż jeszcze tak kruchego, zmęczonego chorobą. Bał się posunąć dalej, by nie sprawić jej zwyczajnie bólu, czekał na jakiś znak z jej strony. Był nieśmiały, odzwyczajony od uwodzenia i zdobywania kobiet. W jego duszy pojawiło się dziwne rozdwojenie i chciał trwać w tej podwójności, pragnął, by ona też stała się nagle podwójna, rozdzielona, a on wzięłby wtedy tamtą drugą, uległą.

- Jestem tobą zwyczajnie zauroczony, jak młody chłopak - powiedział cicho, starając się uśmiechać, i na twarzy pojawiła się lekkość. Jakby mówił zwyczajnie o tym, że kawa wystygła, zmrok zapadł, a firanka przesunęła się, popchnięta wiatrem... Jak to było w nim od zawsze, scalone na coś w rodzaju krwiobieg myśli i zdarzeń. Owa zwyczajność rozbawiła Inge. Wzięła jego dłonie, przygarnęła do siebie, spojrzała na nie, silne i twarde. Nie były to dłonie pianisty, o delikatnie wykończonych opuszkami palcach. Takie kruche dłonie mają również mężczyźni, którym brakuje sił do walki o dobre życie, lubiący częste życiowe odpoczynki i dbające o nich do przesady matki i żony.

Te Michała świadczyły o człowieku nawykłym do ciężkiej pracy. Być może kiedyś, gdy był architektem, miały również tę czułą miękkość, ale ciężka praca zmieniała je. Na lepsze. Takich rąk się nie bała, bo dawały poczucie bezpieczeństwa. Ich siła drzemała w głębokich jak bruzdy nacięciach linii papilarnych.

- Zauroczony? Miłe to dla mnie, nawet nie wiesz, jak bardzo. Nie jestem skłonna do zwierzeń, raczej swoje myśli i odczucia chowam dla siebie, głęboko. Ale wiedz, że twoje słowa są dla mnie ważne, może zbyt ważne jak na kobietę w moim wieku i mojej sytuacji. To rozstanie, moja choroba. Pokaleczenie przez zdradę. I nagle spotykam ciebie. Magia codzienności przynosi takie spotkania, które zadziwiają nas samych.

Dotknął jej policzka. Kolejny krok, pytanie, czy może posunąć się dalej... Teraz dotknie włosów.

- Fascynujesz mnie, nie spotkaliśmy się przypadkiem. Nigdy wcześniej, żadna kobieta... No, może poza żoną. Ale jej już nie ma, a pojawiłaś się ty, jakby dana mi w darze. Historie naszych rodzin, teraz my. To dziwne. Nasze losy splotły się tak niespodziewanie... - mówił do niej, patrząc, jak ciemne oczy wpatrują się uważnie w jego twarz, jakby chciały w tych kącikach oczu wypatrzeć szczerą wypowiedzianych słów. Dotknął miękkiego pasma, załaskotało go śmiesznie, jak motyl.

- Mówisz o mnie tak pięknie. Obraz mnie w twoich oczach jest inny, chyba na wyrost, nie zasłużyłam na to, a jednocześnie dobrze mi z tym, że tak można mnie traktować, że nie

jestem dla ciebie codziennością, rutyną, znudzeniem, czym pewnie byłam dla Ludwika. Schlebia mi to, choć mam poczucie własnej ułomności. I zwyczajności.

- Nie wiem, jak możesz stać się rutyną, znudzeniem, codziennością. Z twoją siłą życia?

- A jednak... Tak wiele chciałabym ci opowiedzieć, ale nie znajduję słów i może... śmiałości. Może kiedyś... - Zamilkła. Bawiła się teraz jakąś kartką. Ułożyła z niej coś na kształt żaby. Sztuczka orgiami, wyuczona jeszcze w szkole. Po chwili odezwała się znowu:

- Nauczyłam się brać z życia jak najwięcej, czerpać z niego jak z górskiego źródła, przed którym kładłam się i pozwalałam wodzie chłodzić moje usta. Chcę żyć dla siebie, mieć swoją pasję, chcę sobie tylko zawdzięczać to, co najważniejsze... By na wszelki wypadek zabezpieczyć się, nie zostać sama z moim wyobrażeniem o szczęściu, bo wszystko przecież się może zdarzyć. Bo tak się przecież w życiu dzieje, prawda?

Michał skinął głową. Odłożyła pozginaną kartkę. Patrzył w jej twarz. Cieszył się, że wreszcie otworzyła się przed nim, a przebyte cierpienie nie spowodowało w niej zgorzknienia duszy.

- Przeszłam wiele trudnych sytuacji. Myślałam, że mnie czegoś nauczyły. Pochowałam je w sobie jak wielkie tajemnice, których nie wyznam nigdy i nikomu. Chciałam nauczyć się od nowa żyć, tym razem tylko dla siebie. Ale teraz... Zburzyłeś swoim pojawieniem się tą pewność moich myśli. I czasem łapię się na tym, że tęsknię za tą metafizyką, którą przeczuwam. Za spotkaniem dusz... Bo przecież nawet mnie nie dotknąłeś...

- Ingo...

- Michał... Tak naprawdę nic o tobie nie wiem, jesteś dla mnie tajemnicą. Może po to właśnie cię poznałam? A przecież... To miało być tylko na chwilę. Tak wtedy myślałam, gdy zobaczyliśmy się pierwszy raz na bretońskiej plaży.

Inga pamiętała, że przeczuwała wtedy jakąś fascynację, jednak nie podchodziła do tego jak do znaku danego jej przez wszechświat. „Tylko na chwilę” i „chwilo, trwaj” przeplatały się ze sobą jak warkocze.

Ten mężczyzna miał w sobie dziwną siłę, której nie mogła nie ulec. Szorstki i silny, był przeciwieństwem Ludwika i wszystkich mężczyzn, których miała przed nim. Pragnęła dotknąć jego szyi, wsunąć palce we włosy, poczuć jego dotyk, pocałunek, ofiarowany teraz już zupełnie świadomie. Zapraszała go coraz śmielej do swojego życia, a on czekał na to tak długo.

Lekko dotknął jej, poczuł, że ona też garnie się do niego z dziwną mocą. Po chwili, jak ocean w przyływie, stał się bardziej zdecydowany, porzucił swoją początkową

nieśmiałość, aż wreszcie powoli rozebrał ją i siebie, stanął przed nią, a ona dotykała jego pachnącą, wciąż opaloną jeszcze skórę, to nieznanne jej ciało, pod którym pulsowały widoczne niebieskie żyły. Ogarnęła ją nagle wielka pasja bycia z nim, bycia jego kobietą, poddającą się jego ruchom, początkowo wolnym i delikatnym, a potem coraz śmielszym, silniejszym. Oddychali w swoje włosy, uszy, ciała, zespoleni na moment jak relief z piaskiem, czekając, aż wielka fala zaleje ich ciała i dusze i cofnie się z krzykiem mew i szelestem wody. Inga krzyknęła. Jak mewa.

Cichy jęk Michała i zwolnienie z łapczywego uścisku silnych dłoni przywróciły ją rzeczywistości. Nigdy wcześniej nie pożądała w taki sposób, obląkańczy, jakby pragnęła tego przez całe życie, marnie się tylko kolebiąc w innych sypialniach, przy boku innych mężczyzn... Rozkosz, jakiej doznała szybko, niespodziewanie dla niej samej, zdziwiła ją i sprawiła, że czuła nad tym mężczyzną pewną przewagę, że oto zdobyła go, choć sama była zdobywana.

Michał usiadł obok, gładził jej włosy, teraz w zupełnym nieładzie. Ubrania leżały rozrzucone niedbale na kanapie. Miłosny nieporządek, a oni pierwszy raz tak bliscy sobie.

- Dziękuję ci za to, że chciałaś... - powiedział krótko, patrząc ciemnym spojrzeniem. Dotknął jej twarzy palcami, potem dotknął jej piersi, zsunął dłoń niżej, ku wewnętrznej stronie ud, która był wilgotna od ich miłości. Pocałował jej usta, przyjęły go łapczywie, chętnie.

- Stałaś się moją kobietą...

Inga poczuła znów to mrowienie w dole brzucha, jakby chęć oddania, przybliżenia znów do tego mężczyzny. Dotyk, wilgoć, oddech, to wszystko sprawiło, że poczuła, jakby była z nim zawsze, od lat, jakby to z nim dzieliła swoją codzienność, że to, co teraz, wcale nie jest ulotne i krótkotrwałe. Jak przyplływ...

- Czy wiesz, że śniłeś mi się dziś? Pierwszy raz. To był dziwny sen - zaczęła. - Szłam przez zupełnie obce miasto, nie znałam drogi. Ale ty porozpalałeś dla mnie na ulicach ogień, płonął na wysokich pochodniach, wyglądał jak wielkie kadzidła. Szłam po tych ognistych drogowskazach, bo skądś wiedziałam, że mają wskazywać mi drogę. I doszłam do ciebie.

Ogień ze snu. Symbol namiętności i tworzenia, przejścia na nowy etap. Znak prazasady świata, jak u Heraklita, niedostępnie boski, a po ludzku związany w pochodnie, niczym bukiet, w symboliczne wyznaczenie miłości... Inga zrozumiała ten sen od samego początku. Pojęła nagle jego metafizykę i wiedziała już, że to wszystko, co wcześniej przeżyła, prowadziło ją drobnymi krokami do miejsca, w którym się teraz znalazła. Wszystko było po coś.

Potem, w nocy, gdy Michał już spał tuż obok niej, wstała nagle, poszła do drugiego pokoju i sięgnęła po kartkę. Napisała dla Michała wiersz, myśląc o tym, że kiedyś ofiaruje mu go. Miała wrażenie, że słowa umykają z niej jak skrzydlate ptaki. Pisała je szybko, bez zastanowienia, jak pianista improwizujący melodię swojej duszy.

czas kariatyd patrząc ci w oczy dogoniłam gwiazdy nie chciały spełniać moich marzeń mimo że spadały jedna po drugiej świetlistymi ogonami przecięły moje życie pęknięte pozbierałam je całe w kariatydach gwiazdy - mówię przecież spełniacie marzenia niech życie jak dźwięk starej harmonii zagra na weselu mojej duszy odpowiedziała cisza dałam więc czasowi czas poplotły się pytania jaki smak ma uczucie jaki zapach ma życie czy trwać czy pobiec za pochodniami które ktoś rozpałił na drodze moich kroków pytasz co znaczą pochodnie a ja walczę z żywiołem ogień pieści moje sny całe w znakach zapytania i okruchach Twoich wyznań w kamienicy pełnej szeptów przycupnął cichy czas zakołysał się obudzony naszymi oddechami zadrzał jak liść brzozy złoty dukat kończącego się lata po naszej jesieni przyplącze się wiosna obiecuję

Z przedpokoju dał się nagle słyszeć cichy szelest. Inga pomyślała, że może jakieś ubranie zsunęło się z wieszaka; poprawi je jutro. Tymczasem z wielkiej walizki, rozpakowanej wprawdzie, ale wciąż jeszcze nieschowanej na dno szafy, wysunęła się szara koperta. Opadła miękko na podłogę. Inga znajdzie tę kopertę dopiero potem, gdy Michał już wyjedzie do Francji, a ona zacznie składać swoje nowe życie, do którego los doda jej tęsknotę za Michałem.

W kopercie drzemało wspomnienie Mazur i Pustnika, włożone tam przez Rosemarie. Była to mała gałązka ligustru zerwana na Diabelskiej Górze. Matka Ingi dotarła na nią podczas jednej ze swoich pieszych wędrówek. Chciała zobaczyć, jak wysoko urosły drzewa posadzone na polecenie Heimanna przez mieszkańców wsi. Na Górę zaprowadził ją dawny sąsiad ze wsi, Neumann. Poprosiła go o pomoc, w obawie, że po prostu tam nie trafi. Upłynęło tyle lat! Neumann poszedł z nią chętnie. Dawnej drogi prowadzącej do Góry już nie było, tylko szczerze pole, letnią porą na pewno zarosłe ziołami i kwiatami. O tej porze roku poszarzało, kolory wyostrzyły się. Ziemia zapachniała dojrzałą jesienią.

Szła kierowana przez Neumanna, dziękując w myślach, że poprosiła go o pomoc, bo sama na pewno by nie trafiła. Słuchała, jak wspominał, pokazywał palcem, że tam nie było tego stawu, a teraz jest i na jego brzegu latem przysiadają żurawie. Staw wrósł już w krajobraz, oplótł się nim jak pajęczyną, współistniał z tym dziwnym miejscem, u podnóża Diabelskiej Góry. A tamte drzewa sadził sam, wiele lat temu, jeszcze przed wojną, gdy jego mowa była inna, mazurska.

Patrząc na wieś w dole, znów poczuła się jak dawniej, w młodości, gdy co niedziela przychodziła tu z Gustawem jak do świątyni, a teraz to miejsce jest jedynym wspomnieniem ich nieudanej miłości, której nie da się już naprawić, wybaczyć, cofnąć. I wtedy, szukając tamtego kamienia w kształcie pękniętego serca, natknęła się na krzew ligustru. Odruchowo złamała gałązkę - z mocnym postanowieniem, że tę pamiątkę z Diabelskiej Góry wręczy córce. Bo wprawdzie sama nie znalazła tu swojego szczęścia, to jednak całym sercem życzyła go Indze.

Nazajutrz rankiem Michał zegnał Inge, mając poczucie, że czas minie szybko i wkrótce zobaczą się. Na pewno.

- Przyjadę latem, obiecuję - szepnął w jej włosy, tuż za uchem, w tę niezwykłą bramę jej kobiecości. Drzwi zamknęły się za nim cichym szelestem, wychodził po cichu, jak wykradający się z jej życia kochanek.

Inga czekała na jakieś słowo, które zwiąże ją z nim, na wyznanie jakichkolwiek uczuć, ale ono nie padło. Tamta szczerość, poprzedzająca ich fizyczne spełnienie, była jedyna. Michał potem niewiele już mówił, jakby powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Kochał się z nią tylko łapczywie, chcąc na te mające ich rozdzielić miesiące nabrać jej ciepła, skumulować w sobie - jak kamień słońce. Patrzyła wtedy na niego, chcąc rozwikłać wszystkie myśli tego mężczyzny, zastanawiała się, czy może ją zwyczajnie wykorzystuje, a potem zamilknie, jak wtedy. Bo przecież gdyby nie jej list do niego... Czy odezwałby się pierwszy, czy odnalazłby ją? Nie wiedziała, że nie chciał jej skrzywdzić.

W domu panowała cisza, sąsiedzi jeszcze spali w ten listopadowy poranek. Do lata byłoby jeszcze tyle czasu...Jej czas bez Michała dopiero ruszył. Jak zawodnik, przekroczył linię startu. Zaczęło się dziwne odliczanie.

Zajęta obecnością mężczyzny w jej życiu, zapomniała o sprawdzeniu poczty. Ostatni raz robiła to jeszcze przed wyjazdem do Polski. Od tamtego czasu upłynęły prawie trzy tygodnie.

Czterdzieści pięć nowych wiadomości. W tym większość to spam i reklamy. Otwierała od końca, klikając leniwie, z ciekawością, co wydarzyło się w jej życiu, a o czym nie została poinformowana. Ileż wydarzeń nastąpiło wtedy, gdy leżała w szpitalnym łóżku.

Koleżanki z pracy.

A czy wiesz, że on, Ludwik, z Martą? Czy to prawda? To jego dziecko? No, napisz coś, czemu się nie odzywasz? Co się dzieje? Czemu cię nie ma, czy wszystko dobrze? Podobno z mamą wyjechałaś z kraju? Pani Helga mówiła. Inga, wpadnij do mnie. Pani Ingo, tu biblioteka, jest już ta książka, o którą pani prosiła. Czy mogłaby mi Pani przesłać zdjęcia z

naszego spotkania w szkole? Piszemy artykuł na ten temat. Pani Ingo, dziękuję za propozycję książki, wysłaną do naszego wydawnictwa. Z przyjemnością wydamy Pani książkę. Proszę o kontakt pod numer...

Co?!

Inga wróciła do tamtej wiadomości, przeczytała jeszcze raz uważnie.

„Wydanie książki planujemy na lato. Będzie oczywiście trochę pracy, redakcja, ilustracje, okładka, ale jeśli wszystko dobrze pójdzie, książka ukaże się na początku lipca. Dyrektor wydawnictwa, Ewa Kalinowska”.

Przebiegła wzrokiem raz jeszcze:

„Z przyjemnością wydamy Pani książkę...”.

Drżącą ręką wybrała numer telefonu. Nie do matki. Tą radosną informacją chciała się najpierw podzielić z kimś innym.

- Michał?!

- Inga? Czy coś się stało?!

- Nie, to znaczy tak! Cudownie! Mam odpowiedź z wydawnictwa! Będą drukować moją książkę!

- Naprawdę?!

- Tak! Jaka jestem szczęśliwa!

- Ingo, chcesz, to wrócę. Jestem dopiero trzydzieści kilometrów od ciebie.

- Nie, jedź do siebie, pożegnaliśmy się. Nie wracaj. Spotkamy się latem. Michał... Tak się cieszę... Spełniają się moje marzenia, naprawdę!

Inga wiedziała już teraz, że to desperacka wiara w powodzenie jej życiowego planu i ciągle wyobrażanie sobie siebie jako autorki książek sprawiły to wszystko. Z dnia na dzień uwierzyła w moc marzeń, bo ona naprawdę działa, popycha świat do przodu, nawet jeśli czasem drogami krętymi i na początku nie do końca zrozumiałymi... Wszystko bowiem dzieje się po coś. Czemuś służy.

Rosemarie wzruszyła się do łez szczęściem córki. Gdy jeszcze w jej oczach zobaczyła radosne iskry, wiedziała, że nie tylko wydawnicza propozycja jest przyczyną jej szczęścia.

- Michał? - zapytała krótko.

Wiedziała, że może zadać to pytanie, bo Inga nie była już tą samą Ingą sprzed kilku miesięcy, która życie traktowała powierzchownie. Wszystko, co ją spotkało, sprawiło, że dojrzała, i Rosemarie wyczuwała to sobie tylko znanym instynktem.

- Tak, Michał. Ale to jeszcze nic pewnego, wiesz.

- Będzie dobrze, kochana.

- Mamo, ale on wrócił do swojego życia, do Francji. Tam ma swój dom i świat, dla mnie do tej pory nie było tam miejsca. Może to tylko przelotne?

- Po coś się spotkaliście...

- Może tylko na chwilę?

- To niemożliwe, nie mów tak, bo tak będzie. Wyobrażaj sobie, że jesteście jak dwie kolumny połączone portykiem. Stoicie jedna przy drugiej, ale między wami jest miejsce. To ta przestrzeń, która was dzieli. By wiatry niebieskie mogły wokół was tańczyć.

- Mamo, tak pięknie mówisz...

- To nie ja. To słowa wyczytane gdzieś, dawno temu. Gibran. Ale przyjąłem je kiedyś za własne. Może dlatego nie ułożyłam sobie życia z żadnym mężczyzną, bo nie chciałam zrozumieć, że potrzebna jest mi przestrzeń?

Rosemarie pochodziła bowiem ze świata, w którym wszystko odbywało się w naturalny sposób. Ludzie rodzili się, umierali, kochali się i rozstawali, a każdy miał wokół siebie wolne miejsce - na myśli, słowa i kubek herbaty w samotności. Rankiem wstawali do swojej pracy i nie zastanawiali się, dokąd poszedł on, co robi ona. Obiad podany w polu w glinianych dwojakach łączył ich na chwilę, a potem wracali - każde do swojego świata, aż ciemniejąca niebieskliwość nieba prowadziła ich pod dach wspólnego domu; szli do niego jak bydło i psy, a to porównanie ich nie dziwiło, bo byli przecież częścią natury, nie mniej niż drzewa i gwiazdy.

Z czasem ludzie stali się wobec siebie bardziej zaborczy, a Rosemarie myślała, że to z powodu nudy. Mężczyźni, z którymi była, wymagali od niej ciągłej adoracji. Nie rozdzielało ich wschodzące słońce, nie zapraszał do domu zachód, nie było między nimi miejsca na wiatry niebieskie...

- Nie przejmuj się tym rozstaniem. Czas minie. Wkrótce znów go zobaczysz. Teraz żyj tylko obietnicą spotkania. I ciesz się, że nie łączy was codzienność. Bo czasem może być ona końcem miłości.

Inga przytuliła się do matki. Szkoda, że dopiero teraz odkryła, jak wspaniałą i mądrą jest kobietą! Spędziły razem tyle lat, nigdy wcześniej nie rozmawiały jednak w ten sposób. Dopiero jej choroba, lęk przed utratą życia, i to w takim momencie, kiedy jeszcze tak wiele można z niego posmakować, zmieniły relacje między nimi. To Inga się zmieniła. Rosemarie pozostała taka sama.

- Też chciałabym kiedyś być szczęśliwa. Podobno na miłość nigdy nie jest za późno?

- To prawda. Wyobrażaj sobie siebie u boku przemiłego starszego pana, który nie wprowadzi się w twoje życie z walizką - roześmiała się Inga, patrząc w łagodne oczy matki. Były teraz do siebie takie podobne...

Internet zmniejszył poczucie samotności i tęsknotę. Spotykali się w wirtualnej przestrzeni, nie wchodzili tam jednak zbyt często, zaabsorbowani swoją pracą. Ona pracowała dużo, bo trwała praca nad redakcją książki, wydawnictwo wysłało umowę i projekt okładki. Miała więcej czasu, bo wciąż była na zwolnieniu lekarskim. Po tak ciężkiej operacji trzeba przynajmniej pół roku, by odzyskać dawną sprawność. Dzięki temu Inga mogła zrewidować swoje życie i zastanowić się, czy na pewno chce pracować w tej szkole, spotykać codziennie Martę, która już wkrótce urodzi dziecko, i Ludwika, który wprawdzie rozstał się ze swoją kochanką, to jednak na zawsze pozostanie ojcem jej dziecka.

„Jeśli wszystko pójdzie dobrze, odejdę z pracy i będę tylko pisać” - pomyślała w chwili odwagi i od tej chwili ta myśl zaczęła prześladować ją w każdej minucie. Wydawnictwo tak entuzjastycznie zareagowało na jej książkę. Więc może... Będzie chciało wydawać kolejne tytuły?

Przed świętami Bożego Narodzenia przyszedł do niej mail:

„Pani Ingo, chcielibyśmy się z Panią spotkać. Kiedy Pani planuje przyjazd do Polski? Z poważaniem, Ewa Kalinowska”.

Odpisała, że latem. Na przełomie lipca i sierpnia.

„Zatem na ten termin będziemy planować promocję książki i spotkania z czytelnikami”.

„Spotkania z czytelnikami. Jak to pięknie brzmi...” - pomyślała Inga. I wtedy przyszedł jej do głowy kolejny pomysł.

„Napiszę kiedyś powieść o Pustnikach, o Diabelskiej Górze, o nieuchronności miłości, która spychana na bok i tak znajdzie swoje ujście w ludzkich sercach...”.

Zbliżały się święta. Zawsze spędzała je z matką, nawet wtedy, gdy była z Ludwikiem. Odwiedzały się, przyjmując to jak aksjomat, coś niepodważalnego. Włóczyła się po sklepikach w poszukiwaniu prezentu. Książka, perfumy... Może elegancki stroik w okno? Ludzie w miasteczku bardzo lubili przystrajać okna, niemal z każdego wyglądały jakieś ozdoby, zwłaszcza teraz, przed świętami.

Lubiła czar miejskiego rynku. Restauracja w szachulcowej kamienicy, przyozdobiona lampkami i gałązkami świerku, niewielka drogeria z pogodnym mikołajem na wystawie. Traffika, której właściciel postawił przed schodami piękną choinkę w donicy. Tu czasem pracowała jej matka, gdy właściciel szedł na urlop. W powietrzu czuło się nastrój radosnego

oczekiwania i spokoju. Było jej dobrze - w tym mieście i w tym czasie. Rany po Ludwiku powoli zablizniały się, obrastały pajęczyną zapomnienia, choć czasami widywała go gdzieś w oddali i wtedy serce biło szybciej.

Wybierała właśnie spośród złotych kul z gałęzi najpiękniejszą, która ozdobi jej okno w salonie. Delikatna płatanina drzewnych ramion, pomalowana farbą, hipnotyzowała ją. Jakie to proste - zapleść gałęzie na kształt kuli, sprawić, że połączą się w idealny kształt i będą dobrym duchem jakiegoś pokoju, stołu, okna...

- Inga? - usłyszała głos nad sobą.

Zaskoczona podniosła wzrok. Przed nią stał Ludwik, znacznie szczuplejszy, z twarzą dojrzałą, bledszą, bez tej filmowej opalenizny, kontrastującej z jego wyćwiczonym uśmiechem.

- O, cześć! - powiedziała krótko, wracając wzrokiem do swojej kuli.

- Jak miło cię widzieć, ładnie wyglądasz!

Inga wiedziała, że ładnie wygląda. Mimo przebytej choroby, jej twarz nabrała blasku. Była wprawdzie wciąż jeszcze szczupła, trójkątna, niczym twarz Indianki, jednak oczy błyszczały szczęściem spełnionego marzenia.

- Dziękuję.

Nie odwzajemniła komplementu, choć Ludwik wyglądał teraz nieco... mądrzej. Przyznała to przed samą sobą.

- Czy mogę cię zaprosić na kawę? Zgódź się, bardzo proszę.

Inga uporała się ze złymi wspomnieniami na tyle, by przystać na tę propozycję. Jeszcze niedawno być może zagotowałaoby się w niej wszystko na myśl o wspólnej kawie z Ludwikiem. Teraz jednak była w ważnym dla siebie momencie. Wybaczyła mu, zupełnie niespodziewanie, a ostatnie wydarzenia w jej życiu sprawiły, że do wszystkiego nabrała zbawczego dystansu, który usprawiedliwia niektóre zachowania.

- W sumie... Możemy pójść...

I poszli do tej samej kawiarni, do której chodzili dawniej, przed laty, gdy byli jeszcze razem, zakochani w sobie.

Niewielki lokal na piętrze, pełen drewnianych ozdób i przyjaźnie uśmiechniętych ludzi. Wspomnienia powróciły w zapachu tego wnętrza, dawno nieodwiedzanego, między nimi pojawił się nagle nastrój do przemyśleń.

- Ingo, wiele zrozumiałem. Chciałbym, żebyś mi wybaczyła - zaczął nieśmiało, najpierw składając zamówienie.

- Ludwik, ależ ja ci już dawno wybaczyłam! - Roześmiała się lekko, bo tak właśnie było. Już dawno mu wybaczyła, bo był przecież tylko narzędziem w rękach przeznaczenia, by jej życie mogło potoczyć się po tych, nie innych, kamieniach, jak wartki potok. Bo musiało ją to wszystko doprowadzić do miejsca, w którym była teraz...

- Naprawdę mi wybaczyłaś?! - wykrzyknął na głos, zwracając tym samym uwagę siedzącej obok pary.

- No, przecież mówię. Nie chowam już do ciebie urazy.

- Inga, Inga! - rzucił się jej na szyję spontanicznie i lekko, jakby nagrodzony jej słowem.

- Ludwik, przestań! - Roześmiała się, strącając go z siebie, ze zdziwieniem obserwując, że jego zachowanie nie jest dla niej ani przykre, ani miłe. Było... obojętne.

Uspokoił się. Usiadł. I zapytał, co u niej. Zwyczajnie. To nie było w stylu dawnego Ludwika zainteresować się jej życiem zupełnie spontanicznie. Widać, naprawdę się zmienił...

- Słyszałem, że byłaś ciężko chora.

- Tak, rzeczywiście, leżałam w szpitalu w Olsztynie.

- Ludzie w szkole dużo o tobie mówili, oj, głośno było o tym, mówili nawet, że było z tobą kiepsko. To tamta choroba? Znow się odezwała? Miałaś operację, tak?

Był nią szczerze zainteresowany! Ludwik! Do tej pory skupiony na sobie, na swoim własnym życiu, na nakarmieniu swojego brzucha, na opaleniu ciała i wybieleniu zębów specjalną, bardzo drogą pastą.

W kilku słowach opowiedziała mu to, co w ostatnim czasie wydarzyło się w jej życiu. Świadomie pomijając pojawienie się Michała. Michaela...

- Biedna Inga. Tak mi przykro. Tyle wycierpiałaś...

Nie, o taką empatię Inga nie podejrzewała swojego byłego narzeczonego. Patrzyła ze zdziwieniem na niego, zastanawiając się, czy to gra, czy może rzeczywiście Ludwik zmienił się tak bardzo w tak krótkim czasie?

- No, ale powiedz, co u ciebie? zaczęła przez grzeczność, jakby chcąc mu okazać podobne zainteresowanie. Mało ją jednak interesowały dalsze losy człowieka, który ją zdradził, upokorzył, ale dzięki temu otworzył jej serce na nowe życie.

I posypał się groch opowieści. O złej Marcie, która okazała się próżną, leniwą kobietą, której musiał gotować, bo ona większość czasu spędzała na kosmetycznych zabiegach, u fryzjerki i na spotkaniach z przyjaciółkami, wiodąc życie nowoczesnej kobiety. O jej matce, która wciąż wymagała przywożenia, odwożenia i sprawdzała, czy Ludwik zarabia na tyle dużo, by córce i dziecku, skoro już się na nie zdecydowała, zapewnić dobrą przyszłość. O jej

ciąży, która wcale nie była zaplanowana, ale po prostu zawiodły pewne środki, a Inga już chciała odciąć się, czy to te same, których nazwa widniała wtedy na tamtym paragonie Franka? Zamilkła jednak dyplomatycznie, widząc, że Ludwik ma naprawdę jakiś problem. I wreszcie o ciągłej zazdrości o jego wcześniejsze życie z Ingą, że chciał się z nią ożenić, bo widać tylko ją kochał, traktując Martę wyłącznie jako sprawdzian samego siebie...

Inga słuchała, patrzyła w oczy Ludwikowi, które kiedyś tak bardzo kochała, a teraz...
Były takie niekochane...

- Naprawdę uważasz, że nie ułożysz już sobie życia z Martą? - zapytała, chcąc wysondować, czy może ten mężczyzna ma jeszcze jakąś alternatywę.

- Inga, aleja... nie chcę sobie z nią układać życia. Ona nie ma żadnych planów, ambicji. Jej planem jest cyrkonia w paznokciu, długim i sztucznym, ona sama jest równie sztuczna, jak te jej paznokcie.

Inga zamyśliła się. Tak, Marta zawsze miała piękne, wypielęgnowane paznokcie. Zatem... były sztuczne?

- Ludwik, nie mogę ci pomóc.

- Ależ możesz! - wykrzyknął z mocą.

- Tak? A w jaki sposób?

- Inga, przecież mi wybaczyłaś. Ja będę jej płacić na dziecko, pomogę w jego utrzymaniu, ale... Nie chcę być z nią, tylko ty jesteś moją miłością, zawsze nią byłaś, zbłądziłem jak wędrowiec we mgle, ale teraz chcę być dla ciebie dobry, zrozumiałem...

Inga spojrzała na niego zdziwiona. Rozejrzała się po kawiarni. Siedzieli w tym samym miejscu, co przed laty. Kiedyś Ludwik powiedział jej, tutaj właśnie, że chce z nią być. Był taki piękny, wysportowany, zadbany, a wtedy jej to imponowało, kusiło. Miała ochotę stanąć i zawołać: „To mój mężczyzna! Wybrał właśnie mnie!”.

A teraz siedział przed nią ze smutkiem w oczach, w lekko pogniecionej koszuli, bo pewnie musiał ją wyprasować sam, bez niczyjej pomocy. Paznokcie nie lśniły od codziennego polerowania, a lekki zarost przykrył jego twarz jakby pyłem zmęczenia. Inga uświadomiła sobie, że wreszcie wygląda jak prawdziwy mężczyzna, ze swoimi ułomnościami, bo każdy je przecież ma, a nie wymuskany na chwilę model z telewizyjnej reklamy, papierowa postać wycięta z modnego szablonu. Kiedyś imponował jej swoim wyglądem, a dziś... Na tamtego Ludwika nie zwróciłaby nawet uwagi.

- Inga, słyszysz mnie? - zapytał, przerywając jej zamyślenie.

- Tak, słyszę.

- Inga, będę dla ciebie dobry, obiecuję. Gdyby nie moja głupota, dziś byłabyś już moją żoną.

Inga spojrzała na niego zdziwiona. Przypomniał jej o czymś. Tak, data ślubu. Minęła niedawno. Byłaby jego żoną. Bardzo tego kiedyś chciała, tak bardzo!

- Ja mam dla ciebie nawet tamten pierścionek. Oddałaś mi go. Pamiętasz? Był w moich rzeczach. Wciąż go noszę przy sobie, myśląc, że może kiedyś ci go oddam.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej małe pudełko. Inga spojrzała na symbol ich miłości. Leżał przed nią na drewnianym blacie stolika. Wyglądali, jakby on się jej oświadczał, a ona zastanawiała się, czy przyjąć te oświadczenia.

Michał jest tak daleko, a on - blisko. Michał mieszka w innym kraju, ma swoje życie, a w sercu nosi bliznę po żonie. Tej blizny obawiała się najbardziej - że będzie ją wciąż, nawet nieświadomie, porównywał do Isabelle. A przecież... Jest jeszcze wspomnienie zmarłej córeczki, Dominique. A ona nigdy nie da mu dziecka, bo już nie chce, w jej wieku, wchodzić w nową rolę, zwłaszcza teraz, gdy otwierają się przed nią nowe możliwości, marzenia zaokrąglają... Ludwik sprawiał wrażenie skopanego psa, siedział tak tu przed nią i prosił o litość.

I wtedy podjęła decyzję...

Michał oddawał właśnie w ręce klienta swój projekt, wykonany pierwszy raz od śmierci Isabelle. Był to niewielki dom dla dwojga ludzi, z kominkiem pośrodku, surowy, na bazie prostokąta. Takie proste domy widział na Mazurach, zwane były przez mieszkańców „kochówkami”, od nazwiska Ericha Kocha, który przed wojną zarządzał prowincją wschodniopruską. To za jego czasów pojawiła się tendencja do budowania małych, jednorodzinnych domków, prostych, niskich, z niewielkimi oknami. Takie domki, przeznaczone dla uboższych warstw społeczeństwa, do dziś stoją w miasteczkach i na wsiach, a jeśli ich właściciele dbają o nie, są piękną pamiątką po minionym czasie. Ich urok zainspirował Michała i kiedy inwestor przywiózł na budowę swojego kolegę, zastanawiającego się głośno nad pomysłem wybudowania domu w małej wsi bretońskiej, Michał podszedł do niego i zaproponował, że zaprojektuje mu ten dom.

Robotnicy i inwestor spojrzeli na niego ze zdziwieniem, bo żaden z nich nie wierzył, że ten silny, choć niezbyt okazały mężczyzna, na co dzień wymagający kierownik budowy, potrafi projektować. Uwierzył mu tylko tamten mężczyzna, który, jak się potem okazało, pochodził z mazurskiej rodziny z Giżycka, a teraz mieszkał pod Białymstokiem i miał na imię Theo. Do Bretanii przyciągnęła go jego miłość do kultury Celtów, miał swój jacht i wakacje spędzał właśnie tutaj, z ukochaną Luizą u boku. To dla niej właśnie chciał zbudować ten dom.

Michał, gdy tylko porozmawiał z Theo, od razu poczuł, że ma pomysł na dom dla tych dwojga. Tak bardzo chciał go zrealizować! Wiedział, że tym projektem zamknie najtrudniejszy czas w swoim życiu. Obecność Ingi w jego myślach, mimo dzielących go od niej kilometrów, dodawała mu skrzydeł, jej wiara w marzenia - ośmielała, a obraz zmarłej Izabelle oddalał się bezpiecznie z dnia na dzień, jakby naturalną koleją rzeczy. Od pewnego czasu czuł przyływ sił twórczych, z każdym dniem wyciągając ręce po nowe wyzwania. Sięgnął nawet po pędzel i rozstawił sztalugi. Pod płótnem krył się pierwszy od lat obraz - portret Ingi, malowany ze zrobionych podczas urlopu zdjęć.

Theo zgodził się na wykonanie projektu, zaproponował sumę. Nie była wysoka, ale Michałowi nie chodziło przecież o pieniądze. Zgodził się więc bez wahania, ustalając dogodny termin na oddanie projektu. Inwestor, któremu budował dom, spojrział na niego z podziwem:

- Nie wiedziałem, że potrafisz projektować?

- Nie mówiłem o tym przecież. Skąd więc mogłeś wiedzieć? - zapytał Michał z uśmiechem.

Wieczorem jego wyobraźnia pobiegła ku spadzistym dachom z czerwonej dachówki, rozrzuconym pośród pagórków, solidnym domom z drewna lub cegieł, obrośniętym krzakami bzu, drewnianym płotom i kwiecistym przedogródkiem. Zobaczył, jak wiele łączy urodę tych miejsc z domami w Bretanii, podobnie przycupniętymi na ziemi, otoczonymi hortensjami. Poczuł, że prosty, zwykły dom, najlepszy na miłość i szczęście, jest po prostu wartością uniwersalną, bez względu na kraj, czas i pieniądze...

Inga podniosła się z krzesła, patrząc w oczy Ludwikowi. Miał w nich łzy. Widać było, że jest poraniony, że zrozumiał i tym razem niczego nie gra.

- Inga, co będzie z nami? - zapytał cicho, jak śmiertelnie chory, proszący o wybaczenie.

- Ludwik...

- Tak, Ingo, moja kochana, moja najwspanialsza.

Cisza. Myśli toczyły jakąś walkę, jakby chciały pytać, co dalej robić, którądy powinny pobiec myśl i słowo, i które z nich zwycięży?

- Nie ma już nas...

Słowa zabrzmiały głucho, bezlitośnie. Widziała, że uderzyła go nimi jak kamieniem.

- Neeee... - jęknął.

- Nie ma już nas - powtórzyła z pewnością, którą miała przecież od samego początku, od chwili, gdy otworzyła swoje serce na to wszystko, co zdarzyło się potem, po jej chorobie,

po tym uwielbieniu dla brzoźowego liścia na parapecie szpitalnego okna, tej milczącej przesyłki, zesłanej jej wszechświat. Ten brzoźowy liść, niczym list, będzie dla niej zawsze symbolem wejścia w nowe życie.

- Ale przecież mi wybaczyłaś?

- Tak, ale moje wybaczenie nie jest potwierdzeniem tego, że jesteś w moim sercu. -

Uśmiechnęła się wyrozumiale, jak matka karcąca swoje dziecko za drobną psotę.

- To co z nami będzie? - zapytał jeszcze.

- Nic, Ludwiku. Po prostu. Ty masz swoje życie, ja swoje. I to jest piękne. Że wciąż mamy prawo wyboru.

- On? To on jest teraz z tobą? Tamten mężczyzna, który był wtedy u ciebie?

Inga nic nie odpowiedziała. Nie było powodu, dla którego miałaby tłumaczyć się, dlaczego podjęła taką decyzję i kim jest dla niej Michał. Sama chyba nie wiedziała do końca, kim jest i czym było ich spotkanie. Powiedziała tylko:

- Ludwik, teraz jestem szczęśliwa. Naprawdę. Zostaw mnie. Nasze drogi rozeszły się na zawsze.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc. Podeszedł do baru, by zapłacić za dwie kawy.

Inga wyszła z kawiarni, nie czekając na niego. Wróciła do pustego mieszkania. Zawiesiła złotą kulę z gałązek pod sufitem. Zrobiło się jaśniej, świątecznie. Odetchnęła z ulgą. Zamknęła właśnie kolejny rozdział w swoim życiu, który ciążył jej wyjątkowo, niczym wielki polny kamień.

^Pielgrzym, co zgubił busolę, nie znajdzie drogi do domu

Czerwiec przywitał upałami. Gorąco było w całej Europie, miało się wrażenie, że wielka plama słońca zawisała nad kontynentem i zasnęła leniwie, odurzona własnym ciepłem. Inga znów śledziła prognozę pogody. Jeszcze tylko dwa tygodnie do przyjazdu Michała. Jeszcze tylko tydzień.

Spotykali się czasem na Skype'ie, Inga specjalnie dla tych spotkań zamontowała internetową kamerkę, by patrzeć w oczy mężczyzny, o którym wciąż nie wiedziała, czy jest jej fascynacją, czy miłością. Wspomnienie spędzonych chwil ucichło w niej, rozstanie znieczuliło ją na wiele miesięcy, a praca nad redakcją powieści pochłonęła bez reszty. Bardzo denerwowała się spotkaniami z czytelnikami, zaplanowanymi przez wydawnictwo: w warszawskim Empiku, potem w dzielnicy o pięknej nazwie Anin, którą wymawiało się miękko, jak polskie imię „Ania”, w czytelni pod Warszawą i wreszcie - na jej życzenie - na Mazurach, w bibliotekach w Mrągowie, Mikołajkach, Giżycku, Reszlu i Rynie. W miastach,

które znała mniej lub bardziej, a do których gdzieś w duszy tęskniła. Zapowiadał się pracowity urlop, a w jej zawodowym, szkolnym życiu - po prostu wakacje...

Rosemarie nie zdecydowała się na wspólną z Ingą i Michałem podróż na Mazury. Miała bowiem przeczucie, że będzie TAM jakby na doczepkę. Chciała, by pojechali tylko we dwoje, bo to spotkanie mogło być szansą dla nich... Dlaczego mieliby się czuć skrępowani?... A do tego jeszcze te spotkania z czytelnikami, promocja książki. Nie mieliby dla niej czasu, a poza tym w jej życiu też zaszły nieplanowane zmiany...

Poprosiła bowiem Ingę, by podczas pobytu na Mazurach przekazała Neumannowi jakiś upominek jako podziękowanie za ich wspólną wyprawę na Diabelską Górę. Inga zgodziła się, więc Rosemarie wyruszyła poszukiwanie godnego prezentu. Poszła do ulubionego antykwariatu i znalazła w nim dwujęzyczną książkę o Prusach Wschodnich, która ukazała się wiele lat temu. Żółty, gruby tom, pełen zdjęć i opisów, wydawał się interesujący. Kupiła go od razu.

Gdy wychodziła, zagadnął ją pewien starszy pan. Nie znała go nawet z widzenia, choć Griinberg to małe miasteczko. Ale widać wystarczająco duże, by się zgubić w tłumie.

- Też mam tę książkę - powiedział.

- Tak? - zapytała grzecznie, udając niedowierzanie.

- Pochodzę stamtąd...

Owo „stamtąd” zabrzmiało jak tajemnica, zakodowana tylko dla tych, których życie zaczęło się kiedyś na Mazurach. Jakby to był język zamknięty dla innych, zrozumiały przez obrazy i znaczenia, związany z nimi od zarania ich dziejów.

Czy można zatem dziwić się, że Rosemarie poszła z tym człowiekiem do restauracji na obiad? Ludzie „stamtąd” powinni się przecież spotykać!

Jeszcze dwa dni. Inga odliczała czas, a Michał milczał, co ją trochę niepokoiło. Jednak nierzadko tak bywa, że milczenie, które niepokoi kobiety, jest dla mężczyzny czymś wytłumaczalnym. Czasem bowiem mężczyźni zachowują się jak koty. Przyjmują do wiadomości nasze oczekiwanie, jednak odezwą się wówczas, gdy będzie na to odpowiedni ich zdaniem moment, a nie wtedy, kiedy chcą tego ich kobiety.

Tę prawdę wyłożyła zaniepokojonej milczeniem Michała Indze matka, tym razem w kwiecistej sukience, lecz Inga prawie jej nie słuchała, bo wciąż zastanawiała się, skąd u matki nagle taka kwiecistość! Dotychczas wyglądała jak typowa starsza pani. Wprawdzie nieco bardziej elegancko i wyrafinowanie, pozwalała sobie bowiem na coś w rodzaju fantazji w postaci apaszki, broszki lub oryginalnej bransolety, ale zawsze otulały ją bezpieczne kolory ziemi, jakby chciała za ich odcieniem schronić się.

A teraz te kwiaty...

Zapytana, czy coś się stało, odpowiedziała zdawkowo: „Nic, a niby co miało się stać?” i odwróciła się, bo czajnik się wyłączył i trzeba było rozlać wrzątek do zasypanych kawą filiżanek. Kawa nie smakowała tak dobrze, jak zawsze.

- Chyba za mało nasypałaś tej kawy... - powiedziała Inga, sięgając po cukier.

- Możliwe, taka jestem ostatnio roztargniona.

Sama się prosiła, żeby zadać jej to pytanie:

- Mamo, więc jednak... Coś się stało? Coś, o czym nie wiem?

Rosemarie spojrzała tajemniczo, a w jej oczach pojawił się uśmiech.

- No dobrze, powiem ci.

- Zatem?

- Zatem, Ingo, chcę ci powiedzieć, że nigdy na nic nie jest za późno, że dopóki żyjemy, wszystko może się zdarzyć.

- To akurat wiem.

- No i właśnie coś mi się w życiu ostatnio wydarzyło. Poznałam pewnego miłego pana.

Inga spojrzała na matkę z niedowierzaniem.

- Mamo... Naprawdę?

Rosemarie machnęła dłonią.

- Ale nie myśl, że to coś poważnego. Po prostu byłam z nim na obiedzie, to wszystko.

No, i raz na kolacji...

- Mamo!

- No, co? Nie mów tak. Uważasz, że jestem za stara, że to nie wypada czy co?

- Mamo! Ależ nie! Wiesz, jak się cieszę?! Musisz mi o wszystkim opowiedzieć!

- Naprawdę się cieszysz? Uważasz, że to nie jest po prostu głupie?

- No, proszę cię... Mamo! Opowiadaj!

- No to... Ma na imię Erich.

- Zupełnie jak twój ojciec.

- No właśnie. I pochodzi z Prus Wschodnich. Jego ojciec nazywał się Udo Samulski i mieszkał pod Biskupcem!

- Niesamowita historia! A gdzie go poznałaś?

- Wyobraź sobie, że Erich mieszka od pięciu lat w Grtinbergu, a poznaliśmy się w antykwariacie.

- Nieee - jęknęła Inga, śmiejąc się do łez. Już dawno zaczęła wierzyć w nieprzypadkowość spotkań, a kolejne wydarzenia tylko ją w tym utwierdzały.

Kwiat Diabelskiej óry-Mamo, ja ostatnio... Ja już nie mam siły do mojego życia, wiesz? Pisze takie scenariusze, że zaskakuje mnie na każdym kroku. Niczemu się już nie dziwię.

Nagle zmieniała temat.

- A pamiętasz moje spotkanie z Ludwikiem, jeszcze przed świętami? Kto by pomyślał, że się tak zmieni, a tymczasem...

- Nie kontaktował się z tobą od tamtego czasu?

- Wysłał mi dwa maile. W jednym życzył spokojnych świąt, w drugim - szczęścia w nowym roku. To wszystko.

- I nie wiesz, co u niego?

- Skąd mam wiedzieć? Do końca roku szkolnego byłam na zwolnieniu.

- A ona? Czy urodziła już?

- Oj, na pewno! Ale nic mnie to nie obchodzi.

- Wtedy, z twoim ojcem, byłam w podobnej sytuacji.

- Nie, mamo, byłaś w innej. Miałaś urodzić mnie. A ja... Nie będę miała dzieci...

- Nigdy nie mów nigdy.

- Ale ja nie chcę ich mieć! Jak sobie to wyobrażasz? Dziecko teraz, kiedy moje życie wchodzi na inne tory?

Rosemarie przesunęła rękę bliżej, do Ingi. Dotknęła jej małego palca i lekko go zginając, powiedziała z czułością:

- Czy wiesz, że jestem z ciebie dumna?

Inga wiedziała. Choroba i przeżyte wydarzenia bardzo ją zmieniły. Nauczyła się doceniać rolę Rosemarie w swoim życiu, tej cichej i mądrej matki, może nieco sentymentalnej, ale tak bardzo jej bliskiej.

Kiedy Inga wieczorem wróciła do domu, w skrzynce na listy znalazła dużą szarą kopertę. Początkowo zdziwiła ją, ale kiedy zobaczyła polską pieczętkę na znaczku, wiedziała już. Tym razem pierwszy telefon wykonała do matki:

- Mamo, mam ją! Jest ze mną...

- Kto taki?

- Moja pierwsza książka. Wydawnictwo mi przysłało. Trzymam ją w ręku i puchnę z dumy!

Inga nigdy wcześniej się tak nie czuła. To wrażenie przyćmiło najważniejsze w życiu przeżycia: pierwszą nagrodę za wyniki w nauce, pierwszy bal na zakończenie szkoły,

pierwszą noc, spędzoną z mężczyzną i pierwsze w życiu oświadczyły. Wszystko, co pierwsze, stało się jakby drugie, ustępując pierwszeństwa temu przeżyciu. Obecności pierwszej książki w jej zachłannych rękach...

Inga trwała już w radosnym oczekiwaniu na Michała. Wjechał do miasta, zadzwonił, podekscytowany spotkaniem. Tak dawno się nie widzieli! Miesiące rozstania sprawiły, że tęsknota przestała mocno boleć. W sumie nie składali sobie przecież żadnych deklaracji o wierności i byciu razem.

Najgorsze były pierwsze tygodnie, kiedy Inga musiała znosić samotność, do której nie była przyzwyczajona, a to szczególnie napięcie po poznaniu kogoś nowego wciąż jej towarzyszyło, w myślach i snach. Później jednak, gdy ruszyły prace nad jej książką, poczuła się jak prawdziwa autorka. Te nowe doświadczenia sprawiły, że poświęciła się bez reszty temu zajęciu. Dopiero niedawno dotarło do niej, że Michał lada chwila znów pojawi się w jej życiu, że jest już całkiem blisko i wkrótce stanie się częścią codzienności. Jakie miejsce w niej zajmie? Czy będzie... jej chłopakiem? Jak dziwnie to brzmi, biorąc pod uwagę, że Michał jest dojrzałym mężczyzną... Narzeczonym? Stanowczo za wcześnie. Do tego trzeba deklaracji, pewności. Kochankiem? Przecież będzie mieszkał u niej, a więc jego pobyt na pewno nie będzie platoniczny. Może tam, w dalekiej Francji, miał przez ten czas jakieś kobiety, nie ślubowali sobie przecież wierności. Inga rozumiała to, bo życie czasem jest zadziwiająco proste i nie warto go niepotrzebnie komplikować. Ona miała swoją pracę i spełniające się marzenia, i to było dla niej najważniejsze. Zastanawianie się nad wiernością kogoś, kto nie osiadł w jej życiu na dobre, było bezsensowne.

Jej pierwsza książka... Wdychała jej zapach, rozkładała strony i patrzyła na pięknie wykonane ilustracje. Inga Sobottka. Jej nazwisko na okładce. Na odwrocie zdjęcie i krótka notka biograficzna. Wodziła palcem po grzbiecie, jakby chciała przygotować go do postawienia na półce, by od tej pory, w reprezentacyjnym trwaniu, pokazywał wszystkim ciekawskim: tu jestem. To ja. Pierwsza książka Ingi. Kiedy obok niej stanie druga - o małej wsi na Mazurach?

Kupiła czerwone róże. Chciała nimi powitać Michała. Kolorowy akcent we wnętrzu. Odbijały się ostrymi plamami od zieloności ścian i brązu dębowych mebli. Nadawały mu uroczystego tonu, przyciągały wzrok. Na stoliku obok położyła książkę. Michał na pewno ją zauważy.

Nie myliła się, bo od razu zwrócił uwagę na jej książkę. Wziął ją ze stolika i patrzył długo, przeglądając, oceniając. Po chwili podszedł do Ingi i przytulił ją, dumny, że swoją pracą dokonała czegoś ważnego. Pocałował ją nieśmiało, bo minione miesiące oddaliły ich nieco od

siebie i pozbawiły śmiałości dotyku i słów. Ludzie, którzy rozstali się na dłużej, czasem muszą od nowa przejść drogę do siebie. Stawiają drobne kroki, zastanawiając się, czy kolejny nie będzie przekroczeniem jakiejś granicy. A co, jeśli już nie jestem jej bliski? A jeśli on spotkał inną kobietę? Te wątpliwości rozwiewa dopiero cicha odpowiedź na jakiś śmiały gest, przyzwolenie, które jest jakby zaproszeniem do bycia razem.

Michał nie był mężczyzną nazbyt śmiałym. Zdawał sobie sprawę z zainteresowania, jakie wzbudzał u kobiet, epatowanych przez media i rzeczywistość wygłaskanymi modelami mężczyzn. Był ich przeciwieństwem. Nie depilował włosów na klatce piersiowej, nie opalał się w solarium, nie nękał swojego ciała mękami siłowni. Chodził wyprostowany, lekkim krokiem, jak sportowiec, i lekko kołysząc się na boki, jak żeglarz, który zszedł na ląd po długiej podróży. Tak właśnie widziała go Inga.

- Jesteś żeglarzem swojego życia - powiedziała mu nawet, bo to skojarzenie przyszło do niej zupełnie mimowolnie.

- Wszyscy jesteśmy żeglarzami życia. Kołyszymy się na jego falach, zdani na księżyc, na przyływy i odpływy. Czasem na kamiennej plaży naszych trosk ktoś płacze, a ktoś inny ociera mu łzy - zaśmiał się, przytulając Inge śmiało, głęboko, jak w kole ratunkowym zamykając w swoich ramionach.

Wspólna noc, jaka połączyła ich przed wyjazdem do Polski, była kolejnym etapem pokonywania własnej nieśmiałości. Michał odkrywał Inge na nowo, przejmował ją całą dla siebie, a potem patrzył na jej ciało i na blednącą bliznę pod prawą piersią, której zarys wyraźnie łagodził upływający czas. Dotykał jej palcem, delikatnie, jakby mówił, że jest z nią i że wszystko minie, zblizni się...

Ta jaśniejąca blizna, oglądana często przed lustrem, była dla Ingi pamiątką tej dziwnej przemiany, jaka zaszła w niej wtedy, w szpitalu. Ona sama nie rozumiała jej do końca, wiedziała tylko, że na pewno dokonała się w niej - być może wtedy, gdy znalazła liść brzozy na tamtym parapecie. Nie umiała o tym mówić, obawiając się, że ani Michał, ani Rosemarie nie zrozumieją, że można zmienić się na widok liścia. A jednak Inga tej przemiany dopatrywała się właśnie w tamtym momencie.

Dziwiła ją czułość, z jaką Michał ją dotykał. Początkowo wstydziła się tego, ale zażyłość ich nocy sprawiła, że Inga czuła się coraz bezpieczniej w tej nowej dla siebie roli. Gdy wsiadała z Michałem do samochodu, wiedziała, że jest między nimi coraz silniejsza więź. Matka żegnała ich na chodniku, patrząc za nimi jeszcze długo; Inga widziała w lusterku. Machała ręką, malała i kurczyła się, aż wreszcie stała się niewielkim punkcikiem na

kolorowym tle ulicy. Skrzyżowanie i zakręt pozbawiły Inge dalszej możliwości obserwacji. Matka więc nigdy nie znikła całkiem.

1 Nie żałuj róży, co więdnie w jesieni, żałuj liścia, gdy wiatr nim pomiata, Na wiosnę świeża róża się rumieni, Zielony listek w okna twe kołata

Podróż na Mazury. Wyjechali we dwoje, zostawiając dom pod opieką Rosemarie. Obiecała, że przypilnuje, by kwiaty były podlane, by powitalne czerwone róże we flakonie miały świeżą wodę. Żegnała tamtych dwoje z czułością, na jaką stać tylko matkę.

- Michał, dbaj o Inge! - zawołała, machając do nich.

- Mamo, jestem dorosła i całkiem zdrowa, czuję się świetnie, nie przesadzaj! - odkrzyknęła Inga wesoło.

- I pozdrów ode mnie Diabelską Górę!

Stała na chodniku, zanim zniknęli za skrzyżowaniem. Jej córka i potomek rodu Heimannów pojechali na spotkanie dawnej ojczyzny. Dla Ingi było to również spotkanie z innym życiem, z czytelnikami. Jak wypadnie w nowej roli? Czy spodoba się jej to dziwne napięcie, gdy trzeba mówić o sobie i swojej książce? Czy będzie miała w głowie dość słów na te spotkania?

Rosemarie poprosiła, by przekazali jakieś drobne upominki dla Neumannów, Faberów i Baclawskiego. I jeszcze... by zrobili zdjęcie domu, w którym kiedyś mieszkał Gustaw. Ona sama nie była wtedy gotowa na podróż do Zyndak. Dziś już by pewnie pojechała. Dzwonne emocje, jakie towarzyszyły coraz częstszym spotkaniom z Erichem, ośmielały ją i sprawiały, że oswajała swoją przeszłość. Pojechałaby tam, ale pod warunkiem, że on pojechałby z nią. To kolejny plan, który na razie trzeba było odłożyć na później. Przyjdzie jeszcze czas na tę podróż, wierzyła w to gorąco. Nigdy na nic nie jest za późno. Póki żyjemy.

Inga siedziała z zamkniętymi oczami, na jej twarzy widać było dziwne szczęście. Czuli się dobrze z samą sobą, w swoich myślach, w tym momencie życia, w którym jest. Spełniające się marzenia wprowadziły ją w dziwną błogość i wdzięczność dla losu, rozumiała już wszystko, i złe, i dobre chwile, analizowała je. Była w decydującym momencie swojego życia, ważniejszym może niż rodzące się powoli uczucie. Nie chciała się na razie w to uczucie zaangażować cała, prawdziwą przyjemność odkrywając dopiero w poznawaniu swojej nowo rozpoczętej drogi. Była jakby rozdwojona - obecność Michała dawała poczucie bezpieczeństwa, ale wiedziała, jak ważne jest to, co zawdzięcza samej sobie i co może być nowym sposobem na życie.

Dziwiła ją jej własna odwaga, że w wieku, kiedy ludzie zbierają już plony swoich zachowań, zajęć i ciężkiej pracy, ona była w stanie zrezygnować z dotychczasowej pracy i

zając się zupełnie czym innym. Tkwiła w niej dziwna pewność, że to jest właśnie to, na co czekała całe życie. Czy można jednak ufać bezgranicznie intuicji? A rozum? Podpowiada zupełnie co innego. Ale czy zawsze wszystko da się wytłumaczyć rozumem?

Podróż upływała im szybko, bo pochłonięci byli sobą, opowieściami tym, co wydarzyło się podczas tych miesięcy, które ich rozdzieliły. Jechali na zmianę; Inga mogła już prowadzić, choć pierwsze miesiące wykluczyły tę możliwość. Ból, pojawiający się przy nagłym poruszeniu, wymagającym użycia najmniejszej choćby siły, był początkowo ostry przypominał o przebytej operacji. Inga nie mogła wtedy nawet pokroić chleba. Ten trudny czas względnego powrotu do zdrowia przeszła sama. Prosiła czasem matkę o pomoc, ale przecież nie chciała tego robić zbyt często.

Teraz, w tej podróży, chciała opowiedzieć Michałowi jak najwięcej i wysłuchać tego, co miał jej do powiedzenia. To była podróż opowieści, które jechały wraz z nimi, ukryte pod dachem czarnej terenówki, najpierw na niemieckiej autostradzie, potem już w Polsce, na mazurskich drogach podskakiwały wraz z nimi na zakrętach i wybojach.

- No, dróg to ten kraj nie ma dobrych! - zaśmiał się Michał, a Inga pomyślała, że w tej niedoskonałości jest też jakiś urok. Wysadzone drzewami wąskie aleje podobały się jej coraz bardziej. Ich widok zapadł w serce. Czarodziejka jezior płątała swoje nitki.

Noclegi mieli zarezerwowane w Pustnikach. W Internecie odkryli pokoje gościnne w domu z czerwoną dachówką. Indziej spodobało się to miejsce, bo było całkiem zwyczajne. Bez nadmiaru wygód, klimatyzacji i tych innych nowoczesnych udogodnień, które nijak nie pasowały do agroturystyki. Zaplanowali, że zostaną tam zaledwie kilka dni był początek lipca, a więc dobry czas na leniwy odpoczynek w słońcu. Inga miała potem spotkania z czytelnikami, zaplanowane dzień po dniu, najpierw na Mazurach, potem w Warszawie i okolicach, a podczas jednego z nich miała nareszcie poznać szefową wydawnictwa, panią Ewę.

Do wsi przyjechali prawie nocą. Mieli wprawdzie plan, by dotrzeć tam wieczorem, jednak krętość dróg i liczne korki na remontowanych drogach zwolniły nieco ich prędkość. Mimo późnej pory, ruch na drogach był wciąż duży, bo kumulowały go liczne sygnalizatory. Dopiero gdy zjechali z krajowej szesnastki na drogę do Pustników, wszystko zmieniło się jak za dotknięciem tajemniczej różdżki. Drogę spowiła gęstniejąca ciemność, która z niebieskiej stawała się czarna, coraz czarniejsza, a towarzyszące jej drzewa wyglądały jak powyginane postacie czarnoksiężników z bajek dla dzieci. Nie bez trudu znaleźli niewielki domek, który niczym szczególnym się nie wyróżniał, przynajmniej o tej porze dnia.

Gospodyni była podobna do jakiejś aktorki. Inga nie знаła jej nazwiska, ale od razu skojarzyła sobie te ciemne, krótko ostrzyżone włosy i charakterystyczne zmarszczki wokół oczu. Gospodarz - niski i krępy, łysiejący, z rozbawionymi oczami. Miał grube duże dłonie, poznaczone wieloma odciskami, co Inga poczuła, gdy witała się z nim. Miała wrażenie, że tamten wylał na swoje dłonie jakąś zastygającą maź i teraz nosi ją, żeby przykryć delikatność swojej skóry.

Gospodyni zaproponowała kolację, ale ani Michał, ani Inga nie mieli ochoty na jedzenie. Jedli wcześniej w jakiejś małej knajpce przed Olsztynem. Gospodyni zaprowadziła więc gości na górę. Kąpiel pod prysznicem zmyła z nich zmęczenie, a cisza, przerywana rechotaniem żab, kołysała do snu.

- Chyba gdzieś tu jest jakiś staw - wymruczała Inga przez sen.

Staw rzeczywiście był, zaraz za domem. Jezioro też, wystarczyło kawałek dalej przejść łąką. W powietrzu czuło się wilgoć i dziwną ciszę poranka. Inga obudziła się wcześniej, Michał wciąż jeszcze spał. Zaprażyła wyjść, zobaczyć, jak wygląda to miejsce, w którym byli, oświetlone jasnym słońcem. Gospodarze krzątali się na dole w kuchni, wymknęła się więc przez sień niezauważona i poszła w te łąki, ciekawa, jak wygląda ten świat. Podmokła ziemia ugięła się jak gąbka, musiało niedawno padać, bo wszędzie były niewielkie kałuże.

Jezioro połyskliwie przyjmowało odbicie słońca. Po lewej stronie Inga w oddali zauważyła pomosty i pojedynczych ludzi. Jakiś namiot. Tam musiała być plaża. Zaprażyła przejść brzegiem do tamtego miejsca. Matka opowiadała, że na plaży stała wysoka trampolina. Trampoliny już nie ma, ale ludzie wciąż korzystają z tej łagodności brzegu, by w bliskości wody odnaleźć chłód i przyjemną wilgoć.

Brzeg jeziora był zarośnięty i tylko gdzieś tam można było przejść bez podnoszenia wysoko nóg i potykania się o kamienie i gałęzie. W powietrzu czuło się lekką stęchliznę, typową dla jezior. Nie był to jednak zapach nieprzyjemny. Mieszał się z zapachem mięty, która drobnymi krzaczkami z roku na rok coraz bardziej anektowała to miejsce. Puszki po kukurydzy, niedopałki, resztki jedzenia i worki foliowe zdradzały niedawną obecność wędkarzy. Pozatykane przez nich patyczki w kształcie litery Y, te specjalne podpórki dla leniwych, którzy wolą w rękę trzymać papierosa lub piwo, pstrzyły całe nadbrzeże. Inga mijiała stare kładki, niczym kliny powbijane w jezioro. Oślizłe wieczną wilgocią, zarośnięte zielonymi glonami od strony słońca, sprawiały wrażenie przyrośniętych do jeziora, połączonych z nim od wieków, wytworzonych przez naturę. I tylko wszechobecne żyłki,

haczyki, połamane splawiki i śmieci udowadniały, że kładki są jednak wytworami rąk ludzkich, odwiedzanymi zresztą dość często i niedbale.

Indze udało się dojść do miejsca, które widziała z daleka. Niebieski namiot nie był już tylko kolorowym punkcikiem; krył pod swoim dachem jakąś zakochaną parę dwudziestolatków. Nie chciała im przeszkadzać, ale oni nie krępowali się jej obecnością, wychodząc z niebieskiego wnętrza. Pobiegli w kierunku jeziora, pływali, obudzeni widać porannym słońcem, wołali coś do siebie, a woda niosła ich głosy i odbijała dźwięcznym echem. Pomachała im ręką. Odmachnęli. Dziewczyna wynurzyła się z wody, zaciekawiona obecnością Ingi, która krzyknęło lekko:

- Dzień dobry!

Inga uświadomiła sobie, że nigdy nie spała w namiocie, nie paliła ogniska na brzegu jeziora, nie wdychała tej silnej woni żaru zmieszanej z zapachem pieczonych na patyku ryb. Zawsze przerażała ją ta nadmierna, jej zdaniem, bliskość natury; zresztą, w Niemczech wiodła życie wygodne i bezpieczne. Pomyślała, że może właśnie teraz, gdy jej życie weszło na inne tory, potrafiłaby cieszyć się z tej bliskości przyrody i prostych rzeczy.

- Dzień dobry! - odpowiedzieli tamci i popłynęli dalej, w jezioro spokojne, zamykające ich falami niczym w szklanym świecie.

Tuż przy niewielkiej plaży była droga do pałacu Heimannów. To stąd pochodzili przodkowie Michała. On, wychowany w dalekiej Francji, nie zaznał codzienności tego miejsca, ale jego ojciec i dziadek - tak.

Przeszła niewielką groblą, wysadzaną wysokimi jarzębinami. Czy były tu również wtedy? Czy zazdrośnie strzegły dworu, zerkwały na niego czerwonymi oczami?

Nie ustrzegły. Powiał wiatr historii, pojawili się żołnierze - wybawiciele. Byli przecież tacy, którzy tak o nich mówili. Dla Heimannów był to koniec szczęśliwego życia. A symbolem pożegnania stał się popiół ze spalonych mebli, pamiątek i ubrań. Te, które po latach mieszkańcy wykopali z drewnianej skrzyni, trafiły do nowych domów. Niektóre z rzeczy pewnie nie nadawały się już do użytku, przegniłe lepką warstwą pleśni. Ubrania rozchodziły się w palcach niczym cienka bibuła. Roztkwały się brakiem powietrza i słońca. Materiał, jak widać, również potrzebuje ich do swojego życia. Michał i Rosemarie czasem o tym mówili, ona pamiętała ich słowa, jednak dopiero konfrontacja z rzeczywistością była prawdziwym spotkaniem z pamięcią tego miejsca.

Brukowana droga prowadziła prosto do dworu. Tabliczka „Teren prywatny, wstęp wzbroniony”. Czyje zatem jest teraz to miejsce? Kto przejął je wtedy, gdy Heimannowie wyjechali? Kto znalazł potem tu swój nowy dom i schronienie dla myśli? Czy gwar i rejwach

w powojennym pegeerze nie naruszył przeznaczenia tego miejsca? Przez chwilę, na przekór rzeczywistości, Inga pomyślała, że tylko Michał Heimann miał prawo być autorem tej tabliczki.

Przekroczyła bez wahania niewidzialną granicę posiadłości. Z wyprostowaną głową, pewna siebie, czując się niczym gość, dotarła do odrapanego, zniszczonego budynku, z dziurami okien. Spojrzała do góry. Sztukateria. To jadalnia Heimannów. Było tak, jak jej opowiadali. Zabite przekątną deską dwuskrzydłowe drzwi, pozbawione schodów, po których wchodziło się do środka. Czy ktoś potrzebował materiału budowlanego do swojego domu? Czy może rozpadły się po prostu, zwietrzzone czasem? Na ścianie widać było dziury w tynku, w kształcie niewielkiego ganku. Może był tu zatem jakiś ganek, a może portyk z kolumnami?

Z parteru spoglądały wysokie okna, wielu szyb brakowało, stały puste i ponure, w niektórych przybite były jasne arkusze dykty. Na górze kwadratowe okienka. Co było za nimi? Pokoje czy strych? Poszła wzdłuż ściany, do bocznej elewacji, której centralnym miejscem były drzwi do piwnicy. Zeszła do środka, zaciekawiona, wyobrażając sobie, że jest tu pierwsza od tamtych czasów i może znajdzie coś ciekawego, co będzie należało do Heimannów. Rozglądała się po podłodze i ścianach, zawilgoconych brakiem słońca. Nic ciekawego jednak nie znalazła, poza niedopałkami papierosów, torebkami po chipsach, puszkami po coli i piwie.

„Polacy strasznie dużo jedzą i piją, a potem zostawiają śmieci, gdzie chcą. Najpierw tam, nad jezioro, a teraz tutaj, w tej piwnicy”-pomyślała. Odebrała to jak bezczeszczenie świętych miejsc. Bo dla kogoś świętością może być dumny w słońcu brzeg jeziora, piwnica pełna zakamarków historii. Niekoniecznie musi to być fragment zaniedbanego cmentarza lub wysmarowany farbą pomnik jakiegoś świętego patrona.

Naprzeciwko dworu stały budynki gospodarcze. Inga pamiętała, że niektóre z nich to chlewnie, stajnie, stodoły, jednak nie wiedziała, które z nich czemu służyły. Wiedziała tylko, że budynek, przy którym stał komin, to gorzelnia. Słynna gorzelnia z Pustnicka, znana na całą okolicę - teraz kaleka, z dachem rozpadającym się warstwami, jakby był wykonany z trzciny. Stare dachówki, które jeszcze nie spadły, pokornie czekały na swoją kolej. Wystarczy, że przyjdą silne mazurskie wichury, i spadną jak liście, przez nikogo niezatrzymywane.

Wszystkie budynki gospodarcze były niższe niż dwór, murowane, niektóre postawione z kamienia. Jak wyglądała ich budowa? Setki ludzi zatrudnionych do pracy, tysiące kropel potu. A teraz? Ściany chylące się ku ziemi, okna bez szyb, dachy wygięte siłą ziemskiego przyciągania. Wokół wysokie lipy brzęczące w czerwcu rojem pszczół. Tak, te drzewa

Cmentarz rodowy Heitmannów. na pewno pamiętały miniony czas. Milczały jednak, przerażone kołem historii.

Rudy pies na długim łańcuchu obszczekiwał ją donośnie. Gdzieś tu widać było jakieś życie. Ktoś tu mieszkał, pilnował tego dworu.

Poszła do parku, tego za domem, gdzie kiedyś Heimannowie w drewnianej skrzyni ukryli swój skarb. Teren zarosły zielenią i krzakami, które strzegły tego miejsca jak najlepsi wartownicy. Ostra tarnina chwytała za sukienkę, sandały na cienkiej podeszwie nie nadawały się na takie wędrówki. Mimo to Inga przeszła przez park i dotarła do cmentarza rodzinnego, a właściwie do tego, co po nim pozostało. Żeliwne krzyże pochylały się ku ziemi, jakby kiwały głowami w zegarowy rytm tiktak. Przysiadła na jakiejś płycie, nie mając pewności, czy nie jest nagrobna, i spojrzała do góry. Przez zieleń drzew prześwitywały białoczarne pióra. To sroki. Rozkrzyczane, patrzyły na nią, dziwiąc się zapewne, że ktoś tu dotarł, nie bojąc się duchów przeszłości.

Wróciła brukowaną drogą. O to, jak teraz wrócić do wsi, spytała kąpiących się. Doszła za ich radą do głównej ulicy. We wsi panował poranny gwar, ludzie wywlekali przesyconą jeszcze snem pościel na balkony, niektórzy podlewali kwiaty w oknach. Minęła starą lipę na rozstaju dróg, posadzoną tu pewnie jako drogowskaz. Lipa miała szorstki pień, napuchły naroślami. Jej babce, Hildzie, tak samo puchły na starość nogi. Drzewa i ludzie starzeją się podobnie...

Starszy mężczyzna siedział na ławce koło boiska i patrzył na Ingę z uwagą, widząc pewnie w jej zaciekawieniu wsią kogoś z dalekiego świata. Na początku nie miała śmiałości odezwać się, ale wreszcie podeszła i zagadnęła:

- Dzień dobry. Pan tu długo mieszka?

- Dzień dobry. Od urodzenia. A od kiedy niby mam mieszkać? Tu mieszkam, pracowałem tutaj w pegeerze, o tam! - pokazał na dawny dwór.

Inga pomyślała, że ten człowiek w swojej prostocie i przywiązaniu do ziemi nie wyobrażał sobie nawet, że można żyć w innym miejscu. Historia nie rzuciła go nigdzie, nie musiał oswajać się z nową ojczyzną, budować jej obrazu w sercu jak gniazda z cienkich witek.

- Nazywam się Inga Sobottka i moja mama kiedyś...

- O, to pani to pewnie córka Rosemarie? - Twarz mężczyzny pojaśniała.

Kwiat Diabelskiej Qóry-Tak, jestem jej córką. Zna ją pan?

- Oczywiście, ja jestem młody Baclawski, Ignacy, syn starego Baclawskiego. Panina matka tak o mnie mówi... - zaśmiał się.

- O, to wspaniale, że pana widzę! Mama prosiła, bym panu przekazała drobny upominek! Wiem, że pan mieszka gdzieś niedaleko...

- Tak, w tamtym domu. - Wskazał na stare zabudowania za drzewami, z czerwonym dachem przeświecającym przez konary.

- Na pewno pana znajdę. Do zobaczenia! - obiecała Inga.

Wracając, zastanawiała się nad tą szczególną umiejętnością czasu do zatrzymywania się. Ludzie mówią, że czas płynie, a tymczasem są w życiu takie chwile i zdarzenia, które są dowodem na jego niepłynięcie. Oto starszy mężczyzna mówi o sobie, że jest młodym Baclawskim, choć jego ojciec, stary Baclawski, dawno już nie żyje i teraz on powinien zająć jego miejsce; a w jego wspomnieniach dwór to wciąż pegeer, bo takim go zapamiętał, choć dawno nie ma już ani pegeeru, ani krzyczącego kierownika, ani darmowego mleka, a z pracy tam została tylko skromna emerytura, bez przywilejów.

Wokół domu, w którym mieszkali, chodził wyraźnie zaniepokojony nieobecnością Ingi Michał. Gospodarze też wyglądali przez płot na drogę, przerywając swe codzienne obowiązki, podobne do tych, które Inga widziała we wsi. Wykładanie pościeli na słońce, podlewanie kwiatów. Tutaj doszedł jeszcze jeden obowiązek - zmiatanie kamiennego podjazdu miotłą z gałązek. Przyjmowanie w swoich progach zagranicznych gości, nawet z tutejszym pochodzeniem, do czegoś zobowiązywało.

- Gdzie byłaś, obudziłem się, a ciebie nie było, nie wzięłaś telefonu, nie wiedziałem, gdzie jesteś, nikt nie widział, kiedy wyszłaś?! - Wyrzucał z siebie słowa szybko, nie zważając na intonację i znaki zapytania. Michał był pełen złych przeczuć, jak człowiek, który już raz kiedyś stracił bliską osobę, a teraz jest naznaczony tą stratą i każde dziwne zniknięcie tłumaczy sobie tak, jak nie powinien.

- Uspokój się, byłam na porannym spacerze - łagodziła jego zdenerwowanie Inga, przytulając się mocno. Od niedawna zaczęła się na dobre oswajać z nim, stawał się częścią jej życia.

A on przygarnął ją mocno, z sercem już coraz spokojniejszym, cichszym. Ten niebezpieczny taniec jego duszy zwolnił nieco. Chciał jej powiedzieć coś, na co jeszcze nie był gotowy. Na usta cisnęły mu się słowa dawno niewypowiedane, które zaschły w nim jak łyżo po śmierci Izabelle. Chciał te słowa ożywić, uformować jak ciasto, chciał, by Inga wszystko zrozumiała i nie miała wątpliwości. Nie potrafił jednak, nie był jeszcze gotowy. Historia jego uczuć dopiero się zaczynała. Czy Inga poczeka?

Gospodarze podali dobre, wiejskie śniadanie. Jajecznice z pomarańczowych wręcz żółtek, maślanke z garścią kopru z ogródka i ciemny chleb, sprężysty i lekko gliniasty, zupełnie inny niż te pompowane, naszpikowane ulepszczeniami, dostępne w supermarketach.

Rozpoczął się kolejny dzień na Mazurach. Dziś Inga miała spotkanie z pierwszymi czytelnikami, w mrągowskiej bibliotece. Nieznany jej wcześniej lęk zaczął jej właśnie towarzyszyć, wdzierał się w myśli podstępnie i nie ukoili go nawet uważne spojrzenia Michała, w których wyczytywała rosnące przywiązanie i zachwyt.

Wszędzie była przedstawiana jako pisarka, ale przecież jeszcze nią nie była! Była jedynie autorką, i to jednej książki, a Indze wydawało się, że na bycie pisarką trzeba sobie zasłużyć kolejnymi książkami.

Kwiat Diabelskiej óry Pierwszemu spotkaniu, temu w Mrągowie, towarzyszył silny stres. Prowadziła je kierowniczka tutejszej biblioteki. Zadawała Indze pytania, które najpierw z nią omówiła. Na spotkanie przyszło kilkadziesiąt osób, chcących poznać kobietę, która przyjechała z Niemiec, urodziła się tutaj, napisała książkę po polsku i mówi w tym języku.

„Słysząc lekki akcent, ale mówi naprawdę ładnie” - słyszało się potem od wychodzących. Inga wpisywała autografy do zakupionych książek, a ludzie patrzyli na nią jak na przybysza z innego świata. Potem stres stopniowo malał, Inga na następnych spotkaniach oswajała minuty rozmów z czytelnikami, otwierała się coraz bardziej. Te pierwsze spotkania zapadały jej w pamięć jako coś ważnego, coś, co już nigdy się nie powtórzy.

Zbliżał się termin wyjazdu z Pustników. Przed nimi spotkanie w Warszawie, Inga miała poznać Ewę, szefową jej wydawnictwa. Dzwoniły do siebie, Inga powiedziała o swoim pomysle napisania kolejnej powieści. Ewa zainteresowała się tym żywo.

- Sądzę, że to dobry pomysł. W naszym kraju jest duże zapotrzebowanie na takie ciepłe książki o powrotach do korzeni i codzienności małych ojczyzn. A poza tym są dobre wieści z pierwszego miesiąca sprzedaży pani książki! - powiedziała, zachęcając tym samym Ingę do sięgnięcia po kolejne marzenia.

Ostatni dzień, który nieuchronnie przechodził w ciepły przedwieczór, był dniem wolnym od spotkań i jakichkolwiek wyjazdów. Spędzili go razem, na wędrówkach po polnych ścieżkach, a towarzyszył im podczas nich klangor żurawi i cichy szelest bocianów przelatujących nad mokradłami.

- Inga, nie byliśmy jeszcze w pewnym miejscu... Nie możemy wyjechać bez pójścia tam...

Spojrzała na niego pytająco.

- To znaczy?

- Nie byliśmy jeszcze na Diabelskiej Górze... - odpowiedział, zawieszając głos.

Przypomniał jej o czymś ważnym. Jak mogła zapomnieć? Diabelska Góra! Przecież mama powiedziała przed wyjazdem: „Pozdrów ode mnie Diabelską Górę”.

- Ach, zupełnie zapomniałam... - westchnęła.

Zapytali gospodarza o drogę.

- Teraz to niełatwo tam trafić. Drogi już nie ma, a była. Tam nasze pegeerowskie pola były.

„I znów ten pegeer... Wbił się w tutejszą świadomość jak gwóźdź - pomyślała Inga - a przecież kiedyś to były pola Heimannów, dlaczego dziś już nikt nie mówi tak o tej ziemi?”.

Gospodarz sięgnął po kartkę papieru i krótkim ołówkiem narysował prymitywną mapę.

- Za pałacem i stajnią musicie skręcić w lewo i iść wzdłuż takich krzewów wysokich, a potem skierować się lekko w prawo. Podejść pod górę nie jest łatwo, ale jeśli będziecie iść wolno, to może nie dostaniecie zadyszki. Jak tylko zobaczycie wysokie drzewa i strome zbocze nad jeziorem, to właśnie będzie Diabelska Góra. Uważajcie na żmije, o tej porze roku lubią się wygrzewać w słońcu!

Gospodarz pomyślał o wszystkim. O tym, by nie mieli zadyszki, i o żmijach czyhających na słonecznym zboczu Góry. Zjedli obiad - gospodyni przygotowała pierogi ruskie, poląła je złocistą cebulką i nasypała na to kopru. Inga nigdy wcześniej nie jadła pierogów z koprem - smakowały wyśmienicie, zielenią i latem. Ubrali wygodne buty i poszli.

Od kilku dni Michał był dziwnie milczący, Inga miała wrażenie, że zapada się w siebie i bije się z myślami, do których nie miała wstępu. Nie był zbyt towarzyski, jakby potrzebował trochę czasu, by się oswoić z nowym otoczeniem i nowymi ludźmi, których wciąż spotykał na swojej drodze. Inga dziwiła się, bo sądziła, że Francuzi, a przecież Michał po części nim był, są bardziej spontaniczni i odważni w nawiązywaniu kontaktów. A już na pewno potrafia głośno okazać swoje uwielbienie dla kobiety. Michał jednak odbiegał nieco od tego stereotypu, być może miały na to wpływ jego osobiste przeżycia, a może... drzemała w nim mazurska, nieco sentymentalna dusza, na tyle jednak tajemnicza, by wzbudzać zainteresowanie kobiet. Bliskość ich ciał nie była jednoznaczna z bliskością wypowiedzianych słów. Czasem o tę pierwszą bliskość jest po prostu łatwiej...

Szli drogą obok plaży, którą Inga już poznała, przeszli strugę łączącą Jezioro Pustnickie z Gielądzkim, a potem, według odręcznej mapy gospodarza, weszli na pola zarośnięte żółtym krwawnikiem, który panował niepodzielnie w Pustnikach, wysokimi jak tyczki żółtymi dziewczannami

Kwiat Diabelskiej Qóryi kwitnącymi w tym samym kolorze nostrzykami. Pole wydawało się więc być całe żółte, lato jeszcze nie przejrzało i tę słoneczną paletę barw uzupełniała soczysta zieleń. Był początek lipca, czas brzęczących pszczoł i ich wielkiego miodobrania, plonów w wiejskich ogrodach, rodzenia się motyli i kotów...

Pola najpierw szły łagodnie pod górę, by z czasem nabrać ostrego skosu, szło się już trudniej i po tym poznali, że są blisko. Gospodarz mówił bowiem, że jak tylko będzie stromo, dojdą do tych drzew sadzonych przez mieszkańców wsi na polecenie Heimanna. Teraz był to już gęsty las, ale kiedyś było to doskonale miejsce na noc świętojańską. Na niewielkiej płaszczyźnie pól urządzano ogniska, panny schodziły w dół do jeziora, by puszczać wianki, a potem wszyscy szli do niewielkiego wówczas lasku, szukać ligustru. Noc świętojańska już wprawdzie minęła, ale w tym roku zima była długa i ostra, i po raz pierwszy od wielu lat białe kwiatki nie zdążyły się rozwinąć. Zaczynały kwitnąć dopiero teraz, migdałowym zapachem wabiąc motyle i pszczoły...

- Chciałabym spędzić kiedyś wakacje na zwykłej plaży, pod namiotem - odezwała się nagle Inga.

Starła się iść wolno, wciąż jeszcze unikała silnego zmęczenia, nie forsowała swoich płuc. Nie odzywała się więc, gdy podchodzili pod górę, dopiero teraz, kiedy przypomniła sobie tamtych dwoje na plaży.

- Obiecuję, że kiedyś spędzimy takie wakacje. Może następne? - Michał spojrzał na nią szczęśliwy, a jednak... dziwnie zamyślony.

Zbocze było już całkiem strome, Inga zaczynała powoli rozumieć tę legendę o Diabelskiej Górze, o której Neumann mówił, że to jednak nie jest żadna legenda, a szczerą prawdą. Mogło się tak bowiem stać, że konie stoczyły się ze zbocza i wpadły wraz z jakimś gospodarzem do Gielądzkiego.

Po czterdziestu minutach dotarli na szczyt. Michał wyciągnął z plecaka wodę. Pomyślał o tym na szczęście. Napili się łąpczywie.

Drzewa szumiały w ciszy tajemniczo. To miejsce było stworzone do potajemnych spotkań, drzewa mogły być doskonałymi świadkami wielu miłosnych wyznań. Inga przedzierała się przez krzaki jeżyn, ledwo rozkwitłe białymi kwiatami. Gdyby przyjechali tu później, wraz z końcem lata, na pewno zebrałaby całe garście czarnych lśniących owoców!

Inga czuła, że jej serce ogarnia silne wzruszenie. Jak wielką drogę do samej siebie przebyła! Jeszcze rok temu była zakochana w Ludwiku, który był całym jej światem. Wydawało jej się, że nie można żyć inaczej niż u jego boku. Uzależniona od mężczyzny, wybaczyła mu nawet zdradę, której była świadkiem, i wciąż jeszcze chciała być jego żoną!

Teraz, z perspektywy czasu, wydawało się jej to bardzo naiwne i niedojrzałe. „Mogłam zmarnować sobie życie” - myślała czasem, wracając do przeszłości. A dziś? Teraz? Wróciła do świata, z którego wyszła, ale już dojrzała i mądrzejsza. Z silnym przekonaniem, że najważniejsze jest, by jak najwięcej zawdzięczać samej sobie.

Kim był mężczyzna, z którym szła, trzymając go za rękę? Nie było między nimi tej rzeki słów, właściwej zakochanym. Inga czasem miała wrażenie, że trwały między nimi tylko przecinki. Wolą ją jednak tysiąc razy od nieciekawych kropek, oczywistych i stawianych z przekonaniem. To właśnie te przecinki niosły za sobą tę ciekawość życia, pełną niedopowiedzeń. Tej interpunkcyjnej metafory użyła w swoich rozmyślaniach jako wymyślonemu szyfru znaczeń. Opowiedziała o tym Michałowi.

- Mam wrażenie, że nasze spotkanie jest pełne przecinków... - zaśmiała się.

Nie sądziła, że zrozumie pokrętność jej myśli. Tymczasem on rozumiał, o co jej chodzi, i to znaczyło, że mówią jednym językiem, tylko ktoś zmieszał ich w tym tłumie ludzkim zwanym wieżą babel. Rzuceni jak kości do gry turlali się przez dotychczasowe życie bezładnie, stawiając jakieś tam życiowe kropki i przecinki, pamiętając i zapominając, śmiejąc się i płacząc, wyczekując i będąc wyczekiwany. W tej nieprzewidywalności zdarzeń był jednak dziwny porządek rzeczy, bo każdy moment następował po sobie i niczym klocki domina przewracał się, dając początek nowemu. Aż znaleźli siebie.

A teraz... We wrodzonej nieśmiałości ani ona, ani on nie potrafili sformułować słów zrozumiałych, może czasem zbyt oczywistych, ale jakże przez nich wyczekiwanych. Wiedzieli jednak, że głównym kluczem do ich serca są ich myśli, takie same, wręcz bliźniacze, spotykające się pod pustnickim słońcem za dnia, a nocą - pod cichym księżycem, który popycha morza i oceany, powodując przypyływy. Połączyła ich metafizyka... To bardzo udany początek nowego dzieła...

Kiat Diabelskiej óry-Popatrz, jaki kamień! - z zamyślenia wyrwał ją głos Michała, dzielnie stawiającego opór nieznośnym jeżynom.

- Rzeczywiście, dość dziwny. W kształcie pękniętego serca. Zrobmy mu zdjęcie!

Michał sięgnął po aparat i uwiecznił szarą bryłę, porośniętą od północnej strony miękkim mchem. Nie wiedział, że przed laty siedziała tu Rosemarie, matka Ingi, i powierzała szorstkości tego miejsca swoją samotność.

Oboje usiedli na kamieniu i wtedy Michał pomyślał, że to ważny moment, który powinni zapamiętać. Inga machinalnie sięgnęła dłonią naprzód. Rósł tam zielony krzew o zakończonych ostro oliwkowych liściach. Spośród nich wychylały się białe grona kwiatów, które wyglądały jak miniaturki kiści przekwitłych już bzów.

Inga zerwała jedną taką kiść i z uśmiechem włożyła za ucho. Wyglądała teraz jak cygańska księżniczka. Biel kwiatów kontrastował z ciepłym brązem jej włosów, zrudziałym w słońcu jak liść klonu późną jesienią. Poczula zapach migdałów i soczystej, świeżo zerwanej zieleni. Michał wziął ją za obie ręce i przytulił do nich twarz, jakby chcąc ukryć się przed jej silnym spojrzeniem. Po chwili podniósł jednak głowę i wyszeptał:

- Ingo, cała ta historia, która się nam przytrafiła... To historia moich uczuć do ciebie. Znam tylko jej początek, ale chciałbym posiadać na zawsze odrobinę ciebie. Pozwól mi na to. Zaproś mnie do swojego życia. Czekałem na ciebie tak długo, po prostu bądź ze mną.

Inga patrzyła na niego, w jego oczy, które teraz były całkiem kobaltowe, rozjaśnione nieznanym jej dotychczas blaskiem. Dotknęła ustami jego ust, jakby robiła to po raz pierwszy.

- Michale. Michaelu... Ja też czekałam na ciebie...

- Kocham cię, Ingo.

Oboje mieli nieodparte wrażenie, że wszystko, co ich w życiu spotkało, wydarzyło się po to, by właśnie dziś dotarli na szczyt Diabelskiej Góry.

Gałązka z białymi kwiatkami wypadła jej zza ucha, gdy Michał przygarbował ją do siebie. Skrzeczące sroki krzyczały coś do nieba i słońca, rozkukala się kukułka, a szara sierpówka odśpiewała te swoje zwyczajne i śmieszne „uchuchu”, które czasem brzmiało jak „jezusku...” i zawsze bawiło mieszkańców wsi.

Drzewa na Diabelskiej (jórce, posadzone przed wojną. Ul) tle - Jezioro (jielądzkie.

Niemy ligustr stał nad nimi w pachnącym pochyleniu. Uważny obserwator zauważyłby, że zatrzymany przez starą szeptuchę dawno temu, jeszcze przed wojną Czas poruszył się nagle, wyzwolił z pajęczyn złego czaru i popłynął niczym papierowa łódeczka, zdmuchnięty miłosnym wyznaniem. Znikał wolno, a po chwili był już tylko punkcikiem, jak żegnająca Ingę Rosemarie. Trzy kobiety, trzy pokolenia, naznaczone złowróbnym ślubem Hildy.

I nagle nastał nowy Czas, przywołany przez nieprzypadkowość spotkań, bo wszystko przecież zaczęło się i skończyło na Diabelskiej Górze...

*** w zasadzie opowieść o tej dziwnej miłości powinna zakończyć się tu i teraz, jednak owa nieprzypadkowość zdarzeń zmusza do jeszcze jednego spotkania.

Kiedy na Diabelskiej Górze rodził się nowy Czas, witany miłosnym wyznaniem, Rosemarie sprzedawała swoje mieszkanie w dziewiętnastowiecznej szachulcowej kamienicy w centrum Grunbergu. Podpis złożony u notariusza niechybnie rozpoczynał nowy etap w jej życiu. Rosemarie czuła, że nie ma odwrotu, ale pragnienie kupienia niewielkiego domku, tego

na końcu Pustników, niedaleko grobli, który był od kilku miesięcy wystawiony na sprzedaż, było silniejsze. W całej transakcji pomagał jej „młodystary” Baćłowski, którego Rosemarie poprosiła o dyskrecję godną pośrednika nieruchomości. Przyobiegała mu nawet pewne honorarium i to chyba dzięki niemu jej dawny sąsiad poczuł się wyjątkowo ważny i po raz pierwszy nie puścił pary z ust. Nawet Indze, którą spotkał na drodze.

Rosemarie czuła całą sobą, że na nic nie jest za późno, jeśli ma się marzenia. Marzenia dają przecież nadzieję. Erich, coraz jej bliższy, wspierał ją w tych myślach, sam bowiem kończył budowę małego drewnianego domku w malowniczym Nowym Zyzdroju koło Pieceek. Wprawdzie miał to być dom tylko na lato, ale zawsze można go ocieplić i wstawić do środka kominek!

Oboje byli STAMTĄD i oboje pragnęli tam wrócić. Taka więc czasem jest silniejsza od jakichkolwiek innych przeżyć.

Rosemarie wierzyła, że już wkrótce Czas, który właśnie nastał, przyniesie kolejne wydarzenia. Oczami wyobraźni widziała odnoszącą swoje pierwsze sukcesy córkę, podejmującą na fali tych nowych doświadczeń i kontaktów dobrą decyzję o przeprowadzce na Mazury, które tak naprawdę nigdy nie przestały być jej ojczyzną. Jedynie matki, w sobie tylko znany sposób, pomagają swoim dzieciom myślami i wspierają z wielką siłą ich marzenia, które potem z dziwną łatwością urzeczywistniają się...

A Michał? Och, on na pewno znajdzie jakiś sposób, by być bliżej kobiety, na którą czekał całe życie!